

A close-up portrait of a woman with dark hair, blue eyes, and red lips, looking directly at the camera. The background is a light blue gradient.

ja, anielica

Katarzyna Berenika Miszczuk



Rozdział 1

Zastukałam do drzwi. Pomalowana na biało sklejka zadrżała. Czekałam cierpliwie na zaproszenie, jednak nie dobiegł mnie żaden dźwięk.

Zastukałam ponownie. Znowu cisza.

W końcu nie wytrzymałam. Załomotałam mocno, szarpnęłam klamką i wsunęłam głowę do pokoju.

- Można? - zapytałam i nie czekając na odpowiedź, beczelnie weszłam do środka.

Kobieta siedząca za prostym metalowym biurkiem zmierzyła mnie ponurym spojrzeniem. Siorbnęła kawę z kubka. Uchylone okno, za którym widać było tylko przeraźliwą biel, otworzyło się szerzej. Mroźny przeciąg uderzył mnie prosto w twarz. Poczułam w oczach łzy.

- Proszę... - mruknęła posepnym głosem.

Zabrzmiało to zupełnie tak, jakby wycedziła: „Skoro już pani musi...”.

Dla pewności zerknęłam jeszcze raz w stronę tabliczki na drzwiach. Nie pomyliłam się. „Informacja”. Śmiało zamknęłam za sobą drzwi.

Urzędniczka przyglądała się krytycznie moim wysokim obcasom i dopasowanemu bordowemu płaszczykowi. Sama miała na sobie dość niekształtny kostium w szarą jodelkę. Zmarszczyła brwi, posyłając pełne zazdrości spojrzenie.

Byłam ciepło ubrana, lecz mimo to zrobiło mi się zimno. W pokoju panowała bardzo niska temperatura. Czy ona tego nie czuła? Zerknęłam na pomarszczoną twarz. No tak... menopauza i uderzenia gorąca.

Usiadłam na krześle, które okazało się piekielnie niewygodne. Uśmiechnęłam się promiennie do urzędniczki. W końcu to nie jej wina, że miała taką koszmarną pracę i garsonkę. Ściany w brudnym żółtawym kolorze na pewno nie koily jej nerwów. Tak samo jak tandetne akwarele i zasuszona paprotka na parapecie, już nawet niewołająca o podlanie, tylko o kosz na śmieci.

Że już nie wspomnę o tych niewygodnych metalowych krzesłach...

- Dzień dobry - powiedziałam. - Mam pytanie...

- A co ja informacja jestem? - znowu siorbnęła łyk kawy. Odchrząknęłam, hamując się przed kaśliwą uwagą, i mimo wszystko zadałam jej pytania, które ułożyłam sobie wcześniej i zapisałam skrupulatnie na karteczce. Nie chciałam niczego zapomnieć, skoro już zebrałam się w sobie, żeby odwiedzić ten ponury urząd.

Kobieta patrzyła na mnie spod oka. Odstawiła kubek na poplamiony blat i zaczęła bawić się pieczętką. Kilka podań i dokumentów leżących przed nią miało na sobie ślad czerwonej pieczęci i zacieki z kawy.

Zamiast odpowiedzi na którekolwiek z moich pytań, urzędniczka sięgnęła do szuflady i podała mi małą książeczkę.

- Tu ma pani wszystkie potrzebne informacje, jak wypełnić każde pole formularza - skwitowała moje słowa. - A teraz przepraszam, ale mam przerwę obiadową. Do widzenia pani.

Zaskoczona, parę razy otworzyłam i zamknęłam usta. Nie wiedziałam, jak mam zareagować na tak bezczelną odprawę. Za kogo ona się uważała?

Bez słowa ścisnęłam w dłoni książeczkę i wyszłam. Nie omieszkałam przy tym trzasnąć drzwiami. Usłyszałam brzdęk doniczki. Przeciąg chyba otworzył szerzej okno i paprotka spadła. A to pech...

Podaną mi broszurkę wyrzuciłam do kosza. Już taką miałam. Była z tego samego gatunku poradników co rozmaite instrukcje obsługi sprzętu elektronicznego. Normalny człowiek ich nie zrozumie nawet ze słownikiem poprawnej polszczyzny. Do tego typu instrukcji potrzebny był raczej wysoki, chudy facet z rzadkim zarostem i denkami od butelek zamiast okularów. Informatyk.

Opatuliłam się szczelniej płaszczem, kierując się do wyjścia z budynku. Na zewnątrz zerknęłam jeszcze raz na drzwi.

Ciemnogrnatowy napis „Urząd Skarbowy” przykryty był do połowy czapą śniegu.

Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu, ale po tej wizycie już go nie lubiłam. Tak jak podejrzewałam, wypełnienie PIT-u okazało się wyczynem ponad moje siły.

Śnieg sypnął mi prosto w oczy. Kolejna anomalia pogodowa w tym roku. Najpierw gorąca jesień, a teraz mroźna wiosna. Zimny wiatr od razu odnalazł wszystkie szpary w moim ubraniu. Zadrżałam.

Skierowałam się w stronę parkingu do mojego kochanego autka. Marzyłam o tym, żeby usiąść w jego ciepłym wnętrzu i podkręcić ogrzewanie. Miałam jeszcze do załatwienia kilka ważnych spraw na mieście.

Gdzie ja postawiłam samochód? Zatrzymałam się zbита z tropu. Wszystkie były przykryte białymi kołderkami i wyglądały identycznie.

A tak, już wiem. W szóstym rzędzie na miejscu parkingowym numer sześć.

Wsiadłam do mojej srebrnej, poobijanej corsy, którą dostałam od brata chyba półtora roku wcześniej. On kupił sobie dzipa. Też mogłabym mieć dzipa. Najlepiej takiego ze stalowymi ramami dookoła. Wtedy mogłabym spokojnie taranować inne pojazdy i nie miałabym rys na karoserii.

Miałam nadzieję, że dzip szybko mu się znudzi i mi go odda.

Jego drugą własną inwestycją było mieszkanie, które zajmował teraz ze swoją narzeczoną Natalią. Nie mogłam doczekać się ich ślubu. Chciałam, żeby Marek był szczęśliwy. Uśmiechnęłam się do odbicia w lusterku. Ja byłam szczęśliwa. Miałam wspaniałego chłopaka - Piotrusia.

Szarpnęłam za drążek skrzyni biegów i patrząc do tyłu, wcisnęłam pedał gazu. Obok samochodu przeszedł jakiś ubrany na czarno mężczyzna, z kapturem nasuniętym na twarz. Pochylił mocno głowę, żeby śnieg nie leciał mu prosto w

oczy. Jeszcze raz przemknęło mi przez myśl, że bardzo cieszę się, że siedzę już w ciepłym aucie.

Silnik zawył, a corsa oczywiście, zamiast do tyłu, pojechała do przodu. Wdusiłam hamulec i zagryzłam wargę w oczekiwaniu na huk, gdy zderzak spotka się z metalowym słupkiem.

Szlag by to trafił!!! Znowu się pomyliłam! Nie ogarniałam skrzyni biegów... A gubiłam się już zupełnie na skrzyżowaniach, gdy trzeba jednocześnie zwolnić, zmienić bieg, wcisnąć kierunkowskaz, skręcać kierownicą i patrzeć, czy nikt nie jedzie prosto na mnie.

Po prostu za dużo czynności naraz.

Ku mojemu zaskoczeniu nie usłyszałam dźwięku gniecionej metalu. Wsiadłam z samochodu i pochyliłam się przed maską. Metalowy słupek był wygięty poziomo w taki sposób, że nie było możliwości, żeby dotknął mojego samochodu. Kąt zgięcia pozwoliłby mi spokojnie nad nim przejechać.

Podniosłam się zdziwiona. Przysięgłabym, że jeszcze przed chwilą słupek stał prosto tuż przed moim autem.

Przesunęłam dłonią po zderzaku. Żadnego wgniecenia czy rysy. Kopnęłam czubkiem buta wygięty słupek. Ani drgnął, za to ja poczułam boleśnie duży palec u stopy.

Dziwne...

Wzruszyłam ramionami.

Wsiadłam do samochodu, w końcu ruszyłam do tyłu i wyjechałam powoli na ulicę. Zimowe opony buksowały na zaśnieżonym asfalcie. Dzisiaj nie widziałam ani jednej piaskarki i żadnego sypiacza. Zima jak zwykle zaskoczyła drogowców i służby miejskie.

Z nieba zaczął sypać jeszcze gęstszy śnieg. Szykowałam się prawdziwa zadymka.

Zerknęłam na kontrolki na tablicy rozdzielczej. Wbudowany termometr wskazywał, że na dworze było tylko minus sześć stopni.

Spojrzałam znów przed siebie, by stwierdzić, że właśnie jakiś przechodzień wskoczył na czerwonym na pasy. Wdusiłam hamulec, a zablokowane koła wpadły w poślizg.

Nagle kierownica wyrwała mi się z rąk. Szybko skręciła w lewo, a następnie w prawo. Usiłowałam ją zatrzymać, ale nie miałam tyle siły.

Samochód wyminął przechodnia, który nie zwracając na mnie uwagi, pobiegł dalej. Poczułam, jak pedał hamulca odpycha moją stopę, a pedał gazu sam się wciska. Dzięki kolejnemu skrętowi kierownicy corsa o mały włos minęła barierek oddzielające ulicę od torów tramwajowych i wjechała na wolne miejsce parkingowe.

- Fak, fak, fak, fak - mamrotałam do siebie, ściskając kurczowo bezużyteczną już w tym momencie kierownicę.

Jakiś mężczyzna wyszedł zza drzewa, pod którym stanęłam, i ruszył przed siebie, nawet nie odwracając się w moją stronę. Dobrze, że przynajmniej jego

nie potrafiłam. W ferworze walki z wrywającą się kierownicą zupełnie go nie zauważyłam.

Kolorowo ubrani przechodnie szybko stracili mną zainteresowanie. Przegonił ich mroźny, północny wiatr.

Silnik samochodu szumił cicho. Ciepły nawiew muskał moje policzki, gdy głęboko oddychałam, usiłując się uspokoić.

Odwrociłam się w stronę przejścia dla pieszych, z którego już dawno zniknął niedoszły samobójca. Wzięłam głęboki oddech.

- Od dzisiaj jeżdżę tramwajami - mruknęłam do siebie.

* * * *

Przygaszone światła nie rozświetlały mroku panującego we wnętrzu jednego z warszawskich klubów. Czekaliśmy cierpliwie, aż na scenę wejdzie nowy zespół założony przez kilku studentów.

Naprzeciwko mnie przy stoliku siedziała koleżanka z roku, Monika. Odgarnęła długie blond włosy i zalotnie zerknęła na Maćka, współlokatora mojego chłopaka. Piotr siedział obok, trzymając mnie pod stolikiem za rękę. Mocniej ścisnęłam jego palce. Uśmiechnął się ciepło. Monika spojrzała na mnie i na Piotra i wydeła usta. - Ile wy ze sobą już jesteście? Ze cztery miesiące? - zapytała i nie czekając na naszą odpowiedź, skomentowała złośliwie: - Strasznie długo. Chyba już zdążyliście się sobą znudzić.

Nie cierpiałam jej. Wydawało mi się, że ta dziewczyna wszystko robi na pokaz. Poza tym była zdecydowanie zbyt ładna. Dobrze o rym wiedziała i z premedytacją wykorzystywała swoje wdzięki. Stanowiła potencjalne niebezpieczeństwo dla wszystkich zakochanych dziewczyn. I miała paskudny charakter.

Dzisiaj musiałam ją znosić, bo wprosiła się na nasze wspólne wyjście. Usłyszała, gdzie się wybieramy, i nie udało nam się jej pozbyć.

Na scenę zaczęli wchodzić członkowie zespołu.

- Wokalista ma świetny głos - powiedział podekscytowany Maciek, przyjaciel mojego Piotra.

Po sali niósł się lekko schrypnięty głos. Dyskutowałabym na temat jego „świetności”.

- Skoczę po piwo - powiedział w którymś momencie Piotr. - Ktoś chce? Maciek ochoczo pomachał.

- Ja poproszę z sokiem imbirowym - wtrąciła się Monika. Piotrek ruszył w stronę oblepionego ludźmi baru. Długo poczeka, zanim go obsłużą.

W pewnej chwili Monika wzięła do ręki swoją torebkę i oznajmiła:

- Idę do łazienki.

Odetchnęliśmy z ulgą. Od ponad dziesięciu minut rozprawiała o tym, który tuz do rzes jest lepszy, czym skutecznie zagłuszyła muzykę.

Piotra wciąż nie było. Wychyliłam się ze swojego miejsca, usiłując dojrzeć go w tłumie bawiących się ludzi.

- Zaraz wrócę - powiedziałam do Maćka, który siedział wpatrzony w nowy zespół jak w obrazek. Pewnie nawet mnie nie usłyszał.

Skierowałam się w stronę baru. Minęłam drzwi do damskiej toalety. Ku mojemu zdziwieniu wyszedł z niej jakiś mężczyzna i szybko minął mnie z pochyloną głową, tak, bym nie dostrzegła jego twarzy. Pewnie wstydził się, że pomylił łazienki.

W drzwiach pojawiła się Monika.

- Z damskiej wyszedł właśnie jakiś facet. Widziałaś? - zapytałam.

- Nie... - odparła z nieobecnym wyrazem twarzy i ruszyła w stronę stolika.

Wzruszyłam ramionami. Nie obchodziły mnie jej dziwactwa. Zwłaszcza że wreszcie zauważyłam Piotrką. Lawirował między tańczącymi ludźmi z trzema kufkami piwa. Tylko patrzeć, aż ktoś wytrąci mu je z rąk.

Kiedy koncert się skończył i zaczęli puszczać jakieś techno - zdecydowaliśmy, że wracamy do domu. Nie opłacało się tam siedzieć i pić drogie piwo. Poza tym atmosfera przy czym stoliku zrobiła się markotna. Piotrek jakoś zamilkł, zapatrzony bezmyślnie na scenę, Maciek siorbał piwo. Nawet Monika siedziała cicho.

Zebraliśmy swoje rzeczy i ruszyliśmy w stronę pobliskiej stacji metra. Po drodze w naszą towarzyszkę jakby wstąpił nowy duch. Przysunęła się do Maćka i zaczęła się zachwycać nowym wagonem, którym jechaliśmy.

Mój ukochany miał lekko nieobecny wzrok. Ścisnęłam go za rękę.

- Coś się stało? - zapytałam, gdy byliśmy już niedaleko mojego bloku.

- Nie, po prostu trochę boli mnie głowa - uśmiechnął się. - Wrócę do domu i od razu położę się spać.

Nagle tuż przed moim nosem na ziemię spadło długie czarne pióro. Spojrzeliśmy szybko do góry, ale nad naszymi głowami nie leciał żaden ptak. Wzruszyłam ramionami.

- Długie - stwierdził lakonicznie Piotrek. Odprowadził mnie pod same drzwi i poczekał, aż je otworzę.

Zmarszczył brwi i masował swoje czoło. Głowa musiała boleć go coraz mocniej. Przytuliłam się do niego.

- Może dam ci coś przeciwbólowego? - zaproponowałam.

- Nie, zaraz mi przejdzie. Po prostu pójdę spać.

- No dobrze. W takim razie dobranoc - pocałowałam go w usta.

- Dobranoc - odpowiedział.

Zamknęłam za nim drzwi i podbiegłam do okna, żeby zobaczyć, jak idzie ulicą. Dostrzegłam w mroku jego wysoką sylwetkę. Szedł z pochyloną głową i rękami w kieszeniach.

Dopiero gdy znikł za zakrętem, dostrzegłam coś na parapecie. Otworzyłam okno.

Leżało na nim długie czarne pióro.

Rozdział 2

Kilka dni później siedziałam na wyjątkowo nudnych zajęciach. Na uczelnię jechałam tramwajem. W dniu, kiedy wpadłam w poślizg, obiecałam sobie, że samochodem zacznę ponownie jeździć dopiero wtedy, gdy śnieg stopnieje. Nie miałam zamiaru więcej ryzykować.

Udając, że słucham uważnie, co mówi wykładowca, studiowałam instrukcję wypełniania PIT-u.

Prowadząca seminarium przerzuciła prezentację na ostatni slajd. Zobaczyliśmy na nim ulubiony napis studentów: „Koniec. Dziękuję za uwagę”.

Spojrzałam na zegarek. Kolejny wykład zaczynał się za pół godziny. Nie chciało mi się iść. Nie powinnam zbyt wiele stracić. Piotruś wrócił ze swoich zajęć kilka godzin wcześniej. Postanowiłam pojechać do niego.

- Wiki, idziesz na wykład? - zapytała Zuza, moja najlepsza przyjaciółka.

- Nie, jadę do Piotrka - odparłam.

- Boże, jesteś w niego zapatrzona jak w jakieś bóstwo - skomentowała, przewracając oczami.

Nie zaprzeczyłam i nie obraziłam się. Taka była prawda, Zuza tylko stwierdziła fakt. Fakt, z którym już dawno się pogodziłam.

Pomimo śniegu i pluchy szłam z uśmiechem na ustach. Miałam dzisiaj na nosie bardzo różowe, cukierkowe okulary.

I nie chciałam ich zdejmować. Miłość jest dziwna. Ma w sobie coś z narkotycznego uzależnienia.

Zerknęłam na zegarek. O tej godzinie nie powinno być jeszcze współlokatora Piotrka. Będziemy sami. Doskonale!

Jak nigdy, komunikacja miejska stanęła na wysokości zadania i gdy tylko doszłam na przystanek, nadjechał mój autobus. Zadowolona rozsiadłam się na wolnym siedzeniu i oparłam stopy na grzejniku. W starym ikarusie szyby klekotały przy każdym zakręcie, a zawieszenie skrzypiało, gdy koła wpadały w koleiny.

Wysiadłam na przystanku przy ulicy Targowej, na wysokości bazaru Różyckiego. Kiedyś było to jedyne takie miejsce w Warszawie. Za komuny można było tu dostać niemal wszystko. A teraz? Kilkanaście szkaradnych bud z sukniami ślubnymi i butami. To zdecydowanie nie były najlepsze czasy dla bazaru Różyckiego.

Spojrzałam na zegarek. Była szesnasta sześć.

Schowałam się w bramie, szukając ochrony przed śniegiem. Mokre włosy przyklejały się do policzków. Obok mnie, w czarnym płaszczu, niedbale rozpiętym pod szyją, stał przystojny chłopak. Szeroki kaptur opadał płasko na jego plecy. Płatki śniegu osiadały mu na włosach i długich czarnych rzęsach.

Od jakiegoś czasu dość często spotykałam go na Pradze lub w centrum. Było to dość niezwykle, jeśli wziąć pod uwagę liczbę ludzi mieszkających w tym mieście.

Przyglądałam mu się dyskretnie. Tym razem nie ułożył czarnych włosów w sztywnego irokeza. Opadały mu na niesamowite złote oczy.

Musiał nosić szkła kontaktowe. Nigdy nie widziałam nikogo o takiej barwie tęczówek. Nienaturalnej, ale... muszę powiedzieć, że bardzo ładnej.

Nie miał szalika, spod płaszcza wystawała tylko czarna koszula. Jedynie kaptur mógł chronić go przed śniegiem i wiatrem, ale nonszalancko zdjął go z głowy.

Uśmiechnął się do mnie lekko. Odwzajemniłam uśmiech.

Kilka razy nawet rozmawialiśmy. Raz zapytał, która godzina, innym razem poprosił o pokazanie mu na planie miasta, jak ma dojechać na plac Zbawiciela. Ciekawe, czy mnie pamiętał.

Jeszcze raz na niego zerknęłam. Przyglądał mi się. Gdy zobaczył mój wzrok, szybko odwrócił głowę.

Poza mną czujnie obserwowało go jeszcze kilka kobiet. Były w różnym wieku. No cóż... Było na co popatrzeć.

Cofnęłam się jeszcze o krok w bramę, by śnieg na mnie nie padał. Przystojniak podszedł do mnie.

- Paskudna pogoda, prawda? - zagadnął.

- Tak - uśmiechnęłam się.

- Ale zaraz przestanie padać - zapewnił mnie. Spojrzałam na niebo i czarne chmury. Nie zanosilo się, żeby jego słowa szybko się urzeczywistniły.

- Wątpię - stwierdziłam.

W tej chwili śnieg przestał padać. Spojrzałam zdziwiona na chłopaka. Na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Nie patrzył w chmury. Wpatrywał się we mnie. Jego niespotykane złote oczy zabłyśły, jak gdyby zapłonął w nich ogień. Przewiercały mnie na wylot.

Poczułam się nieswojo.

- A nie mówiłem? - zapytał.

- Ty masz chyba chody tam na górze - zaśmiałam się. Uśmiech na jego ustach odrobinę przygasł.

- Raczej tam na dole... - mruknął.

- Słucham? - nie usłyszałam, co powiedział, bo właśnie przejechała z hałasem obok nas pomarańczowa ciężarówka.

- Nic, nic - znowu się uśmiechnął i przysunął bliżej. - Jestem Beleth, a ty?

- Wiki - odpowiedziałam. - Beleth? Bardzo egzotyczne imię.

- Nie pochodzę stąd - wyznał.

Wyjrzałam na ulicę, ale nie było widać mojego autobusu. A wcześniej tak ładnie wszystkie podjeżdżały!

- A skąd? - zapytałam. - Nie masz obcego akcentu.

- Jestem w Polsce już pewien czas - odparł.

Przeczyła temu opalona oliwkowa skóra. Wyglądał, jakby przed chwilą wstał z leżaka nad brzegiem ciepłego morza i dla niepoznaki narzucił na siebie płaszcz. Wydawało mi się nawet, że delikatnie pachniał solą. Zapachem bryzy.

Co on robił na Pradze...?

- A ogólnie pochodzę... z Południa - odparł z wahaniem.

- Hiszpania? - zapytałam.

Zawstydziłam się własną ciekawością. Po co go wypytywałam?

Jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzałam. Coś w nim było. Coś znajomego. Nie potrafiłam tego nazwać. Usilnie szukałam jakiegoś skojarzenia, wspomnienia.

- Raczej jeszcze bardziej na południe... - uśmiechnął się tajemniczo.

- Raczej?

Robił wrażenie, jakby sam nie był tego pewien. Wydawało mi się, że skądś go znam.

Chłopak uśmiechnął się wesoło, zupełnie jakby usłyszał moje myśli. Zapadłabym się chyba pod ziemię, gdyby był świadom moich zachwyty nad tym, jaki jest przystojny.

Na jego twarzy zagościł jeszcze szerszy uśmiech.

W tej chwili na przystanek podjechał autobus. Wysypał się tłum ludzi.

- To mój - powiedziałam. - Miło było mi cię poznać. Podbiegłam w stronę autobusu.

- Poczekaj! - złapał mnie przy drzwiach. - Proszę, to dla ciebie. Z mojego rodzinnego kraju.

W tej chwili drzwi się zamknęły i rozdzieliła nas brudna szyba. Beleth uśmiechnął się zawadiacko i pomachał mi na pożegnanie.

Usiadłam na wolnym miejscu i spojrzałam na swoją dłoń. „Z mojego rodzinnego kraju”. Na mojej dłoni leżało...

...małe zielone jabłuszko.

Rozdział 3

Wysiadłam z autobusu na przystanku pod domem Piotrka. Cały czas ścisnęłam w dłoni jabłko. Śmieszny był ten chłopak z przystanku. A jabłuszko wyglądało jak najzwyklejsza polska papierówka. Gdzie mogło urosnąć?

Zerknęłam na zegarek. Piotruś spodziewał się mnie dopiero za dwie godziny. Zrobię mu niespodziankę!

Zadowolona z siebie zaczęłam wbiegać po schodach. Obdrapana klatka przypominała setki podobnych na warszawskiej Pradze. Nie wyróżniała się niczym szczególnym. Takie same szare schody, nieczytelne graffiti, stłuczona szyba.

Nagle naprzeciwko pojawiła się Monika. Właśnie schodziła z góry. Na mój widok zatrzymała się raptownie. O mało nie zsunęła się ze schodka. W ostatniej chwili, balansując całym ciałem, utrzymała równowagę.

- Monika? - zdziwiłam się.

- Och, cześć Wiki - uśmiechnęła się szeroko i szybko zaczęła trajkotać dziwnie wysokim tonem. - Co tam u ciebie? U mnie dobrze. Ja już uciekam. Przyszłam do Maćka. Do zobaczenia.

Wyminęła mnie i zbiegła po schodach.

Nie powiedziała nic o najnowszym tuszu do rzęs. Nie zachwycała się swoimi butami na wysokim obcasie. Nie krytykowała protekcyjnym tonem mojej zmechaczonej czapki. Zupełnie jak nie ona.

Dziwne...

Maciek i Monika? Zmarszczyłam brwi. W życiu... ona by się nim za szybko znudziła. Był zbyt porządny.

Postanowiłam nie zawracać sobie tym dłużej głowy. Nie mnie osądzać. Wyjęłam z torebki pęk kluczy. Jakiś czas temu się nimi z Piotrusiem wymieniliśmy.

Chciałabym z nim zamieszkać, ale wiedziałam, że Marek prędzej dostałby zawału ze złości, niż mi na to pozwolił.

Uśmiechnęłam się w duchu, obracając w dłoni długi klucz do mieszkania Piotrusia. Było mi dobrze ze świadomością, że nie jestem sama, że jest ktoś, kto na mnie czeka, tęskni. Kogo mogę prosić o pomoc, kto mnie rozumie bez słów.

Przekręciłam klucz w zamku i weszłam do środka.

- To ja, Wiki! - krzyknęłam, rzucając torbę na podłogę. Nikt mi nie odpowiedział. Usłyszałam tylko szum prysznica dobiegający z łazienki.

Mieszkanie chłopców wyglądało... no cóż... jakby mieszkali w nim sami chłopcy. Sterta brudnych butów wałała się przy drzwiach wejściowych. Drzwi do kuchni zawałonej niezmytymi naczyniami nie domykały się z powodu spuchniętej, po ostatnim wylaniu się wody z pralki, podłogi, a w pokojach panował typowy studencki chaos.

- Maciek? - zastukałam w drzwi, ale odpowiedziała mi cisza. Dziwne...

Zostawiłam kurtkę na wieszaku i poszłam do kuchni. Umyłam małe jabłuszko od tajemniczego nieznajomego.

Szum wody w łazience ucichł. Usłyszałam głos Piotrusia. Podśpiewywał coś pod nosem.

Wyjęłam nóż z szuflady szafki kuchennej i przekroiłam jabłko na pół. Zanim zaczęłam je obierać, zawahałam się.

Spojrzałam na soczysty miąższ. Deja vu. Zupełnie jakbym już kiedyś jadła takie jabłko. Bzdura, przecież jadłam w swoim życiu setki jabłek.

Sięgnęłam po nóż, ale znowu się powstrzymałam.

Ten Beleth. Kim on był?

W głowie tłukła mi się jakaś uporczywa myśl.

Wskazówka. Coś, co uparcie mi umykało.

Skupiłam się na tej myśli z całych sił, jednak nie zdołałam sobie niczego przypomnieć. W końcu się poddałam. Może tylko przypominał mi jakiegoś aktora czy modela, i stąd to podświadome przecucie, że go znam?

Pomyślałam o Piotрку, który wciąż nie wychodził z łazienki. Jego znałam kilka lat, pomimo że parą byliśmy dopiero od kilku miesięcy. Ależ ja za nim szalałam! Uganiałam się za biedakiem jak głupia, każdego wieczoru marząc o tym, jak to cudownie będzie nam razem, aż w końcu odważyłam się powiedzieć mu, co czuję.

Tylko że czasami wydawało mi się, że coś jest nie tak. Nachodziła mnie dziwna tęsknota za czymś nieosiągalnym. Nie potrafiłam jednak sprecyzować za czym. Dzisiejsze spotkanie z tajemniczym Belethem także wzbudziło we mnie to uczucie.

Byłam głupia. Związek z Piotrkim dawał mi to, czego potrzebowałam. Miałam stabilizację, poczucie bezpieczeństwa, miłość osoby, którą też kochałam. Piotr był moim przyjacielem. Miałam wszystko, czego pragnie każda dziewczyna.

Tylko czasami dopadały mnie myśli, że za czymś tęsknię.

Prysznic ucichł. Z łazienki wyszedł Piotrek z przewiązonym w pasie ręcznikiem. Na mój widok stanął jak wryty.

- Cześć, kotku - podeszłam do niego i pocałowałam go w usta. - Wpadłam trochę wcześniej.

- Widzę właśnie - chłopak odzyskał głos. - Dawno przyszłaś...?

Znów miał dziwnie nieobecny wzrok.

- Przed chwilą.

Woda kapała na ziemię z czarnych, lekko kręconych włosów Piotrka. Migdałowe oczy okolone długimi czarnymi rzęsami wpatrywały się we mnie z mocą. Na brodzie widoczny był seksowny jednodniowy zarost.

Na szyi na cienkim łańcuszku miał zawieszony mały srebrny kluczyk, grawerowany w różyczki. W dniu, w którym pocałowaliśmy się po raz pierwszy, na imprezie u naszych znajomych, znalazłam ten kluczyk w swojej

kieszeni. Do dzisiaj nie odkryliśmy z Piotrkim, do jakiego zamka pasował. Nie wiedziałam, skąd wziął się w mojej kieszeni.

Tamten wieczór pamiętam jak przez mgłę. Przesadziłam wtedy z alkoholem i sheeshą. Kręciło mi się w głowie i miałam małą lukę we wspomnieniach.

Dotknęłam srebrnego kluczyka. Błyszczał na tle oliwkowej skóry mojego ukochanego. Piotrek nosił go na pamiątkę naszego pierwszego pocałunku. Uwielbiałam go za to.

- Pysznic w ciągu dnia? - zapytałam i puściłam do niego oko. - Co cię naszło?

- Aaa - wyjął mi z dłoni pół jabłka. - Tak jakoś.

Ruszył w stronę swojego pokoju. Poszłam za nim i usiadłam na łóżku. Opowiadałam mu o przygodzie sprzed kilku dni z urzędem skarbowym. Śmiał się z moich opowieści.

Bawiłam się chwilę nożem, odkrawając skórkę mojej połówki owocu. Piotrek włożył dzinsy. Stał teraz tyłem do mnie. Miałam świetny widok na jego szerokie plecy i poskręcane włosy na karku. Mięśnie drgały pod skórą, gdy zapinał spodnie.

Sięgnął po połówkę jabłka, którą odłożył na biurko.

- Przed chwilą spotkałam Monikę - powiedziałam. Owoc wypadł Piotrkowi z ręki. Potoczył się pod krzesło i zatrzymał przy zabłoconych adidasach rzuconych niedbale.

- Powiedziała, że przyszła do Maćka - dodałam.

- Aaa... tak, tak - potwierdził Piotrek, siadając obok mnie. Wytarł jabłko o spodnie. Jak nic złapie jakiegoś pierwotniaka, nicienia, przywrę czy inne paskudztwo.

A ja to potem oczywiście złapię od niego...

- Ale Maćka nie ma - zauważyłam roztropnie.

- No nie ma - skwitował Piotrek, patrząc gdzieś w przestrzeń.

- To się niepotrzebnie fatygowała - stwierdziłam. - Maciek powinien być w domu, skoro się z nią umówił.

- Tak, tak... - potwierdził Piotrek i ugryzł jabłko. Poszłam za jego przykładem.

Jabłko smakowało... najnormalniej w świecie.

Myślałam o tym, skąd mógł pochodzić tajemniczy Beleth. Zamierzałam potem poszukać w internecie genezy tego dziwnego imienia. W ten sposób odkryję kraj jego pochodzenia.

Zadowolona z siebie i ze swojej pomysłowości ugryzłam kolejny kęs.

Piotrek, siedzący obok mnie, pochłonął owoc w jednej chwili. Był dziwnie spięty, odkąd przyszłam. Musiałam go o to zapytać.

Już otworzyłam usta, kiedy nagle przed oczami zaczęły mi przebiegać niezrozumiałe obrazy. Złapałam się za głowę, czując nagły tętniący ból. Piotrek zgiął się wpół. Działo się z nim to samo co ze mną.

Czułam, jakby ktoś otworzył mi czaszkę i zaczął w niej grzebać. Fala bólu rozlała się po całym ciele. Krzyknęłam.

Obrazy, obrazy, obrazy.

Zobaczyłam siebie w parku. Mordercę z nożem. Poczulałam ból, gdy mnie dźgał. W następnej chwili tamtą scenę zastąpiły kolejne wizje.

Targ o moją duszę. Diabeł Azazel mówiący mi, że umarłam i trafię do Piekła.

Urząd w Niższej Arkadii, gdzie otrzymuję posadę diablicy na kolejne sześćdziesiąt sześć lat i moc piekielną po zjedzeniu jabłka.

Moi przyjaciele. Neurotyczna Śmierć, diablica Kleopatra, kot Behemot, diabeł Beleth...

Beleth, Beleth. Jego twarz, słowa, zachowanie... pożądanie.

Moje pierwsze targi o dusze śmiertelników. Spalone Pola Mokotowskie. Obsesja na punkcie śmierci.

Uporczywe powroty na Ziemię, by być z Piotrkim. Ułuda życia.

Noc, gdy dowiedziałam się, że zostałam zabita z powodu politycznych rozgrywek w Piekło. Bal u Szatana. Więzienie.

Sąd. Wizja skazania za błędy i niemożność spotkania Piotrka, który dopiero co powiedział, że mnie kocha.

Rewolucja mająca zrzucić Lucyfera z tronu piekielnego. Pojedyńki z wrogimi diabłami. Piotrek w objęciach Moniki. Mój ból.

Wysadzony w powietrze Księżyc. Kawalki satelity lecące w stronę Ziemi. Wizja zagłady całej populacji.

Sąd.

Interwencja Nieba.

Cofnięcie czasu, w wyniku czego powróciłam do życia, ale zapomniałam wszystko, co się wydarzyło. Moja druga szansa, by tym razem nie doprowadzić planety do upadku.

Ból zniknął w chwili, gdy wszystko sobie przypomniałam. Wyprostowałam się i odgięłam palce. Zacisnęłam je kurczowo na nożu do owoców. Oddychałam ciężko, zupełnie jak po długim, męczącym biegu.

Piotrek spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. Zrozumiałam, że on także wszystko sobie przypomniał. Nasze przeszłe - niedoszłe życie.

Beleth.

On chciał, żebym sobie przypomniała. Zrobił to specjalnie. Mimowolnie za nim zataęskniłam. Za jego pełnymi żaru oczami, niskim, aksamitnym głosem, słowami pełnymi niebezpiecznych, niemoralnych obietnic.

Nie. Co ja robię?! Poczulałam złość. Pewnie znowu chciał mnie do czegoś wykorzystać. Po co inaczej zwróciłby mi pamięć?

Byłam narzędziem w rękach diabłów. Potrzebowali mnie tylko do politycznej wojny. Miałam zamęt w głowie.

- Skąd wzięłaś to jabłko? - zapytał Piotrek.

- Dostałam je od nieznanego na ulicy - mruknęłam. - Teraz wiem, że to był Beleth...

Zawsze lubiłam bajki. Jak więc to się stało, że nie wyniosłam z nich żadnej nauki? W końcu gdyby Królowa Śnieżka nie zjadła jabłka od nieznanego staruszki, to nie wpadłaby w śpiączkę. Bądź w zaczarowany sen - jak zwał, tak zwał.

A ja jak ostatnia sierota, nie dość, że wzięłam od nieznanego jabłko, to jeszcze je zjadłam. No i jak moja prapra (jeszcze pra jakieś kilka tysięcy razy), prababka Ewa pierwsze, co zrobiłam, to poczęstowałam jabłkiem swojego faceta. Żalotne... W ogóle nie potrafię uczyć się na cudzych błędach.

- Beleth? - warknął Piotrek.

Odwrociłam się gwałtownie w jego stronę. Woda już nie kapała mu z włosów. Srebrny kluczyk zaśnił w słońcu. Mój klucz diabła, pozwalający na swobodne przemieszczanie po Piekło i Ziemi. Insignium sił piekielnych. Zapewniał natychmiastową możliwość przeniesienia się w dowolne miejsce.

Spojrzałam na ogryzek.

Jabłko mocy. A może jabłko z Drzewa Poznania Dobra i Zła? Nie... to raczej niemożliwe. Ostatnie drzewko w Piekło, należące do Szatana, nieopatrznie zamieniłam w krzew pomidorów.

Czego oczywiście do dzisiaj Lucyfer zapewne mi nie wybaczył...

- Wzięłaś jabłko od nieznanego? - warknął na mnie Piotrek. - A potem je zjedliśmy? Przecież mogło być zatrute.

To chyba było zatrute. Jednak nie trucizną. Raczej wątpliwościami.

Dlaczego Piotrek brał prysznic w środku dnia?

- Monika nie przyszła do Maćka, prawda? - zapytałam, zaciskając ze złości pięści.

Już wcześniej mieli się ku sobie, jednak Piotruś wybrał mnie.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzał na moją rękę. Nawet nie zauważyłam, że zacięłam się nożem. Strużka krwi popłynęła mi po skórze. Nagle krople zawróciły i wpłynęły z powrotem do rany, która zasklepiła się na naszych oczach. Zgięłam palce, podziwiając nienaruszoną skórę. Czułam w miejscu ukłucia delikatne mrowienie, pamiętkę po zadziałaniu sił.

Moje moce piekielne powróciły, a wraz z nimi spadły mi z nosa różowe okulary.

- Czemu brałaś prysznic? - zapytałam, odkładając nóż.

- Wiki, to nie jest tak - powiedział szybko Piotrek. - To nie tak miało być. Ja ci to wszystko wytłumaczę.

- Wytłumaczysz? - prychnęłam. - A co tu jest do tłumaczenia?

- Czekaj, uspokój się! - krzyknął.

To on pierwszy krzyknął. On pierwszy zaatakował. Moje hamulce puściły.

- Pieprz się! - wrzasnęłam. - Albo nie! Pieprz się z Moniką! Przynajmniej ona będzie szczęśliwa! Bo tobie najwyraźniej wszystko jedno!

- Wiki, posłuchaj mnie, do cholery!

- Albo nie! A żebyś nie mógł z nikim! A niech ci, gnoju, odpadnie!

Przysunął się do mnie i złapał mnie za nadgarstek.

- Puść - rozkazałam, ale mnie nie posłuchał. Przytrzymał mnie jeszcze mocniej, gdy usiłowałam się wyrwać. - Puść!

- Daj mi dojść do słowa - powiedział szybko.

Z całej siły pchnęłam w niego mocą. Odrzuciło go ode mnie. Uderzył w ścianę i osunął się z jęknięciem na ziemię. Podeszłam do drzwi.

- Czekaj - krzyknął, wyciągając w moją stronę rękę. Drzwi jak na zawołanie zatrzasnęły mi się przed nosem.

Szarpnęłam za klamkę, ale ani drgnęły. Odwróciłam się zaskoczona.

Zamknął przede mną drzwi. Jak on śmiał?! A raczej jakim cudem on to zrobił?

Zerknęłam na leżący na ziemi ogryzek. Czy to znaczy, że po zjedzeniu jabłka Piotrek także nabrał nadprzyrodzonej mocy?

Przypomniałam sobie, że tak samo jak ja posiadał siłę Iskry Bożej. Moc po naszych wspólnych przodkach, Adamie i Ewie, których w bezpośredniej linii oboje byliśmy potomkami. To zapewne wzmocniło potęgę jabłka i umożliwiło uaktywnienie się w nas mocy za życia. Gdybyśmy nie posiadali Iskry, jabłko po prostu by nie zadziało.

- O... - mruknął, podnosząc się na nogi, i zapytał zdziwiony: - Ja też teraz tak umiem, skoro to zjadłem?

- Skocz z mostu, może okaże się, że umiesz też latać - warknęłam.

Latać, nawet pomimo Iskry Bożej i mocy piekielnych, nie potrafił. Akurat tego byłam pewna w stu procentach. Swego czasu dokładnie przestudiowałam dokumenty dotyczące Iskry Bożej i zdolności, jakimi jest obdarzona osoba ją posiadająca. Nie było tam słowa o lataniu.

Poczułam satysfakcję na myśl o tym, że zachęcony moimi słowami mógłby spróbować.

- Otwórz drzwi - rozkazałam.

- Nie, najpierw porozmawiajmy - powiedział.

- Sam tego chciałeś - odburknęłam.

Udawałam złą, ale w oczach stanęły mi łzy. Miałam ochotę usiąść, schować twarz w dłoniach i się rozplakać. Nie mogłam jednak zrobić tego tutaj. Nie przy nim. Zdradził mnie. On mnie zdradził. Jak mógł?

I to z Moniką?! Z tą krową?!

Wyciągnęłam dłoń w stronę drzwi. Z głośnym hukiem razem z *futryną* trzasnęły o ścianę w korytarzu. Tynk i kawałki cegieł zaczęły sypać się z sufitu. Wieszak spadł z hukiem na ziemię. Złapałam płaszcz i torbę.

- Wiki! - Piotrek usiłował mnie zatrzymać, ale odepchnęłam go od siebie ze złością.

- Zostaw mnie!

Wybiegłam z mieszkania, wpadając po drodze na Maćka. Zaskoczony stanął w drzwiach, wpatrując się w zniszczenia, których narobiłam.

- Co tu się stało?! - krzyknął, widząc roztrzaskane drzwi i kawałek ściany, a także syjący się pył i cegły. - Było trzęsienie ziemi?! Budynek się wali?! Musimy uciekać?!

- Pokłóciliśmy się z Wiktoria... - mruknął zrezygnowany Piotrek.

Stał u góry schodów, patrząc, jak biegnę w dół. Nawet nie próbował mnie dogonić.

Narzucając na siebie obsypany tynkiem płaszcz, wybiegłam z bloku. Gdzieś w zaspę upadł mi szalik, ale nie zwróciłam na to uwagi. Po prostu biegłam przed siebie. Byle być dalej od niego.

Śnieg kłuł w oczy, zimny wiatr wyciskał powietrze z płuc. Głośny oddech zagłuszał kroki kogoś podążającego moim śladem.

W końcu, wycieńczona, dotarłam do swojego bloku. Usiadłam na schodach prowadzących do klatki. Ukryłam twarz w dłoniach. Płakałam. Już tęskniłam za Piotrkim. Za poczuciem bezpieczeństwa, które mi dawał, a które było tylko złudzeniem. Chciałam tam wrócić, przytulić się do niego. Było mi tak źle.

- Zgubiłaś szalik - niespodziewanie ktoś się odezwał.

Rozdział 4

- Zgubiłaś szalik - powtórzył.

Nade mną stał oczywiście przystojny Beleth. W opalonej dłoni ścisnął mój czerwony szalik. Uśmiechał się wesoło, zadowolony z siebie. Wyglądał jak szczeniak, który przyniósł patyk po poleceniu „aport”. Tylko że Beleth nie usłyszał żadnego polecenia. On nigdy nie słyszał żadnych poleceń i zawsze robił to, o co się go nie prosiło.

- Ślicznie wyglądasz - oświadczył, nie zwracając uwagi na moje milczenie. - Tęskniłem za tobą.

Wstałam, wyrwałam mu szalik z ręki i bez słowa ruszyłam do swojego mieszkania. Nie chciałam widzieć Beletha, nie chciałam z nim rozmawiać. Był źródłem wszystkich moich kłopotów.

Niestety szedł za mną.

Nie bawiłam się w otwieranie drzwi kluczem. Użyłam mocy. Usiłowałam zatrzasnąć mu je tuż przed nosem, ale zatrzymał je dłonią i stanął naprzeciwko mnie.

- Nie wpuścisz mnie? - zdziwił się z zaczepnym uśmiechem. - Tak dawno nie byliśmy sam na sam... Pomyśl, słodkie sam na sam... ze mną!

„Ze mną” - czy on uważał, że to argument nie do przebiccia?

Spoliczkowałam go.

A jednak to argument do przebiccia.

Uśmiech spelzł mu z twarzy. Poruszył szczęką, a następnie pogładził się po zaczerwienionym policzku.

- Trzeba przyznać, że nie wyszłaś z wprawy. Lubię od czasu do czasu małe sadoomaso, jednak po głębszym namyśle stwierdzam, że chyba wolałem twoją delikatniejszą wersję...

- Dlaczego dałeś mi to jabłko? - zapytałam pustym głosem.

- Wpuść mnie - poprosił, poważniejąc.

Obok niego przeszła stara sąsiadka, czujnie nadstawiając ucha. Zrozumiałam, że to nie było miejsce na rozmowy o Piekło i śmierci. Jeszcze wzięłyby mnie za satanistkę, a wtedy koniec z imprezami w mieszkaniu do późna. Gdyby tylko usłyszała głośniejszą muzykę, pewnie zaczęłyby wydzwaniać po straż miejską.

Wpuściłam diabła do mieszkania, chociaż wcale nie miałam na to ochoty.

Pstryknął palcami. Jego płaszcz zniknął w jednej chwili. Nic się nie zmienił. Wyglądał tak, jak go zapamiętałam. Idealny, perfekcyjny, przystojny kusiciel. Diabeł, który sprowadził mnie do Piekła, który usiłował mnie uwieść, a na koniec... oświadczył, że mnie kocha.

- Naprawdę za tobą tęskniłem - wyznał, bacznie mi się przyglądając.

Za jego przykładem zdjęłam płaszcz. Powiesiłam na wieszaku przy drzwiach i strzepnęłam z włosów pył z rozwalonych ścian w mieszkaniu

Piotrka. Spojrzałam w lustro wiszące na drzwiach szafy. Miałam przed sobą zrozpaczoną dziewczynę z rozmazanym makijażem i smugami tynku na policzkach. Machnęłam dłonią przed twarzą, przywracając perfekcyjne obramowanie swoich oczu.

Poruszyłam palcami. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak brakowało mi mocy piekielnych. Codzienne życie i wykonywanie zwykłych czynności było bez nich takie nużące i pracochłonne.

Usiadłam na kanapie. Byłam zmęczona. Nie fizycznie, ale psychicznie. To było znacznie gorsze. Diabeł zajął miejsce obok mnie. Nie przysunął się jednak, nie próbował obejmować. Szanował moją prywatność i przestrzeń. Chyba pierwszy raz, odkąd go poznałam...

- Ja cię nie pamiętałam - mruknęłam.

- Wiem. Dlatego cała ta sytuacja była jeszcze bardziej przykra - wyznał.

Jego spojrzenie błędziło po całym moim ciele. Miałam wrażenie, jakby mnie dotykało, parzyło skórę. Nic się nie zmienił.

- Czemu dałeś mi to jabłko? - powtórzyłam pytanie.

- Sądziłem, że się ucieszysz, gdy przypomnisz sobie wszystko. Całe życie w Niższej Arkadii. To, co między nami zaszło...

- Między nami nic nie zaszło - warknęłam.

- Ale mogło - uśmiechał się wesoło, jego złote oczy zabłyszczały. - I nadal może.

Czarował mnie. Jak zwykle.

- Gdy odkryłem sposób zwrócenia ci pamięci, nie wahałem się nawet przez chwilę...

Wyglądał, jakby oczekiwał pochwały za te słowa. - I zapewne ten sposób jest całkowicie legalny? - zapytał. Beleth skrzywił się nieznacznie. Jednak jego pełne usta po chwili znowu rozciągnęły się w urzekającym uśmiechu.

- Powiedzmy, że na pewno byłby legalny, gdyby na tronie Piekła siedział na przykład Azazel - odparł wymijająco.

To diabeł Azazel doprowadził do mojej śmierci i wybrał mnie spośród dziesiątki osób obdarzonych Iskrą Bożą w tym pokoleniu. Moja „tajna moc”, a dokładniej mówiąc, spadek po przodkach, czyli Adamie i Ewie, zapewniła mi półboską siłę, która w połączeniu z piekielną dała dość osobliwą mieszankę.

O tę mieszankę chodziło Azazelowi, który zamierzał wykorzystać mnie do obalenia Lucyfera. Z początku nieświadomie, a potem już z ogromną motywacją, gdy Szatan postanowił zabić Piotrka, pomogłam w tym podstępemu diabłu.

Niestety Niebo okazało się przychylnie dla Lucka i nie zdegradowano go ze stanowiska Szatana, władcy Niższej Arkadii, przez co Azazel nie mógł zająć jego miejsca. A cwaniak tak na to liczył.

Beleth, w przeciwieństwie do Azazela, zamierzał po prostu mnie wykorzystać. Jemu nie zależało na stanowisku, tylko na moim ciele. Niezwykle pocieszające...

- Czemu to zrobiłeś? - westchnęłam zmęczona. - Dlaczego nie pozwoliłeś mi być szczęśliwą i żyć w moim małym świecie?

- Małym świecie pełnym kłamstw twojego wybranka - sprecyzował.

- Mnie się ten świat podobał... A ty mi go zabrałeś.

- Niczego ci nie zabrałem. Oddałem ci twoje wspomnienia i twoją osobowość bogatszą o doświadczenia, które przeżyłaś. Kochanie, powinnaś być mi wdzięczna. Dzięki mnie jesteś znowu sobą.

Wszystkie wspomnienia z jakby poprzedniego życia, a raczej rzeczywistości, odżyły w mojej głowie. Przypomniałam sobie kota Behemota. Przybłądę, który wybrał mnie na swoją właścicielkę. Był tak samo demoniczny jak reszta moich piekielnych towarzyszy.

Pogładziłam poduszkę leżącą obok mnie, na której często się wylegiwał. Zateęskniłam za nim, za jego głośnym mruzeniem, miękką sierścią. Zawsze mi pomagał, pocieszał. Zapragnęłam się do niego przytulić, podrapać go za kremowym uchem.

- Wiki - głos Beletha przywołał mnie do rzeczywistości. Spojrzałam na niego wzrokiem pełnym skarżeń. Naprawdę podobało mi się moje życie w nieświadomości. Nawet jeśli było tylko ułudą.

- Chcesz wiedzieć dlaczego dałem ci jabłko. Zrobiłem to, bo chciałem mieć ciebie tylko dla siebie. Nic nie poradzę na to, że jestem egoistycznym dupkiem.

Jego spowiedź wcale nie rozczuliła mnie tak jak tego najwyraźniej oczekiwał. Jedynie rozbawiła. Uśmiechnęłam się pod nosem Cały Beleth - szczerzy do bólu. Swoimi bezpośrednimi uwagami zawsze potrafił mnie do siebie przekonać. Był po prostu uroczy.

Przysunął się bliżej i położył ramię na oparciu kanapy. Jeszcze kilka centymetrów i dotknąłby mnie. Wpatrywał się z żarem w moje usta. Chciał mnie pocałować. Ja też tego chciałam.

Skarciłam się w myślach. On zawsze kłamał. Nie mogłam mu ufać. Czarował mnie. Usiłował omamie.

- A kto wymyślił, żeby dać mi jabłko? - zapytałam niewinnie.

Mina rzredła mojemu przystojnemu diabłu.

- No... Azazel - mruknął w końcu, zabierając ramię.

Wiedziałam. Po prostu wiedziałam!

- A czemu on wpadł na taki pomysł? - drażyłam dalej. Szczerze wątpiłam w jego dobre zamiary. Na pewno nie chciał po prostu pomóc przyjacielowi, który nie mógł się pogodzić z faktem, że jakiś nędzny śmiertelnik sprzątnął mu sprzed nosa dziewczynę. O nie! Jemu na pewno chodziło o coś więcej.

- Pamiętaj, jak Azazelowi nie udało się objąć stanowiska Szatana?

- No trudno, żebym nie pamiętała... - mruknęłam ponuro.

W końcu to z tego powodu wpadłam w całe to piekielne bagno, a nawet raz przez to umarłam.

Beleth zamyślił się na chwilę, ważąc słowa.

- Azazel zrezygnował już z tego pomysłu. Teraz chce zostać...
Archaniołem.

Rozdział 5

Nie wiedziałam, jak przyjąć tę informację. Zacząć się szaleńczo śmiać z jego głupoty? A może powinnam rozpaczliwie płakać w przeświadczeniu, że niedługo spotka mnie coś złego?

O tym, że diabeł Azazel był szalony, wiedziałam już od dawna. Jego niewykonalne plany zdobycia władzy nad światem nie były mi obce. Niemniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, że aż w takim stopniu uległ psychozie. Jeszcze chwila, a postanowi zostać Bogiem.

- Czy żeby stać się Archaniołem, nie trzeba przypadkiem być aniołem...? - prychnęłam.

Beleth wzruszył ramionami.

- Każdy z nas jest aniołem - stwierdził. - I ja, i Azazel. Nawet Lucyfer. Po prostu jesteśmy zdegradowani do innej rzeczywistości. Zostaliśmy stworzeni jako anioły, oddech Boga. Tego nie da się zmienić. Podobnie jest u was na Ziemi. To, że ktoś trafił do więzienia, gdzie odsiaduje karę za swoje złe uczynki, nie sprawia, że przestał być człowiekiem.

Teraz ja wzruszyłam ramionami. Nie interesowały mnie jego filozoficzne wynurzenia i malownicze porównania.

- To do czego Azazel potrzebuje mnie tym razem? - westchnęłam. Nie miałam ochoty grać już w te gierki. Chciałam wiedzieć, co się dzieje.

Poprzednio zostałam zamordowana i obdarzona mocą tylko po to, żeby pomóc mu obalić Lucyfera piastującego stanowisko Szatana. Co miałam zrobić teraz? Zrzucić z tronu Gabriela?

Po plecach przebiegł mi dreszcz niepokoju. Posłałam Belethowi spłoszone spojrzenie. Może rzeczywiście o to mu chodziło?

- Azazel na drodze sądowej usiłuje teraz udowodnić, że cała ta sprawa z rewolucją Lucyfera to nieporozumienie - wyjaśnił mi Beleth. - Chce im wytłumaczyć, że potępiony i strącony z Niebios powinien być tylko Lucek, bo my byliśmy nieświadomi konsekwencji i całej sytuacji.

Oniemiałam. Azazel naprawdę zamierzał wrócić do Arkadii...

- I co na to Archanioł Gabriel? - zapytałam.

W Niebie władzę sprawowali archaniołowie. Gabriela miałam już okazję poznać podczas zamieszania, w którym z Belethem o mało nie doprowadziliśmy do zagłady ludzkości.

Ale podkreślałam, że zrobiliśmy to niechcący i przypadkowo. Kto by podejrzewał, że Księżyc pod wpływem bomby atomowej może rozpaść się na kawałki i zacząć wchodzić w atmosferę Ziemi, grożąc globalną katastrofą, mającą unicestwić życie na całej planecie?

No ja tego nie podejrzewałam...

A jeśli chodzi o Gabriela, to szczerze wątpiłam, że będzie zadowolony z widoku diabłów w Niebie.

- Powiem ci, że jestem naprawdę pod wrażeniem zdolności Azazela - Beleth uśmiechnął się do siebie. - Zdołał udowodnić Gabrielowi, że to całe potępienie już dawno uległo przedawnieniu i że nie ma świadków na to, że ja i Azazel kiedykolwiek braliśmy udział w rewolucji Lucyfera.

- I co teraz? - zdziwiłam się. - Już jesteście aniołami?

- Nie... - przetarł zmęczonym gestem oczy. - Teraz władze blokują nam wejście do Niebios. Cały czas szukają różnych kruczków, które Azazel skutecznie obchodzi. Jednak ostatnio postawiono warunek, którego spełnić nie możemy...

Jego głos robił się coraz cichszy. Siedział zamyślony, wpatrując się w przestrzeń. On już nie znajdował się na Ziemi. On szedł podniebnym szlakiem wśród innych aniołów. Wśród swoich wspomnień.

Tęsknił za życiem anioła. Już dawno temu to zauważyłam. Beleth zawsze udawał chojraka. Twierdził, że woli być w Piekło, pić alkohol i korzystać ze wszystkich możliwych sposobów autodestrukcji. Wielokrotnie mnie o tym zapewniał. Nigdy mu nie uwierzyłam.

Pod tą maską bawidamka krył się skrzywdzony przez los facet.

Albo tylko na takiego pozował, bo uważał, że w ten sposób zdobędzie moje serce i przychylność.

- Jaki warunek? - zapytałam, wracając do rozmowy.

- Powiedzieli, że, o ironio, nie wpuszczą nas do Nieba bez skrzydeł, które własnoręcznie nam obcięli przed tysiącami lat...

Przypomniałam sobie długie przypalone blizny na jego łopatkach i okoliczności, w jakich je zobaczyłam.

Zapytałam wtedy Beletha, jak to jest latać. Powiedział, że nie da się tego z niczym porównać, że jest niepowtarzalne, nie do opisanego. Po chwili zastanowienia dodał, że uważał tak do momentu, w którym mnie poznał. Potem już wiedział, że latanie jest jak pierwsza miłość, zakochanie.

- Azazel chce, żebyś stworzyła nam skrzydła - powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

W jego złotych tęczęwkach zobaczyłam prośbę. On chciał latać. Chciał móc znowu być aniołem.

Poczułam się bezsilna. Jak mogłabym przywrócić im skrzydła?

- Masz ogromną moc po zjedzeniu jabłka - Beleth wziął mnie za rękę. - W ten sposób połączyła się siła piekielna z mocą Iskry Bożej, którą posiadasz. Potrafisz leczyć rany zadane gorejącym mieczem, tak że nie zostają po nich żadne ślady. To niewyobrażalne. Nikt nie ma takiej mocy. Nawet Szatan. Pewnie nawet Gabriel i reszta archaniołów nie są do tego zdolni.

Miałam za swoje. Wystarczyło raz się popisać. Raz! Tylko jeden raz! I teraz znowu będę miała kłopoty, bo zachciało mi się usunąć mu bliznę z policzka. Dobre serce się we mnie odezwało, a oni od razu wymyślili sobie, że teraz stworzę im skrzydła, skoro jestem taka wszechmogąca.

- Beleth - spróbowałam wyrwać dłonie z jego uścisku, ale mi nie pozwolił. - Nie wiem, czy dam radę.

- Spróbuj - poprosił i odsunął się ode mnie. - Co ci szkodzi?

Znowu usiłowali wciągnąć mnie w jakąś intrygę, która zapewne źle się dla mnie skończy.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. Zjadłam jabłko. Jabłko. Które jedzą po śmierci tylko wybrańcy! Boże, czy ja nie żyję? Zabili mnie?! ZNOWU?!?!?!?

Złote oczy Beletha zalśniły żywo.

- Tylko proszę, nie myśl teraz o mrówkach. Ja ci wszystko wytłumaczę.

Zaskoczona wyrwałam się z mantry złorzeczeń.

- Słyszysz moje myśli? - warknęłam.

- Otrzymałaś moc przed chwilą. Musi minąć pewien czas, zanim zaczniesz ukrywać myśli. Teraz jeszcze tego nie umiesz. Pamiętasz? Tak samo było poprzednio. Po prostu z czasem nabierzesz pełni mocy piekielnych. Spokojnie. Zapewniam cię, że niedługo nic nie będę słyszał, jeśli nie będziesz chciała mi czegoś przekazać.

Już mniejsza o to, czy słyszał, jak komentuję w myślach, że jest seksowny. Teraz najbardziej interesowało mnie, czy jestem martwa.

- Żyjesz - powiedział Beleth. - Spokojnie. Nie zabiliśmy cię. Po prostu zjadłaś jabłko. Można powiedzieć, że jesteś teraz kimś na wyższym stopniu wtajemniczenia. Dzięki jabłku obudziła się też w tobie moc Iskry Bożej. To dlatego poprosiłem, żebyś nie myślała o mrówkach...

W poprzedniej rzeczywistości zabiłam dwa diabły. Mogłam to zrobić bez trudu. Wystarczyło pomyśleć, że zamieniają się w pył. Byłam do tego zdolna dzięki Iskrze. Istoty nieśmiertelne nie potrafiły tego robić - one musiały używać gorejących mieczy.

Ja jednak na tak bezpośrednie morderstwo, jakim było zamienienie ich w pył, nie potrafiłam się zdobyć, pomimo że owe dwa diabły zamierzały nas z zimną krwią zabić w taki sposób, żebyśmy cierpieli jak najdłużej.

Wykorzystałam wtedy moc Iskry, spotęgowaną siłami piekielnymi jabłka, i zmieniłam ich kształty. Tego także nie potrafił zrobić żaden normalny diabeł czy anioł. Zamieniłam wrogie diabły w dwie mrówki, które potem zdeptałam.

Wyrzuty sumienia, które zniknęły, gdy straciłam pamięć, na nowo odżyły w mojej głowie. Byłam morderczynią.

O nie! Czy to przypadkiem definitywnie nie pokrzyżowało moich szans na dostanie się po śmierci do Arkadii?

Beleth pochylił się w moją stronę i przytulił mnie do swojej szerokiej piersi. Pachniał morską bryzą i orientalnym kadzidłem. Silne mięśnie rysowały się pod koszulą. Na szyi miał tajemniczy wisior złożony z wielu koralików, przypominający muzułmański różaniec. Beleth był taki, jakiego go zapamiętałam. Seksowny płomień Boga.

- Musiałś to zrobić. Inaczej by nas pokonali. Byli silniejsi -pocałował mnie we włosy. - Zabiliby nas. Przestalibyśmy istnieć.

Wbrew pozorom śmierć nie była taka zła. Oczywiście o ile trafiło się do Nieba lub Piekła, miejsc dobrej zabawy. W zasadzie to Niższa Arkadia była miejscem zabawy, a Niebo miejscem nudy - na to przynajmniej wyglądało.

Gdy było się złym, trafiało się gdzieś indziej. W miejsce, do którego nie miały wstępu nawet diabły. Beleth mówił mi, że takie dusze przestawały po prostu istnieć, ale ja w to nie wierzyłam. W końcu nikt ich nie przebijał gorejącym mieczem. Nie byłam pewna, czy duszę można zniszczyć innym sposobem. W końcu czym ona jest? Czy można unicestwić coś niematerialnego?

Z kolei zabójstwo przy użyciu gorejącego miecza gwarantowało, że skasowany delikwent nie trafi w żadne miejsce wiecznego spoczynku. Tej metody nie używano jednak zbyt często. Raptem raz, dwa na kilka miliardów lat. Wszystkie gorejące miecze, a w każdym razie te znajdujące się w Piekło, były szczelnie zamknięte w podziemiach pałacu Szatana. Nikt niepowołany nie miał do nich dostępu.

To była największa i najstraszniejsza kara. Zniknięcie na zawsze. Nie więzienie, nie ból, ale to, że już nic potem nie będzie. Pustka, cisza, wieczny sen bez snów.

Los, który spotyka największych zwyrodnialców, jacy kiedykolwiek istnieli.

I ja to zrobiłam, sprawiłam, że ktoś przestał istnieć.

Byłam morderczynią.

W ramionach przystojnego diabła czułam się bezpieczna. Gładził mnie po plecach, próbując uspokoić. Wiedziałałam, że mnie czarował, usiłował stworzyć iluzję mającą zapewnić, że najlepiej będzie mi właśnie z nim.

Porzucona i zdradzona miałam ogromną ochotę ulec tej iluzji i wszystkim pokusom, które niosła ze sobą.

Odsunęłam się na tyle, by spojrzeć mu w oczy.

- Czy gdybym nie potrafiła stworzyć wam skrzydeł, to i tak zwróciłbyś mi pamięć? - zapytałam.

- Może zabrzmi to pusto i tandetnie, ale nie wiem. Chciałem, żebyś była szczęśliwa. A skoro znalazłaś szczęście u boku tego nieudacznika...

Jego mina wyrażała szczerłość i powagę. W jednej chwili nabrał niebywalej szlachetności.

- Kłamiesz - stwierdziłam.

Poważna maska spadła z jego twarzy, a oczy zabłyśły wesoło.

- Oczywiście, że kłamię. Czego innego się po mnie spodziewałaś? - zachnął się i zanim się spostrzegłam, pocałował mnie szybko w usta. - Jesteś moja, piękna Wiktorio. Twoje oczy błyszczą jak dwa księżycy w pełni, twoje usta kuszą czerwienią wiśni, twojego rozumu mogliby ci zazdrościć mędrcy. Jak mógłbym oddać taki skarb innemu? I to na dodatek takiemu niedojdzie jak ten cały Piotr?

- Takie teksty były modne w innym stuleciu - udałam oburzenie.

Beleth pochylił się nade mną. Delikatnie musnął wargami moje wargi.

- Bądź moja - szepnął. - Albo będę wymyślał kolejne komplementy.

Miał rozszerzone źrenice. Złote tęczęwki wyglądały jak płynne złoto. Czarne rzęsy rzucały głębokie cienie na policzki. Otoczył mnie zapach orientального kadzidła i morza.

Chciałam zatonać w tych oczach. Chciałam oddać się uczuciom. Wraz z pamięcią powróciło zainteresowanie diabłem. Zawsze mnie pociągał, chociaż broniłam się przed tym uczuciem.

Znowu mnie pocałował. Gwałtowniej. Przesunął palcami po mojej brodzie, zmuszając, bym rozchyliła usta. Leniwie smakowaliśmy się nawzajem.

Przypomniałam sobie poranek. Odepchnęłam gwałtownie Beletha.

Co ja robię?

Miałam wrażenie, że zdradzam Piotrka. Irracjonalne, przecież nie mogłam go zdradzać, skoro już z nim nie byłam. W oczach stanęły mi łzy. Czułam się taka skrzywdzona.

Przystojny mężczyzna odsunął się ode mnie, nadal jednak mnie obejmował. Tym razem już przyjaźnie. Po prostu mnie pocieszał.

Głaskał mnie po ramieniu i czekał cierpliwie, aż się uspokoję.

Dlaczego Piotruś mnie zdradził? Co ze mną było nie tak? Czemu nie byłam dla niego dość dobra? I co miałam zrobić z tym kipiącym pożądaniem diabła?

- Beleth, czemu mi to robisz?

- Wiktorio... - odezwał się w końcu. - Sama pomyśl. Kogo wolisz? Przystojnego, wszechmocnego diabła czy nieudolnego śmiertelnika?

Zgromiłam go spojrzeniem.

- Hm, kogo wolę? Z jednej strony mam diabła, który kłamie i morduje, a z drugiej śmiertelnika, który kłamie i zdradza. Nie wiem. To naprawdę ciężki wybór. Obaj macie tyle pozytywnych cech...

Beleth głośno się zaśmiał.

- Cieszę się, że poczucie humoru ci wraca - odparł. - To dobry znak.

Wstał i podał mi dłoń.

- To jak? Idziemy do Piekła? Starzy przyjaciele czekają, że ich odwiedzisz...

Rozdział 6

Los Diablos - stolica Niższej Arkadii. Kulturalny ośrodek całego Piekła, skupiający najślynniejszych artystów i wykonawców. To jedyne takie miejsce w całych zaświatach. Nigdzie indziej nie spotkasz na ulicy Cezara, Marilyn Monroe czy Michaela Jacksona (i to w tym samym momencie!). Założone przeszło osiem tysięcy lat temu miało nawet swój ziemski odpowiednik - Los Angeles.

W samym centrum tej niesamowitej metropolii znajduje się rezydencja Lucyfera, piastującego stanowisko Szatana - władcy Podziemi. Wzorowana na pałacu w Wersalu, tak naprawdę jest istnym majstersztykiem architektów, którzy trafili do Piekła. Z pozoru pastelowa i wesoła, na każdym balkonie i gzymsie ukrywa powykęcane pyski gargulców. Podobno raz na tysiąc lat, na wielkim przyjęciu milenijnym, z ich gardzieli wypływa najdroższy ziemski szampan.

Te formułkę, a także wiele innych, miałam wyuczoną na pamięć, tak, bym obudzona w nocy mogła wypowiedzieć ją bez zająknięcia.

W mojej pracy diablidy, która polegała na przekonywaniu zmarłych, że pragną trafić do Piekła jako miejsca wiecznego odpoczynku, pożądana była wiedza encyklopedyczna. Przewodnik po Los Diablos wykułam na pamięć.

Teraz stanęłam obok Beletha naprzeciwko gładkiej ściany. Miałam okazję znowu tam trafić. Tym razem już nie jako obywatelka Niższej Arkadii (potoczne pojęcie „potępiona” było wielce niepolityczne) ani jako diablidy, ale jako człowiek.

Żywy człowiek z diabelską mocą.

Lucek ucieszy się na mój widok...

- Nie mam klucza - powiedziałam do Beletha. Odwrócił się zaskoczony.

- Jak to nie masz? Przecież zostawiłem ci go po cofnięciu w czasie.

To Beleth na rozkaz Archanioła Gabriela (jak się okazuje to Niebo tak naprawdę rządzi w Piekło) cofnął mnie w czasie do momentu poprzedzającego morderstwo. Dzięki temu zmienił bieg historii, przez co nigdy nie zginęłam. I nie dopuściłam do zagłady ludzkości...

Pomyślałam o małym srebrnym kluczu, grawerowanym w róże. O oliwkowej skórze, na której widziałam go po raz ostatni. Na piersi Piotrka...

- Tak - odpowiedziałam diabłu. - Ale teraz jest... jakby to powiedzieć... niedostępny.

- Jak to?

- Piotrek go ma, a ja nie mam ochoty się z nim spotykać.

Beleth pokiwał głową ze zrozumieniem. Wyjął z kieszeni swój klucz. Już miał go wsunąć w ścianę, ale go zatrzymałam.

- Mogę zrobić sobie kopię? - zapytałam.

Zgodził się bez oporów. W końcu miałam w tym doświadczenie.

Wzięłam klucz w dwa palce. Był dłuższy od mojego. Oplatał go srebrny wąż, symbol pokusy. Idealnie pasował do przystojnego Beletha. Zamknęłam klucz w dłoni i pomyślałam intensywnie o jego fakturze, ciężarze, barwie i przeznaczeniu.

Połączenie mocy diabelskiej z Iskrą dało jeszcze jedną dość ciekawą możliwość. Potrafiłam kopiować klucze diabła.

Tego także nie umiał żaden diabeł ani anioł. Tak po głębszym namyśle, to oni wszyscy byli znacznie słabsi ode mnie. Gdybym była wystarczająco silna psychicznie, to może zdołałabym ich przekonać, żeby dali mi święty spokój, bo inaczej będzie źle.

Tylko że ja nie byłam silna psychicznie. Jak stwierdziła Kleopatra, podobno miałam momentami siłę przebicia niewolnicy.

Otworzyłam dłoń. Leżały na niej bliźniacze klucze. Podałam Belethowi oryginał. Pochylił głowę, puszczając mnie przodem.

- Pomyśl o swoim domu w Los Diablos - powiedział. Poczułam w brzuchu niemiły ucisk. A jak nie zadziała? Jak mi się nie uda?

Wsunęłam klucz w ścianę. Wszedł w nią z lekkim oporem jak w lekko zamrożone masło albo rozrabiane właśnie ciasto drożdżowe. Magia.

Przekreśliłam go. Przede mną pojawiły się białe dwuskrzydłowe drzwi. Wpasowane w nie różnokolorowe szybki błyszcząły w słońcu. Przez szkło dostrzegłam po drugiej stronie jakieś zamazane kształty.

Udało się!

Wyjęłam klucz i schowałam go do kieszeni. Nacisnęłam klamkę i otworzyłam drzwi. Po drugiej stronie zobaczyłam brukowaną dróżkę prowadzącą do mojej piekielnej posiadłości. Palmy i drzewka owocowe szumiały cicho. Na policzkach poczułam morską bryzę.

Byłam w domu.

- Nikt tu nie zamieszkał? - zapytałam Beletha, gdy mineliśmy próg.

- Osobiście dopilnowałem, żeby nikt nie zajął posiadłości pod twoją nieobecność - uśmiechnął się, wypinając dumnie pierś.

- Dziękuję.

Wzruszyłam się. Naprawdę poczułam się, jakbym wracała do domu. Do miejsca, gdzie mogłam zamknąć się w czterech ścianach i udawać, że jestem na wczasach w Grecji, gdzie znikwały wszystkie smutki i rozterki.

Za to pojawiały się całkiem nowe problemy.

Za naszymi plecami usłyszałam tupot czyichś stóp. Odskokczyłam w bok przestraszona, że to może służy Lucyfera szarżują z gorejącymi mieczami.

Ubrana w przezroczystą suknię Kleopatra wyminęła mnie i zamachała rękami, napotykając pustkę w miejscu, w którym przed chwilą stałam. W ostatniej chwili, zanim upadła, złapał ją Azazel. Biedaczce aż przekrzywiła się korona z kobrą królewską na czole.

Jak zauważyłam z niesmakiem, podstępny diabeł wykorzystał nawet tę krótką chwilę, by obmacać biust królowej.

Ktoś stojący za mną zaśmiał się szyderczo skrzeczącym głosem. Odwróciłam się zaskoczona. Miałam przed sobą Śmierć. W pierwszym odruchu zapragnęłam ją wyściskać, jednak na szczęście się powstrzymałam. Nie byłam pewna, czy wolno mi było jej dotykać.

Poza tym chyba nie chciałam poznać jej... konsystencji.

Śmierć podierała się solidnym, lekko zakrwawionym toporem, prawie dorównującym jej wzrostem. Niespełna półtorametrowej wysokości, odziana w swój brązowy habit, zasłaniający ciało, którego i tak nie miała, chichotała teraz bezgłośnie.

- Witaj śmiertelniczko - zwróciła się do mnie. - Powrót na stare śmieci, co?

- Tak - uśmiechnęłam się. - Na to wygląda.

Pokiwała głową.

- Lubię cię - stwierdziła.

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni w jej stronę. Nie od razu zrozumiałam, co takiego dziwnego powiedziała. Dopiero po chwili pojęłam, że Śmierć po prostu nigdy nie okazała publicznie uczuć.

Nie byłam pewna, czy to dobrze, że Śmierć mnie lubi. Chociaż może mogło mi to zagwarantować dłuższe życie? Albo wręcz przeciwnie.

- Ja ciebie też - odpowiedziałam nieśmiało.

- Taaaak - mruknęła i pogroziła mi rękawem habitu. - Lubię cię, więc masz na siebie uważać i nie wpadać w żadne kłopoty.

Kleopatra, piastująca stanowisko diablity, odchrząknęła głośno i podeszła do mnie. Najwyraźniej uznała, że Śmierć nie może przywłaszczyć sobie całych powitań. Królowa nie mogła przecież być od niej gorsza.

Objęła mnie mocno.

- Stęskniłam się za tobą, Wiktorio - zaszczębiotała mi do ucha. - Nawet nie wiesz, jak mi ciebie brakowało. Nie miał kto mi doradzać, jakie pióra przyczepić do sukni! - W tym momencie Śmierć rozkaszała się, usiłując ukryć śmiech.

- Wiesz, odwiedziłam cię raz na Ziemi - kontynuowała Kleopatra. - Chodziłaś po centrum handlowym. Miałam się przywitać, ale zauważyłam urocze pantofle na wystawie sklepowej, a potem gdzieś mi znikłaś. No, ale najważniejsze, że mam te buty. Pokażę ci potem.

Niezgrabnie poklepałam ją po łopatce.

- Taaaak... brakowało mi cię, Kleo - zaśmiałam się serdecznie.

Azazel uśmiechał się do mnie drapieźnie. Czarne włosy zaplótł w krótki warkocz na karku. Kilka pasm opadało mu na oczy. Jak zwykle cały był ubrany na czarno. Jedyne kolorowe akcenty stanowiły dwa błękitne piórka na rzemyku u jego szyi.

- Witaj, Wiktorio - powiedział.

- Azazelu - skinęłam głową.

Jeśli na tym świecie był ktoś, komu nie należało ufać pod żadnym pozorem, to właśnie taką osobą był Azazel. Gdyby miał matkę i mógł ją sprzedać za skrzydła, to pewnie by to zrobił...

Dziwiło mnie, że spotykał się z Kleopatrami. Tych dwoje w ogóle do siebie nie pasowało. Co prawda, Kleo miała na sumieniu gromadkę zamordowanych, w tym sporo członków własnej rodziny... Och, poza tym, jak mogłabym zapomnieć. Azazel uparcie twierdził, że łączyły go z królową Egiptu dzikie żądze.

- Musimy się spotkać i obgadać to, co zaszło między tobą a Piotrem - powiedziała Kleopatra. - Jak chcesz, możemy go wykastrować!

- Przemyślę to - odparłam wymijająco.

- Czy Beleth wszystko ci już wytłumaczył? - wtrącił się niecierpliwie Azazel.

- Wiktoria musi to przemyśleć - Beleth opiekuńczym gestem objął mnie za ramiona. - Na razie chciałyby odpocząć. Wybaczcie.

Wszyscy zaczęli odchodzić. Śmierć pomachała do mnie wesoło rękawem habitu i wyczarowała czarną dziurę, którą poruszała się po wymiarach.

- W domu ktoś na ciebie czeka - zawołała jeszcze Kleopatra.

Chwilę później oboje z Azazelem znikli w zrobionym przez niego przejściu.

Beleth poprowadził mnie do domu. Otworzyłam drzwi. Nic w środku się nie zmieniło. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie, które kiedyś zrobiłam. Książki, w tym Regulamin Piekła tom szósty, leżały tam, gdzie je zostawiłam przed opuszczeniem Niższej Arkadii. Nawet kubek z zaschniętą już herbatą stał niedbale porzucony na blacie niskiego stolika.

Usiadłam na szezlongu. Obok mnie, na miękkich poduszkach, haftowanych w orientalne wzory, rozparł się Beleth.

Niespodziewanie na moje kolana wskoczył czekoladowy kształt. Zaczął głośno mruścić.

- Behemot! - ucieszyłam się i zaczęłam tarmosić go za uszami. - Ale urosłeś.

Z małego czekoladowego kociaka z jednym rudym uchem zamienił się w ogromnego kocura o długich pazurach. Nie był chudy, ale też nie gruby. Miałam wrażenie, że składał się z samych mięśni.

- To pogromca okolicznych ptaków - powiedział Beleth. Rzeczywiście. Nie słyszałam śpiewu ptaków w ogrodzie. Czyli opieka Kleopatry nad kotem polegała głównie na wypuszczaniu go na dwór?

- Mój mały myśliwy - wtuliłam twarz w jego miękkie futro. - Tęskniłam za tobą.

Zamruczał jeszcze głośniej. Całe jego ciepłe ciało zadrżało od tego głębokiego dźwięku.

Beleth przysunął się bliżej i oparł ramię na szezlongu za moimi plecami.

- To co teraz robimy? - zapytał, wpatrując się w moje usta.

- Ja tu zostaję, żeby cierpieć w samotności, a ty właśnie wychodzisz - odparłam.

Mina mu zrzędała.

- Jesteś pewna? Miałem nadzieję na jakieś... powiedzmy... gry zespołowe...

- Chcę być sama... - mruknęłam. - Muszę pomyśleć.

- Dobrze - powiedział pogodnym głosem, najwyraźniej - o dziwo - spodziewając się takiej odpowiedzi.

Pocałował mnie krótko w policzek i potarł mi kota za uchem. Otworzył szeroko drzwi wejściowe. Zobaczyłam za nimi jego krwistoczerwone lamborghini diablo, bezczelnie stojące jednym kołem na rabatce z kwiatami.

- Gdybyś mnie potrzebowała, zawołaj. Jestem do twoich usług. Do wszystkiego, czego sobie tylko zamarzysz - zamknął za sobą drzwi.

Kompletnie zaskoczona spojrzałam na kota.

- On naprawdę wyszedł? - zapytałam zdziwiona. Kot pokiwał łebkiem.

- Wciąż mnie zadziwia... - mruknęłam, bezmyślnie drapiąc kocura.

Kot wczepił się pazurami w moje ubranie. Zupełnie jakby już nigdy więcej nie chciał mnie puścić.

- Przynajmniej ty mnie naprawdę kochasz - wyszeptałam mu w mokre od moich łez futro.

Behemot cierpliwie znosił mój płacz. Usiłował zlizywać mi z policzka łzy, ale nie mógł za nimi nadążyć.

- Piotruś mnie zostawił - szepnęłam. - Nie, to raczej ja go zostawiłam. O Boże... to ja z nim zerwałam. Ja!

Byłam teraz sama.

Behemot miauknął głośno, wpatrując się w coś za moimi plecami, i zeskoczył z moich kolan. Odwróciłam się w tamtą stronę. Na białej ścianie zaczął pojawiać się kontur drzwi. Prostych, niezbyt wysokich, z wiśniowego drewna.

Kontur drzwi stworzonych moim kluczem.

Każdy klucz był dostosowany do właściciela. Nie było dwóch takich samych, ponieważ nikt poza mną nie umiał ich kopiować. Z tego też powodu nikt nie mógł mieć takich drzwi jak ja.

Mogłam być więc pewna, kto chce mnie odwiedzić.

Po chwili rozległo się pukanie. Tajemniczy gość zapukał trzy razy. Niezgodnie z piekielną etykietą. Tutaj należało pukać sześć razy, jak kazała tradycja. Gdybym nie poznała drzwi, to właśnie po tym mogłabym się dowiedzieć, kto za nimi stoi.

Nie wchodził. Cierpliwie czekał, aż otworzę. Podeszłam do ściany. Wyciągnęłam rękę do klamki. Zawahałam się.

Postanowiłam być silna. W końcu kiedyś będę musiała spojrzeć mu w oczy.

Otworzyłam drzwi.

Przede mną stał Piotrek. We włosach miał jeszcze odrobinę ceglanego pyłu. Za jego plecami ujrzałam wewnątrz jego pokoju. Jak zauważyłam, naprawił drzwi i ścianę, którą rozwaliałam w ataku furii. Ciekawe, jak zdołał wyjaśnić Maćkowi tak szybki remont?

On za to zobaczył ślady łez na moich policzkach. Zapomniałam obetrzeć twarz.

- Użyłeś mocy? - zapytałam, patrząc na nietkniętą framugę, u

Odwrócił się, także na nią spoglądając. Był wyraźnie zakłopotany. - Tak...- mruknął. Znów na mnie spojrzął.

- Porozmawiajmy - poprosił, robiąc krok w moją stronę. - Chcę... ja muszę cię przeprosić. Nie skreślaj mnie - poprosił.

- To chyba nie ja ciebie skreśliłam - odparłam.

W milczeniu wpatrywaliśmy się sobie prosto w oczy. Tęskniłam za nim. Tęskniłam aż za bardzo. Nie mogłam jednak wybaczyć mu zdrady. Nie chciałam, żeby stał teraz obok mnie. Nie chciałam widzieć jego twarzy. To bolało. Bolało bardzo mocno.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedziałam. - To zbyt wcześnie.

- Rozumiem - pokiwał smutno głową. - Wiki, co ja teraz mam zrobić?

- To nie mój problem.

Zamknęłam drzwi. Nie trzasnęłam nimi, tak jak początkowo miałam ochotę. Po prostu zamknęłam. Nie zatrzymał mnie. Złoty kontur błyszczał jeszcze chwilę.

Oparłam policzek na chłodnej ścianie. Położyłam dłoń w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była klamka.

Nie mogłam tego widzieć, ale on po drugiej stronie, na Ziemi, zrobił to samo. Oparł czoło o ścianę i westchnął ciężko.

- Jak ja mogłem to tak spieprzyć? - mruknął do siebie i przesunął palcami po chropowatej ścianie.

Teraz dzieliło nas coś więcej niż tylko granica wymiarów.

Znowu zaczęłam płakać.

Powoli osunęłam się na ziemię.

Rozdział 7

Leżałam w burgundowej satynowej pościeli. Nie miałam ani siły, ani ochoty, by wstać. Szczerze mówiąc, nawet nie widziałam sensu we wstawaniu nie tylko dzisiaj, ale też kiedykolwiek.

Obok mnie leniwie przeciągał się Behemot. Widziałam, jak niby mimochodem zerkał na mnie złotymi oczami. Mały bandyta miał ochotę zanurzyć pazury w poduszce, ale hamował się, dopóki na niego patrzyłam.

Wyciągnęłam dłoń. Stworzyłam sobie w niej kubek z gorącą czekoladą.

- Wiesz co, kocie? - mruknęłam. - Wolałam być zwykłą śmiertelniczką, która do końca nie wierzyła w życie pozagrobowe. Przynajmniej zmusiłabym się do wstania z łóżka... a tak, to nawet nie muszę...

Przez chwilę podziwiałam w jednym z kilkunastu luster siano, które miałam zamiast włosów. To Beleth urządzał mój dom. Uważał widocznie, że to świetny pomysł, żeby cała sypialnia była w lustrach. Pewnie miał nadzieję na jakieś dzikie orgie.

Kot, jak to tylko koty potrafią, kompletnie mnie ignorował.

- Mam ochotę obejrzeć jakiś film. Najlepiej taki, w którym wszyscy umierają - kontynuowałam przemowę.

Na jedynej ścianie niezajętej przez lustrzane tafle pojawiły się ogromne, ostentacyjnie złote wrota rzeźbione w hieroglify. Bez trudu mogłam poznać, do kogo należały.

Oczywiście bez pukania do pokoju wpadła Kleopatra. Półprzezroczysta suknia zakończona długim trenem z piórami zamiotła podłogę. Pięknie plisowany materiał układał się w wachlarz na jej biodrach. Złota korona z kobra królewską na czole zabłysła w słońcu, gdy Kleo jednym ruchem ręki odsłoniła zasłony. Grubo obwiedzione czarną kreską oczy spojrzały na mnie z potępieniem.

- Co ty robisz? - zapytała.

- Rozmawiam ze swoim kotem. Świetnie nam się gada - odparłam i spostrzegłam, że Behemot gdzieś zniknął.

Kleopatra posłała mi kolejne spojrzenie ze swojej całej gamy dezaprobujących min i usiadła na moim łóżku.

- Musisz się wziąć w garść - powiedziała. - A teraz mów, jak to było, że się rozstaliście. Ze wszystkimi szczegółami.

Co miałam do stracenia? Opowiedziałam, jak prawie ich nakryłam i jak po zjedzeniu jabłka dotarło do mnie, że on być może mnie zdradził, a on wcale temu nie zaprzeczył. Smutne...

- Czyli czekaj, to ty go zostawiłaś? - upewniła się.

- No...

- I bardzo dobrze - uśmiechnęła się zadowolona.

- Słucham? - aż się podniosłam na łokciu.

- To kobieta powinna pierwsza zostawiać mężczyzn. A nie oni ją. - Nagle Kleopatra jakby przygasła.

- Co się stało? - zapytałam.

Spojrzała na mnie ze smutkiem w oczach. Zobaczyłam w nich łzy. Jednak żadna kropla nie potoczyła się po jej policzku. Królowa nie mogła sobie pozwolić na popsucie makijażu.

- Azazel mnie zostawi.

- Co takiego? - nie wierzyłam w to, co słyszę.

Azazel nie mógłby jej zostawić. Przecież robił wszystko, by Kleopatra była tylko jego. Łącznie z pobiciem Cezara, wskutek czego doszło do dość sporej awantury na balu u Szatana. Że już nie wspomnę o tym, jak wepchnął Napoleona do wazy za to, że ten śmiał przystawiać się do jego kochanki. To niemożliwe, żeby diabeł tak szybko się nią znudził.

- Stworzysz im skrzydła, a oni odejdą do Nieba. Azazel mnie zostawi - wyjaśniła.

Usiadłam obok niej i objęłam ją ramieniem. Nagle z rozpaczającej stałam się pocieszycielką. Tak naprawdę tylko po to Kleopatra tu przyszła. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie była typem samarytanki, która wyciąga dłoń do smutnej przyjaciółki.

- On cię nie zostawi. Na pewno coś tam wykombinuje, kogoś przekupi i ściągnie cię do Arkadii. Przecież mu na tobie zależy.

Mówiłam tak, ale wiedziałam też, że Azazel kocha wyłącznie siebie. Może tak naprawdę nie zależało mu na Kleopatrze? Bądź, jeszcze gorzej, zależało mu na niej tylko tak długo, jak mógł korzystać z ich wzajemnej bliskości, a teraz ją zostawi, bo na horyzoncie pojawiło się coś lepszego.

Coś lepszego, czyli niebiańskie obywatelstwo.

- Zostawi mnie - westchnęła do siebie Kleopatra, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń. - Jak Cezar. Też mnie zostawił.

- Ale on cię chyba zostawił, bo umarł... - wtrąciłam. Zamyśliła się, marszcząc swój zgrabny nosek.

- A rzeczywiście. W sumie to ja go zostawiłam, bo związałam się potem z Markiem Antoniuszem - od razu poweselała, gdy uświadomiła sobie, że to ona tak naprawdę dominowała w tym związku. - Jego też rzuciłam. Męczył mnie. Ile można być z jednym mężczyzną? Po pierwszym tysiącleciu już się człowiekowi zaczyna nudzić...

Hm... mój najdłuższy i jedyny związek trwał cztery miesiące. Nie miałam aż takiego doświadczenia. Niezgrabnie poklepałam ją po ramieniu.

- Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. Azazel ściągnie cię do Nieba.

- Nie zrobi tego. Nie mam szans, by przekroczyć złotą bramę Arkadii - zaoponowała, dumnie unosząc brodę.

- Kleo, przecież wszystko da się załatwić. Sama mi to mówiłaś. To nieważne, ile ktoś popełnił za życia grzechów, ważne jest, kto licytował twoją duszę. Może uda się jeszcze raz przeprowadzić targ o ciebie.

- Ponowny targ o moje Ba¹? - zakpiła. - To nic nie da.

- Przecież mówimy o Azazelu - zaprotestowałam. - On mało co nie rozpętał wojny na Ziemi i nie strącił Lucyfera z tronu. Na pewno da radę wkręcić cię do Nieba.

- Ty nic nie rozumiesz - mruknęła. - Gdy targowano się o moją duszę, nie brano pod uwagę Nieba i Piekła. Chciano wysłać mnie do Tartaru... Na szczęście diabeł był zdolnym naciągaczem i zdołał mnie ocalić. Duży wpływ miała przy tym moja uroda owiana legendą jeszcze za mojego życia. Mam szczęście, że jestem najpiękniejsza i trafiłam do Niższej Arkadii.

Patrzyłam na nią zdumiona. O czym ona mówiła?

- Jaki Tartar? Co to jest? - zapytałam.

- Na pewno o tym słyszałaś. Musiałaś słyszeć. Kleopatra przygryzła wargę. To nie był dla niej wygodny temat.

- Obie wiemy, że zamordowałam wiele osób - westchnęła. - Ale to nic takiego. I tak miałam szansę trafić do Nieba. Tylko że ja żadnej z tych śmierci nie żałuję. Nigdy nie żałowałam i nigdy nie pożałuję. Należało się łajdakom. Zwłaszcza mojemu bratu, za którego musiałam wyjść. Kiedy nie żałujesz, nawet odrobinę, nie możesz iść do Nieba.

Przerwała na chwilę. Potrzebowała tej rozmowy. Chciała się z kimś podzielić swoimi wątpliwościami.

- Zostawały mi więc dwie możliwości: Piekło lub Tartar. Do Tartaru trafiają najczarniejsze dusze. Mordercy, gwałciciele, szaleńcy. Nikt nie wie, jak tam jest. Nawet anioły i diabły nie mają tam wstępu, rozumiesz? Co to musi być za świat, skoro nie wolno im tam wchodzić?

- Beleth zawsze mi mówił, że takie dusze przestają istnieć. Nie wymawiał przy mnie nazwy tego miejsca - wtrąciłam.

Machnęła pogardliwie ręką.

- Jak zwykle bzdury ci mówił. Nie mogą tak po prostu niszczyć dusz. Ich się nie da zniszczyć bez gorejącego miecza. Wszystkie trafiają na to wysypisko, jakim jest Tartar.

Tartar. Ciekawe, jak tam jest? Nikt tam nie ma wstępu... to co najmniej interesujące. Przed oczami stanęło mi wewnątrz jaskini rodem z greckiej mitologii. To dopiero sceneria jak z horroru.

- Muszę się zastanowić, co zrobię - stwierdziła Kleopatra. - Powinnam dobrze to rozegrać.

- Co rozegrać? - zapytałam wyrwana z rozmyślań.

- Jak załatwić sprawę z Azazelem - wyjaśniła tonem, jakim mówi się do dziecka. I to do głupiego dziecka. - Nie mogę sobie pozwolić na ujmę na honorze.

¹ Ba - według wierzeń starożytnych Egipcjan pierwiastek duchowy. W połączeniu m.in. z Ka (odbiciem ludzkiego ciała, jego energią witalną) tworzył duszę (przyp. aut.).

- Trzymam kciuki - mruknełam.

Nie miałam ochoty brać w tym udziału. Najgorsze, co może się przytrafić, to zostać wplątany w czyjeś miłosne rozgrywki.

- A w ogóle to muszę ci kogoś przedstawić - powiedziała królowa. - Pewnie ją polubisz. Tak jak ty nie ma królewskiego pochodzenia, ale obyło się bez tego, to...

Nagle głośno zaterkotał dzwonek do drzwi. Obie z Kleopatrami podskoczyłyśmy. Wsłuchałam się w dzwonek. Ktoś nacisnął go sześć razy.

- Kto to może być? - zdziwiłam się.

Nie spodziewałam się żadnych gości, a Beleth pewnie dostałby się do mojego domu tak jak Kleopatra - czyli prosto do sypialni.

Narzuciłam na ramiona szlafrok i zbiegłam po schodach. Tuż za mną dreptała w złotych sandałkach wysadzanych szlachetnymi kamieniami zaciekawiona królowa.

Otworzyłam drzwi i zamarłam. Przede mną stał mój dawny znajomy Belfegor. Jedyne diabeł będący... transwestytą. Podobno dawno temu, kiedy jeszcze Piekło nie zatrudniało diabolic, przebierał się za kobietę, żeby skuteczniej kusić mężczyzn.

No i tak biedaczkowi zostało...

Za to teraz miał świetną pracę, którą uwielbiał. Był sekretarką Szatana. Doskonale spełniał się w tej roli. Poza tym robił wspaniałą herbatę!

Bardzo go lubiłam. Trochę mnie ubodło, że wczoraj nie przyszedł się ze mną przywitać. Może nie mógł wyjść z pracy? Albo po prostu nie chciał spotkać Azazela? Wydaje mi się, że niestety Belfegor był nim zauroczony. Azazel nie podzielał tych ciepłych uczuć, ale z radością skorzystał z jego pomocy, gdy musieliśmy uciekać z Piekła.

- Witaj, Wiktorio - Belfegor uśmiechnął się do mnie smutno.

Sukienka z falbanami, którą miał na sobie, pasowała do niego. Jednak ten ponury uśmiech już nie. Coś było nie tak.

Nagle dostrzegłam za jego plecami trzy postacie. Trzy demony. Te potworki także były sługami Szatana. Zatrudniał je w Urzędzie czuwającym nad porządkiem w Piekła, a także w swojej rezydencji.

Były dość pokraczne. Miały długie rogi wyrastające z czoła, czerwoną skórę i tęczaówki oraz poważną wadę zgryzu... Potrafiły obślinić każdy dokument. To dlatego tak nie lubiłam odwiedzać piekielnego Urzędu. Pewnie także z tego powodu Lucyfer zatrudnił jako swoją sekretarkę porządnego i poukładanego Belfegara, który nie zanieczyszczał swojego miejsca pracy.

- Wiktorio - diabeł podał mi zwinięty pergamin. - Szatan chce cię zobaczyć. Demony odprowadzą cię natychmiast do jego gabinetu.

A nie mówiłam, że Lucek ucieszy się, jak się dowie, że wróciłam...?

Rozdział 8

Belfegor razem w demonami prowadził mnie labiryntem białych korytarzy przez podziemia rezydencji Szatana. Mijaliśmy dziesiątki białych, bezosobowych drzwi oznaczonych szóstkami i czwórkami - dwiema ulubionymi cyframi wszystkich mieszkańców Niższej Arkadii.

Ich zamiłowanie do szóstek graniczyło wręcz z obsesją. Bardzo wyraźnie było to widać zwłaszcza przy pokojach, których numer zajmował dwa rzędy cyfr.

W końcu doszliśmy do drzwi 6666. Było to wejście do sekretariatu Szatana.

- Możecie odejść. Dam sobie radę z zatrzymaną - Belfegor spławił demony.

Te wzruszyły ramionami i szybko zniknęły w niekończących się korytarzach. Nie miały nic przeciwko wcześniejszej przerwie.

- Zatrzymaną? - zapytałam. - Nie wiedziałam, że zostałam zatrzymana.

- Teoretycznie nie zostałam... Dostałam tylko zaproszenie od Lucyfera na herbatę - diabeł otworzył przede mną drzwi. - Jednak gdybyś nie zgodziła się go odwiedzić... to kazał nam cię zatrzymać i zaciągnąć siłą.

Miło.

- Szykuje się urocza pogawędka - mruknęłam.

- Nie martw się, na pewno wszystko będzie dobrze. Gdyby coś się działo, gdyby Szatan... - zawiesił głos i spojrzał z napięciem na drzwi windy prowadzącej do jego gabinetu. - Zawołaj mnie. Pomogę ci.

Nie rozumiałam, co Belfegor robił w Piekło. Nie przypominał buńczuczego diabła, który stanąłby za Lucyferem podczas rewolucji. Nie był typem wojownika. Miał, co było dość nietypowe w tych zaświatach, dobre serce.

- Jak trafiłeś do Niższej Arkadii? - zapytałam. - Nie pasujesz tu.

- Nie pasuję?

- Jesteś zbyt miły - wyjaśniłam. Uśmiechnął się smutno.

- Czasami, Wiktorio, nawet anioły popełniają błędy.

Kiwnęłam głową w odpowiedzi.

- Poza tym z miłości robi się niekiedy dziwne rzeczy - westchnął. - Idź już. Lepiej, żeby na ciebie nie czekał.

Zostawiłam Belfegora za jego biurkiem zarzuconym dokumentami i skierowałam się do windy. Weszłam do klaustrofobicznie ciasnej metalowej kabiny.

- Piętro... - krzyknął za mną diabeł.

- Szóste! - przerwałam mu. - Wiem.

Zachichotał tylko. Już raz włamywałam się do gabinetu Szatana. Poza tym nie było to specjalnie trudne do zgadnięcia.

Z ulgą wyszłam z windy. Nie lubiłam jeździć tymi urządzeniami. Zwłaszcza sama.

W komnacie nie było nikogo. Zatrzymałam się zaskoczona. A gdzie Lucyfer? Czyżbym to teraz ja miała czekać na niego?

Odwróciłam się do windy, ale drzwi już się zamknęły, a kabina zjechała w dół. Drewniane wrota, prowadzące najprawdopodobniej do klatki schodowej połączonej z rezydencją, ani drgnęły, gdy nacisnęłam klamkę. Musiałam tu zostać.

W takim razie mogłam się trochę rozejrzeć. Szatan miał małe prywatne muzeum. Pod wszystkimi ścianami obłożonymi ciemnymi drewnianymi panelami stały oświetlone gabloty, kryjące w swoim wnętrzu prawdziwe skarby.

Szerokim łukiem ominęłam olbrzymi zakrwawiony krzyż. Nawet nie chciałam przeczytać tabliczki, na której ktoś skrupulatnie opisał jego pochodzenie.

Właśnie podziwiałam czarno-białą fotografię, na której ubrany w dość niemodne już ciuchy Lucyfer stał w Watykanie na placu św. Piotra tuż pod bazyliką. Na twarzy miał szeroki uśmiech, włosy rozwiewał mu wiatr. Na zdjęciu ścisnął sobie rękę z...

Nie. Aż potrząsnęłam głową. To niemożliwe. Przecież żaden... No przecież by nie mógł. Szatanowi? Uścisnąć rękę Szatanowi?

No, ale w Kościele katolickim chyba tylko jednej osobie wolno ubierać się wyłącznie na biało...

Zanim zdążyłam przeczytać podpis pod zdjęciem i dowiedzieć się, z kim w tak zażyłych stosunkach był Lucyfer, drewniane drzwi, do tej pory szczelnie zamknięte, otworzyły się z impetem.

Aż podskoczyłam przestraszona.

- Aha! - zawołał Lucyfer. - Myszkuje się sobie, tak? Podniosłam obie ręce do góry.

- Przysięgam, że nie dotykałam komputera - powiedziałam. - Zresztą i tak już wiem, jaką masz tam tapetę...

Jasnowłosy Szatan poczerwieniał. Na pulpicie swojego komputera miał dość tandetny fotomontaż, na którym dokleił do zdjęcia Angeliny Jolie swoją rozanieloną twarz. Nie żebym robiła mu wyrzuty. Każdy ma prawo do swoich... fascynacji. Poza tym Angie jest naprawdę piękną kobietą. Ma prawo podobać się także Lucyferowi.

- Usiądź. Proszę - powiedział oschle i zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

Jego policzki znowu były blade. Posłał mi zmęczone spojrzenie. Był wyczerpany i znużony. Praca Szatana, z której nie miał zamiaru zrezygnować, najwyraźniej wymagała od niego wiele wysiłku. Po co więc tak rozpaczliwie trzymał się stołka? Azazel z rozkoszą zamieniłby się z nim miejscami.

Oczywiście Lucyfer nie był cały czas zmęczony. Bywał też wściekły. Przeważnie na Azazela lub niestety na mnie.

- A więc znów jesteś w Piekle - westchnął, splatając dłonie.

- Trudno to ukryć - mruknęłam.

Od razu pożałowałam swoich słów. Jego spojrzenie momentalnie stężało.

Zauważyłam, że obok biurka, w solidnej glinianej donicy stało małe drzewko. Ślicznie przycięta jabłonka.

- Och, masz nowe drzewko? - zapytałam, żeby zmienić temat.

Jednak Lucyfer nie poweselał, tak jak podejrzewałam.

- Nie - odparł. - Może cię to zdziwi, ale nie ma zbyt dużo Drzew Poznania Dobra i Zła. Znalazłem w Niższej Arkadii osobę z Iskrą Bożą, która naprawiła zniszczenia po tobie.

Przypadkiem zamieniłam mu poprzednio to drzewko w krzak pomidorów. Tylko skąd, na litość boską, miałam wiedzieć, że to biblijne drzewo i na dodatek jedyny egzemplarz? Nie było przy nim tabliczki...

- Przepraszam - mruknęłam, wbijając wzrok w blat biurka.

Spojrzenie Szatana odrobinę złagodniało. Jednak tylko odrobinę. Nadal nie był zadowolony, że byłam w Piekle i musiał ze mną rozmawiać.

Bez słowa wyjął z szuflady biurka jakiś formularz. Zanurzył długie białe pióro w ozdobnym kałamarzu z czerwoną cieczą.

Miałam nadzieję, że był to atrament.

- Pozwolisz, że będę zapisywał naszą rozmowę? - zapytał. - Protokół tego wymaga. Jesteś śmiertelnikiem w Piekle. To ewenement. Muszę wszystko zapisać.

- Eee... no nie ma sprawy - mruknęłam zbity z tropu.

Nie miałam się czemu dziwić. Niższa Arkadia była strasznie restrykcyjna, jeśli chodzi o archiwizację, dokumentację i formularze wszelkiego typu. Momentami miałam wrażenie, że zanim skorzystam z toalety, powinnam wypełnić jakiś wielce potrzebny urzędowy druczek w sześciu kopiach, bo potem jakaś kontrola się do mnie przyczepi.

- Dobrze, w takim razie zaczynajmy. Skąd się tu wzięłaś? - zapytał. - Jakim cudem trafiłaś do Podziemia?

Nie było co kłamać. Wyczułby łgarstwo. Poza tym nawet nie wiedziałam, co mogłabym zmyślić.

- Zjadłam jabłko.

Zerknął na swoje drzewko, zupełnie jakby przeliczał owoce. Następnie zanotował moją odpowiedź.

- A skąd wzięłaś to jabłko? - Jeszcze jedno zerknięcie na roślinę w celu upewnienia się.

- Dostałem od obcego na ulicy. - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Od obcego... - zawiesił głos, zupełnie jakby czekał, aż coś dodam.

Jeszcze czego! Póki sam, nie zapyta, nie zamierzałam zasypywać go nieistotnymi szczegółami. Na przykład takimi, że to Beleth sprowadził mnie do Piekła.

Jednak o Azazelu mogłabym mu powiedzieć. Nie lubiłam tego dupka. To on mnie poprzednio zabił. Może gdybym o nim wspomniała, to nie zostałyby wypuszczony z Piekła? Kleopatra by się ucieszyła. Chociaż jak wspomnę o podstępny diable to Beleth też wpadnie. Z drugiej strony on także brał udział w zamordowaniu mnie...

- Tak - potwierdziłam. - Od obcego.

Twarz Lucyfera rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Chyba właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał. Zaraz jednak mój rozmówca ponownie przybrał znużoną minę, tak jakby tamte emocje były pomyłką. Dzisiaj wszyscy dziwnie się zachowywali...

- Doskonale - zapisał szybko moje słowa.

Teraz tylko w kącikach jego ust czaił się jeszcze tajemniczy uśmiech.

Wielce niepokojący uśmiech.

Blond loki układały się w delikatne fale na jego ramionach. Miał na sobie białą koszulę z szerokim żabotem. Guziki z masy perłowej iskrzyły się w przygaszonym świetle lamp.

- Co ja mam z tobą zrobić? - westchnął, przewiercając mnie spojrzeniem.

- Nie rozumiem - poruszyłam się niespokojnie na krześle.

- Żyjesz i jesteś w Piekło. To pewna nieprawidłowość - stwierdził. - Nie da się jednak cofnąć przydzielenia ci mocy. Ale ponieważ nie umarłaś, to nie mam nad tobą władzy by zakazać ci używania sił piekielnych. Pat.

Odrobinę uspokojona wyprostowałam się. Czyli Szatan nie mógł mi nic zrobić? To mi się podobało! Od razu poczułam się bezpieczniej.

- W takim wypadku proszę cię, byś nie narobiła tym razem kłopotów. - powiedział.

Tajemniczy uśmiech nadal błąkał się na jego ustach. Momentalnie przestałam mu ufać. On czegoś ode mnie chciał.

Podał mi formularz, który wcześniej skopiował sześć razy.

- Złóż swój podpis - powiedział.

Wzięłam białe pióro. Na jego końcu błysnęła czerwona kropla. Czulałam się, jakbym podpisywała krwią pakt z diabłem.

Przebiegłam tekst wzrokiem. „Orzeczenie o pobycie czasowym w Niższej Arkadii” - głosił tytuł. Niżej było napisane i nie stwierdzono, od kogo otrzymałam moc, i że obiecuję nie sprawiać kłopotów. Na dokumencie, w rubryczce „protokół wykonął”, podpisał się już Szatan. Zamaszysty podpis Lucyfera zajął prawie pół kartki.

- Pobyt czasowy? - zapytałam.

- Jesteś śmiertelna. Maksymalny czas jaki spędzisz w Piekło, to siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat. Po tym okresie umrzesz i trafisz do któregoś z zaświatów na pobyt stały.

- Ale osiemdziesiąt lat to dużo - zauważyłam.

Ucieszyło mnie, że Szatan wróżył mi aż setkę. Oznaczało to, że pomimo mojego dość specyficznego trybu życia i obcowania z diabłami miałam szansę dożyć emerytury i opieki nad wnukami.

Szczerze mówiąc, o niczym więcej teraz nie marzyłam.

- Biorąc pod uwagę, ile milionów lat każdy z nas ma na karku, twoje osiem dziesiątek nie robi na nas najmniejszego wrażenia... - powiedział.

- W sumie racja – podpisałam się w wolnej rubryce, na wszystkich sześciu kartkach.

- Poza tym niech pomyślę - Lucek podrapał się po brodzie. - Jak to jest ze statystykami w Polsce? Ach, już wiem! Średnia przeżycia w zdrowiu wynosi dla kobiet 66,6 lat.

- Słucham?

- Średnio 66,6 lat powinnaś przeżyć bez poważniejszych schorzeń. Za to średni wiek trwa u was około 79,1 lat. Sądzę, że spokojnie wyrobisz się w pobycie czasowym - wyjaśnił władca Piekła.

Gdy tylko podpisałam wszystkie egzemplarze, Szatan wyrwał mi je z rąk. Zupełnie jakby się obawiał, że je zniszczę, a potem postanowię zmienić zeznania.

Starannie włożył dokumenty do dużej koperty i schował do szuflady biurka. Rozluźnił się dopiero, gdy to zrobił.

- To co teraz? - zapytałam.

- Życzę ci udanego pobytu - posłał mi firmowy uśmiech.

- Hm, dzięki - odparłam. - Ale pewnie nie zabawię długo.

- Rozumiem - pokiwał głową. - Pamiętaj jednak, że Piekło zawsze stoi przed tobą otworem i na ciebie czeka.

Pomimo że usiłował być tylko uprzejmy, po plecach przebiegł mi dreszcz. Miliard razy wołałam Ziemię i normalne życie. Naprawdę.

Wyglądało na to, że audiencja już się skończyła. Wstałam z krzesła.

- To do widzenia - powiedziałam.

- Żegnaj - odparł zadowolony z siebie Szatan.

- Żegnaj? - zdziwiłam się.

- A jesteś pewna, że wrócisz kiedyś do Piekła?

Jego śmiech odprowadził mnie do drzwi. On wiedział, że pójdę teraz do Arkadii! On wiedział! Musiał wiedzieć!

Chociaż z drugiej strony jakim cudem miał nie wiedzieć? Pewnie wszystkie zaświaty aż huczały od plotek na temat bezprecedensowej sprawy diabłów w Niebie.

Hm, nie dostałam herbaty, na którą podobno byłam zaproszona...

Szybko wyszłam na oświetloną słońcem ulicę. Zachód był blisko. Ciepłe promienie ogrzewały mi twarz. Rezydencja Lucyfera znajdowała się tuż przy bulwarze nad plażą. Przeszłam przez ulicę, którą jechał na koniu jakiś ubrany w skóry facet.

Usiadłam na murku oddzielającym chodnik od plaży i zanurzyłam stopy w piasku. Przymknęłam oczy i westchnęłam z rozkoszą. Słońce, delikatny ciepły wiatr, szum fal. Czego chcieć więcej od życia?

Wokół mnie było niewielu ludzi. Leżeli na piasku, siedzieli w kafejkach i restauracjach, sącząc wino lub egzotyczne drinki. Piekło - miejsce wiecznej sjęsty, gdzie nie dostaniesz czerniaka od nadmiaru słońca ani raka wątroby od alkoholu, ani żadnej choroby wenerycznej.

A jutro albo pojutrze powinnam trafić do Nieba. Ciekawe, jak tam jest, skoro Piekło tak wyglądało?

Kogo spotkam w Arkadii? Jakie sławy przechadzają się tam ulicami?

Nagle uśmiech stęzał mi na twarzy.

O Boże. Już wiedziałam, kogo tam spotkam.

Moich zmarłych rodziców...

Rozdział 9

Mroczny, zadymiony klub huczał od skocznej etnicznej muzyki. Bębny wprawiały w drzenie stojące na stoliku szklanki, opróżnione z drinków.

Byłam w Piekło już drugi dzień. Jeszcze nie stworzyłam diabłom skrzydeł. Na razie próbowałam swoich sił na mniejszych rzeczach. Tworzyłam martwe przedmioty. Bałam się, że coś mi się nie uda, kiedy od razu spróbuję przywrócić im dawno odcięte części ciała.

Poza tym spędzałam czas, podziwiając z leżaka piękne widoki z mojego tarasu. Odciełam się na te dwa dni od wszystkich. Kleopatra chciała się ze mną koniecznie spotkać, ale ustaliłyśmy, że pogadamy jutro. Musiałam przede wszystkim odpocząć.

Teraz siedzieliśmy w należącym do krewnego Kleopatry, Ramzesa II, klubie Pod Głową Anubisa. Jedyne go rudowłosego faraona w historii. Biedak miał przez to spore kompleksy.

W jego knajpcie wszystko było egipskie. Począwszy od wystroju, a na menu skończywszy. To był naprawdę bardzo ładny klub. Nie widziałam takiego na Ziemi, w Warszawie.

Ściany pokrywały stare bloki granitu, wyglądające tak, jakby przez tysiąclecia uderzał w nie ostry piasek pustyni. Na licznych kolumnach znajdowały się barwne hieroglify. Może w świetle dnia wydawałyby się tandetne, mieniając się tyloma kolorami, jednak niknąc w mroku rozciągającym się pod sufitem, wyglądały naprawdę efektownie.

Okrągłe drewniane stoliki, także bogato zdobione, były otoczone krzesłami i kanapami wzorowanymi na antycznych meblach.

Dosłownie w każdym kącie stała jakaś palma, juka albo inna roślina z dużymi zielonymi liśćmi. Było też kilka kolorowych orchidei.

Nie mniej barwni byli goście klubu. W większości składali się na nich dawno zmarli Egipcjanie. Nieraz spotkałam już tutaj Tutenchamona czy Nefretete. Wszyscy przeważnie mieli na sobie stroje ze swoich epok, różniące się od siebie tylko ilością szlachetnych kamieni i piór. Ubrana w małą czarną wybijałam się z otaczającego mnie towarzystwa. Nawet Azazel, najwyraźniej za namową Kleopatry, założył czerwoną koszulę.

Z zainteresowaniem rozejrzałam się po sali. Mój wzrok przyciągnął krótko ostrzyżony blondyn o niesamowicie jasnych oczach. Tak jak ja nie pasował do tego lokalu, ubrany wyłącznie w czerń. Zaskoczona zauważyłam, że miał na stopach sandały. Jezuski. Takie obuwie nosiły wyłącznie anioły. Tylko że ten mężczyzna nie miał do tego białych skarpetek, tak charakterystycznych dla anielskich zastępów.

Nie patrzył w moją stronę. Przeczesał spojrzeniem inną część klubu i sączył leniwie drinka. Pewnie czekał na jakąś dziewczynę.

Ramzes II postawił przed nami trzecią kolejną ibisów i uśmiechnął się chytrze. Te niepozorne różowe drinki z pływającymi poziomkami (wszyscy dookoła usiłowali mi wmówić, że ojczyzną poziomek jest Egipt) miały około pięćdziesiąt procent alkoholu. Wiwat rak przełyku! Wiwat rak żołądka! Wiwat rak wątroby!

Byłam już lekko wstawiona. Przyjemnie szumiało mi w głowie i kręciło się odrobinę. Dawno nie piłam, alkohol od razu na mnie podziałał. Beleth usiłował mnie upić. Podsunął mi szklanę, uśmiechając się wesoło.

On był diabłem, musiałam o tym pamiętać. W razie czego mógł wytrzeźwieć na zawołanie. Możliwe, że też to umiałam, ale nigdy nie próbowałam. Być może właśnie nadszedł na to czas.

- Nie, już dziękuję - powiedziałam i zagapiłam się na Kleopatrze i Azazela. Zajmowali kanapę naprzeciwko nas i intensywnie wymieniali się drobnoustrojami ze swoich gardeł.

Gdy zapytałam królową, co takiego chciała mi powiedzieć, ta nabrała wody w usta i uparła się, że możemy rozmawiać dopiero jutro. Nie rozumiałam, o co jej chodziło. Nie zamierzała chyba mówić o rzuceniu Azazela, bo patrząc na to, jak się właśnie obmacywali, byli najwyraźniej w bardzo dobrych stosunkach.

Beleth siedział obok mnie. Obejmował mnie ramieniem. Czułam jego dłoń na żebrach. Delikatnie masował mój bok. Pomimo że już kilka razy kazałam mu przestać, on wciąż to robił. A mnie wydawało się to coraz przyjemniejsze.

- Napij się jeszcze - mój prywatny kusiciel szepnął mi prosto do ucha. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

- Nie, dziękuję - powtórzyłam.

Jego usta były tuż przy moim uchu. Czułam jego ciepły oddech na policzku. Przymknęłam oczy w oczekiwaniu na delikatny dotyk jego warg.

- Czego się boisz? - zapytał jednak.

Odwróciłam się do niego. Prawie stykaliśmy się ustami. Złote oczy pociemniały. Czarne rzęsy rzucały długie cienie na policzki.

- Ciebie - szepnęłam.

- Mnie? - zdziwił się. - Nie masz czego, kochanie.

- Nie jestem twoim kochaniem - zaprotestowałam słabo.

- Jesteś - westchnął i czułym gestem odgarnął mi włosy z twarzy. - Ciebie nie można nie kochać.

Przysunął się jeszcze bliżej. Siedziałam już na brzegu kanapy. Nie miałam gdzie uciec przed jego ustami i słodkimi słówkami. Mogłam tylko mu ulec. Oparłam łokieć o podłokietnik.

Nagle przechodząca obok mnie kobieta uderzyła z impetem biodrem o moją rękę. Romantyczny nastrój prysł w jednej chwili.

- O, przepraszam - rzuciła.

Zerknęła na mojego diabła i uśmiechnęła się. Następnie odeszła i wmieszała się w tańczący tłum gości.

Widziałam ją tylko przez chwilę, ale zdążyłam przyjrzeć się jej dokładnie. Była bardzo ładna, choć drapieżna. Rude włosy spięła w wysoki kok. Pod przezroczystą suknią doskonale było widać jej bieliznę.

Beleth odprowadził nieznaną ponurym spojrzeniem.

- Coś się stało? - zapytałam.

- Nie, nie - zaprzeczył szybko.

- Znasz ją? - rozmasowywałam uderzony łokieć.

- Tylko z widzenia - wzruszył ramionami. - To nikt ważny. Coś ci się stało?

Nikt ważny ani ostrożny. Na szczęście ręka nie bolała mnie bardzo.

- Nie, nic - mruknęłam.

- Wiktorio.

- Tak?

- Miałem pecha, że to Piotra jako pierwszego spotkałaś w swoim życiu. Gdyby było inaczej, to mnie byś pokochała.

W jego głosie słyszałam szczerzy żal. Nic nie odpowiedziałam. Prawdopodobnie miał rację. Piotrek był moją pierwszą miłością. To jego usilnie próbowałam zdobyć, więc na wszystkie sposoby odpychałam diabła. Unikałam pokusy.

Czy miałam teraz powód, żeby unikać jej nadal?

- Chcę wrócić do domu - oświadczyłam.

- Już? - Beleth miał wyraźnie zawiedziony głos.

Wstaliśmy od stolika. Pomachałam Kleopatrze, a ta mrugnęła do mnie znacząco. Przed klubem z całą pewnością stało już krwistoczerwone lamborghini diabła Beletha.

Nagle na ścianie niedaleko nas pojawiły się proste wiśniowe drzwi. Poznaliśmy je bez trudu. Przystojny diabeł zmarszczył brwi.

- Jak on śmie się tu pojawiać! - warknął. - To Piekło!

Do klubu wszedł lekko zdezorientowany Piotrek. Mrugał przez chwilę, usiłując przyzwyczaić wzrok do panującej w nim ciemności. Wyglądał tak bezradnie, gdy rozglądał się, szukając mnie w tłumie.

Serce wbrew mojej woli zabiło żywiej z tęsknoty. Zakłęłam w myślach. Nie chciałam za nim tęsknić.

Piotruś wreszcie nas dostrzegł. Wyraźnie zmarkotniał, gdy zauważył tuż obok mnie diabła Beletha.

- Wiki - odezwał się czarnowłosy śmiertelnik, podchodząc do naszego stolika.

Właśnie, śmiertelnik. W klubie nagle zrobiło się bardzo cicho. Rozmowy ucichły, zniknęła muzyka. Miałam wrażenie, że wszyscy na nas patrzą. Tak zapewne było.

Do mnie już się przyzwyczaili. W końcu przez pewien czas byłam diabolicą. Jednak widok innego żywego odrobinę wytrącił ich z równowagi.

Beleth odepchnął ode mnie mojego byłego ukochanego.

- Nie dotykaj jej!

- Nie wtrącaj się - warknął Piotruś. - Wiki, musisz mnie wysłuchać. Proszę.

- Ona nic nie musi.

- Zamknij się, diable. Ty akurat jesteś ostatnią osobą, której rad powinna słuchać. Już raz ją zamordowałeś. Zamierzasz zrobić to ponownie?

Beleth poczerwieniał. Nic nie odpowiedział. Widziałam, jak pulsuje mu tętnica na skroni. Azazel i Kleopatra się nie wtrącali. Siedzieli na kanapie niewzruszeni, spokojnie obserwując całą scenę.

- Śmiertelnik w mojej restauracji! - wykrzyknął Ramzes II. - Skandal!

- Nie jedyny - wyrwało mi się.

Ramzes II szybko do nas podszedł.

- Bardzo proszę, zachowajcie się jak cywilizowani umarli oraz nieumarli i opuśćcie mój lokal bez wyrządzania nikomu żadnych krzywd, dobrze?

Piotrek posłał mi błagalne spojrzenie.

- Porozmawiaj ze mną.

- Dobrze - zgodziłam się, zanim zdążyłam pomyśleć nad tym, co robię. Wypity alkohol zadziałał. Poczułam przyływ odwagi, który pozwolił mi na konfrontację z Piotrem.

- Wiktorio! - zaprotestował z wyrzutem Beleth.

- Zrobię, co zechcę - wstając, uderzyłam o stół. Szklanki zadźwięczały ostrzegawczo.

Wyszliśmy na ulicę. Chłodne wieczorne powietrze miło orzeźwiało po kilku godzinach spędzonych w dusznym barze. Pachniało morzem. Podjazd oświetlony był pochodniami. Ogień skwierczał głośno w nocnej ciszy.

Stałam naprzeciwko Piotra. Beleth, skarcony moim spojrzeniem, odszedł kilka kroków w bok. I tak wszystko słyszał.

- Wiki - zaczął Piotr. - Wiem, że ostatnią rzeczą, na jaką masz teraz ochotę, jest rozmowa ze mną. Zdaję sobie sprawę z tego, że mi nie ufasz, że nie chcesz słuchać moich wyjaśnień.

W milczeniu pokiwałam głową. Trafnie to ujął. Nie miałam nic do dodania.

Piotrek zaśmiał się pod nosem i spojrzał pustym wzrokiem w przestrzeń gdzieś nad moim ramieniem. Jego pełne wargi wygięły się w gorzkim uśmiechu.

- Teraz każde słowa skruchy czy wyjaśnienia, które przez kilka ostatnich dni układałem sobie w głowie, brzmią pusto i fałszywie... Wiki... Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Ja... - ściągnął brwi. - Ja nie pamiętam... To był jakiś wybuch emocji. Ja nie potrafię tego wyjaśnić.

- Wybuch emocji, co? - diabeł nie wytrzymał i podszedł do nas. - Zdradziłeś ją, śmiertelniku. Najwspanialszą kobietę pod słońcem. Jesteś skończonym idiotą.

- Beleth - westchnęłam. - Daj mu mówić.

Tak naprawdę ubodło mnie to, co powiedział Piotrek. „Wybuch emocji”. To znaczy, że przy mnie nigdy nie doświadczył czegoś takiego? Wydawało mi się, że wręcz przeciwnie, że ostatnie cztery miesiące były niekończącym się pasmem żaru i pożądania.

Zerknęłam na kipiącego ze złości diabła. To jednak on w naszej trójce był mistrzem pożądania.

- Powiedz mi tylko, dlaczego to zrobiłeś? - poprosiłam. - Aż tak źle ci ze mną było?

Powstrzymałam się, żeby nie zacząć płakać. Nie przy nim. Nie teraz. Odwaga napędzana przez procenty gdzieś wyparowała.

- Było mi z tobą wspaniale! - wykrzyknął Piotrek, patrząc mi prosto w oczy. - Przecież wiesz. Ty byłaś dla mnie najważniejsza.

- Chyba właśnie nie byłam najważniejsza, skoro postanowiłeś się zabawić - stwierdziłam gorzkim tonem.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Wszystko jest teraz rozmyte. Ja musiałem...

Spojrzałam na niego ostro.

Musiał?

Zabrzmiało znajomo. Ja kilka miesięcy temu też coś musiałam. Musiałam wejść nocą do parku, by mógł mnie zamordować także uwiedziony diabelskim czarem gwałciciel. To od tamtej nocy i tego rozkazu, którego nawet nie pamiętałam, bo skutecznie usunięto go z mojej pamięci, moje życie wywróciło się do góry nogami. To wtedy poznałam upadłe anioły.

Odwrociłam się szybko do Beletha, żeby zobaczyć, jak zareagował na słowa Piotrka. Miał nieodgadnioną minę.

- Wiki, coś tu jest nie tak - Piotruś spojrzał na mnie bezradnie. - Nie wiem, co mam robić, co powiedzieć. Wróc do mnie. Proszę.

- Wiesz, że nie mogę. Zdradziłeś mnie.

Stojący obok diabeł zaczął się niecierpliwić.

- Dobra, dość już tych łzawych próśb - Beleth wziął mnie za rękę. - Ona nie chce cię widzieć. Odejdź i zostaw ją w spokoju. Teraz nie ty jesteś dla niej najważniejszy - dodał ze złośliwym uśmiechem.

Piotruś poczerwieniał, ale posłusznie odsunął się ode mnie.

- Bądź ostrożna, Wiki, proszę cię - powiedział tylko. - Oni znowu coś kręcą. Będę w pobliżu, gdybyś mnie tylko potrzebowała.

Kiwnęłam głową. Beleth poprowadził mnie do samochodu. Piotrek stał przy Głowie Anubisa i patrzył, jak odchodzimy.

Samotny śmiertelnik w Piekło.

Diabeł otworzył mi drzwiczki samochodu. Wsiadając, nadepnęłam na leżące na chodniku długie czarne pióro.

Patrzyłam pustym wzrokiem przez szybę, podziwiając spowite w mroku zbocza i urwiska Los Diablos. Diabeł nie umiał siedzieć w ciszy. Cały czas narzekał na Piotrka i usiłował mnie utwierdzić w przekonaniu, że słusznie zrobiłam, zostawiając śmiertelnika.

- Musiał. Też coś! Najgłupsza wymówka, jaką kiedykolwiek słyszałem. Mógł wymyślić coś oryginalniejszego. Czyli co on w zasadzie miał na myśli? Musiał cię zdradzić, żeby poczuć coś nowego? Nowy dreszcz adrenaliny? Mając taką wspaniałą kobietę obok siebie? - obruszał się diabeł.

Miałam tego wszystkiego dość. Musiałam pomyśleć nad swoimi uczuciami. Moim głównym problemem było to, że nie ufałam do końca Belethowi. Wiedziałam, że jest notorycznym kłamcą. Musiał nim być - to diabeł.

Jednak po tej zdradzie nie ufałam też Piotrkowi.

Kto okłamywał mnie teraz? Człowiek czy diabeł?

Jadąc krętymi uliczkami, przymknęłam oczy. Wciąż lekko kręciło mi się w głowie. Uśmiechnęłam się pod nosem. Dowiem się, kto kłamie, a potem będę szczęśliwa. Oto mój plan.

Rozdział 10

Następnego dnia, tak jak obiecałam, wybrałam się z wizytą do Kleopatry. Była to nasza ostatnia szansa na rozmowę. Po południu miałam spróbować stworzyć diabłom skrzydła, a potem ruszyć razem z nimi do Nieba na małe zwiedzanie.

Beleth chciał pokazać mi Arkadię, która tyle dla niego znaczyła.

Rezydencja Kleopatry przypominała jej stroje. Była piękna i piekielnie droga. Stylizowana na egipskie pałace z okresu największej świetności tego państwa, posiadała liczne udogodnienia takie jak sauna, jacuzzi, siłownia, prywatne zoo.

Dostałam się do niej za pomocą klucza diabła. Gdy pojawiły się przede mną białe drzwiczki z dziesiątkami kolorowych szkiełek, westchnęłam ciężko. Lubiłam Kleopatę, ale na dłuższą metę tylko z daleka. Potrafiła być bardzo męcząca. Niemniej opiekowała się moim kotem pod moją nieobecność, za co byłam jej bardzo wdzięczna. Najwyraźniej nadszedł moment spłacenia długu.

Zastukałam sześć razy w twarde drewno.

- Ależ proszę - odpowiedział mi sopran Kleopatry.

Nacisnęłam klamkę i weszłam do sporego pomieszczenia, które spokojnie mogło być starożytną salą balową. Pokój łączył się z ogromnym tarasem, rozpościerającym się nad szeroką rzeką z błękitną wodą. Nie zdziwiłabym się, gdyby była to imitacja Nilu stworzona na zamówienie królowej.

Białe szyfonowe firany rozciągały się pomiędzy kolumnami, oddzielając wnętrze od tarasu. Na złotej żerdzi przy złotym tronie siedział sokół w kapturze na główce.

W pierwszej chwili nie zauważyłam Kleopatry. Dopiero jej wołanie zaprowadziło mnie na ocieniony taras. Siedziała tam na pozłacanym leżaku w towarzystwie... rudej dziewczyny z klubu Pod Głową Anubisa.

- Cześć - mruknęłam, zerkając na obcą.

- Usiądź, kochanie - Kleo wskazała mi miejsce obok siebie. - Napijesz się czegoś? Pijemy właśnie martini.

- Nie, dziękuję - usiadłam.

Dzisiaj musiałam być w dobrej formie. Nie mogłam niczego popsuć podczas tworzenia skrzydeł diabłom. Alkoholowe odurzenie nie było mi w tym momencie potrzebne. Jeszcze zamiast skrzydeł z piórami zrobiłabym im skrzydła nietoperza.

Chociaż Azazelowi byłoby z takimi chyba do twarzy.

Ruda towarzyszka Kleo przyglądała mi się pełnym wyższości spojrzeniem. Oceniała mnie, lustrując całą moją sylwetkę. Najwyraźniej to, co zobaczyła, nie spodobało jej się, bo uśmiechnęła się pogardliwie.

- A więc ty jesteś Wiktoria - powiedziała, zniekształcając słowa. Miała bardzo silny amerykański akcent. - Niedoszła diablica - dodała.

- A ty to kto? - zapytałam. - Nowa służka Kleopatry?

Zwróciłam się do królowej, ignorując zaczerwienioną twarz rudej.

- Moja droga Kleo, powinnaś ukrócić jej smycz. Służba powinna wiedzieć, gdzie jej miejsce.

- Nie jestem służką! - warknęła wściekła kobieta i zerwała się z leżaka.

Kleopatra zaśmiała się sztucznie i uniosła do góry dłonie.

- Kochanie, ależ spokojnie. Nie wypada tak się ze sobą droczyć. To jak, zgoda? Porozmawiajmy.

Odchrząknęła znacząco, gdy żadna z nas się nie odezwała.

- W takim razie dokonam prezentacji - klasnęła w dłonie. - Wiktorio, poznaj Phylis, nową diabolicę. Phylis, oto Wiktorio, była diablica.

Wpatrywałam się w rudą, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam. Co? Nowa diablica? Ale jak to?

- Niemożliwe - pokręciłam głową. - Przecież Lucek zarzekał się, że nie będzie więcej diabolic.

Kleopatra wzruszyła ramionami.

- Niby to kobieta zmienną jest, ale widać diabły też cierpią na tę przypadłość - stwierdziła.

Phylis ponownie rozparła się na leżaku. Miałam okazję dokładnie się jej przyjrzeć. Rudoczerwone włosy opadały falami na ramiona. Mocno podkreślone zielone oczy wpatrywały się we mnie ze złością i pogardą. Umalowane czerwoną szminką usta wygięły się w obscenicznym uśmiechu.

Ubiór był nie lepszy. Mocno dopasowany czarno-czerwony skórzany kostium nie zostawiał wyobraźni zbyt wielkiego pola do popisu. Za głęboki dekolt ukazywał jej dość spore piersi. Wyglądały, jakby zaraz miały się wydostać na wolność.

- Wcale nie jest taka ładna - powiedziała Phylis do Kleopatry, traktując mnie jak powietrze. - Nie wiem, kto miał oczy, wybierając ją na to stanowisko.

- Ja przynajmniej nie musiałam ubierać się jak tania dziwka, żeby ktoś zwrócił na mnie uwagę - wymruczałam.

Twarz Phylis pociemniała.

- Uważaj, jak się do mnie odzywasz - warknęła. - Bo możesz mnie popamiętać. Nie jestem głupim śmiertelnikiem. Jestem diabolicą.

- A ja mam Iskrę Bożą, więc weź na wstrzymanie. Zabijałam już diabły.

Moja przeciwniczka oddychała ciężko przez nos. Uśmiechnęła się ponuro.

- O nie, nie zwiedzisz mnie tym. Dobrze wiem, że jesteś słaba i do dzisiaj cierpisz z tego powodu. Słyszałam plotki. Twój blef się nie udał.

Miałam tego dosyć. Nie rozumiałam, po co zostałam tu zaproszona. Jeżeli celem było tylko poznanie tej całej Phylis, to równie dobrze mogłam już iść.

- Kleo, ja już pójdę - oświadczyłam, siłąc się na grzeczny ton. - To spotkanie nie było najmiłsze.

- No dalej, uciekaj - powiedziała złośliwie ruda. Królowa w ślad za mną zerwała się na równe nogi.

- Och nie, Wiki, poczekaj. To nie tak miało wyglądać. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie będę rozmawiała w jej towarzystwie - podparłam się pod boki. Ruda zaśmiała się szyderczo:

- Nie stawaj tak, bo wyglądasz grubo.

- Żegnaj, Syfilis - pożegnałam się z nią złośliwie.

- PHYLLIS! - wycedziła z furją.

Kleopatra złapała mnie za ramię i pociągnęła w stronę wyjścia z tarasu.

- Może porozmawiamy gdzie indziej - zaproponowała szybko. - Poczekaj tu na mnie, Phylis!

- Ma na ciebie czekać? A jednak to służąca - skomentowałam na tyle głośno, żeby ruda jeszcze zdołała mnie usłyszeć.

Królowa prawie biegiem pociągnęła mnie przez szereg pokoi i komnat w swoim pałacu, zupełnie jakby chciała oddzielić mnie od Phylis jak największą liczbą ścian.

W końcu zatrzymałyśmy się w niedużym pokoju przeznaczonym do... kąpieli. A w każdym razie tak wywnioskowałam po wannie mającej ze trzy metry długości i tyle samo szerokości.

- Po co ci taka wanna? - zapytałam.

- Żeby kąpać się w mleku - machnęła niecierpliwie ręką. - A teraz powiedz mi, co ty najlepszego wyprawiasz?! Jeszcze chwila, a rozpętałyby się między wami wojna. Jestem pewna że mój wspaniały pałac mocno by na tym ucierpiał.

Potoczyłam spojrzeniem po ścianach pokrytych kolorowymi hieroglifami i złotem. Miała rację. Trochę zdobień mogłoby odpaść.

- Kto to jest Kleo? I dlaczego mnie tu ściągnęłaś? - zapytałam.

Zrezygnowana usiadła na brzegu wanny. Zająłam miejsce obok niej.

- To nowa diablica. Projekt nie upadł po twoim odejściu. Lucyfer postanowił spróbować jeszcze raz. W końcu ja im się udałam, a potrzebna była jeszcze jedna kobieta. Nie daję rady ze wszystkimi zleceniami. Już zupełnie nie mam czasu dla siebie!

Nie zaobserwowałam tego. Kleopatra sporo czasu spędzała we własnej posiadłości, a także na zakupach. Zerknęłam na wannę. Chociaż gdybym ja miała taką łazienkę, to też bym z niej nie wychodziła.

- Szatan osobiście nadzorował wszystkie procedury. Phylis nie miała w swojej rodzinie przodka obdarzonego Iskrą od nie wiadomo ilu pokoleń. Jeśli chodzi o te siły, jest całkowicie jałowa.

- Pod względem gustu też - wtrąciłam.

- Och, daj spokój, jej ubranie wcale nie jest takie złe - powiedziała niecierpliwym głosem.

Kleo także nie miała na sobie dużo lepszej sukni. Była prawie całkiem przezroczysta, a moja przyjaciółka nie nosiła pod spodem bielizny.

- Czemu mi ją przedstawiłaś? - zapytałam.

- Myślałam, że się polubicie...
- Niedoczekanie. To prawdziwa żoźła.
- Diablica - sprecyzowała Kleopatra. - A diabllice chyba z definicji nie powinny być miłe i usłuzne.

No tak, to dlatego ja byłam taką beznadziejną diabllicą.

- Ciekawe, jakie ona ma wyniki. Zdołała w ogóle namówić kogoś na Piekło? - chciałam wiedzieć.

- Nie przegrała żadnego targu, odkąd otrzymała moc.

Prawie musiałam się pozbierać z podłogi po usłuzzeniu tej rewelacji. To niemożliwe! Ona nie mogła być aż tak skuteczna! Ta tandetna ruda lala? Przecież od razu widać, że jest farbowana! Jak taka bezguściasta baba mogła osiągać sukcesy?

- Na pewno nie trafili jej się tak trudni klienci jak mnie - zaproponowałam. - Gdyby dostała moherowy берет albo innego staruszka, toby sobie nie poradziła.

Kleopatra nic mi na to nie odpowiedziała. Za to westchnęła ciężko:

- Zaprosiłam cię do mnie, ponieważ chciałam, żebyś ją poznała. Przepraszam, że wyszło to tak niefortunnie. Phylis, zresztą tak jak ty, nie ma szlacheckich korzeni. Nie sądziłam jednak, że jest aż taką plebejką. Nie wiem, co się dzieje. Lucyfer chyba traci gust - uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Ty pomimo braków w rodowodzie byłaś świetną diabllicą.

Podziękowałam jej, zaskoczona tym niespodziewanym komplementem.

- A drugim powodem mojego zaproszenia cię było to, że już postanowiłam, co zrobię z Azazelem - oświadczyła.

- I co zrobisz? - zapytałam zaciekawiona.

Rzuci go?

Pojmie i będzie torturować?

Wykastruje?

- Porozmawiam z nim.

Przyznaję, że byłam zawiedziona. Myślałam, że Kleo ma większą wyobraźnię.

- Dzisiaj zrobisz im skrzydła, prawda? - upewniła się.

- Tak.

- Porozmawiam z nim i zobaczymy, co zdecyduje. Czy zostaje ze mną w Piekło i ze swoimi nowymi skrzydłami, czy idzie do Nieba.

Nie wierzyłam w to, co słyszę. Kleopatra miałyby poddać się bez walki? To do niej niepodobne.

- Tak po prostu pozwolisz mu odejść? - zdziwiłam się. - A co będzie, jeśli wybierze Niebo?

Na twarzy Kleo pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Nie martw się, kochanie. Znajdę sposób. Już ja go przy sobie zatrzymam. Czy tego chce, czy nie.

Zdecydowanie nie chciałabym mieć w niej wroga.

- W takim razie ja uciekam. Pozdrów ode mnie Syfilis.

- Phylis - poprawiła mnie, odrobinę zbita z tropu. - Czemu przekręcasz jej imię? Co to znaczy syfilis?

- Ona zrozumiała. To pewna choroba. Niech ci wyjaśni jaka.

Rozdział 11

Kleopatra nie przyszła na zabieg. Najwyraźniej nie ciekawiła jej cała procedura.

Azazel siedział, wpatrując się wyczekująco w drzwi.

Obok niego na wysokim stołku kiwała się Śmierć. Tylko ona jedna z naszych znajomych przyszła kibicować.

Niby była bezcielesna, ale falowanie jej habitu wskazywało, że wesoło machała nogami. Bawiło ją to, co zaraz mieliśmy zrobić.

Beleth spojrzał na mnie wyczekująco.

Znajdowaliśmy się w mojej kuchni. Wszystko w tym pomieszczeniu było białe lub chromowane. Wręcz klinicznie czyste. To chyba dlatego wybrałam właśnie kuchnię do tak zwanej operacji.

Nie podejrzewałam, żeby podczas tworzenia skrzydeł ktoś zaczął krwawić albo wydalać jakieś inne płyny ustrojowe, zawsze jednak lepiej być ostrożnym i przygotowanym.

Kleopatra wciąż nie przychodziła. W końcu uznałam, że nie ma sensu na nią czekać.

- Zaczynamy - klasnęłam w dłonie.

Diabeł Azazel niechętnie zdjął czarną koszulę.

Miał śnieżnobiałą skórę na piersi. W jednym miejscu szpeciła ją długa, przypalona blizna. To w tym miejscu zranił go diabelski gorejący miecz, gdy usiłowaliśmy ratować ludzi z Iskrą Bożą.

Uratowałam wtedy Azazela, zasklepiając ranę i odtwarzając tkankę. Kto wie, czy nie zginąłby, gdybym tego nie zrobiła? Mogłam zlikwidować także bliznę.

Trochę się bałam, czy zdołam zwrócić im skrzydła. Nie wiedziałam, czy posiadam taką samą siłę. Poprzednio byłam pełnoprawną diablicą, a nie tylko człowiekiem, który zjadł jabłko z Drzewa Poznania Dobra i Zła.

- Jesteście gotowi? - zapytałam, sama dodając sobie tym otuchy. - To który pierwszy na ochotnika?

Azazel i Beleth spojrzeli po sobie. Mój przystojny diabeł przeczesał dłonią czarnego irokeza. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Próbuj na mnie - usiadł plecami do mnie. Azazel odetchnął z ulgą i puścił do mnie oko.

- Tylko pamiętaj, lubię go. Nie zabij go przypadkiem - zaśmiał się.

Aż miałam ochotę powiedzieć do niego „avada kedavra” i zamachać palcem jak Harry Potter. Powstrzymałam się, bo i tak nie zrozumiałby aluzji...

Stałam za Belethem. Jego oliwkowa skóra pleców była ciepła i aksamitna w dotyku. Na obu łopatkach znajdowały się poszarpane czarne blizny.

Ślady po odciętych przed tysiącletnimi skrzydłach.

Położyłam na obu dłonie i zamknęłam oczy.

- Lubię, jak mnie dotykasz - stwierdził Beleth niskim, zmysłowym głosem. Azazel za moimi plecami zachichotał złośliwie, kiedy zauważył, że się zaczerwieniłam.

- Bądź cicho, usiłuję się skupić - warknęłam. - Chyba że chcesz mieć na plecach drugą parę rąk.

Diabeł przezornie zamilkł, a ja z całych sił skupiałam się na znalezieniu w sobie mocy. Ona gdzieś tam była, gdzieś głęboko w środku. W klatce piersiowej. Czasami, gdy miałam jej użyć, czułam, jakby coś się tam we mnie ruszało. Żyło.

Wyobraziłam sobie skrzydła. Poczułam, jak coś porusza się pod skórą Beletha tuż przy moich dłoniach. Delikatny ruch, uniesienie.

Skrzydła.

Skrzydła.

Skrzydła.

Kość, ścięgno, tętnica, żyła, pióro.

Czułam, jak coś z mojej piersi przepływa do ramion, potem do rąk i wpływa do ciała Beletha poprzez moje palce. Płynęło. I płynęło.

Czułam, że to się kończyło. Wzięłam głęboki oddech, lecz mimo to do moich płuc nie dostało się powietrze. Mimo że miałam otwarte oczy, nic nie widziałam. Choć chciałam się odezwać, z moich ust nie popłynęło żadne słowo.

Opadłam na kolana.

Miałam teraz plecy Beletha na wysokości twarzy. Oparłam policzek na oliwkowej skórze. Czułam, jak drżała pod dotknięciami mocy. Przystojny diabeł chciał wstać, ale Azazel go powstrzymał. Kazałam im nie przerywać mi, gdy będę tworzyła. Postanowiłam skończyć to, co zaczęłam. Na własną odpowiedzialność. Kto wie? Może gdyby mi przerwali, już nigdy by mi się coś takiego nie udało?

Ciemność rozlewała się jak plama przed moimi oczami.

Skrzydła. Skrzydła. Skrzydła. To jedno słowo tłukło mi się uparcie po głowie.

Już.

Moje dłonie odskoczyły od łopatek Beletha. Osunęłam się na podłogę. Piękny diabeł w jednej chwili znalazł się przy mnie. Zdążył mnie złapać, nim uderzyłam głową o posadzkę.

- Wiki! Wiki! Nic ci nie jest? - wziął mnie w ramiona.

Otworzyłam oczy. Wreszcie zaczęłam widzieć. Spojrzałam na mojego zatroskanego diabła. Dotknęłam jego stworzonych do całowania ust. Cofnęłam rękę, sama zaskoczona tym czułym gestem.

- Chyba - wydusiłam. - Chyba mi się udało.

- Udało? Jakie udało?! - krzyknął zawiedziony Azazel, spacerując w tę i z powrotem za plecami Beletha. - On nie ma żadnych skrzydeł. Nic. Jedyne, co zrobiłaś, to usunęłaś blizny. To katastrofa!

Stanął nade mną, dalej się awanturując:

- Nie ma skrzydeł. W ogóle. Zobacz. Ma gładkie plecy. No i cały nasz plan szlag trafił! Kurwa!

Beleth zamknął oczy. Poczul to.

One tam były.

Anioły nie chodziły cały czas ze skrzydłami na wierzchu. Beleth już kiedyś mi to tłumaczył. Nie robiły tego, bo po prostu było to niepraktyczne i niewygodne. Według mnie skrzydła pokazywały tylko wtedy, gdy chciały zrobić wrażenie na śmiertelnikach. Pozerzy.

- Mam je - szepnął Beleth.

Podniósł się wolno, pomagając mi wstać. Zamknął oczy. Na jego usta powoli wypłynął szeroki uśmiech.

- Mam je - powtórzył.

Zafascynowana przyglądałam się jego plecom. Na gładkiej skórze pojawiły się dwie wypukłości na wysokości łopatek. Skóra rozstąpiła się, ale nie pękła. Gładko zaczęły się z niej wysuwać lotki.

Złote pióra robiły się coraz dłuższe. Skrzydła rosły, aż w końcu przewyższyły Beletha, który śmiał się radośnie i beztrąsko niczym mały chłopiec.

Rozłożył je na próbę. Słońce zabłysło w lotkach, zupełnie jakby były zrobione ze szczerzego kruszcu.

Były piękne. Miały ten sam odcień płynnego złota, co tęczęwki oczu przystojnego diabła.

Beleth spojrział tęsknie na okno. Już chciał wypróbować skrzydła.

Azazel patrzył na niego z szeroko otwartymi ustami. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Zaśmiał się złowieszczo.

- Udało ci się! - zawołał zafascynowany. - Naprawdę ci się udało!

Beleth odwrócił wzrok od okna i pokłonił mi się.

- Dziękuję ci, Wiktorio. Jestem twoim dłużnikiem. A teraz wybaczcie.

Szybkim krokiem wyszedł z mojego salonu na werandę i dalej na zwirową ścieżkę. Usłyszeliśmy łopot olbrzymich skrzydeł i jego śmiech. Odleciał szybować razem z ptakami nad zboczami Los Diablos.

Odetchnęłam głęboko. Zawroty głowy i mroczki przed oczami minęły. Szybko wracałam do sił. Mogłam się już zająć Azazelem. Spojrzałam na niego wyczekująco. Wyglądał przez okno i podziwiał powietrzne wariacje Beletha.

Usiadł przede mną na miejscu, które poprzednio zajmował przystojny diabeł. Jego zuchowata mina powoli zniknęła z twarzy. Zerknął tęsknie na drzwi.

- Chcesz stąd wyjść, czy czekasz, aż Kleopatra przyjdzie? - zapytałam złośliwie.

Zły odwrócił się w moją stronę.

- Na nic nie czekam. Zaczynaj - rozkazał.

Pokręciłam głową, Śmierć zachichotała na stołku obok mnie. Azazel już się wczuwał w rolę przyszłego Archanioła.

Skupiłam się z całych sił i powtórzyłam to, co zrobiłam z Belethem. Było mi ciężej niż poprzednio, ale dałam radę. Nie stało się nic nieoczekiwanego. Ręce mi nie wybuchły, głowa nie odpadła ani nie umarłam, tak jak początkowo się obawiałam.

Gdy tylko odsunęłam się od diabła, ten zerwał się na równe nogi i zaczął tworzyć skrzydła. Jego pióra były błękitne. Błyszczały jak zrobione z metalu. Takie same jak dwa małe piórka, które nosił na szyi na rzemyku.

Zrozumiałam, że miał je zawsze na sobie z sentymentu i tęsknoty za utraconymi kończynami. Nie podejrzewałam, że był taki uczuciowy. Nawet zrobiło mi się go żal. Zaraz jednak mi to przeszło, gdy nawet nie mówiąc „dziękuję”, wybiegł na zewnątrz wypróbować skrzydła.

Wyszliśmy ze Śmiercią przed dom. Na tle białych chmur widać było dwa kształty mieniące się złotem i błękitem, kręcące w powietrzu szalone spirale i prześcigające się w podniebnych wyczynach.

Wywołają prawdziwą sensację w Niższej Arkadii. Nie ma co.

Rozdział 12

Skrzydła wywołały sensację.

Następnego dnia tylko do dwunastej rano zgłosiło się do mnie sześćdziesiąt sześć diabłów z prośbą o zwrócenie skrzydeł. Nie wiem dlaczego, ale przyszedł też jeden demon. Może myślał, że zrobię z niego diabła?

Na razie zdołałam się wykręcić, twierdząc, że moce mi się skończyły, ale sądzę, że długo moja bajeczka nie przetrwa.

Już widzę, jak Lucyfer wydaje jakiś specjalny dekret zakazujący mi używania mocy. Władca Piekieł nie mógłby się przecież pogodzić z faktem, że wszyscy jego demoniczni poddani chcą mieć skrzydła niczym anioły. Tego by jeszcze brakowało, żeby nagle większość mieszkańców Niższej Arkadii stwierdziła, że woli mieszkać w Niebie. Szatan by się chyba zapłakał i zamknął w sobie.

Oczywiście wcześniej pewnie skróciłby mnie o głowę pod pretekstem wszczynania zamieszek...

Pogłaskałam leżącego na moich kolanach Behemota po miękkim kremowo-rudym uchu. Zamiauczał przeraźliwie, wpatrując się we mnie olbrzymimi oczami.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziałam. - Naprawdę nie chcesz iść ze mną? Kotek pokręcił przecząco łebkiem i znowu miauknął.

Rozumiałam, dlaczego nie chciał ze mną iść. Mój demoniczny pieszczołch niezupełnie pasował do Arkadii.

Postawiłam go na chłodnej terakotowej podłodze w salonie. Usiadł i smutno zwiesił łebek. Odprowadził mnie spojrzeniem do drzwi, za którymi czekał już na mnie Beleth i Azazel.

- Cały dom jest twój - oświadczyłam mu. - Możesz drzeć wszystkie poduszki, pościel, firanki. Wszystko jest twoje.

Kotek pochylił główkę, jakby rozważał moją propozycję.

- Będę cię odwiedzać - obiecałam mu. - A ty wpadaj do mnie czasem na Ziemi. Znasz adres.

O ile wskutek nieoczekiwanych zwrotów akcji i wydarzeń, z całą pewnością zupełnie niezależnych od diabłów, będę jeszcze mogła kiedykolwiek wrócić na Ziemię...

Dzisiaj mieliśmy wyruszyć do Nieba. Miałam złe przecucia co do tej wyprawy.

Beleth uśmiechnął się do mnie szeroko, gdy stanęłam obok niego. Azazel posłał mi tajemnicze spojrzenie.

Poza nami w moim ogródku, pomimo że się na to nie zgodziłam, było całkiem sporo osób. Kilkoro diabłów znałam. Dodatkowo pojawili się dawno zmarli śmiertelnicy, którzy znaczyli coś w Piekło.

Pożegnalna impreza rozkręciła się na moich rabatkach z kwiatami.

Kleopatra dzisiaj także nie przyszła. Zamierzała porozmawiać z Azazelem po przemianie, czyli ich wesoła pogawędka już się odbyła. Czyżby królowa go w końcu rzuciła? A może on ją?

Azazel stał obok mnie, a zatem najwyraźniej wybrał Niebo. Nie zaskoczyło mnie to.

- Gotowa? - zapytał Beleth, wyrywając mnie z rozmyślań.

- Tak - kiwnęłam głową. - A jak dostaniemy się do Nieba?

Azazel podszedł bliżej. Przestał już rozglądać się po otaczającym nas tłumie. Ja starałam się na nikogo nie patrzeć. Wszędzie widziałam, jeśli nie zachwyty nad moimi mocami, to zazdrosne spojrzenia. A zazdrość jest niebezpieczna.

- Bardzo kulturalnie - wyjaśnił. - Drzwiami.

- To się tak da? - zdziwiłam się.

Azazel posłał mi pełne wyższości spojrzenie.

- Oczywiście, że tak...

Odkąd stworzyłam mu skrzydła, ani razu ich nie złożył. Teraz także niby mimochodem rozpostarł je na chwilę. Otaczający nas tłum westchnął z zachwyty i żalu.

Diabelskie drzwi prowadzące do Nieba - intrygujące. Czyżby to oznaczało, że klucz diabła jest jednocześnie kluczem anioła? A może mieszkańcy Arkadii mieli inne sposoby na przemieszczanie się z miejsca na miejsce?

- Kto z nas tworzy przejście? - zapytał przystojny diabeł.

- Przecież to proste, ja - zachnął się Azazel. - Wrócę tam w chwale. A moja potęga oślepi wszystkie anioły!

Zerknęliśmy po sobie z Belethem, ale żadne z nas nie skomentowało przemowy diabła. Dość często zdarzały mu się takie złote myśli.

- Poza tym moje drzwi wyglądają okazalej od waszych - Azazel uśmiechnął się złośliwie i przekreślił swój klucz diabła w ścianie mojego domu.

Miał trochę racji. Dopóki mój klucz znajdował się w posiadaniu Piotrusia, korzystałam z klucza Beletha. Jego przejście było bardzo ładne - niczym turecka lampa. Jednak nie do porównania z wysokimi czarnymi wrotami Azazela. One były... demoniczne. Idealne do wielkich wejść.

Wzięłam głęboki oddech. Będę odważna.

Azazel sięgnął do klamki.

- Jak tam jest? - zapytałam szybko Beletha.

- Pięknie.

Azazel niecierpliwie szarpnął drzwi. Poraziło nas białe światło. Zamknęłam oczy i zatrzymałam się, ale Beleth pociągnął mnie za sobą. Przekroczyłam próg. Za naszymi plecami głośno wiwatowali mieszkańcy Niższej Arkadii.

Gdy zdołałam już otworzyć oczy, wrota za naszymi plecami zamieniły się w lśniący w powietrzu kontur. Zapadła głucha cisza. Za to przed nami...

Mleczna, lekko różowa mgła rozlewała się pod naszymi stopami, zakrywając ziemię i nasze buty. Beleth wciąż trzymał mnie za rękę. Pociągnął mnie teraz szybko w stronę... bramy do Nieba.

Zaraz... bramy?

Piekło w przeciwieństwie do Nieba nie było ograniczone żadnym murem. Tam każdy był witany z szeroko otwartymi ramionami i wesołym, choć odrobinę fałszywym uśmiechem. Za to Arkadia? Jak okiem sięgnąć, w obie strony ciągnęło się metalowe ogrodzenie.

Srebrne wysokie sztachety zakończone były złotymi ostrzami mieniającymi się w słońcu. U dołu ogrodzenia co dziesięć metrów siedziały dziwne stwory.

Powoli ruszyliśmy w stronę złotych wrót. Tu także znajdowały się te tajemnicze postacie. Były to chyba złote rzeźby istot podobnych do małych o czterech ramionach. W całości wykonano je z drogiego kruszcu, każda miała oczy zrobione z olbrzymich rubinów, a w dłoni zakrzywioną srebrną szablę. Z półotwartych ust wystawały im kawałki pergaminu. Były całkiem ładne, gdy błyszczały wesoło w słońcu.

Chciałam podejść, żeby przyjrzeć im się z bliska i dotknąć ich, ale Beleth złapał mnie mocno za ramię.

- Nie zbliżaj się do nich - ostrzegł.

- Dlaczego? - zaoponowałam. - Przecież to tylko rzeźby.

Azazel pokiwał przecząco głową.

- To nie są rzeźby. To złote golemy.

Co tu robiły golemy? O ile dobrze pamiętałam, były jakimiś mitycznymi żydowskimi morderczymi potworami.

- A one przypadkiem nie powinny być z gliny? - zdziwiłam się.

- Te tworzone przez ludzi były z gliny - wyjaśnił mi Beleth. - Te stworzone przez świętego Piotra są ze złota.

Po raz kolejny moja niewielka wiedza zdobyta na lekcjach religii została wyrócona do góry nogami.

- Ale dlaczego święty Piotr tworzy golemy? - zapytałam zdumiona.

Beleth mocniej ścisnął mnie za rękę i uśmiechnął się do mnie ciepło, tak jak ludzie uśmiechają się do małych dzieci.

- Wiesz, kto to święty Piotr?

Poczułam się jak bachor pouczany przez nauczyciela.

- Oczywiście, że wiem! - oburzyłam się. - To apostoł. Poza tym był pierwszym papieżem. A w miejscu jego śmierci stoi Bazylika św. Piotra w Rzymie.

Diabły spojrzały po sobie.

- To najkrótsza biografia świętego Piotra, jaką kiedykolwiek słyszałem - zaśmiał się Azazel. - Niemniej zgrabnie ujęłaś wszystko, co najważniejsze. Zapomniałaś tylko dodać, że święty Piotr stoi u bram Niebios i pilnuje wejścia. Trafiła mu się posada odźwiernego.

Rozejrzałam się w obie strony, ale wszystko przysłaniała kłębiąca się mleczna mgła. Nie mogłam dojrzeć nawet tego, co znajdowało się za ogrodzeniem. Niemniej nigdzie nie widziałam żadnego człowieka.

- To gdzie on jest? - jeszcze raz spróbowałam go wypatrzeć.

- Skoro zamiast niego stoją golemy, to pewnie gra na Polach Elizejskich w golfa - oznajmił mi Beleth. - Jest naprawdę niezły. Potrafi wygrać z każdym. Ostatnio namiętnie współzawodniczył z Bobbym Jonesem. To jeden z najslawniejszych golfistów na świecie. To znaczy był, bo już umarł.

Przestałam słuchać paplaniny diabła. Hm, skoro Lucyfer ogląda filmy z Angeliną Jolie, to czemu święty Piotr nie miałby grać w golfa?

- Aha - mruknęłam. - A czemu nie wchodzimy do środka?

Azazel dmuchnął na mlecznoróżową mgłę kłębiącą się przy ogrodzeniu. Użył mocy piekielnych, ponieważ od zwykłego dmuchnięcia nie rozeszłaby się tak szybko.

Naszym oczom ukazał się w oddali widok Arkadii. Najpierw mgła odsłoniła kilka marmurowych schodków prowadzących do bramy, a potem zobaczyliśmy, co znajduje się za nią.

Na tle błękitnego nieba błyszcząły złote, szmaragdowe i różowe kopuły. Odrobinę bizantyjskie niczym Bazylika św. Marka w Wenecji. Mieniły się, odbijając światło. Przez chwilę wydawało mi się, że zobaczyłam gdzieś nad nimi sylwetkę z szeroko rozpostartymi skrzydłami. To musiał być anioł! Prawdziwy anioł!

Piękne!

- Nie wchodzimy do środka, bo gdybyśmy podeszli bliżej, golemy odrąbałyby nam głowy. Mają w dłoniach miecze z gatunku gorejących - skwitował kwaśno Azazel.

Od roziskrzonych w słońcu kopuł wróciłam spojrzeniem do rzeźb. Stały nieruchomo. Zrozumiałam teraz ostrożność diabłów. Istoty piekielne można było zabić tylko na dwa sposoby. Pierwszym było obcięcie głowy lub po prostu rozczłonkowanie gorejącym ostrzem.

Drugim zaś sposobem było namówienie kogoś takiego jak ja, żeby je zniszczył.

- To jak tam wejdziemy? - zapytałam.

Azazel zamiast mi odpowiedzieć, delikatnie przesunął stopą po niewidocznej posadzce ukrytej we mgle. Stał na pierwszym stopniu.

- Chcemy rozmawiać ze świętym Piotrem - oznajmił w przestrzeń.

Nawet nie zdążyłam zdziwić się, co robi, bo nagle z głośnym chrzęstem poruszyła się głowa golema znajdującego się najbliżej niego. Skierował na Azazela swoje niewidzące rubinowe oczy. Następnie wstał i rozpostarł z przeraźliwym zgrzytem dwie pary złotych skrzydeł. Kpiąc sobie z grawitacji, wzbił się w powietrze i młócąc skrzydłami, przeleciał na drugą stronę bramy.

Golemy były dość głośne w użyciu. Chyba jednocześnie miały służyć za alarm dźwiękowy.

Zorientowałam się, że cały czas kurczowo trzymam Beletha za rękę. Zawstydzona puściłam go i objęłam się ramionami.

Zza ogrodzenia wyleciał mały ptaszek, żółty kanarek. Pierwszy malutki mieszkaniec Nieba, którego spotkałam. Kołował nad głową jednego ze złotych wartowników. W końcu usiadł na jej czubku i zaczął wesoło świergotać. Nie minęła chwila, a na błyszczącą rzeźbę poleciało ptasie guano.

Tak szybko, że ledwo to zauważyłam, złoty golem machnął szablą nad swoją głową. Usłyszeliśmy tylko, jak ptaszek pacnął na marmurową posadzkę ukrytą w mlecznoróżowej mgle.

Przełknęłam z trudem ślinę i z powrotem przysunęłam się do Beletha.

- Można je jakoś zniszczyć? - zapytałam.

- Tak - odparł. - Zobacz, każdy z nich ma w ustach kawałek pergaminu. Jest na nim napisane słowo „emet”, czyli po hebrajsku prawda. Jeżeli wyjmiesz golemowi z ust tę kartkę i wymażesz pierwszą literę, to powstanie słowo „met”, czyli śmierć. Wtedy golem ginie. Trzeba jednak uważać, bo one są bardzo uparte. Jak któregoś z nich zaatakujesz, to nie będzie takiego miejsca na Ziemi, w Niebie czy w Piekło, w którym cię nie znajdzie, by cię zniszczyć.

- Czy komuś udało się wyjąć tę kartkę?

Nie wyglądało to na zbyt łatwe zadanie. Kanarek nawet nie zbliżył się do ust potwora, a już został zlikwidowany.

- Z tego, co wiem, jeszcze nikt nie zdołał tak rozbroić złotego golema. To bardzo dobrzy strażnicy.

Na wszelki wypadek cofnęłam się o krok.

- A czemu nie stworzymy sobie drzwi po drugiej stronie ogrodzenia? - zapytałam. - Uniknęlibyśmy wtedy przechodzenia przez bramę.

- Dopóki nie zostaniemy wpuszczeni do Nieba i administratorzy nie wypełnią jakichś tam papierków o naszym pobycie, nie możemy sami przestąpić granicy Arkadii - wyjaśnił mi Azazel. - Ale potem możemy tworzyć sobie drzwi, gdzie tylko chcemy.

- Administratorzy? To Niebo jest tak samo biurokratyzowane jak Piekło? - zdziwiłam się.

- Tak - potwierdził Beleth. - Tyle że w Niebie ta jednostka nie nazywa się Urząd, a Administracja.

W tej chwili ciszę przerwało mechaniczne młócenie powietrza. Znad bramy Niebios wyleciał złoty golem, trzymając pod pachy starszego jegomościa w długiej kremowej szacie. Jak zauważyłam, spod togi wystawały mu stopy odziane, o dziwo, nie w sandały jezuski, ale w profesjonalne buty do golfa.

To musiał być święty Piotr.

Dodatkowo, gdybym nie poznała butów, znaczną podpowiedzią byłby kij golfowy, który trzymał w zaciśniętej dłoni.

Golem postawił go na marmurowej posadzce, z której odgarnął mleczną mgłę skrzydłami, i usiadł na swoim miejscu przy bramie, stając się na powrót nieruchomą rzeźbą.

Święty Piotr otrzepał szatę, przyglądził białą, lekko skołtunioną od wiatru brodę i spojrzał na nas wyczekująco.

- Słucham? - zapytał.

Azazel rozpostarł szeroko ramiona i wykrzyknął z uśmiechem:

- Staruszkule! Kopę lat!

Nie wiem, czego oczekiwał od świętego, ale jeśli myślał, że ten rzuci mu się w ramiona ze łzami w oczach, to grubo się pomylił. Zastanawiałam się przez chwilę nad tym, czy w ogóle się znali. Azazel został strącony z Nieba po tym, jak poparł Lucyfera. Następnie siedział w więzieniu za doprowadzenie do epoki lodowcowej. Chyba przegapił moment, w którym święty Piotr otrzymał stanowisko. A może nie? Może po prostu tutaj wszyscy znali wszystkich?

Tak jak podejrzewałam, brodaty mężczyzna zmrużył podejrzliwie oczy i nie ruszył się z miejsca. Ani myślał zbliżyć się do Azazela.

- To, że masz skrzydła, diable, nie czyni cię moim sprzymierzeńcem - oświadczył spokojnym, głębokim głosem.

Święty Piotr miał mądre spojrzenie starszego mężczyzny, który niejedną rzecz widział w swoim życiu. Doświadczenie odbiło się też na jego twarzy, znacząc ją siecią drobnych mimicznych zmarszczek. Azazel opuścił ramiona rozdrażniony.

- No dobra, dziadku, nie obchodzi mnie, co o nas myślisz. Rusz tyłek i otwieraj bramę, bo się wkurzę, a wtedy zrobię się nieuprzejmy. Wróciliśmy do domu, wchodzimy!

Święty nie zdenerwował się na jego słowa. Wszystko przyjmował ze stoickim spokojem. U bram Nieba pewnie wielokrotnie spotykał się z awanturnikami, którzy usiłowali się dostać do środka.

- Wiem tylko, że dwa diabły mają się stawić w Administracji. O tej dziewczynie nie słyszałem - oświadczył.

Miał rację. Nikt mnie do Arkadii nie zapraszał. Zabranie mnie tutaj było prywatną inicjatywą moich towarzyszy. Chociaż podejrzewam, że potajemnie Lucyfer z nimi sympatyzował. Jemu chyba najbardziej ze wszystkich mieszkańców Piekieł zależało na tym, żeby raz na zawsze pozbyć się z Niższej Arkadii diabłów, a także mnie.

- To nasza dobrodziejka - Azazel objął mnie ramieniem. - Dzięki niej odzyskaliśmy skrzydła. W nagrodę chcieliśmy przedstawić ją największym sławom w Niebiosach. Poza tym to sierota! Jej rodzice zmarli, gdy była jeszcze dzieckiem. Przebywają aktualnie w Arkadii. Wiktoria bardzo pragnie ich zobaczyć. To niesamowicie samotna dziewczyna pozostawiona na ziemskim padole na pastwę okrutnego losu! Sierota!

Odchrząknęłam lekko. Azazel odrobinę się zagalopował. Już nie róbmy ze mnie męczennicy. Nie było mi łatwo. Było nawet bardzo ciężko. Jednak dzięki wsparciu mojego starszego brata Marka wyszłam na ludzi.

Chociaż biorąc pod uwagę towarzystwo, z którym się obecnie zadawałam, chyba nieco zboczyłam z prostej ścieżki...

Oblicze świętego Piotra odrobinę złagodniało.

- Sam nie wiem - westchnął i wyjaśnił już wcale nie tak pewnym głosem:
- Miałem wpuścić dwa diabły. O dziewczynie nikt mi słowem nie wspomniał.

Azazel nic nie powiedział, tylko gładził mnie pocieszająco po ramieniu i robił smutne oczy do świętego. Pewnie także powinnam udawać smutnego szczeniaczka, ale było to poniżej mojej godności. Święty Piotr musi zdecydować sam, zgodnie ze swoim sumieniem.

- No dobrze - w końcu złamał się. - Ciebie też wpuszczę. W Administracji zdecydują, czy możesz zostać na dłużej.

Święty odwrócił się do nas plecami i podszedł do złotej bramy. Golemy nawet nie drgnęły. Najwyraźniej nie reagowały na swojego stwórcę.

Dopiero teraz zauważyłam, że po prawej stronie od wejścia wisiał mały srebrny dzwon, z którego zwieszała się długa lina. No proszę, czyżby Niebo miało dzwonek do drzwi? Święty Piotr pociągnął za sznur siedem razy. Siedem czystych dźwięków potoczyło się nad wzgórzami Arkadii.

Złota brama powoli zaczęła się otwierać. Ciepły wiatr poruszył moimi włosami. Doszedł do nas zapach kwiatów i owoców. Wcześniej go nie czuliśmy, zupełnie jakby złota brama skutecznie nie przepuszczała powietrza. Usłyszeliśmy śpiew ptaków.

Różowa mgła pojaśniała, ukazując naszym oczom mnogość szczegółów. Tuż za ogrodzeniem stały piękne pastelowe budowle ozdobione roślinami, złotem i drogimi kamieniami.

- W takim razie zapraszam was, moi mili, do Nieba - uroczystym tonem oświadczył święty Piotr. - Oto Arkadia!

Rozdział 13

Wolnym krokiem szliśmy za świętym Piotrem uliczką wyłożoną różowym marmurem. Dookoła nas wszystko było czyste i kolorowe. Dominowały pastele, nie było raczej zdecydowanych barw. Czerwony zdarzał się rzadko, czarnego nie widziałam prawie wcale. Czyżby była to barwa zarezerwowana dla zła?

Zerknęłam na idącego obok czarnowłosego Azazela. Miał na sobie czarną koszulę i spodnie. Jedyne na szyi niebieskie piórko zawieszane na rzemyku przypominało, jakiego koloru miał skrzydła. Nie wiem, czemu je ukrył. Zrobiłby większe wrażenie na wejściu, gdyby się nimi chwalił.

Czarny Azazel. Tak - czerń zdecydowanie była zarezerwowana dla zła.

Na ulicy, którą szliśmy, było cicho i spokojnie. Zmarli obywatele przechadzali się, nigdzie się nie spiesząc. Ubrani byli w stroje z różnych epok, tak samo jak w Piekło, tutaj jednak ubrania były bardziej stonowane, spokojniejsze. Nikt nie gorszył głębokim dekoltem czy krótką spódnicą. Fakt, zobaczyłam kilkoro ludzi ubranych w skóry, ale one też nie puły efektu całości.

Wolno minął nas zabytkowy bentley. Z jego rury wydechowej wydostawały się mydlane bańki błyszczące w słońcu. Auto wyglądało, jakby było rekwizytem z filmu wyprodukowanego w latach pięćdziesiątych. Za kierownicą siedział starszy mężczyzna.

Chwilę później minął nas jeździec na koniu.

Wszystko było takie spokojne. W Piekło także nikt się nie spieszył. W końcu wszyscy mieli wieczność na załatwienie swoich spraw.

Prosto na nas jechała dwójka dzieciaków na rowerach. Usunęliśmy im się z drogi, a oni minęli nas ze śmiechem, wprowadzając trochę wesołego rozgardiaszu do tego stonowanego krajobrazu.

Beleth szedł obok mnie uśmiechnięty od ucha do ucha. Zupełnie nie przypominał tego dawnego diabła, którego poznałam w Niższej Arkadii. Nie szydził z mieszkańców Nieba, nie krytykował ich ubiorów i zachowań. Nie trajkotał, w czym to niby Piekło jest lepsze. Cieszył się jak dziecko, że miał okazję znowu się tu znaleźć i iść ulicami tego pięknego, odrobinę baśniowego miasta.

Tuż przed nami wyrosła duża, kilkupiętrowa budowla z setkami kwadratowych okienek z białymi okiennicami. Nie miała na szczycie kopuły, tylko spadzisty dach z powyginanymi srebrnymi rynkami, przypominający pagodę.

- Oto Administracja - oświadczył nam święty Piotr, zatrzymując się przy wejściu.

Mówiąc to, oparł się na kiju golfowym niczym na lasce. Uśmiechnął się, spoglądając na budynek. Chyba lubił tu przychodzić.

Nie rozumiałam tego. Jak można lubić chodzenie po urzędach?

- Gdy przekroczycie jej próg, każdy z was dostanie swojego własnego konsultanta, który pomoże wam załatwić formalności... Uważaj na siebie, dziecko - święty Piotr położył mi rękę na ramieniu. - Spotkaj się z rodziną i jak najszybciej wracaj na Ziemię. To nie jest ani miejsce, ani czas dla ciebie.

Kiwnęłam głową.

Staruszek spojrział z potępieniem na diabły obok mnie. - Ani towarzystwo... - dodał ponurym głosem. - Bądźcie zdrowi!

Następnie odwrócił się do nas plecami i wesoło postukując w marmury kijem do golfa, ruszył w stronę, z której przyszliśmy.

Polubiłam go. Był miły. I znał się na ludziach, a raczej diabłach.

- Wchodzimy! - klasnął w dłonie Azazel.

Zgodnie ruszyliśmy po marmurowych schodach. Przesunęłam dłonią po także marmurowej poręczy. Były na niej roślinne motywy kute ze złota i wprawione sprawnie w kamień.

W środku Administracja w niczym nie przypominała piekielnego Urzędu. Prędzej wyglądała na elegancki szwajcarski bank albo jakąś prywatną klinikę.

Ściany, pomalowane na blad różowy kolor, były ozdobione u dołu drewnianą, luksusową boazerią. Podłogę także wyłożono marmurami, jednak tym razem szarobiałymi. Przykryto je czerwonym perskim dywanem. Moje stopy od razu się w niego zapadły.

Wszędzie stało mnóstwo dużych roślin doniczkowych - palm, drzewek bonsai, białych orchidei. Przy ścianach miękkie kanapy zapraszały, by na nich usiąść i chwilę odpocząć.

Idąc przed siebie, zagapiłam się na kryształowy żyrandol wiszący pod sufitem. Odbijał światło w taki cudowny sposób! Dookoła nas wirowały setki gwiazdek tworzonych przez złapane przez niego promienie. Wyobraziłam sobie, jak piękne dźwięki musiałyby wydawać zawieszane na złotych łańcuszkach kryształy, gdyby poruszył nimi wiatr.

- Witamy w niebiańskiej Administracji. Już za chwilę każdy z państwa otrzyma do pomocy osobistego asystenta. Czy życzą sobie państwo coś do picia? Kawa, herbata? A może coś do jedzenia? Może woleliby państwo chwilę odpocząć, zanim przystąpimy do załatwiania spraw, z którymi państwo przyszli? Dysponujemy doskonałą restauracją z najlepszymi kucharzami wszystkich epok...

Odwróciłam się w stronę tego niezwykle uprzejmego i grzecznego głosu, który skojarzył mi się z telemarketem. Jednak moje spojrzenie napotkało pustkę. Powoli opuściłam wzrok na wysokość około metra.

Przed nami stały trzy bardzo malutkie karły. Każdy z nich miał blond loki, małe białe skrzydełka na plecach i białe majtki, podejrzanie przypominające pieluchę. Na pierwszy rzut oka wydawały się urocze. Jednak po bliższych oględzinach...

- Ach! Putto i to razy trzy! - Azazel wyglądał, jakby miał zamiar zaklaskać z uciechy. - Ja biorę tego! - wskazał palcem na karzełka z lekkim zarostem i krzaczastymi brwiami.

- Ja tego - Beleth podszedł do swojego, który miał bardzo wystającą dolną szczękę i owłosiony garb na plecach między skrzydełkami.

Mnie został stosunkowo najwyższy, jednak najbrzydszy. Na brodzie miał co najmniej czterodniowy zarost, na tłustym ramionku tatuaż przedstawiający serce przebite strzałą, a zza majtek wystawało mu opakowanie papierosów.

- Putto? - zapytałam powoli.

Azazel uśmiechnął się zadowolony, że będzie mógł mi udzielić wykładu na ten temat. Jednak mój osobisty asystent go wyprzedził. Niskim, zachrypniętym głosem, zupełnie niepasującym do postaci tych rozmiarów, wyjaśnił:

- Każdy z nas to putto. Ludzie mylnie nazywają nas cherubinami albo amorkami. Staliśmy się bardzo modni w okresie renesansu i baroku, kiedy to często nasze postacie umieszczano na freskach i malowidłach. Nazywa się nas także kupidynami, cherubinkami, aniołkami... - zakończył przepitym głosem i beknął.

Miał w sobie tyle z aniołka, co ja z diablicy... Azazel nie wytrzymał. Musiał się wypowiedzieć:

- Co do cherubinów, to bardzo mylne i krzywdzące nazywać tak te kreatury! Ja kiedyś byłem cherubem! Uwierzysz Wiktorio? Stałem w szeregu tuż za Bogiem. Byłem jedną z najwyższych, najwspanialszych, najdosłowniejszych...

- I najbardziej w sobie zadufanych - wtrącił cicho Beleth.

- ...postaci anielskich! - dokończył Azazel. - A wiesz jak wyglądają cheruby?

Nie odpowiedziałam. Potulnie czekałam, aż sam przestanie mówić.

- Cheruby - mówił dalej podekscytowanym głosem - mają ludzkie twarze, orle skrzydła i tułów na poły wołu, na poły lwa! Czy to nie piękne?

- No to, gdzie masz kopytka? - zapytałam.

Azazel najwyraźniej nie oczekiwał takiej odpowiedzi, bo się zmieszał.

- Daj spokój, przecież nie będę chodził w takiej postaci. To strasznie dziwnie by wyglądało. No i miałbym ogromne problemy z podrywaniem kobiet, na przykład Kleopatry.

W tym momencie posmutniał. Widocznie przypomniał sobie, że już nie byli razem.

Naprawdę pasowałyby mi do niego kopytka. Jeśli nie jako symbol anielskości, to jako wskazówka, że jest diabłem.

- Dobra, nieważne - machnął ręką. - Idziemy załatwić formalności. Potem spotkamy się wszyscy przed budynkiem Administracji. Wiktorio, pamiętaj, że chcesz sobie tu załatwić pobyt czasowy, jasne? Idziemy!

Popchnął swojego putta i razem się oddalili. Beleth ruszył ze swoim karzełkiem w jeszcze inną stronę.

Zostałam sama z moim asystentem. Patrzył na mnie wyczekująco.

- Chciałam załatwić sobie pobyt czasowy - powtórzyłam grzecznie to, co powiedział mi diabeł.

- Rozumiem - mruknął. - Proszę za mną. Chyba że woli pani się czegoś napić bądź coś zjeść?

- Nie, nie. Miejmy to już za sobą.

Po namyśle uznałam, że zdecydowanie wolę putta od demonów z Piekła. Tamte były nieuprzejme i się śliniły. Mój putto się nie ślinił. A w każdym razie jeszcze tego nie zaobserwowałam. Owszem, wyglądał dość pokracznie, ale całkiem sympatycznie. Sympatyczniej niż demony.

Podeszliśmy do drzwi z numerem siedem. Mój mały asystent zastukał siedem razy.

- Lubicie siódemki? - zapytałam.

- Oczywiście - oświadczył. - To ważna cyfra. Niebo i Piekło są podzielone na siedem sfer, jest siedem grzechów głównych i siedem sakramentów, jest siedem cnót głównych, siedem cudów świata, tydzień ma siedem dni, jest siedem sztuk wyzwolonych, czyli umiejętności godnych człowieka wolnego, jest...

- Dobrze, już dobrze - przerwałam mu. - Zrozumiałam. Tak, w Niebie zdecydowanie traktowali siódemkę tak samo poważnie, jak w Piekłe cyfrę sześć.

- Proszę - odezwał się uprzejmy głos zza drzwi. Weszliśmy do pokoju, który okazał się wyposażony tak samo stylowo jak hol. Usiedliśmy na obitych pluszem krzesłach naprzeciwko biurka, przy którym także urzędował putto. Ten oprócz majtek miał na sobie jeszcze króciutki krawacik.

Aż westchnęłam. Krzesła były WYGODNE! W Piekłe można było dostać odcisków na tyłku nawet po krótkim kontakcie z siedzeniami.

To naprawdę raj. Teraz już byłam tego pewna.

- Witam uprzejmie. Może czegoś się pani napije? - zaproponował mi karzełek za biurkiem.

Pokręciłam przecząco głową.

- Moja klientka chciałaby uzyskać pobyt tymczasowy w Niebie - odezwał się mój asystent.

- Oczywiście - putto kiwnął głową. Wyciągnął z szuflady niebieski formularz.

- Poproszę pani imię i nazwisko.

- Wiktoria Biankowska - odparłam.

- Z jakiego powodu trafiła pani do Arkadii? Wnioskuje, że pani nie umarła, bo inaczej asystent zaprowadziłby panią do innego gabinetu.

- Żyję, to prawda. Posiadam Iskrę Bożą. Dodatkowo od obcego na ulicy dostałam jabłko mocy, dzięki którym nabrałam sił piekielnych. Dlatego mogę poruszać się swobodnie po zaświatach. Otrzymałam już czasowy pobyt w

Niższej Arkadii. Chciałabym uzyskać też taki sam w tej właściwej, żeby móc spotkać się ze zmarłymi rodzicami. Dodatkowo stworzyłam diabłom Belethowi i Azazelowi skrzydła i w podzięcie zabrali mnie ze sobą do Niebios. Mam nadzieję, że to nie będzie problem przy uzyskaniu pobytu - wyrecytowałam jednym tchem.

Putto naprzeciwko mnie aż zamrugał ze zdziwienia, słysząc moje słowa.

- Rozumiem - odparł jednak uprzejmie i wziął do ręki pióro. - To ja zanotuję to wszystko. Może tymczasem napije się pani czegoś? Asystent panią obsłuży. Może też pani wyjść, żeby coś zjeść w naszej doskonałej restauracji na pierwszym piętrze. To niestety chwilę potrwa. Muszę się jeszcze skonsultować z moim przełożonym. Bardzo panią z tego powodu przepraszam.

No tak, sam nie mógł podjąć tak ważnej decyzji, jaką było przyjęcie mnie do Nieba. Nie zdziwiło mnie to. Gdybym była na jego miejscu, też wolałabym zasięgnąć rady kogoś mądrzejszego, żeby to potem on ewentualnie za to oberwał, a nie ja.

Zerknęłam na mojego putta.

- To może pójdziemy się przejść? - zapytałam. - Chętnie powiedzam Niebo.

- Oczywiście, jestem do pani dyspozycji - kiwnął głową tak mocno, że aż loczki opadły mu na twarz.

Wyszliśmy przed budynek. Diabłów nigdzie nie było widać. Pewnie wciąż załatwiały swoje sprawy.

- Czy mógłbym pani coś zaproponować? - zapytał usłużnie karzełek.

- Nie mów do mnie per „pani” - zachnęłam się. - Nie czuję się panią. Jestem Wiki, a ty?

- Zwykle nie spoufalamy się z klientami, ale wyglądasz na miłą dziewczynę. Jestem Borys - zacharczał zapitym i przepalonym w ciągu dziesiątek lat głosem. - Proponuję spacer w stronę złotej bramy.

Miałam ochotę zaprotestować - tę trasę już znałam, ale spojrzał na mnie jakoś tak błagalnie, że się zgodziłam. Nigdy nie miałam twardego serca.

Szliśmy w milczeniu. Ja zachwyciałam się pięknym krajobrazu, a on dreptał obok mnie. W końcu dotarliśmy do błyszczącej bramy.

- Co teraz? - zapytałam.

Po drugiej stronie nie było widać świętego Piotra. Na straży znowu stały nieruchome złote golemy. Staruszek chyba zbyt szybko się nie przepracowywał.

- Tu jest takie małe wyjście - Borys podszedł do ogrodzenia.

Rzeczywiście. Głęboko w krzakach, na prawo od bramy, znajdowały się małe drzwiczki dostosowane wielkością raczej do putta niż do mnie. On swobodnie przez nie wyszedł, a ja przeszłam na czworakach.

Nie zamknęliśmy ich za sobą, bo jak wyjaśnił mi putto, mielibyśmy wtedy problem z wejściem. Od zewnętrznej strony boczne drzwi nie miały klamki.

Za bramą Borys wyjął zza majtek paczkę papierosów. Wyciągnął je w moją stronę, ale pokręciłam przecząco głową. Wzruszył ramionami i zapalił.

Zaciągnął się z prawdziwą ulgą. Chyba minęło dużo czasu, odkąd wyrwał się na przerwę „relaksacyjną”.

- Czemu wyszliśmy? - zapytałam z ciekawością.

- Bo w Niebie nie wolno palić - z uwielbieniem wypuścił dym nosem.

Miałam ochotę zadać mu mnóstwo pytań, ale nie chciałam wyjść na nieuprzejmą.

- Mogę cię o coś zapytać? Nigdy nie spotkałam żadnego putta - przełamalam się.

- Proszę, lalka, wal śmiało - wraz z minięciem ogrodzenia minęły też wszystkie konwenanse. - Ale ja też chcę się czegoś o tobie dowiedzieć.

Usiadłam na marmurowym stopniu. Mogłam teraz patrzeć mu prosto w oczy. Były zaczerwienione od dymu i lekko pożółkłe. Na szczęście urocze blond loki przez większość czasu je zasłaniały.

- Możesz latać za pomocą tych skrzydełek?

Wydawały się dość małe i niepozorne.

- Mogę, ale jest to trochę trudne. Dużo nie dam rady w ten sposób przelecieć. Najwyżej parę metrów. Szybko się męczę - zakasłał od dymu. - Moja kolej. Jak to się stało, że zadajesz się z tymi łachudrami?

Wydmuchał dwa kółka dymu. Ku mojemu zaskoczeniu następnie z jego ust wydostał się kwadrat, a potem trójkąt...

- To bardzo długa historia - westchnęłam, odwracając spojrzenie od tego cudu. Borys miał chyba gumowe usta.

Opowiedziałam mu wszystko, co wydarzyło się, kiedy jeszcze byłam diablicą, i to, w jaki sposób znalazłam się w Niebie.

Borys zaśmiał się chrapliwie.

- Słyszałaś o czymś takim jak syndrom sztokholmski? Chyba rzeczywiście było ze mną coś nie tak. Putto był już drugą osobą, która mi to wypominała...

- Taa... Moja kolej. Czemu na wszystkich rysunkach cherubinków są namalowane małe dzieci? Nie wyglądasz jak dziecko...

Borys podparł się pod boki. Pet sterczał mu z kącika ust. Pielucha obsunęła się lekko. Zauważyłam, że miał owłosione przedramiona i palce. Miał także pewne braki w uzębieniu. Krzaczaste rudawe brwi opadły mu na oczy, gdy zmarszczył czoło.

- A podobałyby ci się malowidła ścienne, na których ktoś uwieczniłby mnie?

Okej, miał rację.

- Kim jest ten Piotr? - mrugnął do mnie. No proszę, minicherubinek mnie podrywa. Westchnęłam i mimowolnie uśmiechnęłam się na wspomnienie Piotrusia. Potem zachciało mi się płakać.

- To najwspanialszy chłopak, jakiego spotkałam, ale zdradził mnie. Rzuciłam go. Wiesz, że mówił mi, że nic nie pamięta? Że wszystko mu się zatarło...

- Uwierzyłaś mu?

Przez chwilę milczałam.

- Tak, chyba mu uwierzyłam.

Putto przyglądał mi się uważnie.

- Skoro mu wierzysz, to jest spore prawdopodobieństwo, że mówi prawdę. Masz czyste serce, lalka, a to ułatwia ci dostrzeganie tej cechy u innych. Zresztą jak sama wspomniałaś, a także jak słyszałem z plotek krążących po Niebie, diabły pilnie cię potrzebowały do stworzenia skrzydeł. To znaczy, że nie chciałyby, by stanął im na drodze pewien śmiertelnik.

Nie miałam ochoty o tym myśleć. Nie chciałam rozmawiać o Piotrze.

- Moja kolej. Skąd masz ten tatuaż? - zmieniłam temat.

- Aaa - przyduśił niedopalek piętą. - Podobała mi się kiedyś taka jedna. Ale była trochę niedostępna. Wiesz... no... lubiła nosić obcasy.

Pokiwałam współczująco głową.

- To powiedz mi, lalka - przysunął się do mnie. - Czyli jesteś teraz wolna?

- Nie - odparłam szybko. - Borys, bardzo mi pochlebiasz, ale ja cały czas rozpaczam po Piotрку. Jeszcze nie wiem, co zrobię ze swoim życiem.

Teraz on pokiwał głową. Usiadł na schodku i zaczął machać wesoło nogami. Bardzo szybko wrócił mu dobry nastrój.

- A jak to jest? Wy, istoty anielskie, możecie tak ze zwykłymi kobietami?

- zapytałam. - Bo w Piekle diabły mi powiedziały, że dawno temu Bóg zakazał związków cielesnych między aniołami, czyli też automatycznie diabłami, a kobietami. To podobno dlatego zrobiłam się taka popularna, gdy stałam się diabolicą.

- Hm... no nie wolno - westchnął ciężko. - Z normalnymi śmiertelnikami niestety nie wolno. To czyni nas wszystkich dość samotnymi. Wydaje mi się, że zakaz nawet obejmował ciebie, gdy byłaś jeszcze diabolicą, ale nie jestem pewien.

- To znaczy, że ja nie mogłam być w związku z człowiekiem? - wołałam się upewnić.

- Tak.

No proszę, proszę... W takim razie, nie wiedząc o tym, mogłam spowodować prawdziwą katastrofę. Nikt mnie nie uprzedził, że mi nie wolno. Beleth skutecznie nabrał wody w usta, gdy wybywałam gdzieś z Piotrusiem po swojej śmierci. Udawał złego, ale na pewno zdawał sobie sprawę z konsekwencji, które byśmy ponieśli.

Całe szczęście, że wtedy do niczego nie doszło! Moglibyśmy wpędzić się w nie lada kłopoty!

Nagle zrozumiałam motywy przystojnego diabła. Gdybym wtedy zaszła za daleko z Piotrusiem, na pewno zostałabym ukarana. A jak wyglądałaby ta kara? Znając Lucyfera, pewnie z kilka tysięcy odsiadki w Piekle. W tym czasie Beleth zadbałby o to, żeby mój ukochany trafił do Nieba, gdzie jako diabolicą przez wieczność nie miałabym wstępu. A to podstępny diabeł!

- W Administracji opowiadałeś mi o siódemkach. Powiedziałeś wtedy, że jest siedem sztuk wyzwolonych. O co chodziło? - postanowiłam zmienić temat.

- To podstawowe wykształcenie w starożytności i średniowieczu. Człowiek je posiadający był człowiekiem świątym i oświeconym. Składają się na nie: gramatyka, logika, retoryka, geometria, arytmetyka, astronomia i muzyka.

Zamyśliłam się.

- Jestem raczej słaba z gramatyki i liczyć do dziś nie umiem. Ale jestem wygadana, to chyba podpada pod retorykę. No i lubię śpiewać pod prysznicem.

Borys zaśmiał się szczerze i poklepał po kolanach z uciechy.

- Dobra, lalka, już się nad tym nie zastanawiaj. Świetna z ciebie kobitka. A teraz chodź, zobaczymy, czy jesteś już obywatelką Niebios.

Rozdział 14

Wracaliśmy tą samą trasą, ale ja wciąż dostrzegałam nowe, ciekawe szczegóły, dzięki czemu się nie nudziłam.

Nagle minął nas biały sportowy samochód. Tak jak wszystkie pojazdy w Niebie nie emitował spalin, tylko bańki mydlane. Wydawało mi się to dość kiczowate, ale nie miałam prawa dyskutować na ten temat. W końcu nawet nie byłam mieszkanką Arkadii.

Auto wyminęło kilka innych samochodów, dorożek, jeźdźców i pieszych. Za kierownicą dostrzegłam brązowowłosego mężczyznę w dziwnym nakryciu głowy. Na czole miał przepaskę nabijaną srebrnymi kolcami.

- Czy to był...? - zapytałam.

- Tak, to najnowszy model maserati birdcage 77th! - wykrzyknął putto i zagapił się na dość kosmicznie wyglądający pojazd.

Był bardzo płaski. Całą górną powierzchnię zajmowała szyba. Wydawało się wręcz, że pojazd promieniał. Na dodatek ten mężczyzna w środku!

- Na Ziemi swojego czasu powstał maserati birdcage 75th, który nie został wprowadzony do użytku. My mamy już 77th. Czy on nie jest cudowny? To najszybszy i najdoskonalszy samochód w całym Niebie. Widziałaś tę linię wygięcia podwozia?

- Całkiem ładny. Ale kto...?

- A właśnie - znowu mi przerwał. - Z tym samochodem wiąże się pewna historia. Ostatnio mieliśmy w Niebie niezłe zamieszanie, bo pewnemu papieżowi bardzo nie spodobał się ten samochód. Gdy trafił do nas po swojej śmierci, obiecano mu, że to on będzie miał najszybsze auto w całej Arkadii. No i przez pewien czas miał. Ale wiesz... synowi Szefa nikt nie odmówi, dlatego pomimo protestów papieskich to maserati birdcage 77th jest najszybszym samochodem na świecie i w zaświatach.

O nic więcej już nie pytałam. Szliśmy w milczeniu ulicami Edenii.

- No pięknie - mruknął ponuro Borys, gdy już dochodziliśmy na miejsce.

Zerknęłam na niego zdezorientowana. Podążyłam za jego spojrzeniem. Patrzył z kwaśną miną na przystojnego anioła w niedbalej pozie opartego o barierkę przy Administracji.

Gdyby nie to, że posiadał skrzydła, miałabym pewne wątpliwości, czy aby na pewno był aniołem. Miał bowiem kruczoczarne pióra. Wydawały się pochłaniać światło słoneczne.

Mężczyzna był tak jak inne istoty niebiańskie ubrany całkowicie na biało. Miał na sobie lnianą koszulę, ozdobioną delikatnym czarnym haftem na kołnierzu przy szyi oraz na rękawach, i także płócienne spodnie. Jego stopy obute były w sandały jesuski. Jednak w przeciwieństwie do innych aniołów nie nosił do nich skarpetek. Dostał u mnie za to plus.

Lecz to nie jego strój zwrócił moją uwagę, ale nietypowa uroda. Miał krótkie blond włosy. Tak jasne, że wydawały się wręcz białe. Jego tęczęwki miały wyblakły niebieskoszary kolor. Prawie nie było ich widać, przez co wydawało się, że posiada tylko zwężone w szparki źrenice.

Był piękny tak jak wszystkie anioły. Jednak było to niepokojące piękno drapieżnego zwierzęcia.

Zrozumiałam, kogo odrobinę mi przypominał. Skojarzył mi się z Azazelem. Mieli ze sobą coś wspólnego. Mrok w spojrzeniu.

Skądś go znałam. Wydawało mi się, że widziałam podobnego mężczyznę w Piekle, ale przecież anioły miały zakaz pojawiania się w Niższej Arkadii.

W końcu pojawił się przebłysk. On był Pod Głową Anubisa tego wieczoru, gdy rozmawiałam z Piotrkim. Tuż przed opuszczeniem przeze mnie Piekła.

Przyglądał mi się uważnie. Poczułam się nieswojo pod ciężarem jego przezroczyściego, odrobinę przerażającego spojrzenia.

- Kto to? - zapytałam putta.

- To anioł Moroni. Nie lubię go. Straszny jest - zwierzył mi się.

Gdy wchodziliśmy po schodach, anioł uśmiechnął się do mnie i skinął przyjaźnie głową.

- Witaj - szybko zastąpił mi drogę.

Nie mogłam go wyminąć. Usłyszałam, jak Borys mamrocze coś do siebie pod nosem, wyraźnie niezadowolony ze spotkania.

- Wybacz, że cię niepokoję. Nazywam się Moroni. Słyszałem, że przeprowadzasz się do Nieba. Czy to prawda? - uprzejmie zapytał mnie anioł.

- Tak - odparłam.

Nie wiedziałam, co jeszcze powinnam mu powiedzieć. Wyraźnie na coś czekał. Złożył skrzydła na plecach. Zaczęły się zmniejszać, aż w końcu znikły. Teraz nie musiał się nimi popisywać. Już zdążyłam się dowiedzieć, że był aniołem.

- Intrygujesz mnie - stwierdził. - Twoje zdolności, uroda. To naprawdę bardzo interesujące...

No ludzie, czy ja wydzielam jakieś magiczne fluidy, które sprawiają, że notorycznie lecą na mnie z wywieszonymi językami anioły i diabły? Co to ma być? Nawet putto chciał poznać sytuację mojego związku.

- Wiktorio! Tu jesteś! - zza mojego nowego wielbiciela wychynął Azazel. Tuż za nim podążał Beleth z zaniepokojoną miną. - Moroni! A co ty tu robisz?! Nie powinieneś nękać jakichś niewinnych duszyczek i wmawiać im swoich kłamstw?

Czarnoskrzydły anioł odwrócił się powoli w stronę diabła. Uprzejmy uśmiech spłynął z jego twarzy.

- Azazel. Widzę, że nic się nie zmieniłeś. Ten sam obłudnik i pieniacz co kiedyś - odparował zniesmaczonym tonem. - Naprawdę jesteś na tyle naiwny, że wierzysz, że uda ci się wrócić do Niebios? Nikt cię tu nie chce, przyjacielu.

- Już mi się udało - zaśmiał mu się szyderczo w twarz i pomachał jakimiś dokumentami. - Od teraz jestem na czasowym pobycie w Arkadii. Za to w czasie rozprawy za dwadzieścia siedem dni archaniołowie postanowią, czy przywrócić mi tytuł anioła. I nie jestem twoim przyjacielem.

Moroni skrzywił się.

- Do czego to doszło, żeby wpuszczać taką hołotę jak ty do Niebios. Liczę, że Rada Archaniołów okaże się rozsądna.

- Liczyć to sobie możesz, w końcu i tak do niej nie należysz - podstępny diabeł zachichotał złośliwie. - Jak to było, Moroni? Wyrzucili cię z niej, nieprawdaż?

Anioł nie skomentował jego uwagi. Odwrócił się do niego plecami i wyciągnął w moją stronę rękę. Zanim pomyślałam, odwzajemniłam gest. Spodziewałam się zwykłego uścisku, jednak on pokłonił się i delikatnie pocałował wierzch mojej dłoni. Było to zachowanie pełne galanterii i elegancji.

- Cieszę się, że cię poznałem, Wiktorio - szepnął. - Wierzę, że jeszcze nie raz się zobaczymy.

Azazel był lekko zdziwiony, że Moroni nie wdał się z nim w słowną potyczkę. Patrzył zawiedziony, jak tamten odchodzi jak gdyby nigdy nic, a następnie wzbija się w powietrze, przysłaniając na chwilę słońce swoimi czarnymi skrzydłami. Trzeba przyznać, że było to odejście z klasą.

- Czego on od ciebie chciał? - zapytał podejrzliwie Beleth i w jednej chwili znalazł się obok mnie. - Zaczepiał cię? Gdzieś cię zapraszał? Usiłował cię dotknąć?

- Chciał się po prostu przedstawić - wyjaśniłam zmęczonym głosem. - Nic więcej.

Azazel podrapał się w zamyśleniu po brodzie. - Ciekawe, czego on tu szukał...

Borys zerknął na mnie, potem na diabły i powiedział szybko:

- To ja pójdę zobaczyć, czy przydzielono pani zezwolenie na pobyt czasowy w Niebie. Na pewno już dopełniono wszystkich formalności.

- Ty! - podstępny diabeł przypomniał sobie o jego istnieniu. - Po co Moroni tutaj był? Co załatwiał w Administracji?

Putto podparł się pod boki i spojrzał na niego z wyższością, pomimo że był o dobre półtora metra niższy:

- Niestety nie możemy udzielać poufnych informacji osobom nieupoważnionym przez klienta. Proponuję zwrócić się z tym pytaniem bezpośrednio do anioła Moroniego. A teraz proszę mi wybaczyć.

Odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami prowadzącymi do budynku.

- My otrzymaliśmy czasowy pobyt - wyjaśnił mi Beleth. - Tobie na pewno też się uda.

Spróbował złapać mnie za rękę, ale mu się wyrwałam.

- Fajnie - skwitowałam.

Diabeł lekko urażony odsunął się ode mnie i oparł o barierkę w miejscu, w którym przed chwilą stał Moroni.

- Kto to był? - zapytałam.

- Poroniony Moroni - odparł krótko Azazel.

Posłałam pytające spojrzenie Belethowi

- Czyli poroniony Moroni. Azazel nie potrafił nigdy wymyślić mu innego przydomka, więc używa tego, pomimo że jest beznadziejne... - wyjaśnił.

- Droga Wiktorio - z tego całego zdenerwowania aż warkocz rozwiązał się podstępemu diabłu. - To bardzo niedobrze, że Moroni się tobą zainteresował. On jest zbyt podobny do mnie.

- To znaczy, że tworzy zadziwiająco głupie teorie i plany zdobycia władzy nad światem, które pomimo jego wielkich nadziei się nie udają? - zapytałam niewinnym głosem.

Nie wyobrażałam sobie, by było to możliwe. Przecież nie mogłabym mieć aż takiego pecha, żeby spotkać drugą nadprzyrodzoną istotę, która byłaby tak nienormalna jak Azazel.

- Rzeczywiście - potwierdził. - Z tą różnicą, że jego plany i teorie częściowo się udają - dodał.

- No dobra, a co to wszystko ma ze mną wspólnego? - chciałam się dowiedzieć, bo może właśnie nadeszła najwyższa pora, żeby zwać czym prędzej z Nieba.

- Na razie nic - odparł Beleth. - Jednak musimy na niego uważać. Skoro przypadkiem znalazł się w Administracji w tym samym momencie co my i usiłował z tobą porozmawiać to znaczy, że ma jakiś plan. A my nie wiemy jaki.

- A możecie mi wyjaśnić dokładniej, kim jest ten cały Moroni? Ma jakieś tajemnicze zdolności?

Każdy anioł czy diabeł miał stworzenie, które wymyślił i umiał nawiązać z nim kontakt. Beleth świetnie rozumiał się z kotami. Azazel stworzył komary, a potem udoskonalił je tak by mogły przenosić zarodźce malarii.

Biorąc pod uwagę to ostatnie osiągnięcie podstępного diabła, mogłam teraz podejrzewać Moroniego o wszystko co najgorsze.

- Nie, on chyba niczego nie osiągnął - zaprzeczył Beleth. - Nie chciało mu się bawić w wymyślanie stworzeń. A jego jedynym wrodzonym talentem jest manipulacja. Nic poza tym. Tylko zwyczajne zdolności anioła.

- W ogóle powinnaś się czegoś więcej o nim dowiedzieć - odkrywczo stwierdził Azazel. - Słyszałaś o mormonach? A raczej o ich Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich?

- Nigdy nie lubiłem tej nazwy - wtrącił Beleth. - Strasznie długa...

- Coś tam słyszałam. To jakaś sekta w Ameryce, nie? - zapytałam.

- Założona przez Moroniego. Teraz to już legalne stowarzyszenie mające wielu członków, a raczej wiernych na całym świecie - wyjaśnił mi Beleth.

Zaraz, zaraz. Coś mi tu nie pasowało. Jakim cudem Moroni mógł sobie, ot tak, założyć własne wyznanie? Z tego, co wiedziałam, było to karalne. Gdy

Azazel stworzył własną sektę, od razu pociągnięto go do odpowiedzialności. Miał teraz w Piekło wyrok w zawieszeniu. Czyżby Moronemu udało się tego dokonać bez poniesienia konsekwencji?

- I nikt się go o to nie czepiał? - zapytałam zbity z tropu.

- Nie, bo nie założył tego wyznania jako anioł, ale jako prorok. Znalazł lukę w systemie - warknął Azazel. - Oczywiście kiedy ja chciałem założyć sobie sektę, to już nie mogłem z tego skorzystać, bo wprowadzili zmiany do naszego prawa anielsko-diabelskiego. Wyprzedził mnie skur...

- Wyrażaj się - przerwał mu Beleth. - Nie wolno ci używać takich słów, tym bardziej tutaj.

Podstępny diabeł zmełł w ustach przekleństwo.

- A teraz nie wiemy, o co chodzi Moronemu, tak? - upewniłam się.

- Nie mamy pojęcia - westchnął mój przystojny diabeł. - Jednak możemy mieć pewność, że coś szykuje. Inaczej nie byłoby go tutaj. Węszy...

W tej chwili z Administracji wyszedł Borys, niosąc w małej pulchnej dłoni jakieś dokumenty.

- Proszę, Wiktorio - podał mi je. - Od dzisiaj jesteś obywatelką Nieba. Oczywiście czasową, jednak wiąza się z tym wszystkie przywileje, jakich doświadczają normalni mieszkańcy. Gratuluję.

Twarz Beletha rozjaśniła się w uśmiechu. Wszystko szło tak, jak sobie zaplanował.

Był on, byłam ja i była Arkadia. Czego chcieć więcej?

- Dziękuję ci - uśmiechnęłam się ciepło do putta a on o dziwo, zarumienił się.

Speszony pokłonił mi się szybko i z powrotem uciekł do budynku.

- Proponuję teraz udać się na spoczynek. Wszyscy jesteśmy zmęczeni - zaproponował Beleth, zerkając na mnie znacząco.

Azazel go nie słuchał. Patrzył zamyślony w miejsce na niebie, w którym zniknął nam z oczu Moroni, jego wróg numer jeden.

Słońce powoli zachodziło. W tym oświetleniu wszystkie budynki nabrały jeszcze bardziej ciepłych i pastelowych kolorów. Wyglądały jak przeniesione z baśni i bajek opowiadanych mi w dzieciństwie. To właśnie tak wyobrażałam sobie piękne pałace, w których mieszkały księżniczki czekające na przystojnych książąt.

- Ta, ta - machnął lekceważąco ręką Azazel, zbywając propozycję przystojnego diabła. - Ja mam jeszcze coś do załatwienia.

Rozwinął błękitne skrzydła i wzbił się w powietrze. Ruszył w ślad za aniołem. Ciekawe co mu robi - powyrywa piórka?

- To jak Wiki, idziemy? - Beleth podał mi dłoń.

- Dokąd? - zapytałam nieufnie.

- Do mojej posiadłości - uśmiechnął się szeroko, nie puszczając ręki. - Nadal ją mam. Powinna ci się spodobać. Przypomina odrobinę tę w Piekło. Jest tylko większa.

- Jeszcze większa? To chyba będziesz musiał mi dać jakąś mapę.

Szczerze mówiąc, nie zmartwiła mnie ta informacja. Oznaczała bowiem, że bez problemu znajdzie się dla mnie pokój w bezpiecznej odległości od sypialni Beletha.

- Nie martw się. Będę blisko ciebie - zapewnił mnie. - Nie opuszczę cię nawet na chwilę.

Rozwiał się marzenie o oddaleniu się.

- A nie ma tu jakiegoś hotelu, w którym mogłabym przenocować? - zapytałam.

- W Niebie nie ma hoteli, kochanie. Tutaj nikt nie wpada w odwiedziny. Każdy ma własny dom lub rezydencję.

Westchnęłam ciężko. W takim razie jak zwykle nie miałam wyboru.

- Gdzie mieszkasz? - zapytałam zrezygnowana.

- Kilkanaście kilometrów stąd. Na samym brzegu urwiska z pięknym widokiem na ocean. Dookoła nie ma żadnej innej budowli jak okiem sięgnąć. Są za to piękne lasy. Nikt nie będzie nam przeszkadzał ani niepokoił - zachwalał. - My również możemy zachowywać się tak głośno, jak mamy ochotę, ponieważ nikomu nie sprawimy tym kłopotu.

Nie ucieszyły mnie zbytnio te informacje. Szykował się ciężki wieczór, podczas którego będę musiała uświadomić Belethowi, że nie zamierzam mieć z nim romansu. A w każdym razie, nie zamierzam romansować z nim dzisiaj. Później... kto wie?

- To stwórz drzwi i chodźmy - ziewnęłam szeroko. Zaczęłam odczuwać zmęczenie. Za dużo przeżyć i emocji jak na jeden dzień. Byłam wyczerpana.

- Jakie drzwi? - zapytał z szelmowskim uśmiechem. - Polecimy tam!

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, złapał mnie wpół i bez żadnego wysiłku wziął na ręce. Objęłam go mocno za szyję.

- Beleth, nie! Natychmiast postaw mnie na ziemi! Ja mam lek wysokości, słyszysz?! Ja nie chce!!! - zdążyłam jeszcze krzyknąć, gdy młócąc złotymi skrzydłami, wzbijał się z za wrotną szybkością do góry.

Zamknęłam oczy i wtuliłam twarz w zagłębienie jego szyi. Pachniał morzem, wiatrem i orientalnym kadzidłem. Głośny śmiech wstrząsał jego piersią.

- Nie martw się, Wiki! Trzymam cię! Zobacz, jak tu jest pięknie! - krzyknął.

Odważyłam się otworzyć jedno oko, z czego byłam bardzo dumna. Wznieśliśmy się już powyżej administracji, jej pagoda była daleko pod nami.

Naszym oczom w promieniach zachodzącego słońca ukazała się zapierająca dech panorama Nieba. Kopuły i dachy błyszcząły miedzią, srebrem i złotem. Przy akompaniamencie mojego przeraźliwego wrzasku Beleth zanurkował w dół. Spiralnie okrążyliśmy wysoką dzwonnice. Dzwon zaczął wybijać rytm. Powietrze wokół nas zdrzało od jego niskiego dźwięku.

Beleth śmiał się niczym dziecko, gdy lecieliśmy między budynkami. Ludzie pokazywali nas sobie palcami i machali przyjaźnie. Widok uskrzydłonego mężczyzny trzymającego na rękach dziewczynę był chyba dość niecodzienny, bowiem wzbudziliśmy niemałe zainteresowanie.

Przytuliłam się do niego. W jego ramionach czułam się bezpiecznie. Pozwoliłam ponieść się emocją. Jednak własne myśli boleśnie ściągały mnie na ziemię.

Przypomniałam sobie, że anioły nie mogły współżyć ze śmiertelnikami. Anielice nie istniały, więc pewnie na wszelki wypadek te potężne istoty, które - jak się okazało już nie raz - były całkiem ludzkie, starały się unikać wszelkich pokus.

Zaraz, nie byłam już diabolicą. Anielicą raczej też się nie stanę. Za to Beletha od zostania aniołem dzieliło tylko kilka formalności. Czyli nie będzie mógł się już do mnie zalecać czy usiłować uwieść. Nie zrobi tego, bo będzie się bał, że zostanie znowu wyrzucony z Nieba.

Zaśmiałam się z beznadziejności całej sprawy. Nie wiedziałam, czy będę jeszcze kochała Piotra. Wiedziałałam natomiast, że nie powinnam kochać diabła. Pat.

Beleth zawtórował mi śmiechem, myśląc, że cieszy mnie ta podniebna przejażdżka. Po raz kolejny zanurkował, a ja poczułam żołądek gdzieś w okolicy przetyku.

Lecieliśmy prosto w stronę zachodzącego słońca. Pod nami szybko migąły budynki i ulice. Zbliżaliśmy się do urwiska. Beleth spojrzął mi prosto w oczy i uśmiechnął się szeroko.

- Teraz będzie coś świetnego!

W jednej chwili złożył skrzydła i runęliśmy w dół. Otworzyłam szeroko oczy i ryknęłam:

- TYLKO NIE TOOOOOOOOOOOO.....

Rozdział 15

Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze umieszczonym na suficie nad ogromnym łóżem w mojej nowej niebiańskiej sypialni. Przystojny diabeł miał chyba jakąś obsesję na punkcie luster. Nie mogłam zrozumieć, czemu Beleth je tam umieścił. Chciał, żeby jego goście tuż po przebudzeniu mogli zobaczyć, jak źle wyglądają?

Ja teraz źle wyglądałam. Zmierzwiłone od wiatru włosy sterczały we wszystkie strony. Dobrze, że miałam piekielne moce. Wystarczyło tylko pstryknąć palcami, a ułożyły się na poduszkach w miękkie fale.

Przed chwilą wróciłam do rezydencji Beletha. Wcześniej, po naszym strasznym locie, kiedy to umoczyłam na szczęście tylko stopy w oceanie niebiańskim, na chwilę skoczyłam na Ziemię. Nie było mnie tam przez dwa dni. Musiałam sprawdzić, czy brat się o mnie nie martwił i czy na uczelni było wszystko dobrze.

Jedynie moja najlepsza przyjaciółka Zuza zdenerwowała się na mnie. Nie dałam jej znaku życia, a obiecałam przecież, że pójdę z nią na imprezę do Tomka, naszego kolegi z uczelni.

Pierwotnie miałam iść tam także z Piotrkim.

To dzięki niemu nikt się nie przestraszył, że zniknęłam na dwa dni bez słowa. Wyjaśnił znajomym, że pojechałam w odwiedziny do krewnych, a mojemu bratu powiedział, że pojechaliliśmy do jego rodziców.

Byłam mu wdzięczna za pomoc na Ziemi. Oszczędził mi wielu kłopotów i zmartwień.

Wróciłam myślami do Zuzy. Będę musiała pójść na tę imprezę. Nie miałam na to ochoty, ale musiałam się zmusić. Inaczej przestałyby się do mnie odzywać. Zresztą i tak może się obrazić, gdy dopiero na imprezie dowie się, że zerwaliśmy.

Zawsze mówiłyśmy sobie o wszystkim, a tu nagle takie długie milczenie z mojej strony. Przecież nie mogłam jej mieszać w moje anielsko-diabelskie sprawy. Jeszcze stałoby jej się coś złego.

Nie spotkałam podczas swojej krótkiej wizyty na Ziemi Piotrka. Bałam się naszego spotkania. Bałam się, że tak po prostu mu przebaczę.

Gdy tak rozmyślałam, wpatrując się w swoje odbicie, ktoś zastukał do moich drzwi. Oczywiście wiedziałam, kto to był. Po przybyciu do rezydencji poprosiłam go, żeby dał mi chwilę dla siebie. Wymigałam się też od kolacji, twierdząc, że nie jestem głodna.

Najwyraźniej uznał, że to koniec mojej samotności...

- Czego chcesz, Beleth? - zapytałam.

Wsunął głowę do pokoju.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Mogę?

- Tak. - Gdybym powiedziała „nie” i tak by nie posłuchał.

- Co robisz? - zapytał, siadając na łóżku.

- Czemu nad łóżkiem, na suficie, wisi lustro? - odpowiedziałam pytaniem i wróciłam spojrzeniem do lśniącej tafli.

Przystojny diabeł położył się obok mnie. Był potężnym mężczyzną, z szerokimi ramionami. Mimo to nie było nam ciasno. Iście królewskich rozmiarów łoże zasłane czerwoną satynową pościelą zapewniało dużo przestrzeni. Spojrzeliśmy sobie w oczy w lustrze.

- Żeby, uprawiając miłość, można było zerkać do góry i nadal widzieć partnera - uśmiechnął się łobuzersko. - Pomyśl, jakie to podniecające.

Mimowolnie się zaczerwieniłam. Wyobraźnia okazała się moim wrogiem.

- Możemy spróbować, jeśli chcesz - zaproponował. - Poznasz wszystkie zalety tego lustra.

Jego ręka wolno zaczęła sunąć po pościeli w moim kierunku.

- Beleth...

Nie miałam siły na te gierki.

Jego palce w końcu napotkały moją rękę. Delikatnie opuszkami zaczął kreślić kółka na mojej skórze. Po moich plecach przebiegł, o zgrozo, dość przyjemny dreszcz.

Wyrwałam mu się i usiadłam.

- Przestań!

Beleth także usiadł. Jego twarz dzieliło od mojej kilkanaście centymetrów. Serce zaczęło mi mocniej bić.

- Jestem gotów wykonać każdy twój rozkaz, a ty każesz mi przestać? - zapytał niskim głosem. - Zastanów się nad tym, moja piękna Wiktorio. Chcę całować twe usta, zatopić dłoń w twoich włosach, pieścić twoje ciało.

Jak oparzona wyskoczyłam z łóżka.

- Wyjdź z mojego pokoju - powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam. - Natychmiast.

- Żądam wszystkiego, ale nie tego - najwyraźniej nie miał zamiaru zejść z mojego łóżka ani opuścić sypialni.

Poczułam się nieswojo. Jednak nie dlatego, że się go bałam. Bałam się w tym momencie samej siebie. Zaczęłam ulegać jego pięknym słowom wypowiedzanym niskim, zmysłowym tonem. Czarował mnie, jak zwykle. Nie rozumiałam, dlaczego jego głos miał nade mną tak silną władzę.

Objęłam się ramionami, jakby miało mi to zapewnić ochronę.

- Belecie, nie wiem, na co liczysz, ale tego nie dostaniesz. Wyjdź stąd jak prawdziwy dżentelmen albo ja pójdę poszukać innego pokoju. Jestem pewna, że znajdę ich tu dziesiątki.

Westchnął znudzony i wstał. Przeciągnął się, abym mogła dokładnie przyjrzeć się jego sylwetce w opiętej białej koszuli. Był niczym rzeźba Michała Anioła.

- Naprawdę nie rozumiem, czemu nie chcesz mi się poddać. Przecież jestem taki... wspaniały. Nie da się tego inaczej określić.

- I zapatrzony w siebie - mruknęłam.

Uśmiechnął się rozbawiony i stwierdził:

- Nie przeczę. W końcu jest na co popatrzeć, czyż nie?

Zaśmiałam się. Rozbroił mnie. Znowu.

- To o czym chciałeś porozmawiać? - zapytałam.

- O niczym. Tak naprawdę to był tylko pretekst, żeby bezkarnie wejść do środka i namówić cię do cielesnych rozkoszy - odparł szczerze.

Minął mnie, kierując się do drzwi.

- Kochanie, nie bez powodu dałem ci ten pokój. Otrzymałaś właśnie „sypialnię pożądania”. Nie ma drugiej takiej w mojej rezydencji - oznajmił.

Lustra, ściany pomalowane na głęboki burgund, szerokie łoże z satynową pościwią, szafka z drogimi alkoholami, choć w Niebie nie wolno pić, stare obrazy przedstawiające rozebrane nimfy. Może rzeczywiście ta sypialnia miała w sobie coś obscenicznego, ale...

Diabeł przeszedł przez próg.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wystarczy tylko zawołać. Stawię się, gotów spełnić wszystkie twoje mroczne zachcianki...

Bez słowa zamknęłam za nim drzwi.

- Spełnię wszystkie twoje fantazje, Wiktorio, nawet te najbardziej grzeszne. Skorzystaj z tego, dopóki jestem diabłem - jego radosny śmiech oddalał się ode mnie, gdy odchodził.

Kręcąc głową, wróciłam do łóżka. Beleth zawsze będzie taki sam. Nie przeszkadzało mu, że mógłby złamać ze mną jedno z boskich praw. Widać jako diabeł czuł się bezkarny.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy powinnam mu uświadomić, że gdy stanie się już aniołem, będę dla niego całkowicie niedostępna.

Nie... lepiej chyba tego nie robić. Popsułabym zabawę.

Wiedziałam oczywiście, że Beleth kocha najbardziej samego siebie i nie zrezygnowałby dla mnie ze skrzydeł. Chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze by mnie zaskoczył tak jak wyznaniem miłości podczas naszego poprzedniego spotkania w Stambule.

Pstryknięciem palcami rozebrałam się do samej bielizny. Chyba pod wpływem nastroju panującego w sypialni postanowiłam zamienić bawełniany stanik i majtki w seksowny komplet z koronkami. W lustrze zobaczyłam całkiem inną dziewczynę. To ja? Zbita z tropu położyłam się w satynowej pościeli. Klasnęłam delikatnie w dłonie i światło zgasło.

Mimo to było jasno. Przez wysokie okna bez problemu wpadały promienie księżyca. Olbrzymia bryła była kilkanaście razy większa niż ta widoczna z Ziemi.

Moje spojrzenie znowu powędrowało do lustra. Zobaczyłam w nim smutną dziewczynę.

Odwróciłam głowę w bok i wpatrzyłam się w pustą poduszkę. Nie dość, że smutna dziewczyna, to jeszcze samotna.

Wiedziałam, że wystarczyło tylko zawołać, a moja samotność byłaby przeszłością. Nie chciałam jednak tego robić.

Rozdział 16

- Jesteś gotowa? - zapytał Beleth, gdy następnego ranka zesłam do przestronnego salonu na parterze posiadłości. Był urządzonej tak jak pozostałe pomieszczenia. Pełen był dobrego smaku, przepychu i bogactwa, niczym ozdobna szkatułka z biżuterią.

Dzisiaj miałam odwiedzić rodziców. Spotkać ich po tylu latach. Z jednej strony nie mogłam się tego doczekać, przeraźliwie za nimi tęskniłam. Jednak z drugiej... a co będzie, jeśli zawiodę ich oczekiwania? Może nie takiej córki chcieli?

Dobrze ich pamiętałam, pomimo że miałam tylko dziesięć lat, gdy zginęli w wypadku samochodowym. Głupia śmierć. Pijany kierowca przysnął za kierownicą i wjechał prosto w ich samochód na jednej z dróg dojazdowych do Warszawy.

Miałam ogromne szczęście, że mój brat był starszy o ponad dziesięć lat. Dzięki swojej zaradności uzyskał opiekę nade mną. Gdyby był młodszy, obydwój trafilibyśmy do domu dziecka i możliwe, że by nas rozdzielono.

Specjalnie dla mnie rzucił studia. Przeniósł się na zaoczne by móc pracować w dzień. Rodzinę zakładał dopiero teraz czyli dobrze po trzydziestce. Wiele mu zawdzięczałam, poświęcił dla mnie naprawdę dużo.

Nie mogłam się doczekać, gdy opowiem rodzicom o tym jaki jest wspaniały.

Czy ja ich w ogóle poznam? Miałam wyraźne wspomnienia wzmocnione wielokrotnie oglądanymi zdjęciami, jednak mogli się zmienić. W Niebie na pewno byli fryzjerzy, wizażyści, styliści. Może się odmłodzili? Albo chociaż lekko zmienili swój wygląd?

Będąc w zaświatach, nie trzeba było wyglądać tak jak w chwili swojej śmierci. Można było się cofnąć do poprzedniego wyglądu, sprzed wielu lat, lub wybiec w przyszłość. W ten sposób dzieci nie musiały znajdować się przez wieczność zamknięte w małym ciele, a starcy w zgarbionym, zniszczonym przez czas i choroby.

Strasznie za nimi tęskniłam. Wizyta diabłów w moim życiu przyniosła mi wiele przykrości, ale też kilka korzyści. Jedną z nich było to, że zobaczę ponownie rodziców.

- Wiki? Skarbie, coś ci jest? - do rzeczywistości przywołał mnie głos Beletha.

Spojrzałam na niego.

- Nie, nie. Wszystko dobrze. Myślałam o rodzicach.

- Pójdę z tobą ich poznać - wyszczerzył do mnie zęby.

To nie był zbyt dobry pomysł. Moi rodzice byli znacznie bardziej religijni ode mnie. Wraz z ich śmiercią odeszłam od Kościoła. Jednak teraz zamierzałam do niego wrócić.

Beleth zdecydowanie nie powinien ze mną iść. Towarzystwo diabła na pewno nie spodobałoby się mamie i tacie.

- Lepiej nie - zaprotestowałam.

- Dlaczego? - zmarszczył brwi. - Chyba się mnie nie wstydzisz?

Miałam ochotę przytaknąć, ale nie chciałam go urazić.

- Po prostu chcę być z nimi sama - powiedziałam. Uśmiechnął się z ulgą i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Najwyraźniej moje wyjaśnienie go usatysfakcjonowało.

- Ale chociaż cię do nich zaprowadzę, bo sama nie trafisz.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkają? - moja czujność wzrosła.

- Sprawdziłem na wszelki wypadek - wzruszył ramionami. - A właśnie!

Opowiedz mi o tej imprezie, na którą dzisiaj idziesz na Ziemi. Chętnie pójdę z tobą.

Tego jeszcze tylko mi brakowało. Tam na pewno będzie Piotruś. Chciałam z nim porozmawiać. Już wystarczająco ochłonęłam i mogłam się na to zdobyć bez łez, krzyków i (mam nadzieję) rękoczynów.

- To impreza organizowana przez kolegę z roku. Będą na niej moi przyjaciele.

- Azazel pewnie też będzie chciał pójść - ostrzegł mnie Beleth.

Mam pomysł - zaprosimy jeszcze Śmierć i putta Borysa jako jej towarzysza. Takiej wesołej kompanii na pewno nikt nie przegapi...

- Nie zgadzam się, żebyś tam szedł, a co dopiero Azazel - warknęłam.

- Kochanie, tak nam się odwdzięczasz? Przecież zabraliśmy cię do Nieba. Do twoich rodziców. Chyba możesz zrobić wyjątek i raz pozwolić nam towarzyszyć ci na Ziemi.

- Wolałabym nie...

- No wiesz? - zrobił smutną minę. - Poza tym uważam że nie ma dyskusji. Kto wie, czy anioł Moroni nie spróbuje cię tam dopaść, kiedy nie będzie mnie w pobliżu.

Hm, o nim całkiem zapomniałam. Nie sądziłam, żeby jego wielkim planem było rzucenie się na mnie z nożem czy gorejącym mieczem, ale pewności nie miałam. Wzbudziłam w nim zainteresowanie, a to było niebezpieczne, jak twierdziły.

Może trzeba się zgodzić, żeby Beleth poszedł ze mną? Tak dla bezpieczeństwa?

Hm, na pewno nie byłoby to z korzyścią dla mojego ewentualnego odnowienia związku z Piotrkiem.

Tylko czyja chciałam odnowienia związku?

- Nie zgadzam się na Azazela - mruknęłam z kwaśną miną powoli się poddając.

Diabeł zaczął mnie przekonywać, że przecież biedny Azazel jest taki samotny, odkąd zerwał z Kleopatrami, i że należy mu się trochę rozrywki, i że przecież będzie grzeczny.

- Osobiście masz go pilnować, żeby nie zrobił czegoś głupiego. Jasne? - zastrzegłam, usiłując zachować resztki godności.

- Nie mogę od razu zgodzić się na twoje warunki - podszedł do mnie tak blisko, że musiałam się cofnąć, jeśli nie chciałam go dotykać. - Musisz zaoferować mi coś w zamian. Moje zainteresowanie Azazelem trochę kosztuje.

- Targuj się z kimś innym - warknęłam. - Albo idziesz pilnować Azazela, albo nie idziesz w ogóle.

Beleth zrobił skrzywdzoną minę.

- Zmieniłaś się, Wiktorio... Kiedyś nie zaprotestowałabyś tak łatwo. Kiedyś zdołałbym wciągnąć cię w tę słodką grę obietnic.

- Słodką tylko dla ciebie.

- Ranisz mnie - złapał się za pierś. - Przecież wiesz, co do ciebie czuję.

- Wiem, co powiedziałeś mi, że czujesz. Nie mam pewności, czy czujesz naprawdę.

Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Z radością ci to udowodnię.

- Na razie nie skorzystam.

- Stwardniałaś, Wiki. Podoba mi się to. Chcesz być dominą? Marzą ci się skórzane pasy, bicze, kajdanki?

- Zboczeniec! - wykrzyknęłam.

W odpowiedzi zaśmiał się serdecznie i posłał mi ciepłe spojrzenie. Znowu mnie podpuszczał.

W końcu zdołaliśmy wyjść z jego rezydencji. Pod nią już czekało lamborghini diablo. Jednak nie było krwistoczerwone, ale śnieżnobiałe. Widać w Niebie nie chciał się wyróżniać.

Gdy jechaliśmy, uważnie przyglądałam się Arkadii przez okno. Moją uwagę zwróciły parki. Co chwilę mijaliśmy takie same. Wyglądały klasycznie, tak jak ziemskie miejsca odpoczynku wśród przyrody.

Miały jednak jeden element wspólny, którego na Ziemi ani razu nie widziałam. W każdym z nich stało na wąskich nóżkach po kilkanaście bogato zdobionych mis o średnicy około metra. Jedne były niższe, inne wyższe, wszystkie mniej więcej wysokości stołu. Przy wielu z nich pochylali się ludzie, zaglądając z zaaferowaniem do środka. Obok zawsze była fontanna i kilka glinianych dzbanków stojących w jej pobliżu.

Ciekawe co to było?

Po dość długim czasie Beleth w końcu zatrzymał samochód przed niepozornym błękitnym domkiem ze srebrnym dachem.

- To tu - oznajmił. - Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł? Pokręciłam przecząco głową.

Otworzyłam niską furtkę i weszłam na teren posesji. Do drzwi prowadziła wąska ścieżka wybrukowana dużymi owalnymi kamieniami wyglądającymi jak otoczaki.

Beleth nie odjeżdżał. Najwyraźniej czekał, aż wejdem do środka.

Zanim weszłam na ganek, drzwi się otworzyły. Stała w nich dwójka ludzi, których nie widziałam od bardzo, bardzo dawna.

Moi rodzice.

Chociaż ogromnie starałam się powstrzymać, popłakałam się jak dziecko. Kobieta, która wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałam, przytuliła mnie do piersi. Nic się nie zmienili! Mężczyzna spojrzął wrogo na eskortującego mnie diabła, wciągnął nas do środka domku i zamknął szybko drzwi.

- Mamusi! - wtuliłam się w nią jeszcze mocniej.

Z tyłu nieporadnie przytulił nas tata. Staliśmy tak dość długą chwilę, wszyscy płacząc. Mama cały czas powtarzała:

- Moja Wikcia kochana, moja Wikusia, moja królewna.

Od dobrych dziesięciu lat nikt mnie tak nie nazywał. Te głupiotkie zdrobnienia zniknęły razem z nią.

Nie mogłam w to uwierzyć. Wszystko było takie, jakie zapamiętałam z dzieciństwa. Jej głos, zapach, dotyk.

- Tak za wami tęskniłam - wyjąkałam.

- Wiemy, kochanie, wiemy - tata pogładził mnie po głowie. W końcu usiedliśmy na kanapie w salonie. Zająłam miejsce między nimi. Cały czas się dotykaliśmy, żeby udowodnić sobie, że to prawda, że naprawdę się spotkaliśmy.

- Było mi bez was tak źle - wyznałam.

Spojrzałam na mamę. Nie była do mnie podobna. Niska blondynka o okrągłej buzi. Podobno charakter odziedziczyłam po niej. Mój brat zawsze tak twierdził.

Siedziała teraz, trzymając mnie za rękę, i paplała jak najęta.

Z kolei po tacie odziedziczyłam tak zwaną skórę. Te same, lekko kręcone brązowe włosy, według mnie spory nos, szeroki uśmiech. Tata siedział teraz w milczeniu, przyglądając mi się z uśmiechem.

Przejęłam pałeczkę od mamy i zaczęłam opowiadać, co działo się ze mną i Markiem, odkąd oni zginęli. Była to bardzo długa opowieść. Zdziwiło mnie tylko, że niczemu się nie dziwili. Słuchali z uwagą mojej relacji, ale nie zadawali żadnych dodatkowych pytań.

- Coś jest nie tak? - zapytałam w końcu. - Nie interesuje was to.

- Nie! Kochanie, to nie tak! - moja mama zaprzeczyła szybko. - Po prostu my to wszystko widzieliśmy stąd.

Zaniemówiłam. Czyli to prawda? Nasi bliscy naprawdę wszystko widzą z góry? W każdej chwili? O cholera jasna! Czy widzieli, co ja bez ślubu wyczyniam z Piotrkim?! Poczułam, że się czerwienię.

- Ale jak to? - wyjąkałam.

- Zmarli mogą patrzeć przez okna na Ziemię i podglądać swoich bliskich - wyjaśnił mi tata. - Oczywiście nie patrzyliśmy cały czas, ale znamy najważniejsze fakty z twojego życia.

- Tak? Wszystkie?

Przecież to prawdziwa katastrofa!

- Nie, oczywiście, że nie - mama zaśmiała się z mojej miny. - Strażnik okien nie pozwala zbyt często zaglądać.

- A raczej powiedziałbym, że cenzuruje rzeczy, które możemy oglądać - tata skrzywił się. - Na przykład zawsze kazał nam już sobie iść, kiedy szłaś na randkę z tym swoim chłopakiem... Jak daleko zaszedł ten związek? Marek to jakoś kontroluje? Wiemy, że go zna, ale czy mu ufa? Co o nim sądzi?

Mama poklepała ojca uspokajająco po dłoni.

- Skarbie, skończ ten wywiad. Jest przecież dorosła. Ma prawo robić to, na co ma ochotę.

- Żeby tylko nagle nie musiała rzucić studiów z powodu przyrostu masy ciała... - mruknął ponuro tata.

Poczucie humoru odziedziczyłam chyba po nim...

- Teraz wy opowiedzcie mi, co u was - poprosiłam. - Jak wam się tu żyje? Całe szczęście, że oboje trafiliście do Nieba!

Nie wyobrażałam sobie, żebym ja trafiła do Arkadii, a najbliższa mi osoba do Piekła. Taka rozłąka na wieczność musiałaby być czymś potwornym! Co prawda, Kleopatra uparcie twierdziła, że nie da się wytrzymać z kimś kilku tysięcy lat, bo się człowiekowi w końcu nudzi.

Zawsze zastanawiało mnie to w przysiędze małżeńskiej. Sugerowała ona, że po śmierci już nie trzeba być małżeństwem, że to taki metafizyczny rozwód. Cieszyło mnie, że moi rodzice wciąż byli razem. Nie wyobrażałam sobie ich osobno.

- Jest nam tutaj wspaniale - powiedziała mama. - Mamy wszystko, czego zapagniemy. Możemy robić to, na co mamy ochotę. Możemy też nie robić nic, jeżeli będziemy mieć taki kaprys, i po prostu odpoczywać. Dodatkowo nie starzejemy się, a nawet możemy się odmłodzić, jeśli tylko tego zapagniemy.

Pod tym względem wszystko się zgadzało. Tak samo było w Piekło.

Nie rozumiałam tylko ludzi, którzy po swojej śmierci nie chcieli się odmłodzić i woleli zostać w swojej zniszczonej postaci.

Na przykład pewna urocza staruszka Anna Kowalska, która na własne życzenie trafiła do Piekła, bo zamierzała je nawrócić, wołała być stara. Nie wiem po co. Może zżyła się po prostu z włóczkowymi swetrami i chustką na głowie? Albo myślała, że w ten sposób będzie bardziej wiarygodna podczas prowadzenia swojej kampanii przeciwko stringom?

A może po prostu bała się, że jak stanie się młoda, to sama zacznie je nosić?

- A poznaliście Śmierć? - zapytałam. - Jest sympatyczna.

A raczej jest sympatyczne. Śmierć była bezpłciowa. Oto jak się kończy, kiedy jest się jedynym egzemplarzem swojego gatunku i nie można sobie znaleźć faceta.

Ciekawe, czy Borys by jej się spodobał? Jest niewiele niższy od niej. Prawie pasują do siebie wzrostem.

- Trochę straszna - stwierdził tata.

- I taka... niepozorna - dodała mama. - Ale nie mówmy o niej, bo dostaje dreszczy. Opowiedz nam o tym Piotрку. Czy to już coś stałego?

- Na razie zrobiliśmy sobie przerwę - wyznałam. - Pokłóciliśmy się.

Mama zrobiła zmartwioną minę.

- Jak to? Przez okno wydawał się takim sympatycznym chłopcem. Takim zapatrzonym w ciebie jak w obrazek. Wszędzie z tobą chodził, robił wszystko, o co go poprosiłaś. Był przeuroczy. Przynosił ci kwiaty bez okazji.

Ten ostatni argument był dla niej wyraźnie najważniejszy. Zauważyłam w salonie dużo wazonów. Większość z nich była wypełniona. Tata do dziś przynosił jej kwiaty. Tak po prostu, tylko po to, żeby zobaczyć jej uśmiech i zachwyty w oczach.

Pamiętałam z wczesnego dzieciństwa, że w naszym domu zawsze pachniało różami. Często, wracając z pracy, tata przynosił mamie mały upominek na dowód, że cały dzień o niej myślał.

- No tak, ale się pokłóciliśmy.

Rodzice spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- To wszystko przez te diabły - stwierdziła mama. - Powinnaś przestać utrzymywać z nimi kontakty. Musisz wrócić na Ziemię i być normalną dziewczyną, a nie szwendać się po zaświatach.

- Gdyby nie diabły, nie spotkałabym was po tylu latach - nieśmiało zauważyłam.

Mama odrobinę się zafrapowała, taty jednak nie zdołałam zbić z pantałyku.

- A czy to przypadkiem przez diabły raz już nie umarłaś? Wiesz, jak to przeżyliśmy z mamą? Zwłaszcza to, że trafiłaś do Piekła?! Już i tak zaniedbałaś Kościół, ale żeby trafić do Piekła?

- Diabeł przelicytował anioła - mruknełam na swoją obronę.

- Widocznie dałaś mu znaczne argumenty.

Nie podejrzewałam takiego obrotu spraw. Miało być miło i ckliwie, a tu nagle rodzice mają do mnie pretensje.

Poczułam się winna. Mieli trochę racji. Nie zachowywałam się jak anioł. Jednak...

- Przecież to wszystko było ukartowane specjalnie, żebym trafiła do Piekła. To nie była moja wina.

- To była wina twoich diabłów - przytaknęła mama i spojrzała ostro na tatę, żeby dał sobie spokój. - Gdy umarłaś, śledziliśmy każdy twój krok...

- O ile strażnik nas nie przepędzał - wtrącił tata.

- Strasznie się o ciebie martwiliśmy, kiedy usiłowałaś ratować ludzi z Iskrą. Przecież te szalone diabły mogły unicestwić twoją duszę. Już nie trafiłabyś do żadnych zaświatów!

Na jej twarzy malowała się prawdziwa zgroza, jakby dopiero teraz sobie uświadomiła, że to oznaczałoby, że nigdy więcej byśmy się nie spotkały.

No tak... to byłoby dość nieprzyjemne przestać istnieć. Przyznaję.

- Zamierzam wrócić na Ziemię i już tam zostać - powiedziałam. -
Złatwię tylko jeszcze jedną sprawę w Niebie i wracam.

- Jedną sprawę? - tata usiłował pociągnąć mnie za język.

- Tak, a potem uwolnię się od diabłów i nigdy więcej nie dam się wciągnąć w ich gierki - oświadczyłam.

- Dobrze - mama odrobinę się uspokoiła.

Chętnie poznałabym tego strażnika. Muszę mu podziękować, że nie pokazywał rodzicom wszystkich scen z mojego życia prywatnego...

- A ten strażnik... - usiłowałam zmienić temat. - Kim on jest?

- Ty nie zmieniaj tematu - powiedział tata, doskonale wyczuwając mój podstęp. - Masz przestać spotykać się z diabłami, słyszysz? To nie jest dla ciebie odpowiednie towarzystwo. Lepiej by było, gdybyś spotykała się z aniołami.

- Beleth i Azazel niedługo staną się aniołami. Już im stworzyłam skrzydła. Bo wiecie, mam moc Iskry...

- Wiem, kochanie - mama uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Ja też ją mam. Po mnie ją odziedziczyłaś.

Postanowiłam nie mówić im, że ja w przeciwieństwie do niej posiadam także moce piekielne. Jeśli jeszcze tego nie wiedzą. Tacie mogłoby się to nie spodobać.

- Nie wierzę, że archaniołowie pozwolą im stać się aniołami. Gabriel na pewno się temu sprzeciwi - skwitował tata.

Zapadła cisza. Odkryłam, że wcale tak do końca nie znałam moich rodziców. Zmarli, gdy byłam zbyt mała. Mimo to ślepo ich kochałam. Kochałam ich za te dziesięć lat bliskości, które mi dali.

Często zastanawiałam się, czy byłabym inna, gdyby to oni mnie wychowali, a nie starszy brat.

- Kochanie, chciałaś coś wiedzieć o oknach i o strażniku. Prawda? - zagadnęła mama po obiedzie, gdy siedzieliśmy na werandzie, popijając mrożoną herbatę.

- Tak!

- Może przejdziemy się na pole okien, co skarbie? - zwróciła się teraz pełna entuzjazmu do taty. - To będzie wreszcie rodzinny spacer!

Ten w odpowiedzi tylko kiwnął głową.

Szybko zebraliśmy się do wyjścia. Było już późne popołudnie. Niedługo zapadnie różowy zmierzch.

Idąc do drzwi, zatrzymałam się raptownie. Na kominku, wśród ważnych bibelotów, ramek ze zdjęciami i muszelek z podróży leżało coś, co nie pasowało do całości.

- Skąd to macie? - zapytałam, biorąc do ręki długie czarne pióro.

- Znaleźliśmy wczoraj w ogrodzie - mama uśmiechnęła się wesoło. - To pióro anielskie! Bardzo rzadko można takie znaleźć. Oni raczej nie gubią ich przypadkiem. Przyniesie nam dużo szczęścia. Jakiś anioł najwyraźniej nad nami potajemnie czuwa.

Powoli odłożyłam pióro na miejsce. Ten anioł nie czuwał. On obserwował.

Moroni...

Rozdział 17

Razem z rodzicami szliśmy wąską uliczką wykładaną marmurowymi płytami. Mijali nas uśmiechnięci ludzie i pozdrawiali wesoło. Wszyscy byli spokojni i zrównoważeni. Zerkali na mnie ciekawie. Czyżby wiedzieli, kim jestem? Pewnie tak.

Sprawa diabłów była bezprecedensowa. Aż zdziwiło mnie że Archanioł Gabriel, czy ktoś inny u władzy, jeszcze nas stąd nie wyrzucił. A w każdym razie, że nie wyrzucił mnie. To zdecydowanie nie było moje miejsce.

Kolejna para nadchodząca z naprzeciwka przywitała się z nami. Rodzice odpowiedzieli machinalnie. Przyznam szczerze, że nie byłam przyzwyczajona do czegoś takiego. Na Ziemi przechodnie tak się nie zachowywali. W Piekło, które było lustrzanym odbiciem tego podobno smutnego padołu było podobnie. Nikt nie zwracał na ciebie uwagi. Pełna anonimowość.

W Niebie czułam się zbyt odsłonięta. Zupełnie jakby każdy się mną interesował. Nie można zniknąć w tłumie. Niepokojące.

Weszliśmy do jednego z wielu parków, które widziałam po drodze. Było w nim sporo ludzi. Przeważnie gromadzili się wokół dziwnych mis na nóżkach, ale także siedzieli na ławkach czy po prostu spacerowali.

Rodzice podprowadzili mnie do jednej z mis. Zajrzałam do niej. Była pusta. - I co teraz? - zapytałam.

- Teraz nalejemy do niej wody - oświadczyła mama.

Tata ruszył w stronę marmurowej fontanny przedstawiającej kilkoro małych putt z konewkami. Wziął gliniany dzban, których było wiele w jej pobliżu, i zaczerpnął, na oko, zwyczajnej wody. Po chwili przelewał ją do kamiennej misy.

Oczekiwałam jakichś błysków, fajerwerków, nagłej ciszy, ale srodze się zawiodłam. Woda w misie wyglądała identycznie jak ta w dzbanie czy fontannie. Na jej powierzchni odbijały się nasze twarze.

- A teraz na co czekamy?

- Na strażnika - wyjaśniła mama.

Podniosłam głowę znad tafli wody. Statecznym krokiem zmierzał w naszą stronę jakiś staruszek ubrany w togę. Przypominał mi pod tym względem świętego Piotra. Może też był świętym?

Gdy podszedł bliżej, zauważyłam, że miał na dłoniach lateksowe rękawiczki.

- Witajcie, moi drodzy - powitał rodziców. - Chcecie zobaczyć to co zwykle?

Pokiwali głowami.

Staruszek zerknął na mnie i przeczesał dłonią brodę. Była krótsza i mniej zmierzwiona od tej, którą miał święty Piotr, jednak mimo to była imponująca. Jasnoniebieska szata wydymała się na jego dość solidnym brzuchu.

Zauważyłam, że miał na niej doszytą kieszeń, z której wystawały kolejne lateksowe rękawiczki.

- Widzę, że córka jest z wami, więc pewnie pragniecie zobaczyć syna? - upewnił się.

- Poprosimy - rzekł mój ojciec.

Nie wytrzymałam. Musiałam zapytać. Ja wiem, że nie wypada, ale musiałam. Ciekawość mnie zżerała.

- Czemu ma pan rękawiczki?

Rodzice spojrzeli na mnie ostro, jakbym popełniła nietakt. Jednak starszy pan nie nakrzyczał na mnie ani się nie obraził. Zaśmiał się tylko dobrotliwie i odpowiedział:

- W tym zawodzie bardzo szybko niszczy się skóra. Na szczęście śmiertelnicy wynaleźli beztalkowe rękawiczki. Jestem im za to bardzo wdzięczny.

Następnie zanurzył palec pośrodku misy. Na wodzie pojawiły się kręgi. Z początku delikatne, stawały się coraz wyraźniejsze. Woda zaczęła się burzyć i pryskać, zupełnie jakby palec staruszka był rozgrzany do czerwoności.

Gdy zabrał rękę, woda uspokoiła się. Jednak nie odbijały się w niej już nasze twarze. Przypominała ekran telewizora. Była nieruchoma i błyszcząca. Zobaczyliśmy w niej mojego brata Marka, który szedł ulicą ze swoją narzeczoną Natalią. A więc to było okno. Można było zaglądać przez nie do ziemskiej rzeczywistości.

Gdy się dobrze pochyliłam nad taflą, usłyszałam nawet, o czym rozmawiają. Szybko się cofnęłam. Wydało mi się wielce niestosowne podsłuchiwać, jak Marek szepcze Natalii, że ją kocha.

Straszne...

Rodzice mogli usłyszeć wszystko, co kiedykolwiek powiedziałam. Każde przekleństwo, kłamstwo. Oj, oj.

Starszy pan w lateksowych rękawiczkach kiwał głową, jakby słyszał moje myśli. A może po prostu wywnioskował wszystko z mojej miny? Chyba była dość czytelna.

- Och zobacz, Karol, nasz Marek kupił jej kwiaty - zawołała mama z zachwytem, wpatrując się w okno.

Oboje pochylali się nad misą tak nisko, że obawiałam się, że jeszcze chwila, a dotkną nosami powierzchni martwej, nieruchomej wody. Nie wiedziałam, czy było to bezpieczne. Chociaż z drugiej strony strażnik bez oporów przez tyle tysięcy maczał w niej palce.

Tak, rodzice zdecydowanie nie mieli żadnych oporów przed inwigilowaniem naszego życia. Na szczęście strażnik wybierał to, co im pokazuje. Szepnęłam do niego:

- Dziękuję.

Uśmiechnął się wesoło.

- Gdybym pokazywał wszystkim wszystko, to w Niebie wcale nie byłoby tak spokojnie - zwierzył mi się szeptem.

Odchrząknął i teraz powiedział głośno, by i moi rodzice go usłyszeli:

- Nie można zbyt często zaglądać w życie śmiertelnych, bo można się od niego uzależnić. Można w nie zerkać od czasu do czasu, żeby zobaczyć, co słychać, ale nie można wciąż i wciąż śledzić najbliższych.

Mama skrzywiła się, słysząc słowo „śledzić”. Chyba odrobinę poczuwała się do tego, co z tatą wyczyniali. Staruszek wzruszył ramionami i szepnął do mnie:

- Staram się, jak mogę.

Następnie odwrócił się i ruszył w stronę kolejnej pary, która patrzyła na niego wyczekująco. Idąc do nich, wyminął wysokiego blondyna.

Moroni z szerokim uśmiechem kierował się w naszą stronę. Miał na sobie typowy anielski strój. Ukrył skrzydła, by mu nie przeszkadzały. Mimo to wszyscy go rozpoznawali i witali z uśmiechem. A on niczym gwiazda rocka przedzierał się przez tłum, który rozstępował się, gdy on uniósł ręce.

- Co ty, w Mojżesza się bawisz? - zakpiłam, gdy do mnie podszedł.

- Wikcia! - zawołała moja mama ze zgrozą. - To anioł!

Wzruszyłam ramionami. To co, że anioł. Wcale nie musiałam go z tego powodu lubić.

- Pani Biankowska - ujął dłonie mojej mamy. - Proszę się nie przejmować. Znamy się z... Wikcią od dawna. Możemy sobie pozwolić na drobne żarciki.

Dużym wysiłkiem udało mi się zapanować nad mimiką i powstrzymać przed złośliwym komentarzem. Nikt nie miał prawa mówić do mnie per „Wikcia” poza mamą. Nie przepadałam za tym zdrobnieniem.

Poza tym patrzcie go. Znamy się od dawna.

Hm... a może Moroni był moim Aniołem Stróżem? Czy w ogóle istniało takie stanowisko? Jeżeli tak, to musiałyby istnieć strasznie dużo aniołów. Muszę się później zapytać Beletha.

- Pozwolą państwo, że porwę Wiktorię na krótki spacer? - anioł zwrócił się do moich rodziców, nawet nie zadając sobie trudu, żeby o zdanie zapytać mnie.

- Oczywiście - ucieszyła się mama. Miała prawdziwy zachwyty w oczach, gdy na niego patrzyła.

On naprawdę był jak gwiazda rocka... albo aktor. Tak, zdecydowanie jak aktor. Ja miałam zawsze takie samo cielejące spojrzenie, jak widziałam Brada Pitta w telewizji.

- Ale ja potem wracam na Ziemię - zauważyłam.

- Och, to już cię nie zobaczymy w najbliższym czasie - tata posmutniał.

- Odwiedzę was jeszcze raz, zanim opuścę Niebo - zapewniłam go. - Obiecuję.

Uściskaliśmy się mocno. Na wszelki wypadek mama powiedziała mi, jak mam się zachowywać, jak szukać pracy, jak znaleźć męża, jak wychować dzieci. Oczywiście w wielkim skrócie, ale i tak trwało to dobre pół godziny.

Moroni lekko zirytowany stał i tupał niecierpliwie nogą. Chyba nie sądził, że nasze pożegnanie będzie takie długie.

Ja nie miałam nic przeciwko temu. Czułam to samo co mama. Miałam złe przeczucie, że możemy się już nie spotkać, jak wpakuję się w jakieś diabelsko-anielskie kłopoty.

- Uważaj na siebie, Wikciu - poprosiła mama ze łzami w oczach.

- Bądź dzielna, księżniczko - dodał tata. Też wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- Wrócę jeszcze do was - zapewniłam ich. - A jak umrę, to przysięgam, że zrobię wszystko, żeby trafić do Nieba.

Teraz już wiedziałam, jak to wszystko działa. Na pewno nie dam się przegadać diabłu podczas targu. Będę wiedziała, gdzie chcę trafić, i powiem to stanowczo, gdy zapytają mnie o zdanie.

- Możemy iść - powiedziałam do Moroniego.

Pożegnał się krótko z moimi rodzicami i ruszyliśmy przez park w niewiadomym mi kierunku.

- Czego chcesz? - zapytałam bez ogródek, gdy znaleźliśmy się już daleko od moich rodziców.

- Rozmowy z tak uroczą damą jak ty - oświadczył z uśmiechem.

Powiedział to z taką galanterią, że podejrzywałam, że zaraz co najmniej mi się pokłoni.

- Spoko...

- Co twoje diabły opowiedziały ci o mnie? - zapytał.

- Wiem tylko, że założyłeś Kościół mormonów i że według Azazela coś knujesz - odparłam.

Nie zbiłam go z tropu swoją odpowiedzią. Raczej zawiodłam. Chyba liczył, że będę zachwycała się jego pomysłowością albo chociaż zarzucę go pytaniami, jak to jest być prorokiem.

- To niedużo wiesz - westchnął. - Chociaż trzeba przyznać, że esencję wszystkiego diabły ci przekazały.

- Rozwiniesz jakoś to, co powiedziałam?

Uśmiechnął się zadowolony, że jednak zadałam mu pytanie. Miałam czas. Mogłam sobie na to pozwolić.

- Jestem bardzo dumny z mojego stowarzyszenia. Oczywiście miałem kilka niepowodzeń. Na początku nie wiedziałem, jak się w zasadzie prowadzi coś takiego. Na przykład akceptowałem wielożeństwo. Jednak gdy Ameryka zaczęła się jednoczyć i stan, w którym mieszkała większość moich zwolenników, miał zostać przyłączony, musiałem objawić się jeszcze raz i trochę to naprostować. Prawo federalne Stanów Zjednoczonych zabraniało wielożeństwa - skrzywił się. - Ale za to udało mi się utrzymać to, że moi

mormoni biorą ślub na wieczność, a nie tak jak inni chrześcijanie, póki śmierć ich nie rozłączy.

- Czemu tak cię to bawi? - zapytałam podejrzliwie.

- Bo to trochę uprzykrza życie moim wyznawcom. Dlatego tak mnie to bawi - wzruszył ramionami.

Zaśmiałam się krótko.

- Dlaczego się śmiejesz? - zapytał.

- Bardzo przypominasz mi w tej chwili Azazela - wyznałam. - Tak samo jak on nie lubisz ludzi.

Moja uwaga zdenerwowała anioła. Poczzerwieniał na twarzy, jego miniaturowe źrenice zwężyły się jeszcze bardziej.

- Nie porównuj mnie z tym łachudrą - wycedził. - Jestem nieporównywalnie większy i wspanialszy od niego. Może i mamy podobny stosunek do śmiertelników, ale ja lepiej potrafię ich wykorzystać. Poza tym nie robię sobie wszędzie wrogów tak jak Azazel. A już jego przystąpienie do Lucyfera uważam za kardynalny błąd. Przecież to było oczywiste, że nic na tym nie zyska.

Miałam już dość tej rozmowy, dość jego towarzystwa. Znużyło mnie to. Chciałam wreszcie się dowiedzieć, czego ode mnie chciał.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać? Bo jeśli tylko miałeś zamiar chwalić mi się swoimi osiągnięciami, to chciałabym już pójść - oświadczyłam. - Nie potrzebuję wykładu na temat dziejów Stanów Zjednoczonych.

- Jesteś twarda, Wiktorio - zauważył. - Nietypowa śmiertelniczka. Tutaj wszyscy ludzie korzą się przed aniołami. Są niczym pełzające u anielskich stóp robaki. Zwierzęta.

Cokolwiek by twierdził, poglądy miał naprawdę istic Azazelowe. Mylił się jednak. Wcale nie był od niego mądrzejszy czy lepszy. Jedyne, co ich różniło, to miejsce stałego pobytu.

Na dodatek przejawiał tę samą denerwującą cechę, którą miał każdy czarny charakter w hollywoodzkich filmach. Zamiast przejść do rzeczy i zastrzelić głównego bohatera, musiał mówić tak długo o swoich planach, aż ktoś go zdążył obezwładnić. On po prostu nie potrafił się streszczać.

- Ależ ty masz problem z przejściem do sedna. Ja rozumiem, że masz miliard lat na karku i po prostu musisz się komuś wygadać, ale czemu na litość boską wybrałaś mnie? - nie wytrzymałam. - Czemu wszyscy nie dacie mi spokoju? Chcę być zwykłą śmiertelniczką!

- Przykro mi, Wiktorio, ale nie możesz. Posiadasz zbyt potężne moce. Potężniejsze nawet ode mnie - jego oczy zabłysły zazdrośnie. - Powiem ci, jak traktują cię mieszkańcy Niebios, a pewnie także i Piekieł. Dzięki machlojkom twoich diabłów otrzymałaś siły, które nie powinny być dane osobie z Iskrą Bożą. Przez to stałaś się kimś lepszym od aniołów, diabłów, świętych. To nie jest prawidłowe, Wiktorio. Zrozum, że gdybyś chciała, mogłabyś obalać rządy. Nieważne, czy ziemskie, czy niebiańskie. Ty możesz wiele, o ile nie wszystko.

Dlatego uśmiechamy się do ciebie, zapewniamy o naszej przyjaźni. Bądź przeciwnie, delikatnie dajemy ci do zrozumienia, że to my jesteśmy potężniejsi, chociaż wcale tak nie jest. Gramy z tobą.

Pomyślałam o Lucyferze. Może Moroni miał rację? Byłam potężniejsza od Szatana. To dlatego tak skutecznie wmawiał mi, że mam go słuchać. A ja słuchałam.

- Wzbudzasz w nas strach i niechęć - uśmiechnął się do mnie. - Gratuluję. Zawsze chciałem być kimś takim jak ty.

- To nie takie trudne - mruknęłam. - Po prostu zjedz jabłko.

Zaśmiał się serdecznie. Staliśmy w zacienionej alejce, w której poza nami nie było nikogo. Dawno zostawiliśmy za sobą wszystkich umarłych śmiertelników.

- Nie, moja droga, jabłko niestety na mnie nie podziała. Poza tym go nie mam - westchnął. - A przydałoby mi się. Wracając jednak do tego, o czym mieliśmy rozmawiać...

Nareszcie! W końcu jego słowotok ustanie! Naprawdę już się nie dziwię, że został prorokiem. Miał gadane jak kandydat na prezydenta.

- Potrzebuję twojej pomocy, Wiktorio. Bez ciebie sobie nie poradzę...

Rozdział 18

Przyznaję, zaskoczył mnie tym, choć nie tak bardzo, jak chyba tego oczekiwał. Wiedziałam, że będzie czegoś ode mnie chciał. Jak sam mi dobitnie wyjaśnił, miałam moce, które mogą być niezwykle przydatne.

To tak, jakby wszyscy używali łuków, a ja jedna strzelby.

Moja pomoc była nieodzowna do wielkich, brudnych spraw, którymi namiętnie zajmowały się ostatnio nadprzyrodzone istoty w moim towarzystwie. Wiktoria Biankowska - supermenka do wynajęcia. Dzwon, gdy chcesz obalić rząd lub doprowadzić do zniszczenia ludzkości!

- Chyba nie chcę ci pomóc - stwierdziłam. - Chcę mieć już święty spokój. Chcę wrócić na Ziemię i żyć swoim życiem.

- Och nie, moja droga. Nie możesz teraz zniknąć ze sceny. Nie wiem, co planuje Azazel, ale on na pewno nie pozwoli ci odejść.

- Teraz już nie jestem mu potrzebna - wzruszyłam ramionami.

- To po co zabrał cię do Nieba? - zapytał niewinnie.

O dobroć serca nie należy go podejrzewać, to fakt.

- W sumie nie wiem - mruknęłam. - Na wycieczkę. Przecież nie podejrzewa chyba, że zastraszę Gabriela, żeby dali mu stanowisko archanioła, no nie?

Moroni uśmiechnął się do siebie.

- A więc Azazel chce zostać archaniołem? - podrapał się w zamyśleniu po brodzie. - Czyli to jest jego plan? No proszę, proszę. A to miernota.

Oczywiście nie ugryzłam się w odpowiednim momencie w język. To po to Moroni chciał się ze mną spotkać. Miał nadzieję, że zdoła się ode mnie dowiedzieć, co planują moi towarzysze. A ja oczywiście wszystko podałam mu na pięknie przystrojonym talerzu.

- Ale nie wiesz tego ode mnie, jasne? - warknęłam. - Bo inaczej...!

- Bo inaczej co? Zamienisz mnie w mrówkę i zادةczesz? - wykił mnie.

- Nie jesteś zabójczynią. Wiem, że nadal masz wyrzuty sumienia z powodu tamtych i żałujesz tego, co się stało. Wątpię, żebyś miała to kiedykolwiek powtórzyć. Choć przyznaję, że był to bardzo imponujący wyczyn.

Kipiałam ze złości, ale miał rację. Nie odważę się ponownie zabić. Zbyt wiele mnie to kosztowało. Nerwów, nieprzespanych nocy, łez. W pewnym sensie zabiłam także część siebie.

Odgarnęłam włosy z twarzy. W Arkadii było bardzo przyjemnie. Nie było ani za ciepło, ani za zimno. Temperatura około dwudziestu czterech stopni. Jednak mnie zrobiło się teraz bardzo gorąco. Czułam, jakby moje policzki gotowały się ze złości.

- Chciałbym, abyś pomogła mi w moim małym planie. W zamian obiecuję ci spokój, którego tak pragniesz.

Moroni oparł się o drzewo w nonszalanckiej pozie.

- Nie ufam ci. Nie wierzę, że dasz mi spokój. To się nigdy nie skończy. Diabły też miały dać mi spokój. A widzisz, jaki jest tego efekt - rozpostarłam ramiona.

- Wszyscy wiedzą, że diabłom nie należy ufać. Nie odpowiadam za nich i pobudki nimi kierujące - zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Chociaż dobrze rozumiem Beletha. Byłaby z ciebie wspaniała towarzyszka życia. Potężna, piękna, pociągająca. Sam zaproponowałbym ci wspólne życie, jednak wiem, jak brzmiałaby twoja odpowiedź.

- To dobrze, że wiesz - mruknęłam.

- A właśnie. Jak twój wybranek? Pogodziliście się już? - zapytał złośliwie.

Czy tu wszyscy wiedzieli o wszystkim? Istnienie Piotrka i jego zdrada nie ukryły się nawet przed aniołem? Skandal.

- Nie... - mruknęłam.

- Zamiast być na Ziemi z ukochanym, ty przebywasz w Niebie z diabłami - zaśmiał się ze mnie. - Moja droga, podziwiam twoją inteligencję, ale są chwile, że nawet ja zaczynam w nią wątpić. Nie należy ufać diabłom. Zapamiętaj to raz na zawsze Dobrze ci radzę.

Postanowiłam nie ciągnąć tej niewygodnej dla mnie rozmowy.

- Czyli co w sumie ode mnie chcesz? Nie chcesz zrobić ze mnie swojej dziewczyny, to co w końcu?

- Nie chcę, byś była moją partnerką, bo nie możesz nią zostać. Boskie prawo zabrania aniołom spółkować ze śmiertelnikami, a ty niestety jesteś śmiertelniczką.

Już miałam mu przerwać, jednak on wreszcie powiedział coś nowego, coś, czego jeszcze nie wiedziałam:

- To wszystko co prawda będzie przeszłością, gdy tylko osiągnę to, co zamierzam. Wtedy porozmawiamy ponownie.

Po plecach przebiegł mi dreszcz niepokoju. Jego głos stwardniał i stał się o wiele bardziej złowieszczy niż na początku rozmowy.

- A teraz potrzebuję twojej pomocy w zdobyciu kilku przedmiotów. Zapewniam, że nie zajmie ci to dużo czasu.

- Jakie przedmioty? - zapytałam nieufnie.

- Klucze - uśmiechnął się chciwie.

Jego wyblakłe oczy zaśniły w słońcu. Małe jak szpileczki źrenice zwężyły się jeszcze bardziej. Miałam wrażenie że znikły zupełnie.

- Po co ci te klucze?

- Och, zamierzam tylko zdobyć władzę nad światem, obalić potęgę archaniołów, sprawić, by wszyscy zapomnieli o starym Bogu, i pomóc Afryce w stworzeniu własnego programu kosmicznego.

Westchnęłam ciężko. W zaświatach każdy uważał mnie za idiotkę.

- Taaa, jasne. I co jeszcze? Może zlikwidujesz Piekło, bo jest niepotrzebne? - zakpiłam.

Nie wiem, gdzie chciał się włamać za pomocą tych kluczy, ale nie będzie mi tu mydlił oczu, że niby chce zniszczyć Boga.

- Och nie kochana. W żadnym razie nie zlikwiduję Piekła. Pozwól, że coś ci zacytuję. Jak mówi dziewiąte twierdzenie satanizmu: „Satan jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek Kościół posiadał, ponieważ przez te wszystkie lata dawał mu zajęcie!”². Nie mogę zniszczyć takiej pięknej tradycji.

Śmiał się do rozpuku z mojej miny. Dobrze wiedział, że nie wierzę w ani jedno jego słowo.

Nagle spowaźniał, widząc coś albo kogoś za moimi plecami. Z dobrego policjanta zmienił się w złego glinę.

- Droga Wiktorio. Zauważ, że jestem teraz miły, ale mogę szybko przestać taki być. Mam dość gierki. Przemyśl to, co ci zaproponowałem - powiedział szybko.

- Pomyślę - mruknęłam.

Nie ma mowy, w nic mnie nie wciągnie ten oszukańczy anioł. Po moim trupie! Anie, zaraz. Nie powinnam tak mówić. Chcę dożyć późnej starości i dręczyć wnuczęta przypalonymi ciastkami własnej roboty.

Chociaż z drugiej strony widmo spokojnego życia, które roztaczał przede mną Moroni, było bardzo kuszące.

- Zostawię ci trochę czasu na zastanowienie. Potem spodziewaj się mojej wizyty. Do zobaczenia - kiwnął mi na pożegnanie głową i odwrócił się na pięcie, rozkładając czarne jak smoła skrzydła.

Powiew wiatru smagnął mnie po twarzy, gdy Moroni wzbił się w powietrze.

- Hej! - podbiegł do mnie w tej chwili zasapany Beleth. - STÓJ!

Jednak Moroni był już tylko czarną plamką między chmurami.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na to, jak już się zrobiło późno. Zaczął zapadać różowopomarańczowy zmrok, wydłużając cienie otaczających nas drzew. Całkiem wypadło mi z głowy małe przyjęcie na Ziemi, na którym miałam się dzisiaj stawić.

- Czego od ciebie chciał? - zapytał podenerwowany Azazel, będąc podejrzanie bliski hysterii. - Nawet na chwilę nie można zostawić cię samej, bo zaraz zaczynają się jakieś kłopoty. No mówże, czego on od ciebie chciał!

- Po prostu ze mną rozmawiał - odburknęłam.

- O czym?

- O tym, co ja tu robię. O tym, że jestem całkiem potężna - wzruszyłam ramionami.

Nie byłam pewna, czy powinnam im mówić o planach Moroniego. A jeśli rzeczywiście dałby mi święty spokój, gdybym mu pomogła?

Był aniołem. Może mogłam mu zaufać?

- A nie pytał cię o moje plany? - naciskał Azazel.

² Anton Szandor La Vey, *Biblia Szatana*, Wrocław 1999.

- Nie...

- To ciekawe - zasepił się. - O co mu może chodzić?

- Po prostu zaintrygowałam go swoją osobą.

Azazel przyglądał się uważnie, jakby mi nie uwierzył. W końcu jednak chyba dał za wygraną, bo jego twarz się rozpuściła.

- A może Moroni nic nie planuje? - rzucił pytanie w przestrzeń. - Może po prostu zaniepokoił się swoją obecnością i chce wy badać, jakie są nasze prawdziwe zamiary?

- Może - mruknął nie do końca przekonany Beleth, zerkając na mnie krzywo. - Nie podoba mi się, że zaczepia Wiktorię. Musimy jej lepiej pilnować.

Spojrzałam na niego ostro. Nie zamierzałam wszędzie chodzić w ich asyście. Chociaż przystojnego diabła pewnie bardzo by to ucieszyło.

- To nie wiesz, czego chciał? - Azazel po raz kolejny chciał się upewnić.

Po raz kolejny wzruszyłam ramionami. Aż coś mi strzyknęło w karku. Za często ostatnio wykonywałam ten gest. Zwłaszcza w momentach, kiedy oszukiwałam. Nabyte zwyrodnienie barku chyba nie świadczyło dobrze o statystyce moich kłamstw.

- W Niebie nie ma anielic, prawda? - zapytałam niespodziewanie.

Diabły spojrzały na mnie zaskoczone tą nagłą zmianą tematu.

- Nie. Piekło jest znacznie bardziej postępowe od Arkadii i już dawno stworzyło taką posadę. Niebo jest pod tym względem wybitnie zacofane, przez co traci corocznie wiele setek, jeśli nie tysięcy dusz - odpowiedział Azazel. - Ale jak już zostanę Archaniołem, to obiecuję, że pomyślę nad tym zagadnieniem. A co, Wiktorio? Zgłaszasz swoją kandydaturę?

Mieć skrzydła. Fajna rzecz. Znacznie przyjemniejsze od rogów i ogona.

- O ile nie będzie się to wiązało ze śmiercią, to nie ma sprawy - westchnęłam.

- Postaram się - Azazel wyszczerzył do mnie zęby. - A teraz co? Idziemy na przyjęcie? Mam ochotę się upić!

Patrzyłam na niego ze zgrozą. Nie miałam ochoty niańczyć pijanego diabła na imprezie studenckiej. Beleth ścisnął mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy.

- Ja się nim zajmę - szepnął.

Rozdział 19

Stałam pod drzwiami studenckiego mieszkania Tomka z dopiero co wyczarowaną butelką wina w dłoni. W drugiej ścisnęłam torbę foliową z kilkoma opakowaniami chipsów. Będę musiała stawić czoło Zuzie, Piotrkowi, całemu światu.

Naciśnięcie dzwonka było chyba ponad moje siły.

- Wchodzimy w końcu? - zniecierpliwiał się Azazel.

A na dodatek miałam za plecami dwa zrzęдлиwe diabły.

Niechętnie wcisnęłam dzwonek. Otworzył mi roześmiany Tomek, wyraźnie już pod wpływem białej, czerwonej lub żółtej „wody ognistej”. Spojrzał ciekawie na moich towarzyszy.

- Hej - pocałowałam go w policzek. - To są moi znajomi: Bartek i Arek. Przepraszam, że wcześniej nie zapytałam czy mogę ich przyprowadzić. Obiecuję, że biorę na siebie całą odpowiedzialność za ich zachowanie. Poza tym mogę poręczyć, że będą grzeczni i nic nie zdemolują.

Wcisnęłam koledze do rąk alkohol oraz zagryzkę i weszłam do mieszkania. Od razu straciłam zainteresowanie diabłami. Potrzebowałam jak najprędzej zorientować się, czy Piotrek już przyszedł, żebym zdążyła odseparować go od Beletha, ale najpierw musiałam znaleźć Zuzę i opowiedzieć jej o rozstaniu.

Na moje nieszczęście stała pośrodku pokoju i rozmawiała z Piotrem. Szlag by to trafił...

Byłam ciekawa, co tym razem Piotrek mi powie. Wymyśli jeszcze inny powód swojej zdrady? Zaśmiałam się gorzko w myślach. Pocieszało mnie, że przynajmniej odkąd zjedliśmy jabłko, nie mogliśmy być po raz kolejny zaczarowani ani zmuszeni do zrobienia czegoś wbrew naszej woli. Teraz grzeszyliśmy tylko i wyłącznie na swój rachunek.

Idąc w ich stronę, zobaczyłam Monikę. Podrywała jakiegoś nieznanego mi chłopaka. Puszczalska ździra. Zauważyłam, że zerknęła na mnie z lekkim uśmiechem.

Siłą woli powstrzymałam się, żeby nie podejść i na dzień dobry nie roztrzaskać jej czaszki o ścianę.

- Cześć - powiedziałam z krzywym uśmiechem do dwóch bliskich mi osób.

Piotrek spuścił wzrok, ja spojrzałam w bok, a Zuza zdziwiona uniosła do góry brew.

- A co tu się dzieje? - zapytała podejrzliwie. - Nie rzucacie się na siebie, nie obściskujecie, nie całujecie? Węszę jakieś zamieszanie.

- Rozeszliśmy się - powiedział cicho Piotrek.

Zuza nie wiedziała, co powiedzieć. Stała z szeroko otwartymi ustami i parę razy poruszyła nimi jak śnięta ryba. To musiał być dla niej szok. Pierwszy

raz nie dowiedziała się czegoś wprost ode mnie. W końcu wzięła się w garść i warknęła z pretensją:

- A ty mi nic nie mówisz?!

- To się stało przed chwilą - mruknęłam.

- Zuza, przepraszam cię, ale czy mogę porozmawiać przez chwilę z Wiktoria? Sam na sam? - poprosił Piotrek.

Rzuciła mi pytające spojrzenie, ale nie zareagowałam na nie. Uraziło mnie, że nie zapytał mnie o zdanie, mimo to zdecydowałam się go wysłuchać. Zuza westchnęła, pokręciła głową i zostawiła nas samych. O ile można zostać samemu w pokoju pełnym ludzi.

- Może wyjdziemy na balkon, jeśli tam nikogo nie ma? - zaproponował mój były ukochany.

Balkon był dość bolesnym miejscem. To od niego wszystko się zaczęło.

Kątem oka zauważyłam, że Beleth przygląda nam się podejrzliwie. Wyglądał, jakby miał ochotę zabić Piotrusia spojrzeniem.

Balkon na szczęście był pusty. Tomek i jego współlokatorzy pozwalali palić w mieszkaniu, więc nie było chętnych do marznięcia na dworze. Zamknęliśmy za sobą drzwi. Śnieg niedawno się rozpuścił. Wiosenna odwilż pojawiła się niespodziewanie.

Bez zbędnych, cikliwych zagajeń postanowiłam od razu przejść do rzeczy.

- Chciałam cię zapytać, czy nadal nic nie pamiętasz z tamtego zdarzenia - oparłam się o barierkę, patrząc na szare bloki Żoliborza.

Piotruś nie przysunął się do mnie. Stał w takiej odległości, żebym czuła się komfortowo.

- Tak - odparł z mocą. - Nic nie potrafię sobie przypomnieć. Ale czasami... czasami mam sny. To dziwne sny. Widzę w nich urywki tamtego poranka.

Drgnęłam. Tak samo było ze mną, gdy zostałam zamordowana. Także miałam sny. Nikomu o nich nie mówiłam, nawet Piotrkowi. Potem o nich zapomniałam, gdy straciłam pamięć. Mgliste migawki wieczoru, wizje mordercy, widmo noża wbijającego się w mój brzuch, fantomowy ból.

Oczywiście mojej traumy nie da się porównać z tym, że jemu się śni, że się pieprzy z Moniką.

Hm, nie mogę brzydko mówić i nienawidzić, bo moje szanse na trafienie do Nieba maleją.

Pomimo że zamknęliśmy za sobą drzwi balkonowe, dobiegł nas perlisty, sztuczny śmiech Moniki. Aż się wzdrygnęłam z obrzydzenia. Dobra - nienawidzić przestanę, kiedy wejdę na jakiś wyższy stopień duchowy, bo na razie byłam na to najwyraźniej za słaba...

- A co z tobą, Wiki? - chciał mnie dotknąć, ale cofnął dłoń. - Nie pakujesz się w żadne kłopoty? Bo diabły cały czas za tobą chodzą.

- Wszystko jest dobrze - uśmiechnęłam się. - Spotkałam moich rodziców w Niebie! Rozmawiałam z nimi. Mogłam się do nich przytulić.

- Cieszę się, Wiki. Wiem, że bardzo za nimi tęskniłaś.

Kiwnęłam smutno głową.

- Zwłaszcza że wspomnienia o nich powoli zaczynały mi się zacierać... Ale teraz już ich nie zapomnę. Już nigdy - powiedziałam z mocą. - Poza tym zamierzam kiedyś do nich dołączyć w Niebie. Teraz wiem, że na mnie czekają.

- Tylko nie dołączaj do nich za szybko. Wiki, ja wiem, że pewnie puścisz mimo uszu to, co teraz ci powiem, ale uważaj na diabły. Ja im nie ufam. Nie wierzę, że dadzą ci spokój. Jeśli chodziłoby im tylko o skrzydła, to przecież przestałyby cię pilnować. Nie spędziliby z tobą każdej chwili. Oni jeszcze do czegoś cię potrzebują. Nie chcą, żebyś się im wymknęła z rąk.

- Wiem. Azazel planuje przewrót w Niebie. Chce zostać archaniołem.

Piotruś otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Żartujesz - bardziej stwierdził niż zapytał. - Jak on zostanie archaniołem, to ja chyba stanę się ateistą...

- Nie waż się - pogroziłam mu palcem. - Skoro już mamy doświadczalny dowód, że szczęśliwe życie pozagrobowe istnieje, to musimy trafić w jakieś dobre miejsce.

Uśmiechnął się.

Przez chwilę znowu poczułam się tak jak dawniej, gdy wszystko między nami było w jak najlepszym porządku. Gdy byliśmy dobrymi przyjaciółmi, a potem parą. Brakowało tylko, żebyśmy trzymali się cały czas za ręce i co jakiś czas całowali.

- Co z nami będzie? - zapytał.

- Nie wiem - zapatrzyłam się przez szybę na dwa diabły. Azazel właśnie w najlepsze zagadywał moją przyjaciółkę Zużę.

- Udowodnię ci, że ja z tą zdradą nie miałem nic wspólnego - zmieszał się. - To znaczy, no wiesz, o co mi chodzi. Nie pozwolę, żeby diabły mną manipulowały. Nie jestem ich marionetką. Jak już mówiłem, postaram się być w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała - zapewnił mnie rycersko.

Przypomniałam sobie złote golemy i to, że mogą zabić bez powodu tylko dlatego, że ktoś podejdzie za blisko bramy. Podejrzywałam również, że mogły zaszlachtować za krzywe spojrzenie, ale akurat na to nie miałam dowodu.

- Ale nie idź za mną do Nieba - złapałam go za rękę. Poczułam, jakby między nami przebiegł prąd. Piotrek też to poczuł, bo wpatrywał się we mnie w zdumieniu.

To było bardzo dziwne, ale przyjemne uczucie, jak przeskok mocy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuliśmy. Chyba zjedzenie jabłka i uaktywnienie Iskry Bożej coś w nas zmieniły.

Wpatrywaliśmy się w swoje ręce.

- Bram Niebios pilnują potwory. Zabiją cię, jeśli się zbliżysz. Obiecuj, że nie będziesz próbował wejść do Arkadii - powiedziałam, odsuwając dłoń i starając się zapomnieć o tym dziwnym uczuciu.

- Mogę ci obiecać, że postaram się unikać... - uśmiechnął się przekornie.

- Piotrek, to nie są żarty! Złote golemy mogą cię zabić!
- Martwisz się o mnie - ucieszył się. - To dobrze, może nie wszystko jeszcze stracone.

Nie słuchał mnie. Wcale.

- Ale wszystko będzie stracone, jak dasz się zabić - zauważyłam.

- Nie da się ukryć - zaśmiał się. - Nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Poza tym zasłużyłem na mały wycisk.

- Urwanie głowy, przecięcie na pół szablą i rozwleczenie wnętrzości przed bramą nie jest małym wyciskiem - odparłam ponuro.

- Fakt. Gdy tak obrazowo to przedstawiłaś, to zacząłem mieć wątpliwości.

Wiedziałam, że mnie nie posłucha. Piotrek zawsze chadzał własnymi ścieżkami. Był niczym kot. Inteligentny indywidualista.

- Piotruś, to nie jest śmieszne - jak zwykle wyprowadzał mnie z równowagi swoim uporem.

- Rozejrzałem się już trochę po zaświatach i dowiedziałem się, że podobno w Niebie jest Jezioro Czasu - powiedział, zmieniając temat.

Po plecach przebiegł mi dreszcz na myśl o tym, że poszedł do Piekła, by znaleźć rozwiązanie. Wplątywał się dokładnie w to samo co ja poprzednio. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś go wciągnął w jakieś polityczne rozgrywki.

Jezioro Czasu, pierwszy raz słyszałam tę nazwę. Czyżby to Lucyfer mu o tym opowiedział? W przewodniku po Piekło także nie było żadnej wzmianki. No tak, ale Piotrek mówił, że ono jest w Niebie.

- To jezioro, w którego wodzie można zobaczyć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość - wyjaśnił mi. - Tam jest dowód na to, że ja cię nie zdradziłem specjalnie, że za tym wszystkim stoją oni. Chcę odzyskać twoje zaufanie.

Spojrzelśmy po raz kolejny przez szybę na moich towarzyszy z piekła rodem. Beleth przewiercał mnie spojrzeniem.

- Wiki, słyszysz mnie?

Odwróciłam się do niego wyrwana z rozmyślań.

- Nie szukaj tego jeziora - powiedziałam.

- Chcę ci udowodnić - upierał się.

Zakłęłam w duchu. Nie chciałam mieć go na sumieniu. Nie znał zaświatów ani zasad w nich panujących. Prędzej go zabiją, niż znajdzie to jezioro.

- Spróbuję je znaleźć - zapewniłam go, żeby się odczepił. - Ale ty nie zbliżaj się do Nieba, jasne?

Nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko do mnie czule.

- Tęsknię za tobą - wyznał.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Nic nie odpowiedziałam, chociaż też odczuwałam tęsknotę. Mimo to nie potrafiłam mu wybaczyć.

Chłód wieczoru zaczął wkradać nam się pod ubrania. Zadrzałam.

- Chodź do środka. Tu jest zimno. Jeszcze mi się, diablico, przeziebiesz - westchnął zawiedziony brakiem mojej reakcji.

- Anielico - poprawiłam go. - Od jakiegoś czasu zamierzam być tylko i wyłącznie prawa i dobra.

Moje diabły siedziały razem z Zużą na kanapie, sącząc alkohol z wysokich szklanek. Jednak Beleth nie był zajęty rozmową. Czujnie obserwował każdy nasz gest i zmianę wyrazu twarzy. I był widocznie niezadowolony z tego, co podejrzwał.

- Osobiście uważam wszelkie wojny religijne za zło. W końcu nasza wspaniała religia każe krzewić prawdę - Azazel właśnie rozwodził się nad jakimś dziwnym tematem. - Czy jednak można uznać wojny krzyżowe za samo zło? Otóż...

Zuza wpatrywała się w diabła jak w obrazek, spijając każde słowo z jego ust. Pociągnęła solidny łyk ze szklanki, napełnionej zapewne wódką z sokiem wiśniowym. Znając moją przyjaciółkę, pewnie w stosunku 1:1.

- Możemy pogadać? - zaproponowałam. Zuza niechętnie odeszła ze mną na bok.

Opowiedziałam jej w wielkim skrócie, jak to Monika rozbiła nasz związek, bo kręciła się koło Piotrka, a on lekko zaczął jej ulegać. Nie wspomniałam o zdradzie cielesnej. Powiedziała tylko, że zerwałam z nim, skoro nie jest pewien swoich uczuć wobec mnie.

- Nie wygląda, jakby nie był pewien swoich uczuć - skwitowała moją opowieść Zuza. - Poza tym widzę, że nie jesteś mu dłużna. Szybko znalazłaś nowego adoratora, tego Bartka. Śledził zazdrośnie każdy twój ruch, kiedy wyszłaś z Piotrkim na balkon. Nie powinnaś się nimi tak bawić. Zdecyduj się na jednego. Nie możesz mieć dwóch.

Nie wierzyłam w to, co właśnie usłyszałam. Zuza prawiała mi morały!

Zastanawiałam się, na kim właściwie mi teraz zależy. Czy zależało mi na Piotrusiu, mojej szczeniackiej miłości? Teraz na balkonie przypomniał mi, jak to było, kiedy byliśmy razem.

- Może tak samo było z Piotrkim i Moniką? - zapytała Zuza. - W końcu wszyscy wiemy, że z niej kawał cholery, jak się na coś uprze. A tym razem najwyraźniej uparła się na twój Piotrka. Pewnie uznała, że to świetna zwierzyna łowna, bo jest w tobie zakochany. Ją podniecają takie wyzwania.

Mój poziom złości znowu podniósł się do poziomu, na którym najchętniej powyrywałabym Monice wszystkie włosy z głowy. Jeden po drugim, żeby cierpiała jak najdłużej.

No tak, gdybym jej powiedziała, że się przespał z Moniką, to Zuza pewnie twierdziłaby coś zupełnie innego. Dopóki się tego nie dowie, będzie jego zagorzałą zwolenniczką.

- A teraz opowiedz mi o Arku - moja przyjaciółka zmieniła temat. - Wydaje się strasznie fajnym facetem. A do tego jest religijny! Idealny kandydat na chłopaka!

Rozdział 20

Jeszcze długo rozmawialiśmy na imprezie. O Piotрку, Bartku, nowej miłości Zuzy, czyli Arku. Nie zawiodłam się na niej. Zawsze miała dość specyficzny, przeważnie chybiony, gust, jeśli chodziło o dobór mężczyzn.

By zapobiec kolejnej katastrofie, wyjaśniłam jej, że Arek jednak nie jest do wzięcia, ponieważ jest gejem. Stara się tylko sprawiać wrażenie hetero, żeby nie zostać wyśmianym i napiętnowanym.

Od razu jej przeszło.

Znowu miałam spędzić noc w rezydencji Beletha. Diabeł, wyraźnie zadowolony moimi dobrymi stosunkami z Piotrusiem, starał się zrobić wszystko, byle mnie tylko uwieść.

Gdy lekko zawiani wróciliśmy do jego posiadłości, Beleth stwierdził, że powinniśmy zdecydowanie zjeść jeszcze kolację. W końcu nie można kłaść się o pustym żołądku. Inaczej alkohol mógłby nam zaszkodzić.

Nie wiem, czemu na to przystałam. Chyba tylko i wyłącznie z ciekawości, co on tym razem wymyśli.

Diabeł na tę okazję wybrał dużą jadalnię stylizowaną na zamkową komnatę. Duży stół, przeznaczony raczej do biesiad niż skromnej kolacji we dwoje, wyglądał przeraźliwie pusto. Przykryty burgundowym obrusem haftowanym w białe róże pasował do ozdobnych kilimów przedstawiających barwnych rycerzy zabijających smoki. Dookoła głów smoków były wyszyte strugi krwi. Przeurocze.

Z sufitu zwieszał się okazały żyrandol z kilkudziesięcioma zapalonymi świecami, z których skapywał gorący wosk. To było romantyczne, ale i strasznie niepraktyczne. Już się obrus zniszczył.

Diabeł odsunął mi krzesło i posadził u szczytu stołu. Sam zajął miejsce po mojej prawicy. Klasnął w dłonie i na pustym stole pojawiła się zastawa i piękne dania.

- Chyba nie sądzisz, że tyle zjem? - zaśmiałam się.

Na środku leżało ogromne prosię z jabłkiem w pysku. Tak się na nie zagapiłam, że nie usłyszałam, co mi odpowiedział.

- Przepraszam, możesz powtórzyć? - skupiłam uwagę na moim towarzyszu.

- Powiedziałem, że nieważne, ile zjesz, wiem, ile ja zjem. Zamierzam zjeść dzisiaj ciebie - uśmiechał się kusząco.

- No, no! Zły wilku. Nieładnie - zakpiłam.

Jak zrobić, żeby alkohol wyparował z mojej głowy i żeby natychmiast wytrzeźwiała? Pomyślałam intensywnie o tym, że chcę być trzeźwa. Ku mojemu zaskoczeniu udało mi się. Odetchnęłam z ulgą. Byłam bezpieczna.

Bez słowa podał mi półmisek z wędlinami.

- Życzysz sobie? - zapytał z galanterią.

Poczęstowałam się i zrobiłam sobie dość prostacką kanapkę. Żeby już nie była taka całkiem zwyczajna, położyłam na niej kawałek pieczarki i plasterek pomidora.

Diabeł nałożył sobie na talerz przepiórkę i sprawnie zaczął ją kroić pozłacanym widelcem i nożem. Wzięłam do ręki jeden z takich sztuczków. Jego rączka wysadzana była maleńkimi diamentami, rubinami i szmaragdami. Na wszelki wypadek odłożyłam go na miejsce, żeby nic nie popsuć.

Podczas jedzenia rozmawialiśmy na neutralne tematy. Beleth w skrócie powiedział mi, gdzie się wybierzemy jutro na spacer i co zwiedzimy.

- Spodoba ci się tak zwane Anielskie Centrum Dowodzenia - zachwalał. - To stamtąd kierujemy i obserwujemy cały ziemski świat.

- My? - zapytałam. - Jeszcze nie zostałeś aniołem.

- To tylko kwestia czasu - zapewnił spokojnie. - Wina?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, nalał, przepisową według zasad *savoir-vivre*, ilość czerwonego trunku do kieliszka. Swoją drogą bardzo pięknego. Szklany kielich osadzony był na srebrnej nóżce oplecionej złotymi liśćmi. Trzeba było przyznać Belethowi, że gust miał nienaganny.

- Próbujesz mnie upić? - zaniepokoiłam się.

- Oczywiście, że tak. Upiję cię, a potem wykorzystam twoją słabość do mnie - uśmiechnął się zmysłowo.

- Słabość? Chyba zwariowałaś - prychnęłam i spojrzałam na wino w kieliszku, żeby nie mógł zajrzeć mi w oczy.

- Wracając do naszej rozmowy o wycieczce - zignorował moją uwagę. - Potem zabralbym cię do Obserwatorium, a wieczór moglibyśmy spędzić w teatrze. Co ty na to, żeby zobaczyć *Antygonę* graną przez antycznych aktorów? Całkiem nieźle się trzymają.

- Brzmi obiecująco - wzruszyłam ramionami. - A macie tu jeszcze jakieś cuda? Czy reszta jest zwyczajna tak jak w Piekło?

Rozparł się wygodnie na krześle i z kieliszkiem w dłoni zaczął zachwalać Niebo.

- Arkadia jest znacznie bardziej... czarodziejska od Piekła, jeśli o to ci chodzi. Weźmy chociaż te golemy sprzed bramy. Nigdzie więcej takich nie spotkasz. Są jedyne w swoim rodzaju... O! - wykrzyknął zadowolony, że coś mu się przypomniało. - Jeżeli jesteś taka żądna cudów, to mamy coś, czego nigdzie nie ma. Jezioro Czasu.

Miałam więcej szczęścia niż rozumu. Chyba szybciej, niż myślałam spełnić obietnicę daną Piotrowi.

- Co to jest? - upiłam łyk wina i wzięłam do ust ostatni kęs niezwykle smakowitej kanapki z wędzoną szynką. Usiłowałam nie dać po sobie poznać, że już coś na jego temat słyszałam.

- To, jak nazwa wskazuje, jezioro. Tyle że niezwykłe. W tym jeziorze płyną wody czasu. Gdy wypłyniesz łódką na jego środek i wychylisz się za burtę, możesz dostrzec przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

To była dla mnie szansa. Jeśli zerknęłabym do Jeziora Czasu, mogłabym się dowiedzieć, czy diabły rzeczywiście stały za zdradą Piotra. Jeśli nie, to mogę przestać mieć wyrzuty sumienia, gdy jestem z Belethem. A jeśli tak - to biada diabłom. Nikomu nie pozwolę rozbijać moich związków dla kaprysu!

- I tak po prostu można zobaczyć przyszłość i przeszłość? W wodzie? - zdziwiłam się. - To coś jak okna w parku do podglądania śmiertelników?

- Niezupełnie. Chociaż podobne jest to, że w obu przypadkach zagładasz w wodę - wyjaśnił.

- Chętnie bym zobaczyła to jezioro - powiedziałam i szybko skłamałam: - Jestem ciekawa, jak potoczy się moja przyszłość.

- Och, na pewno dobrze - wziął mnie za rękę. - A w moim towarzystwie to wręcz wspaniale!

Beleth nigdy nie był skromny.

- Jest tylko jeden problem - oświadczył. - Nie możesz wypłynąć na jego wody.

Znowu kłody pod nogami. Pomimo że to zwykła przenośnia, to poczułam, jak dostałam nimi po piszczelach...

- Dlaczego? - zawołałam zawiedziona.

- Bo nikomu nie wolno zobaczyć przyszłości - wzruszył ramionami. - Nawet mnie. Jedynie Bóg ma w nią wgląd.

- A gdybym chciała zobaczyć przeszłość? - zapytałam. - To wtedy już mogę wypłynąć? Przeszłość chyba nie jest okryta tajemnicą? W końcu już się wydarzyła. Wszyscy ją znają.

- Także nie. Jezioro nie jest zbyt wybiórcze w pokazywaniu obrazów. One się mieszają, więc możliwe, że zamiast przeszłości, zobaczyłabyś przyszłość. A tego robić nie wolno, dlatego panuje ogólny zakaz.

Musiałam dostać się do tego jeziora. Nie miałam wyboru. Inaczej nigdy nie zaznam spokoju, nie poznam prawdy. Diabły przecież mi jej nie wyjawią.

Uśmiechnęłam się do siebie. Miałam już cel! Nie miałam co prawda jeszcze planu, ale od razu zrobiłam się spokojniejsza, wiedząc, do czego mam dążyć.

Diabeł chyba mylnie odczytał moje zadowolenie i przypisał je doskonałemu winu.

- Co powiesz na to, żebyśmy usiedli przy kominku i napili się jeszcze tego zacnego trunku? - zaproponował i wskazał na gołą ścianę.

- Tu nie ma kominka - zaproponowałam. Aż tak pijana nie byłam. Nie będzie mi wmawiał, że jestem ślepa.

- Przecież to żaden problem.

W jednej chwili stół skurczył się i zniknął. Zaskoczona tą nagłą zmianą o mało co nie wylałam wina z kieliszka. Świece nad naszymi głowami przygasły. Ściana zaczęła falować. Cegły przesuwaly się z chrzęstem, tworząc olbrzymi kamienny kominek. Czarna marmurowa posadzka zadrżała. Zaczęło wyrastać z

niej miękkie brązowe futro. Powoli wyłoniła się z niej głowa niedźwiedzia, a przed kominkiem zaległa jego skóra.

Imponujące.

Tak mnie zadziwił, że tę ostatnią uwagę chyba nawet powiedziałam lub pomyślałam głośno, bo rzucił mi pełne dumy spojrzenie.

- Usiądziemy? - pstryknął palcami, a w kominku pojawiły się szczapy drewna i zapłonął wesoły pomarańczowy ogień.

Kiedy tylko wstałam z krzesła, ono znikło. Już nie miałam odwrotu. Musiałam usiąść obok Beletha na niedźwiedziej skórze.

Hm, kominek, wino, włochata, miła w dotyku sierść. Scena jak z filmu.

Zerknęłam na czujnie obserwującego mnie znad kieliszka diabła. Poczułam się jak zwierzyzna tropiona przez drapieżnika.

- Opowiedz mi coś jeszcze o Niebie - zażądałam. - Jak to jest z Bogiem, na przykład. Mogę go spotkać i z nim porozmawiać?

Oślupiał. Dopiero po chwili zaczął się tak bardzo śmiać, że aż musiał odstawić kieliszek, żeby nie rozlać wina. Położył się obok mnie, trzymając się za brzuch.

- Jesteś rozbrajająca - oświadczył mi przez łzy śmiechu. - Boga nie można przecież zobaczyć. On jest wszędzie! Wszędzie!

- Aha... - mruknęłam lekko zawstydzona moim najwyraźniej żenującym poziomem wiedzy.

Co poradzę, że wyobrażałam sobie Boga jako sympatycznego staruszka z brodą, odrobinę przypominającego Zeusa z greckich rzeźb? Myślałam, że czasami przybiera ludzkie kształty. Nie przypominamy mgły czy czegoś równie wszechobecnego, więc to oczywiste, że w moich wyobrażeniach Bóg nabrał ludzkich kształtów.

- Ale stworzył człowieka na swoje podobieństwo - próbowałam się bronić. - To powinien wyglądać podobnie.

- Ale nie wygląda - znowu się zaśmiał. - Och Wiktorio, naprawdę jesteś czasami przeurocza.

Spoważniał, patrząc głodnym wzrokiem na moje usta. Zignorowałam uwagę i pełne pożądanie spojrzenie.

- A jak to jest z Jezusem? - szybko zmieniłam temat. - Jego też nie mogę spotkać?

Dobrze wiedziałam, że mogę, bo widziałam go niedaleko Administracji. Chciałam sprawdzić, czy Beleth przypadkiem mnie nie okłamuje.

- Dość już rozmowy o bzdurach - szybko się do mnie zbliżył, tak że siedział teraz tuż obok mnie. Dotykaliśmy się ramionami. - Przejdźmy do rzeczy.

- No chyba nie uważasz Boga za bzdurę. Z takim podejściem raczej nie zostaniesz aniołem - powiedziałam, odsuwając się od niego.

Ja się odsuwałam, a on się przysuwał.

- Praktycznie już nim jestem. Dzięki tobie, moja piękna - szeptał. - Stworzyłaś mi skrzydła, za co zawsze będę ci wdzięczny. Może odwdzięczę ci się teraz? Jak sądzisz? Mogę oddać dług, powiedzmy... w naturze.

Musnął delikatnie opuszkami moje ramię. Gorące palce parzyły moją skórę.

W końcu skończyła się skóra niedźwiedzia. Miałam do wyboru albo wstać, albo usiąść na zimnej posadzce. Oczywiście mogłam też przestać uciekać, ale tego w żadnym wypadku nie zamierzałam robić. Ulec Belethowi oznaczałoby przegrać naszą grę.

Zerwałam się na równe nogi. On także wstał.

- Sądzę, że pójdę spać. Tak, to bardzo dobry pomysł. Za dużo wypiałam - podałam mu kielich i posłałam zadowolone z siebie spojrzenie. - Jeżeli mam być jutro wypoczęta i gotowa na wycieczkę, to powinnam się porządnie wyspać.

- Chcesz pójść do łóżka? - zapytał, udając, że głęboko się nad tym zastanawia. - Masz rację. Tu, na niedźwiedziej skórze byłoby może romantycznie, ale na pewno nie tak wygodnie jak na materacu.

- Idę sama - zaznaczyłam. - Dobranoc.

Zabawa się skończyła. Lubiłam z Belethem grać, ponieważ był naprawdę świetnym flirciarzem, ale często dochodziliśmy do miejsca, z którego już mogło nie być odwrotu, gdyby diabeł za bardzo się „nakręcił”. To był właśnie taki moment.

Ruszyłam szybkim krokiem przez labirynt korytarzy. Żeby nie musieć pytać się go o drogę, pstryknęłam palcami, prosząc o wskazówki. Na posadzce, niczym namalowane kredą przez dziecko, pojawiły się białe, świetliste strzałki.

- Sprytne - pochwalił mnie Beleth, idąc oczywiście za mną. - Wiesz, w tych spodniach masz naprawdę zgrabne pośladki. Aż mam ochotę ich dotknąć.

Odwrociłam się do niego zgorziona.

- Obłeśne. Myślałam, że stać cię na coś lepszego. Zrównał ze mną krok, złapał za ramię i przyparł do muru.

- Możemy się przekonać, czy stać mnie na coś lepszego - jego szept łaskotał mnie w szyję, gdy pochylił się do mojego ucha. Po plecach przebiegł mi rozkoszny dreszcz. Przeklęłam się w myślach. Czemu moje ciało tak na niego reagowało?! Nie zgadzam się na to!

- Co powiesz na to, żebyśmy poszedł z tobą do sypialni - kusił zmysłowy, niski głos. - Pościel na pewno wymarzała. Pomogę ci ją rozgrzać...

Byłam uwięziona między jego silnymi ramionami. Podniósł głowę, do tej pory wtuloną w moją szyję i spojrzał mi prosto w oczy. Jego tęczywki wyglądały jak płynne złoto. Przymknął powieki i oparł czoło o moje, rozkoszując się naszym dotykiem.

- Bardzo mi pochlebiasz, Belecie - odparłam schrypniętym głosem. - Ale chyba ci dziękuję.

- Twoje usta mówią „nie”, ale twoje ciało „tak” - delikatnie mnie pocałował.

Smakował winem i pożądaniem.

Ukucnęłam szybko i przemknęłam pod jego ramieniem. Nie zdążył mnie złapać. Zanim się obejrzał, byłam już w połowie korytarza. Zaśmiał się głośno:

- Chcesz, żebym cię gonił? To może dodać pikanterii.

Dotarłam do swoich drzwi i zadowolona z siebie szarpnęłam klamkę. Już miałam wskoczyć do środka, kiedy czyjeś umięśnione ramię złapało za skrzydło drzwi.

- O! - odwróciłam się do niego zaskoczona. - A jak ty się tu tak szybko znalazłeś?

- Czary - pocałował mnie w czubek nosa. - Berek.

- Chcę zostać sama - oświadczyłam.

Zrobił zboląłą minę.

- Nie chcesz się pobawić? Nawet chwilę? Proponuję chowanego pod pościelą. Ja szukam pierwszy.

Jego zmysłowy głos był jak szal, który otulał moją skórę. Beleth był ucieleśnieniem nocnych marzeń, grzechu, zakazanego owocu.

- Nie powinnam cię całować - westchnęłam. - W ogóle nie powinnam tu mieszkać. Byłam głupia, że się zgodziłam. Od jutra nocuję u rodziców.

- To trochę nam utrudni wspólne spędzanie nocy - udał, że głęboko się nad czymś zastanawia. - Oni mnie chyba nie lubią jako byłego diabła.

- No jasne, że cię nie lubią. Dlatego nie będziemy spędzać wspólnie nocy - powiedziałam kategorycznie. - Sprowadzasz mnie na złą drogę.

- Złą? A co powiesz na drogę rozkoszy?

Gdyby nie fakt, że mówił to z przekonaniem, to chyba bym go wyśmiała. Czasami potrafił rzucić tekstem, którego nie słyszano od kilkudziesięciu czy kilkuset lat, albo mówił jak bohater telenoweli meksykańskiej.

To znaczy, nie mówię, że było to nieprzyjemne.

No cóż, ale nie popadajmy też w przesadę.

- Do jutra, Belecie. Idę teraz spać. Sama - wyraźnie zaakcentowałam ostatnie słowo.

- Ile nocy jeszcze będziesz mi się opierać? - był tym autentycznie zaintrygowany. - Jeszcze żadna kobieta nie była tak niedostępna.

- Jestem śmiertelniczką, a ty diabłem. Oboje będziemy mieć kłopoty, łamiąc boskie prawa. Poza tym nie kocham cię - oświadczyłam. - Wybacz.

Nieufnie zmarszczył brwi.

- Nie wierzę ci - skwitował.

- Jak wolisz - wzruszyłam ramionami.

Mars zniknął z jego przystojnej twarzy. Diabeł rozpogodził się, jakby wpadł właśnie na świetny pomysł.

- W takim razie najwyraźniej muszę cię w sobie rozkochać - lekko się pokłonił. - Do zobaczenia jutro, najmilsza.

Następnie odwrócił się i ruszył przed siebie korytarzem, zostawiając mnie samą.

Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo udało mi się go pozbyć.
Podejrzane...

Rozdział 21

Ulice niebiańskiego miasta, którego nazwy nawet nie zdążyłam jeszcze poznać, były pełne słońca. Promienie odbijały się od metalowych dachów, marmurów, srebrnych latarni.

Wszystko było piękne i jak z obrazka, jednak musiałam stworzyć sobie okulary przeciwsłoneczne, bo myślałam, że wypali mi oczy. Zmarli mieszkańcy przyglądali mi się ciekawie. Ich słońce nie raziło.

- Jak nazywa się to miasto? - zapytałam idące obok mnie diabły.

Zachowywały się, według mnie, dziwnie. Szły środkiem ulicy, starając się zwrócić na siebie jak największą uwagę przechodniów. Oczywiście miały na plecach lekko złożone skrzydła.

To chyba miała być reklama, w przypadku gdyby Gabriel nie mógł się zdecydować, czy ich przyjąć, i zarządził plebiscyt wśród mieszkańców. Oczywiście prawdopodobieństwo, że w taki sposób zostanie podjęta decyzja, było równe zeru, jednak diabły nadal przeprowadzały swoją akcję promocyjną.

Dzisiaj wybraliśmy się na długo obiecywaną mi wycieczkę po cudach Arkadii. Nie wiązałam z nią większych nadziei czy oczekiwań. Głównie zależało mi na tym, żeby w którymś momencie skierować moich towarzyszy w stronę Jeziora Czasu.

Beleth sięgnął do mijanego właśnie krzaku róż i zerwał jedną różyczkę, krwistoczerwoną, idealnie pasującą barwą do mojej bluzki.

- Oto edenia - podał mi z galanterią kwiat.

- Dziękuję - aż miałam ochotę dygnąć, gdy przyjmowałam podarunek.

Wplotłam różę we włosy, wprawiając go w doskonały nastrój.

Jak na razie przystojny diabeł robił wszystko, by mnie w sobie rozkochać, tak jak obiecał. Od rana częstował mnie drobnymi, uroczymi gestami mającymi zapewnić o jego szczerym, niegasnącym zainteresowaniu.

Zero podtekstów erotycznych, propozycji śniadania w łóżku lub spędzenia paru upojnych chwil na stole w jadalni.

Nie poznawałam go. A nawet, co mnie samą zawstydzalo, zaczynało mi brakować jego pożądania.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli od Anielskiego Centrum Dowodzenia - powiedział Azazel i zatarł dłonie z uciechy. - To niedaleko. Poza tym dawno tam nie byłem.

Beleth skrzywił się z niesmakiem.

- Wątpię, żeby za tobą tęsknili.

- O czymś nie wiem? - zapytałam zainteresowana.

- Na pewno wszystko dokładnie ci opowie, gdy dojdziemy na miejsce - odparł przystojny diabeł. - Własna pycha nie pozwoli mu milczeć.

Arkadia była dokładnie zaplanowana. Tutaj nie było miejsca na tandetny neon czy afisz. Wszystko było piękne. Żaden z budynków nie wyróżniał się na tle pozostałych bajkowych budowli.

Jedynie budynek Anielskiego Centrum Dowodzenia nie pasował do całości. Zdziwił mnie. Wyglądał jak bunkier, który ktoś wykopał na powierzchnię. Niska szara bryła pozbawiona okien, postawiona praktycznie pod miastem. Otaczały go malownicze drzewa, które miały chyba ukryć brzydotę budowli.

- A gdzie srebrny dach? - zapytałam. - Nie starczyło surowca?

- Zakłócałby pracę elektryki - wyjaśnił mi Beleth.

- Och...

Elektryka? W Niebie? A gdzie moce anielskie?

Po trzech obdrapanych schodkach weszliśmy przez otwarte drzwi do środka. W Niebie nikt nie przejmował się złodziejami. Nie używano zamków, kluczy czy kłódek. W Piekło było inaczej. Mogło się zdarzyć, że ktoś odwiedzi twój dom pod twoją nieobecność. Tak na wszelki wypadek nikt nikomu tam nie ufał.

Krótkim korytarzem doszliśmy do kolejnych niepozornych drzwi. Na pierwszy rzut oka wyglądały na pomalowaną na biało sklejkę. Jedynym dziwnym akcentem była przyklejona do nich żaróweczka.

- Najpierw odbędzie się kontrola - wyjaśnił mi Beleth. - Musisz stworzyć sobie medalik albo krzyżyk i stanąć naprzeciwko czerwonej lampki. To coś jak bilet wstępu. Gdy zmieni kolor, będziesz mogła wejść.

Machnął dłonią, a na jego szyi pojawił się drobny złoty krzyżyk. Beleth stanął przed drzwiami, żeby pokazać mi, jak to działa. Żarówka zaświeciła się na zielono.

Za jego przykładem stworzyłam mały medalik z Matką Boską. Lampka zazieleniła się.

Azazel stanął przed drzwiami i zadowolony z siebie wypiął pierś, na której błyszczał olbrzymi, ciężki, srebrny krucyfiks na grubym łańcuchu.

- Ja mam miesięczny - puścił do mnie oko. Żaróweczka zwariowała, migając zielonym światłem.

W końcu pękła. Odłamki szkła poleciały na podstępnego diabła.

Przedobrzył.

- Co teraz? - zapytałam. - Wchodzimy?

- Teraz zapukamy, bo tak wypada - kontynuował wykład Beleth. - Gdybyśmy nie przeszli kontroli, moglibyśmy walić w te drzwi, ile dusza zapagnie, a nikt w środku by nas nie usłyszał.

Azazel zapukał sześć razy. Odpowiedziała mu cisza.

- Ach, no tak. Przepraszam - dodał jeszcze jedno stuknięcie. Beleth postanowił znowu mi wyjaśnić:

- W Niebie stuka się siedem razy.

Gwałtownie szarpiąc drzwi, otworzył nam niewysoki anioł. Przyjrzałam mu się dokładnie, bo stanowił dość niecodzienny, jak na zadbane Niebo, widok: brązowe, splątane włosy związał w kucyk, a z nosa zsuwały mu się grube, okrągłe okulary. Reszta jego stroju wyglądała dość tradycyjnie, jeśli nie liczyć kilku plam od kawy na przedzie płóciennej koszuli i dziury w skarpetce.

Duży palec anielskiego pracownika zgiął się, zupełnie jakby skurczył się ze strachu na nasz widok.

- Azazel! Co ty tu robisz?! - w jego głosie słychać było nieukrywaną panikę.

- Mój drogi, wiedziałem, że ucieszysz się na mój widok! Zanim zdążył mu odpowiedzieć, podstępny diabeł wypchnął mnie do przodu, tuż przed nos dziwnego anioła.

- Pozwól, że przedstawię ci Wiktorię. Jest śmiertelniczką. Na pewno o niej słyszałeś.

- Ja o niczym nie słyszę, Azazelu. Ja pilnuję porządku na świecie! Nie mam czasu zawracać sobie głowy głupotami!

Diabeł nawet na chwilę nie stracił animuszu.

- Wiktorio - zwrócił się teraz do mnie. - Oto Zafkiel! Pilnuje, żeby wszystko dobrze działało.

Cały czas popychał mnie do przodu, przez co niechętny mi wyraźnie anioł musiał się cofać. Po chwili już byliśmy w środku. Taktyka Azazela okazała się bardzo skuteczna.

- Zafkiel czuwa nad tym, żeby Słońce krążyło dookoła Ziemi, Ziemia wokół Księżyca - opowiadał zaaferowany diabeł, podchodząc do szeregu ekranów wiszących nad panelem sterowania, którego nie powstydziliby się NASA.

- Ziemia dookoła Słońca, a Księżyc dookoła Ziemi, ty ignorancie - wycedził wściekły anioł, poprawiając okulary na nosie. - Odejdź stamtąd! Natychmiast!

Wepchnął się pomiędzy podstępного diabła a blat pełen kolorowych przycisków i rozłożył szeroko ramiona.

- Tylko czegoś dotkniesz, a skopię ci tyłek! - zagroził.

- Ty? Mnie? - zakpił Azazel. - Bądźmy szczerzy, ziemski siedmiolatek wygrałby z tobą na rękę.

- W takim razie mój pomocnik Ariel cię rozbroi - oświadczył z godnością Zafkiel.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że w kącie pomieszczenia, obok kilkunastu innych monitorów siedział, a raczej rozłożył się na krześle, kolejny milczący anioł. Na kolanach trzymał harfę, na której pobrzękiwał co chwilę.

Spojrzał na nas nieprzytomnym wzrokiem spod zmierzwionej grzywki. Miał podkrążone oczy, jakby od dłuższego czasu nie spał. Z kolei jego fryzura nasuwała myśl, że dopiero co wstał z łóżka.

- Jo! - mruknął obojętnie i wrócił spojrzeniem do ekranów, wykonując jednocześnie dość skomplikowane ruchy palcami na strunach instrumentu.

Zafkiel spokojnie mógł straszyć Arielem. Był z niego kawał chłopca. Umieśnione ramiona aż rozsadzały płócienne rękawy koszuli.

- Masz pomocnika? - nie mógł uwierzyć Azazel. - Od kiedy?!

- Odkąd wzrok zaczął mi się psuć - wyznał smutnym głosem.

- To aniołom może popsuć się wzrok? - zapytałam zaskoczona.

Zwrócił się w moją stronę. Ledwo widziałam jego oczy zza grubych jak denka od butelek szkieł okularów.

- Gdy od miliardów lat ktoś się wpatruje w ekrany, to niestety jest to możliwe. Dlatego dostałem asystenta, a raczej czeladnika. Mam go nauczyć wszystkiego, co wiem.

Spojrzał zrezygnowanym wzrokiem na Ariela. Widać po nim było, że niespecjalnie pasjonowało go śledzenie tabel i wykresów pojawiających się na monitorach. Ciekawe, jak tu trafił? Za karę?

- Zafkielu, przyprowadziliśmy naszą podopieczną Wiktorię, żebyś mógł jej opowiedzieć, czym się zajmujesz. Bardzo ją to interesuje - po raz pierwszy odezwał się Beleth. - Będziemy ci wdzięczni za mały wykład.

Najwyraźniej był według anioła nieszkodliwy, bo Zafkiel nie zwrócił na niego uwagi, gdy podszedł do stołu.

- Wykład? Zainteresowana? - podchwycił Zafkiel.

W sumie, czemu nie?

- Tak - odpowiedziałam z uśmiechem. - Czym się zajmujesz?

- Jestem odpowiedzialny za ład we wszechświecie - pociągnął mnie w stronę ściany całej wypełnionej płaskimi monitorami, natychmiast tracąc zainteresowanie diablami. - Obserwuję trajektorie wszystkich ciał niebieskich i pilnuję, żeby nie było jakiejś katastrofy, żeby wszędzie były odpowiednie poziomy grawitacji i nasłonecznienia - pokazywał kompletnie nic mi niemówiące schematy i wykresy.

- A cała ta ściana - podeszliśmy do tej, przy której siedział Ariel - jest przeznaczona dla Ziemi. Tu mamy opady na obu półkulach, poszczególnych kontynentach, w państwach, tutaj poziom nasłonecznienia, temperaturę, wilgotność, poziom powłoki ozonowej, poziom zanieczyszczeń powietrza, ziemi, wody, stopnie ryzyka katastrofy o znaczeniu globalnym, stopnie ryzyka katastrofy o małym zasięgu terytorialnym, liczbę narodzin, liczbę zgonów, małżeństw, ryzyko...

Powoli zaczynało mnie to nudzić. Zafkiel mówił i mówił. Temat nie miał końca. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że można obserwować tyle rzeczy na naszej planecie i nie zwariować od tego. Co prawda, poziom przytomności i stan zdrowych zmysłów anioła były dyskusyjne.

Zachciało mi się ziewać, ale siłą się powstrzymałam. Nie miałam ochoty już tego słuchać.

- A do czego służą przyciski i pokrętła? - przerwałam aniołowi.

- Cieszę się, że pytasz, bo to bardzo ciekawe - uśmiechnął się z niemal chorobliwym entuzjazmem. - Każdy służy do czegoś innego. Na przykład to niebieskie pokrętło - pokazał jedno z kilkuset - służy do regulacji poziomu opadów w twojej rodzinnej Polsce, na terenie województwa mazowieckiego.

- Skąd wiesz, że stamtąd pochodzi? - prychnął Azazel. - Chyba jednak nie do końca jesteś takim szalonym naukowcem, jak twierdzisz. Czasem docierają do ciebie informacje z prawdziwego świata.

Anioł nie zniżył się do tego, żeby mu odpowiedzieć. Kliknął coś na monitorze i zamiast skomplikowanych wykresów pojawił się na niej obraz centrum Warszawy.

- To obraz w czasie rzeczywistym - powiedział Zafkiel. - W czasie rzeczywistym! Uwierzysz?

- Łał! - posłusznie zapiałam z zachwytu.

Anioł chyba nie wiedział, że śmiertelnicy mogą coś takiego oglądać na co dzień w wiadomościach nadawanych na żywo.

- A teraz bierzemy to pokrętło... i zobacz.

Gdy je przekręcił, na ekranie siknęło deszczem, jakby ktoś odkręcił olbrzymi wąż ogrodowy. Ludzie zaczęli w popłochu szukać jakiegoś schronienia. Zafkiel wpatrzony z nabożną czcią w ekran przesunął przełącznik w drugą stronę i deszcz ustał. Uspokojeni tym ludzie wyszli spod daszków i markiz. Następnie anioł znowu szybko odkręcił deszcz. Odważnych ludzi polało wodą jak z kubła. Znowu zaczęli się chować.

Zafkiel ponownie zakręcił naturalne podlewanie miasta.

To było genialne!

- Super - teraz i ja byłam pod wrażeniem. - Mogę spróbować?

- Proszę bardzo - odstąpił od włącznika.

Kilka razy włączyłam i wyłączyłam deszcze. Ludzie patrzyli w niebo ze zdumieniem. Ale to było fajne!

- A jak się robi piorun? - zapytałam. Anioł pokazał mi odpowiedni żółty guzik.

Wcisnęłam go i zachwycona usłyszałam grzmot z umieszczonych gdzieś na tyłach monitora głośników. Jakiś młody mężczyzna, uciekając przed deszczem, ze strachu przed piorunem aż się przewrócił.

I jeszcze raz nacisnęłam piorun. I jeszcze raz! I jeszcze!

- To jest świetne - oświadczyłam Zafkielowi.

- Wiem - uśmiechnął się zadowolony z siebie.

Teraz już cała instalacja nie wydawała mi się taka bezsensowna. Anielskie Centrum Dowodzenia było idealnym miejscem, żeby się odstresować.

- A do czego jest ten guzik? - zapytałam, wskazując na olbrzymi przycisk.

Był wielkości mojej ręki, wściekle czerwony, z narysowaną białą trupią czaszką. Znajdował się na samym środku głównego panelu sterowania. Aż się prosił, żeby go wcisnąć i zobaczyć, co się stanie.

- NIE DOTYKAJ! - ryknął Zafkiel i zakrył panel sterowania własnym ciałem.

Odsunęłam się zaskoczona.

- Dlaczego?

- Bo ja go kiedyś nacisnąłem i od tej pory Zafkiel nikomu nie ufa - wyjaśnił mi Azazel pretensjonalnym tonem.

- To przycisk WIELKIEEGO KATAKLIZMU! - zawył anioł.

- Wielkiego kataklizmu? - upewniłam się. A to dopiero durna nazwa.

- Nie wielkiego kataklizmu, tylko WIELKIEEGO KATAKLIZMU - poprawił mnie z dokładnym akcentowaniem każdej głoski w tych dwóch słowach.

- Czyli do czego służy? - nadal nie rozumiałam.

- Niszczy wszystko, całe życie - złowieszczy głos Zafkiela potoczył się po pomieszczeniu. - To KATAKLIZM, KATAKLIZM, KATAKLIZM!

I oto dowód na to, co się dzieje, kiedy ktoś przez kilka miliardów lat włącza i wyłącza deszcz. Zdecydowanie nie polecam tego zawodu.

- Może ja ci powiem, bo on się zaciął - stwierdził Azazel. - Kiedyś całkowicie przypadkiem oparłem się o ten przycisk...

- Kiedy się o niego „przypadkiem” oparł, to wyginęły dinozaury!!! - wycedził wściekły anioł.

- Eee, wielkie mi rzeczy. I tak nikt ich nie lubił - diabeł machnął lekceważąco ręką.

- Spowodowałeś wielkie wymarcie dinozaurów? - zapytałam głuchym głosem.

- Przypadkiem - wzruszył ramionami.

- Tak samo przypadkiem jak przypadkiem doprowadziłeś do ostatniej epoki lodowcowej? - prychnęłam. - Weź ty się natychmiast odsuń od tego przycisku!

Azazel ze śmiechem uniósł obie ręce, jakbym celowała do niego z pistoletu, i wycofał się w stronę drzwi. Mimo to nadal zerkał tęsknie w stronę czerwonego przycisku z trupa czaszką.

- Widzę, że jesteś pod wrażeniem moich dokonań.

- Och tak, wielce mnie zaskoczyłeś tym, że przez ciebie wyginęły dinozaury. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała.

Diabeł zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc moją uwagę.

- To była ironia? - upewnił się.

- Może skończymy już wycieczkę? - zapytałam Beletha. - Niepokoję się o losy świata, kiedy on tu stoi.

- Dla ciebie wszystko, moja piękna - lekko skłonił głowę i podał mi szarmancko ramię.

Przyjęłam je i ruszyliśmy do drzwi, oczywiście uprzednio podziękowawszy Zafkielowi za gościnę. Ariel mruknął na pożegnanie coś niezrozumiałego i zagrał nam skomplikowaną solówkę na harfę.

Tak naprawdę troska o planetę nie była przyczyną mojego szybkiego wyjścia z Obserwatorium.

Po prostu nie chciałam już słuchać kolejnego wywodu anioła. Rozumiem, że to kochał i pasjonowały go te wszystkie guziki. Jednak ja nie zapalałam do nich tak gorącym uczuciem.

Wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę. Po spędzeniu dobrych dwóch godzin w zacienionym, odrobinę mrocznym pomieszczeniu wszystko jeszcze bardziej raziło.

Azazel podążał za nami ze skwaszoną miną, nadal zerkając tęsknie na Anielskie Centrum Dowodzenia, w którym tym razem nie wciśnięto guzika wielkiego kataklizmu.

O przepraszam, guzika WIELKIEEEGO KATAKLIZMU.

Rozdział 22

- Nie rozumiem, czemu się mnie tak czepiacie! - obruszył się Azazel, gdy chwilę później szliśmy słoneczną ulicą Edenii w stronę Obserwatorium.

Nie miałam ochoty dzisiaj już niczego obserwować, ale to był kolejny punkt wycieczki, więc się nie kłóciłam. Chciałam jak najszybciej dostać się do Jeziora Czasu.

- Bo zabiłeś dinozaury - warknęłam. - Wszystkie.

Na ulicy puściłam ramię Beletha. Nie byliśmy parą, żebym go trzymała. Poza tym moi rodzice mogliby nas zobaczyć, a wtedy solidnie by się na mnie zdenerwowali.

- A ty to niby taka mądra jesteś - mruknął. - Chciałabyś mieć Jurassic Park na co dzień? Wyobrażasz sobie taki świat? „Tak, mam, już idę po mleko, tylko zobaczę, czy stado tyranozaurów poszło mordować gdzieś indziej”.

Westchnęłam ciężko. Cały podstępny diabeł. Znajdzie milion powodów i przyczyn, które uzasadniają jego zachowanie.

- Czy Bóg czasem ingeruje? - zapytałam. - To znaczy, no wiecie, czy zdarzyło się kiedyś, żeby przeszkodził na przykład Azazelowi?

- Mnie nigdy w niczym nie przeszkodził - diabeł był z siebie bardzo zadowolony. - To z całą pewnością oznacza, że akceptuje wszystko, co robię.

W tej chwili niebo nad naszymi głowami gwałtownie pociemniało, a gdzieś w oddali uderzył piorun. Na wszelki wypadek odsunęłam się od Azazela.

- Chyba zaprotestował - stwierdziłam złośliwie.

- Eee tam - zbagatelizował sytuację diabeł. - Po prostu zbiera się na burzę albo Zafkiel bawi się przyciskami.

Mnie jednak pocieszyło to, że ktoś nade mną najwyraźniej czuwał.

- To teraz pójdziemy do Obserwatorium - pokierował Beleth. - Spodoba ci się. Ja je bardzo lubię.

Wesołym głosem opowiadał mi anegdotki z niebiańskiego życia jeszcze sprzed ich wygnania za sympatyzowanie z Lucyferem. Słuchałam go jednym uchem, znowu przyglądając się architekturze miasta.

By dostać się do kolejnego punktu naszej wycieczki, musieliśmy przejść przez pół Edenii, a była dość rozległa.

Gdy znajdowaliśmy się przy budynku Administracji, dostrzegłam w cieniu pagody ciemne skrzydło wystające zza jednej z kolumn.

- To Moroni - powiedziałam do moich towarzyszy. - Tam, przy drzwiach.

Diabły szybko skierowały czujne spojrzenia w tamtą stronę.

- Poronioni Moroni - wymamrotał pod nosem Azazel.

Niczego niepokojący anioł wyszedł zza kolumny. Żywo gestykulował, opowiadając coś swojemu kompanowi. Po chwili i on ukazał się naszym oczom.

Obok Moroniego, jak gdyby nigdy nic, w czarnych bojówkach i czerwonej podkoszulce szedł Piotruś.

Z wrażenia aż się potknęłam.

Co on robił w Niebie?!

Jak przekroczył bramę?!

Co robił z Moronim?!

Dziesiątki pytań, na które nie znałam odpowiedzi, tłukły mi się po głowie. Zabrakło mi tchu. To niemożliwe. On nie miał prawa tu być.

Niezauważeni, zostaliśmy minięci przez zagadanego anioła i śmiertelnika. Równym krokiem skierowali się w sobie tylko znanym kierunku. Wyglądało na to, że całkiem niezłe się znali.

- Co on tu robi? - zapytał mnie Beleth.

- Nie mam pojęcia - wydusiłam. - Miał nie zbliżać się do Arkadii. Ostrzegałam go.

- To wszystko sprawka Moroniego - Azazel uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Chce nam wszystko skomplikować. To po to go tu ściągnął! Żeby wprowadzić niepotrzebny zamęt! Usiłuje przeciągnąć na swoją stronę Wiktorię.

- Jakim cudem? - prychnęłam. - Przecież Piotrek mnie porzucił.

Przystojny diabeł przeczesał dłonią czarnego irokeza. Jego złote oczy były zmrużone, gdy szybko kalkulował, co powinien teraz zrobić.

W końcu postanowił. Objął mnie opiekuńczo ramieniem i zapewnił żarliwie:

- Nie przejmuj się, jestem przy tobie. Ten zdrajca się do ciebie nie zbliży.

Musiałam ponownie porozmawiać z Piotrusiem. Nie wiedział, co robi, zawierając pakt z Moronim. To, że był aniołem, wcale nie sprawiało, że współpraca z nim będzie bezpieczna. Poza tym jaki cel, poza szerszeniem zamieszania, miał Moroni?

Beleth wziął moją zmartwioną minę za objaw niechęci do Piotrka.

- Proponuję, żebyśmy na razie się tym nie przejmowali i dalej poszli zwiedzać.

Kiwnęłam nieprzytomnie głową i dałam się poprowadzić wzdłuż chodnika. Azazel podążał za nami, śląc wiązaną przekleństw pod adresem anioła.

Ruszyliśmy w stronę Obserwatorium.

* * * *

Ten budynek znowu nie przypominał klasycznego niebiańskiego budownictwa. Okazał się bardzo wysoką, niby-średniowieczną wieżą, a raczej basztą zbudowaną z szarych, omszałych, chropowatych kamieni.

Miała kilkanaście pięter wysokości. Wyobraziłam sobie, ile schodów musiało prowadzić na sam jej szczyt, i aż zakłuło mnie w łydkach.

- Pewnie nie ma windy? - westchnęłam.

- Oczywiście, że jest - obruszył się Azazel. - Przecież nie żyjemy na Ziemi.

Zdziwiłam się. Instalacja windy nie bardzo pasowała mi do starych murów. Jednak nie miałam zamiaru rozpaczać z tego powodu. A raczej moje łydki nie miały takiego zamiaru.

Ruszyliśmy do wejścia. Po drodze dotknęłam kamieni. Były zimne, zniszczone przez czas, deszcz i słońce. Ciekawe, ile setek lat wieża stała w tym miejscu?

Po wejściu do środka zatrzymałam się zaskoczona. Wieża była pusta. Nie było w niej nic, poza samotnie stojącą pośrodku kabiną windy, która nie była otoczona szybem...

- Jak to? - zdziwiłam się.

- W Niebie nie potrzebujemy prądu. Windy poruszają się za pomocą anielskich mocy - wyjaśnił mi przystojny diabeł.

Zadarłam głowę do góry. Na suficie malowały się dwa nieduże kwadraty. Jeden czarny, zasłonięty przez znajdującą się na górze windę, a drugi otwarty, wpadały przez niego promienie słońca. To tam wjedzie nasza kabina.

- Poruszają się ruchem wahadłowym - powiedział Azazel. - Gdy jedna jest na górze, druga musi być na dole.

Podeszliśmy do czekającego na nas urządzenia.

Kabina wyglądała, jakby pochodziła jeszcze z innej epoki niż baszta. Pod ścianą stała niska ławeczka z ciemnego drewna, ściany były obite czerwonym aksamitem haftowanym w kwiaty, a zamiast drzwi zamocowana była złota kratka. Brakowało tylko odzwiernego ubranego w liberię.

Beleth odsunął kratę i zaprosił mnie gestem do środka. Przypomniało mi się, że bałam się wind. Weszłam, usiadłam na ławeczce i zamknęłam oczy.

Diabły stanęły przy mnie. Usłyszałam, jak któryś z nich zasuwa złotą kratę.

- Czemu masz zamknięte oczy? - zapytał zdumiony Azazel.

- Nie lubię wind - mruknęłam ponurym głosem. Zawsze marzyłam o pokazywaniu podstępemu diabłu moich słabości.

- Naprawdę? - zdziwił się, dobrze słyszałam szyderczy śmiech w jego głosie. - To... urocze...

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że miał ochotę użyć innego słowa, ale się powstrzymał, zapewne skarcony spojrzeniem Beletha.

Kabina nie wydawała żadnych dźwięków, pnąc się kilkanaście, o ile nie więcej, pięter w górę. Było to dość niepokojące, chociaż nie wiedziałam, czy zgrzyty, trzaski i szarpanie nie zdenerwowałyby mnie bardziej.

Na szczycie z ulgą opuściłam metalową klatkę, gdy zatrzymała się z lekkim szarpnięciem.

Wieża była płaska. Niski mur dzielił nas od oddalonej o przyprawiającą o zawrót głowy odległość Ziemi. Co kilka metrów umieszczono srebrne lunety.

- Stąd można podziwiać większość Arkadii, nie tylko samą stolicę, czyli Edenię. Na południu zobaczysz miasta Walhalla, Nawie i Wyraj, na północy Omeyocan i Yao Chi, na wschodzie Pola Elizejskie otaczające Elizjum, a na zachodzie góry Maszum - zachwalał Beleth.

- Znam niektóre te nazwy - zmarszczyłam brwi.

- Bo to ziemskie określenia zaświatów zaczerpnięte z różnych religii - wyjaśnił. - Jak widzisz, Arkadia jest dość kosmopolityczna.

Podeszłam do jednej z lunet. Były dość skomplikowane. Miały po kilka szkieł różnej grubości, które wisiały na złotych drucikach. Można je było dowolnie zmieniać, by powiększyć lub zmniejszyć obraz.

- Ja ci pokażę - zaoferował się Beleth. Sprawnie ustawił wszystkie szkła.

- Zobacz, to Pola Elizejskie i święty Piotr - odsunął się, bym mogła do niej podejść.

Zbliżenie było niesamowite. Odsunęłam głowę i spróbowałam wypatrzyć na horyzoncie gładkie połacie trawy. Nic z tego. Jeszcze raz zerknęłam przez lunetę. Po krótko ściętym trawniku spacerował święty Piotr z jakimś nieznanym mi człowiekiem. Obaj nieśli torby wypełnione kijami i kierowali się w stronę najbliższego dołka. O czymś rozmawiali.

Powiększenie było tak duże, że doskonale widziałam, jak poruszają się ich usta, a także zmarszczki materiału na todze świętego.

- Tam jest dom twoich rodziców - Beleth znowu ustawił lunetę. - A w tle za nim widać piękny park wzorowany na ziemskich wiszących ogrodach Semiramidy.

- Eee...

- To ogrody, które znajdowały się w Mezopotamii. Jeden z siedmiu cudów świata antycznego - wyjaśnił mi z wyższością Azazel. - Ależ ci dzisiejsi śmiertelnicy są tępi! To ja wtedy miałem odsiadkę za epokę lodowcową i przegapiłem te wieki, a jednak wiem, co się wówczas działo, a ty nie wiesz?

- Ja w przeciwieństwie do ciebie nie miałam aż tylu tysięcy lat na nadrabianie braków w wykształceniu - wycodziłam.

Nie chciałam, żeby Beleth pokazywał mi kolejne zabytki. Wolałam sama pokręcić luneta. Dłuższą chwilę bawiłam się nią, błądząc po ulicach Edenii i śledząc jej mieszkańców. Nigdzie nie dostrzegłam Piotrusia w towarzystwie Moroniego.

Ciekawe, gdzie mieszkał tajemniczy anioł? Pewnie też posiadał wspaniałą rezydencję.

Azazel, wyraźnie znudzony, kopał w mur, zupełnie jakby miał nadzieję, że jak wystarczająco długo będzie to robił to wieża się rozpadnie. Znajac jego upór, było to dość prawdopodobne.

- Ciekawe, kiedy dokładnie rozpatrzą naszą sprawę? - zapytał. - Podali nam tylko przybliżoną datę. Biorąc pod uwagę tempo pracy Administracji, może się przesunąć o kilka dni...

- Nie wiem - odpowiedział mu Beleth, podziwiając piękno Arkadii przez drugą lunetę.

- Jaka sprawa? - zainteresowałam się

- Rada Archaniołów ma zdecydować, czy możemy otrzymać stały pobyt w Niebie i powrócić do dawnych zajęć - wyjaśnił mi przystojny diabeł.

Popatrzyłam na Azazela.

- Wybacz, Belecie, ale jakoś nie wyobrażam was sobie w roli Aniołów Stróżów.

- Nie ma takiej posady - prychnął podstępny diabeł. - Kto by chciał pilnować tych pokrak, to znaczy ludzi. Mam tylko nadzieję, że Moroni nam niczego nie popsuje. Kłamliwy suki...

- Azazel! - upomniał go przystojny diabeł. - Wyrażaj się.

Wolno przesuwalam lunetę po niebiańskim krajobrazie. Szukałam jeziora, żeby wiedzieć, gdzie powinnam się kierować. Arkadia jednak była tak rozległa, że nie miałam możliwości sama go znaleźć.

Nagle mnie tknęło.

Na litość, przecież jestem byłą diablicą! W końcu te wszystkie moce nadprzyrodzone do czegoś służą. Zerknęłam na diabły, czy nie widzą, że oszukuję, i tchnęłam moc w lunetę. Szkła same zaczęły się przesuwac, a cały instrument obrócił się w moich dłoniach w prawo.

Przyłożyłam głowę do okularu. Moim oczom ukazało się zamglone jezioro. Unosiły się nad nim podejrzenie wyglądające fioletowe opary. Z wody wystawały stare, zniszczone przez czas i wilgoć, pokryte wodorostami ruiny, fragmenty kolumn, dachów. Zupełnie jakby pod jeziorem znajdowało się zalane przed wiekami miasto.

Na brzegach zbiornika zwieszały się potężne, wiekowe drzewa. Ich grube korzenie niknęły w czarnych odmętach nieruchomej tafli. Konary oblepione były demonicznym hiszpańskim mchem, charakterystycznym dla krajobrazu Nowego Orleanu. Szare włosy mchu wisiały smętnie, hamując dopływ światła do suchych gałęzi. Przywodziło to na myśl obraz choroby.

Wydawało się, że nie wiał tam wiatr. Wszystko było nieruchome, odrobinę obce i straszne. Nawiedzone.

- Co to za miejsce? - zapytałam Beletha, udając, że znalazłam ten zakątek zupełnie przypadkowo. - Przeróżające jest.

Diabeł pochylił się do lunety.

- No proszę, znalazłaś Jezioro Czasu, o którym ci opowiadałem.

Ściągnął brwi, jakby coś podejrzewał. Zrobiłam niewinną minę, wyrażającą szczere zdumienie.

- Naprawdę? - mrugnęłam. - No popatrz. Ja to mam fart. Chcę tam pójść. Wygląda naprawdę ciekawie. To daleko?

Diabły zerknęły po sobie znacząco.

- Po co chcesz tam pójść? - zapytał podejrzliwie Azazel.

- Chcę zobaczyć moją przyszłość - oświadczyłam z przekonaniem. -
Wiecie, takie tam. Ile będę miała dzieci, czy moja suknia ślubna będzie biała,
czy ecru.

- A nie możesz poczekać, aż się zestarzejesz i sama się przekonasz? -
prychnął podstępny diabeł.

- Biorąc pod uwagę, ile czasu z wami spędzam, czasami zastanawiam się,
czy tego dożyję... - mruknęłam.

Diabły przez chwilę milczały, ważąc moje słowa.

- A gdyby jezioro pokazało ci przyszłość u mojego boku? – zapytał nagle
tym zainteresowany Beleth. - Co byś zrobiła?

Szczerze mówiąc nie pomyślałam o tym. Trudno nawet było mi
wyobrazić sobie, że jesteśmy razem. Przecież on był diabłem, a ja
śmiertelniczką. Zresztą tak naprawdę chciałam zobaczyć przeszłość.

- No cóż... chyba musiałabym się z tym pogodzić - odparłam ostrożnie.

- I uległabyś mi? - upewnił się.

- A jezioro pokazuje w stu procentach to, co się wydarzy? Czy tylko jedną
z możliwości? - wolałam się upewnić.

- Przyszłość nie jest zmienna - wyjaśnił mi ze stoickim spokojem. -
Nieważne, jakie decyzje podejmujesz, i tak nieubłaganie dążysz do swojego
przeznaczenia. Jego nic i nikt nie zmieni. Jest ci pisane od początków świata.

Zasmuciło mnie to. Wolałam wierzyć, że sama kształtuję swój los, a nie
mieć świadomość, że ktoś napisał w historii świata, jak potoczy się moje życie, i
już. A może ja nie chcę, dajmy na to, mieć dwanaściorga dzieci? I co wtedy, hę?

- Czy w takim przypadku mi ulegniesz? - naciskał.

- Chyba nie będę miała wyboru - wzruszyłam ramionami. Nieoczekiwanie
zaczęłam się obawiać tego, co mogłabym zobaczyć w wodach Jeziora Czasu.

- W takim razie wybierzemy się na małą wycieczkę - zdecydował z
zaciętą miną Beleth.

Rozdział 23

- Zwariowałeś! Zwariowaliście oboje! Zupełnie nie wiem, dlaczego z wami idę! To jedno wielkie nieporozumienie - biadolił Azazel, wlokąc się za nami zacienioną ścieżką. - Wszyscy będziemy mieć przez to kłopoty! To kompletna głupota!

- Och, zamknij się wreszcie - nie wytrzymałam tej niekończącej się litanii.

Już prawie byliśmy na miejscu. By nie wzbudzać podejrzeń, na skrzydłach przelecieliśmy część trasy, a teraz poruszaliśmy się pieszo. Szliśmy już ponad godzinę. Jezioro Czasu znajdowało się w odludnym miejscu z dala od wszelkich zabudowań. Zupełnie jakby było ukryte przed ciekawskimi spojrzeniami.

- Mogłeś z nami nie iść, ale zdecydowałeś się zobaczyć swoją przyszłość archanioła, więc teraz zamilknij - skwitowałam.

Narzekania Azazela stały się odrobinę cichsze. Jednak wciąż trwały.

W pewnym momencie wiatr ustał. Nagle zrobiło się przeraźliwie cicho. Nie było słycać ptaków ani leśnych zwierząt. Nie było słycać naszych kroków.

- Zbliżamy się - szepnął Beleth.

Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że po pewnym czasie umilkły też nasze oddechy i bicie serc. Przerażona przyłożyłam sobie palce do tętnicy szyjnej tuż za linią żuchwy. Poczułam lekkie, delikatne uderzenia. Bardzo ciche. Zupełnie jakby nawet nasze ciała bały się zachowywać głośno w pobliżu Jeziora Czasu.

- Czy ktoś pilnuje jeziora? - zapytałam szeptem. Mój głos wydał się przeraźliwie głośny.

- Tak. Pewien stary wariat, anioł Forneus. Jest odrobinę demoniczny, więc czasami ludzie sądzą, że należy do zastępów Lucyfera. Musimy na niego uważać. Ma oczy dookoła głowy - odparł Beleth.

- Jest taki czujny?

Niepokoilo mnie, że wariat był strażnikiem. Nie zdawałam sobie sprawy, że ta wyprawa może być niebezpieczna albo przynieść nam jakieś niemiłe konsekwencje.

Azazel zaśmiał się ponuro i odpowiedział:

- Nie, on po prostu ma o kilka par oczu więcej. Z tyłu, po bokach. Należy do Tronów.

- Ze słowem tron kojarzy mi się tylko krzesło - wyznałam.

- To taki ważny i bardzo niebezpieczny gatunek aniołów, Wiktorio - posłał mi potępiające spojrzenie.

Nie wiem, czemu się czepiał. Przecież nie skończyłam religioznawstwa.

- Dobra, dobra - wzruszyłam ramionami. - Czyli ogólnie unikamy na brzegu faceta, który nie może nosić czapki, tak?

Beleth zatrzymał się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Problem tkwi w tym, że Forneus lubi przebywać pod postacią potwora morskiego, więc najprawdopodobniej będzie gdzieś pod wodą.

O, to po prostu świetnie. Czyli mamy przeciwko sobie osobnika, który nie dość, że jest przeciwieństwem cyklopa, to jeszcze lubi bawić się w Krakena. Psycholodzy i kryptozoolodzy mieliby na nim używanie. Nie mogę się doczekać spotkania. Czuję, że się zaprzyjaźnimy.

- Plan jest taki: wypływamy łódką na środek jeziora, szybko patrzymy w wodę i wracamy na brzeg - kontynuował przystojny diabeł. - Jak ktoś zobaczy jakiś ruch, to mówi. Aha i pod żadnym pozorem nie skacz do wody.

- Dlaczego?

- Bo wtedy otoczą cię wizje. Doświadczalnie stwierdzono, że jak ktoś za długo przebywa w wodzie, to ulega magii czasu i po prostu jest tak zapatrzony, że nie wychodzi. Jako śmiertelniczka możesz się utopić z powodu braku tlenu.

- A skoro ten Forneus cały czas siedzi w wodzie, to nie zobaczył wcześniej w wizji przyszłości, że przyjdziemy? - zapytałam.

Wydawało mi się to całkiem logiczne. Ja na jego miejscu spojrzałabym w przyszłość. Sprawdziła, kiedy ktoś mnie nawiedzi. Dokładnie spisała sobie daty i następnie pojawiała się nad jeziorem tylko w tych dniach. Po co się przepracowywać i siedzieć na stanowisku przez wieczność?

- Niekoniecznie. Forneus... jest szalony. Oglądanie pomieszanych czasów chyba nie wpłynęło pozytywnie na jego świadomość - wyjaśnił mi przystojny diabeł. - Pamiętam go jeszcze sprzed wygnania mnie z Niebios. Już wtedy był nieobliczalny. Mylił przeszłość z przyszłością, kompletnie nie orientował się w teraźniejszości. Istnieje szansa, że weźmie nas za jedną z wizji i nawet się nie zorientuje, że to naprawdę my w tym czasie i miejscu.

- Okej, to mam jeszcze jedno pytanie.

Zniecierpliwiony Azazel wypuścił głośno powietrze.

- Nie mogliśmy sobie urządzić tego wykładu w jakimś bezpieczniejszym miejscu? - syknął. - Tu jest trochę za cicho na wasze głośne pogawędki.

- W bezpieczniejszym miejscu nie chcieliście o tym rozmawiać, żeby nas ktoś nie usłyszał - przypomniałam mu. - A co do mojego pytania. Nie możemy zerknąć w przyszłość z brzegu? Po prostu zajrzeć na płyciźnie w wodę i sobie pójść? Po co wypływać na środek jeziora?

- Nie bardzo. - Beleth skrzywił się. - Im głębsza woda, tym dalej sięgająca wstecz lub w przód wizja. W kałuży zobaczyłabyś raptem, co się stanie za dziesięć minut.

Mówiąc to, odgarnął gałęzie z drogi przed nami. Naszym oczom ukazało się Jezioro Czasu. Było znacznie większe, niż wydawało się, widziane przez lunetę. Miało dobre czterysta metrów średnicy, o ile nie więcej. Fioletowa, gęsta mgła wisiała nad nim ciężko. Wydawała się lepka, wręcz namacalna.

Nie było słyhać szmeru drzew oblepionych mchem ani szumu wody. Wszystko było nieruchome.

Nie rozumiałam, po co pilnował jeziora strażnik. Otoczenie było tak przerażające, że nie przypuszczałam, by znalazło się wielu chętnych do zagładania w jego wody. Poza tym po co zmarłym przyszłość? Już otrzymali swoje miejsce w wieczności. Nie mieli więc czego oczekiwać.

Za to na Ziemi taki zbiornik wodny stałby się prawdziwym wyzwaniem. Zapewne toczono by o niego krwawe wojny.

Powoli, starając się narobić jak najmniej hałasu, ruszyliśmy do łódek zacumowanych przy brzegu. Były szerokie, tak by można było się z nich wychylić bez obawy, że łódka się wywróci.

Podnosząc wysoko nogę, stanęłam na jej zawilgoconym, zmurszałym dnie. Drewno skrzypnęło ostrzegawczo. Wydawało się, że zaraz się pode mną zarwie. Na szczęście nic takiego się nie stało. Usiadłam na ławeczce.

Po wodzie potoczyła się ledwo zauważalna fala.

Azazel zajął miejsce obok mnie. Beleth odwiązał cumę i pchnął łódkę. Żeby do nas dołączyć, musiał zanurzyć jedną nogę. Zrobił to i nic się nie stało. Z wody nie wynurzył się nagle potwór o dziesiątkach oczu.

Wypuściłam z ulgą powietrze. Na razie byliśmy bezpieczni.

Diabły wzięły do rąk wiosła i starając się narobić jak najmniej fal, skierowały łódkę na środek jeziora.

Wychyliłam się, patrząc z uwagą na taflę wody. Wydawało mi się, że coś widzę, jednak fale powodowane przez wiosła zamazywały mi widok.

Moi towarzysze przestali wiosłować. Łódka jeszcze chwilę płynęła siłą rozpędu, aż w końcu się zatrzymała. Idealnie na środku. Brzeg był dość daleko, gdyby nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Wychyliłam się za burtę. Azazel zrobił to samo z drugiej strony, a Beleth pozostał na środku, by utrzymać równowagę. Chociaż dobrze widziałam, jak usiłuje zapuścić żurawia i zobaczyć, co pokaże mi jezioro.

Z początku widziałam tylko czarną wodę. Zmarszczki spowodowane ruchem naszej łódeczki już zniknęły. Powierzchnia była idealnie gładka. Nie odbijała jednak naszych twarzy niczym lustro. Była po prostu czarna. Pochłaniała wszystko, co było dookoła.

Nagle coś się poruszyło, zupełnie jakby pod taflą był człowiek. Przestraszona cofnęłam się.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Beleth i przysunął się do mnie. Teraz on także widział powierzchnię wody.

- Wydawało mi się, że ktoś tam jest - szepnęłam.

- To wizja - powiedział. - Zaczyna się.

Jeszcze raz się pochyliłam. Miał rację. Postać pod wodą stała się wyraźna. To byłam ja. Szłam gdzieś ulicą. Dookoła padał śnieg.

Wydawało mi się, że to scena sprzed kilku lat. Tak, na pewno sprzed kilku lat. Miałam ze sobą stary niebieski plecak. Towarzyszyła mi Zuza, moja najlepsza przyjaciółka. Szłyśmy do liceum na lekcje.

Nagle wizja zmieniła się. Widziałam teraz małego berbecia bawiącego się lalką. To znowu ja, tylko jak byłam bardzo mała.

Poczułam zniecierpliwienie. Kiedy pojawi się scena ze zdradą? Nie mam ochoty oglądać swojego dzieciństwa.

Nowy obraz zastąpił poprzedni. Jako całkiem dobrze trzymająca się czterdziestolatka szłam szybko ulicą, rozmawiając przez komórkę.

Przez kilka kolejnych minut widziałam jeszcze parę krótkich, nic nieznaczących scenek. Ku wielkiemu rozczarowaniu Beletha nigdzie nie było go obok mnie.

- Czemu nie pokazuje naszej wspólnej przyszłości? - zapytał zniecierpliwiony.

Na końcu języka miałam uwagę, że może poza dzisiejszym dniem już nic więcej nie będzie nas łączyć, ale się powstrzymałam.

Zamazany obraz znowu się zmienił. Pokazywał wnętrze klubu. W tle na podwyższeniu stał zespół, który dobrze znałam.

Byliśmy tam! To scena sprzed zdrady Piotrusia! Zacisnęłam kurczowo palce na brzegu łódki. To po tym zdarzeniu Piotrek był jakiś nieobecny duchem, zaczął się inaczej zachowywać.

Siedzieliśmy niczym widmowe postacie dookoła stolika: ja, Piotrek, Maciek i Monika. Nagle Piotrek wstał od stolika. Skierował się po piwo do kontuaru. Śledziłam czujnie jego ruch. Przy barze podszedł do niego wysoki mężczyzna w kapturze nasuniętym na czoło. W tej samej chwili Monika przeszła do łazienki.

Przyjrzałam się uważniej towarzyszowi Piotrusia. Obraz, jakby czując, że pragnę go zobaczyć, wyostrzył się i przybliżył. Postać naprzeciwko niego szarpnięciem zerwała sobie kaptur z głowy. Żółte oczy zabłysły ostrym światłem, gdy mówił coś z głowy. Ten niczym manekin przytakiwał mechanicznie. Widziałam, jak mięśnie jego ramion wiotczeją. Był hipnotyzowany.

Monika wyszła z łazienki. W ostatnim momencie dostrzegłam, że miała rude końcówki włosów, które szybko pojaśniały.

Obraz zmieni się. Zobaczyłam dzień, w którym niespodziewanie odwiedziłam Piotrka. Zadowolona z siebie biegłam po schodach w jego bloku. Nagle naprzeciwko mnie pojawiła się Monika. Szybko coś do mnie powiedziała, a potem uciekła. Wizja ukazała mi ją, gdy wyszła przed budynek.

Odwróciła się, patrząc poprzez wodę prosto na mnie. Jej twarz zaczęła się zmieniać. Blond włosy zmieniły się w rude, pofalowane pasma opadające na ramiona. Mocno uszminowane usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, a zielone oczy zabłysły złośliwie.

To Philis

Odsunęłam się od krawędzi łódki. Wiedziałam, że Beleth widział to samo co ja. Dostrzegł w tafli wody samego siebie. Odsunął się ode mnie i unióśł do góry ręce.

- Ja ci wszystko wytłumaczę.

- Beleth! - krzyknęłam. - Azazel!

- Co się dzieje?! - pisnął tamten, wyrwany z oglądania swoich wizji, pewien, że to Forneus pędzi prosto na nas.

Łódka zakołysała się, kiedy zerwałam się na równe nogi i zaczęłam okładać Beletha pięściami gdzie popadnie. Zasłonił się przede mną nieporadnie, jednocześnie usiłując zachować równowagę.

Po gładkiej do tej pory tafli wody potoczyły się potężne fale wzbudzone naszym ruchem. Łódka niebezpiecznie przechylała się z boku na bok.

- Zaczarowaliście! Piotrusia! Wy! Łotry! Kłamcy! On mnie wcale nie zdradził!

- Kochanie, proszę - usiłował uspokoić mnie Beleth, uchylając się przed ciosami. - To było dla twojego dobra. Przecież Piotr jest beznadziejny. Chciałabyś spędzić z nim resztę życia?

- Chcę mieć wolny wybór! - krzyknęłam.

- O cholera - jęknął cicho Azazel. - Miałaś patrzeć w przyszłość, a nie przeszłość.

- Oszukaliście mnie! - wpadłam w furję. - Znowu! Znowu mnie wciągnęliście w swoje ciemne sprawy. Jak ja was za to nienawidzę!

Nagle nad jeziorem przetoczył się niehumaniczny ryk. Drzewa zaczęły szumieć, jak gdyby zerwał się nagle silny wiatr. Pomimo że woda nie może drzeć jak ziemia, poczułam wyraźną wibrację, która uniosła łódkę do góry.

Zamachałam bezładnie ramionami, usiłując się czegoś złapać. Beleth wyciągnął w moją stronę rękę, jednak nie zdołał mnie chwycić. Moje dłonie napotkały pustkę.

Popelniłam błąd, że wstałam i zaczęłam krzyczeć.

Nie znajdując żadnego oparcia, wychyliłam się niebezpiecznie do tyłu i wypadłam za burtę z głośnym chlupotem. Woda była ciepła i lepka. Dotykała mnie. Czulałam, jakbym zanurzyła się w czymś... żywym.

Wypłynęłam na powierzchnię, plując słodką, obrzydliwą cieczą.

Dwa diabły nie rzuciły mi się z pomocą. Siedziały, kurczowo trzymając się ławek, wpatrując się w coś po drugiej stronie łódki.

Coś, co obudziłam swoim krzykiem.

Coś, co było straszne.

Z wody do połowy wynurzył się olbrzymi stwór. Wydawał się wielki niczym góra w porównaniu z małą łódką. Odrobinę przypominał kształtem człowieka.

Jego szarozielone ciało pokrywała łuska. Nie miał szyi, okrągła, płaska u szczytu głowa wyrastała wprost z klatki piersiowej, dookoła której były trzy pary rąk zakończonych płetwami. Trójkątne uszy znajdowały się na czubku czaszki, ponieważ wszędzie były oczy.

Azazel skłamał. Forneus nie miał kilku par oczu więcej. Praktycznie całą powierzchnię, która niezajęta była małymi rybimi ustami, zajmowały wypukłe, pozbawione powiek gałki oczne. Jak można pragnąć istnieć w takiej postaci?

Stwór zawył przeraźliwie. Tym razem dźwięk, jaki wydobył się z jego gardła, zabrzmiał raczej jak syrena alarmowa. Byłam pewna, że ściągał posiłki.

Nabrałam głęboko powietrza i zanurkowałam. Potwór był skupiony na diabłach w łódce. Istniała szansa, że mnie nie zauważył albo weźmie mnie za wizję, gdy będę pod powierzchnią.

Nie mogę dać się złapać. Inaczej nie zobaczę Piotrka i nie powiem mu, czego się dowiedziałam.

Szybko machając kończynami, kierowałam się do jednego z brzegów. Dookoła mnie przepływały wizje. Staralam się nie zwracać na nie uwagi, by nie ulec ich magii.

Po mojej prawej przemknęłam mała ja na rowerku, z drugiej strony znowu ubrana w drogi kostium, o wiele starsza rozmawiała przez telefon, uśmiechając się wesoło. Przez chwilę zobaczyłam dawno zmarłą prababcię, którą miałam okazję poznać jako niemowlę, więc pamiętałam ją tylko ze zdjęć. Miała zmarszczone czoło i groziła mi palcem, zupełnie jakby informowała mnie, że źle robię.

Wiedziałam, że nie postępuję właściwie. Nie powinnam była znaleźć się w wodzie.

Kończyło mi się powietrze. Wynurzyłam się na chwilę. Zerknęłam przez ramię. Azazel wiosłem odganiał od siebie Forneusa. Na niebie, nad nimi, dostrzegłam zarys anielskiej postaci. Zaraz pojawią się kolejne, aby zobaczyć, co się stało, i jak nic zamkną winowajców w jakimś więzieniu, o ile takowe istnieją w Arkadii.

Nabrałam powietrza i ponownie się zanurzyłam. Nie dość szybko, by nie zostać zauważona przez anioła. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że musiał mnie dostrzec.

Nie miałam zamiaru dać się złapać. O nie! Na pewno nie teraz, kiedy już znałam prawdę. Muszę znaleźć Piotrka i mu o wszystkim powiedzieć. Oboje byliśmy ofiarami piekielnych machlojek.

Skoro to Phylis udawała Monikę, to z pewnością do niczego nie doszło. Była diabolicą. Nie mogła spać z mężczyzną, bo poniosłaby za to straszne konsekwencje. Odebraliby jej posadę. Wątpiłam, czy diabły zdołałyby ją namówić do aż takiego poświęcenia.

To znaczy, że Piotruś był niewinny. Nie zdradził mnie. Tylko mu to wmówili. Poczulałam się oszukana. Beleth znowu kłamał.

Byłam w połowie odległości od brzegu. Dopłynę tam i się ukryję. Przeczekam zamieszanie, a potem ucieknę do Edenii. Tam znajdę Piotrka i oboje wrócimy do domu, zostawiając cały ten bałagan na górze.

Zamierzałam wrócić tutaj dopiero za osiemdziesiąt lat. Nie wcześniej.

Zakłęłam w duchu. Dlaczego Beleth mi to zrobił? A już zaczynałam mu ufać.

Wizje znowu przepływały obok mnie. Stawały się coraz bardziej nachalne. Już nie tylko po bokach, ale także na wprost miałam obrazy z mojego przeszłego lub przyszłego życia. Zobaczyłam siebie trzymającą na podolku łyse niemowlę. Poczułam ukłucie w sercu. Czy było moje?

Nie uległam tej wizji. Rozgarnęłam ją niczym mgłę i uparcie płynęłam dalej.

Nagle tuż przede mną pojawił się obraz, którego nie mogłam zignorować. To byłam ja w sukni ślubnej. Najpiękniejszej sukni, jaką kiedykolwiek widziałam.

Była biała, a nie ecru. Taka, o jakiej zawsze marzyłam.

W tle znajdował się kościół ozdobiony białymi, prawdziwymi różami. Witraże barwiły je na wszystkie kolory tęczy.

Obok mnie ktoś stał. W dobrze skrojonym garniturze.

Mój narzeczony.

Przyszły mąż.

Musiałam zobaczyć, kim on był. Czy to Piotrek? A może... może ktoś inny?

Powoli zaczynało brakować mi powietrza, ale ani drgnęłam. Musiałam się dowiedzieć, kto to będzie. Musiałam!

Czułam, że pali mnie w piersiach. Wizja uparcie nie pokazywała mojego towarzysza, tylko mnie w bajecznej sukni, z szerokim uśmiechem na twarzy. Byłam tam taka szczęśliwa!

Zaczęło mi się robić ciemno przed oczami. Nie wiedziałam, czy gdy wypłynę i wrócę w to samo miejsce, wizja będzie na mnie czekać.

Nagle zobaczyłam Piotrusia. Tuż obok mojej widmowej postaci. Ale zaraz...

Włosy podejrzenie mu falowały...

Nie był częścią wizji. Wyłonił się z niej, bo płynął do mnie pod wodą z miną wyrażającą determinację i strach. Przepłynął przez obraz, rozpraszając go. Już nie miałam możliwości zobaczyć, obok kogo stoję. Złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

Nasze wargi się spotkały. Między nami przeskoczyła iskra mocy. Poczułam, jak wdmuchuje mi do ust powietrze. Odrobinę pojaśniało mi przed oczami.

Piotrek pociągnął mnie w stronę brzegu. Z żalem zostawiając za sobą wizje przeszłości, podażyłam za nim.

Wynurzyliśmy się na otoczonym szuwarami brzegu. Nie było nas widać. To było świetne miejsce.

Nabrałam głęboko powietrza. Kłuło mnie w płucach. Staralam się nie robić hałasu, ale nie mogłam powstrzymać spazmatycznego oddechu i kaszlu.

Piotrek przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił.

- Boże, myślałem, że się utopiłaś. Tak długo nie wypływałaś - wyszeptał.
- Myślałem, że nie żyjesz. Że nie zdążyłem.

- Nic mi nie jest - odsunęłam się i powiedziałam: - Przepraszam cię.

- Cii... - głaskał mnie po mokrych włosach. - Już wszystko dobrze. Jestem przy tobie. A za co ty mnie przepraszasz? - wziął moją twarz w dłonie.

- Za to, że ci nie wierzyłam. Zobaczyłam w jeziorze, jak było naprawdę. Jesteś niewinny. Diablica Phylis cię omamiła, żebyś myślał, że spałeś z Moniką. A to nieprawda. Jesteś niewinny!

Piotrek mocno mnie uściskał ucieszony.

- To co teraz? - zapytał. - Co będzie z nami?

- Nie wiem... - odparłam, powoli ważąc słowa.

Zmarszczył brwi. Nie oczekiwał takiej odpowiedzi. Pochylił się szybko i pocałował mnie. Zaskoczona nie zdążyłam się odsunąć.

Przepływająca pomiędzy nami iskra mocy podniosła mi włoski na karku. Było przyjemnie, ale inaczej. Nie czułam tego co kiedyś. Zakłęłam w duchu. Czy to przez przystojnego diabła zaczęłam inaczej postrzegać Piotra?

Nad jeziorem potoczył się donośny głos:

- JESTEŚCIE ARESZTOWANI. NIE RUSZAJCIE SIĘ!

Odsunęliśmy się od siebie i powoli wyjrzeliliśmy spomiędzy szuwarów i gęstej trawy.

Znowu panowała nienormalna cisza, więc doskonale słyszeliśmy, co działo się na środku jeziora.

- Aresztowani? - poznałam głos Azazela. - Ale za co? My tylko wyszliśmy na mały spacer. Zobaczyliśmy łódkę i postanowiliśmy się przepłynąć. Zupełnie nie rozumiem, co takiego zrobiliśmy. Jesteśmy na terenie prywatnym?

Usiłował grać idiotę. Przyznaję, że świetnie mu to wychodziło. Miał najwyraźniej wrodzone zdolności... Anioły jednak nie dały się nabrać na tę sztuczkę.

- Dobrze wiecie, że to Jezioro Czasu i nikomu nie wolno przebywać na jego terenie - wreszcie rozpoznałam twardy głos.

Jego właścicielem był sam Archanioł Gabriel. No proszę, proszę. Szybko znalazł się na miejscu zbrodni. Byłam pod wrażeniem.

- Forneusie, czy poza nimi jeszcze ktoś wdarł się na pilnowany przez ciebie teren? - orzechowe oczy władcy Niebios skierowały się na potwora morskiego.

-Yyyyyy... - odpowiedziało mu niskie, nieco nierozumne mruknięcie.

Najwyraźniej Tron nie był w nastroju do rozmów. A może był aż tak szalony?

Gabriel nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego. Odwrócił się do pozostałych aniołów.

- Kto był pierwszy na miejscu zdarzenia?

- Ja, Gabrielu.

Poznałam ten głos. To był Moroni we własnej osobie. Jego czarne skrzydła młóciły gniewnie powietrze, gdy przyfrunął do archanioła.

- Opowiedz, co się zdarzyło.

- Byłem na małym spacerze w okolicy. Gdy tylko usłyszałem ryk Forneusa, od razu przyleciałem nad Jezioro Czasu. Poza Azazelem i Belethem nikogo więcej nie widziałem. Na łódce byli tylko oni.

Przez chwilę wydawało mi się, że zerknął prosto na mnie i Piotrka, ukrytych w trzinie. Uśmiechnął się lekko.

- Dobrze - Gabriel mu uwierzył. - Zabierzemy was teraz do aresztu. Tam poczekacie, aż powiemy, co zdecydowaliśmy z wami zrobić. Dodam tylko, że wasz dzisiejszy postępek nie wpłynie pozytywnie na przyznanie stałego pobytu.

Odsunęliśmy się od brzegu jeziora. Spojrzałam na Piotrka.

- Czy Moroni ci pomagał? - zapytałam.

- Tak - wyznał. - Zawarłem z nim układ. To dlatego teraz nas wybronił i jako pierwszy znalazł się w pobliżu jeziora.

Rozdział 24

Po cichu przedzieraliśmy się przez milczący las otaczający jezioro. Pstryknięciem palców wysuszyłam nasze ubrania. Musieliśmy szybko uciec, żeby anioły nie powięzwały nas z tym przestępstwem.

Moroni dobrze się sprawił. Nie podjęto za nami pościgu. Jak na razie żaden z diabłów słowem nie pisał, że z nimi byłam.

Nie wiem dlaczego. Bali się mnie? Byli pewni, że się utopiłam? Czy gdyby powiedzieli, że mnie tam zaprowadzili, dostaliby cięższy wyrok za, nazwijmy to tak, deprawowanie śmiertelnych?

A może to mój przystojny diabeł nie chciał, żebym miała kłopoty?

Poczułam satysfakcję, że ich złapano. Kłamcy. Jak mogłam kiedykolwiek im ufać? Tak łatwo udawało im się wywieść mnie w pole. Tylko co się teraz z nimi stanie? Co spotka Beletha? Miałam nadzieję, że mimo wszystko kara nie będzie zbyt straszna.

Skarciłam się w duchu. Czemu mi na nim tak uparcie zależało? Przecież miałam teraz znowu Piotrka. Beleth był diabłem. Nie powinnam go nawet lubić.

Potknęłam się o wystający korzeń. Piotr podał mi rękę. Znowu przeskoczyła pomiędzy nami moc.

- Co teraz? - zapytał.

Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, wyszliśmy z lasu. Przed nami rozciągała się jedna z licznych ulic Edenii. Pociągnęłam go do najbliższej kawiarni. Zamówiliśmy kawę i usiedliśmy w zacienionym ogrodzie.

Wziął mnie za rękę.

- Jak ja tęskniłem za twoim dotykiem - wyznał. Zastanowiłam się głęboko, czy to odwzajemniałam. Na pewno w jego towarzystwie czułam się bezpiecznie, ale... Co ten diabeł mi zrobił? Przecież Piotr jest niewinny. Nie zdradził mnie! Kocha mnie. Co się nagle popsulo?

„Ja się zmieniłam” - ta myśl nie dawała mi spokoju.

Wpatrywał się we mnie ufnie. Poczułam się źle ze świadomością, że nie potrafię powiedzieć mu, że też tęskniłam. Kilka dni temu tęskniłam, ale czy tęskniłam wczoraj albo dzisiaj rano?

- Nad Jeziorem Czasu powiedziałaś, że Moroni ci pomagał - przypomniałam. - Skąd go znasz?

Musiałam się tego dowiedzieć.

- To on znalazł mnie - odparł. - Wtedy gdy w Piekło odjechałaś samochodem razem z tym diabłem, on wyszedł za mną z klubu. Zagadał, powiedział, że jest aniołem...

Anioły nie mogły wpadać do Piekieł bez zaproszenia, ot tak, dla kaprysu. Potrzebowały specjalnych przepustek wydawanych przez Lucyfera. Samowolne przebywanie w Niższej Arkadii było poważnym wykroczeniem.

Poza tym aniołowi nie wypadało tam przebywać. To mógł być koniec jego kariery, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Czyżby Moroni wcale nie był taki święty?

- ...zdziwiło mnie to - mówił dalej Piotrek. - Ale nie wnikałem. Powiedział, że nie wierzy, żebym mógł cię zdradzić i że pomoże mi to udowodnić. Opowiedział mi wtedy o Jeziorze Czasu. Dostrzegłem w tym swoją szansę.

Ścisnął mnie za rękę.

- Musiałem sprawić, żebyś znowu mi zaufała. Moroni powiedział, że Beleth i Azazel mają jakiś wielki plan, w który znowu cię wciągną. Przestraszyłem się, że mogą ponownie cię zabić, jeśli będzie im to do czegoś potrzebne. Obiecał, że pomoże mi dostać się do Nieba, do ciebie. Tak jak przyrzekł, załatwił wszystkie formalności, żebym otrzymał pobyt czasowy w Arkadii.

- On jest niebezpieczny - mruknęłam. - Też coś planuje, zupełnie jak diabły. Wiesz co? Mnie naopowiadał tylko jakichś kompletnych bzdur, że niby chce zająć miejsce Boga, a w Etiopii stworzyć program kosmiczny.

- Nie - zaśmiał się. - Mnie nie opowiadał takich bajek jak tobie. Ale... obiecałem, że mu pomogę. W zamian on pomógł mi.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Diabły przynajmniej znałam i wiedziałam, na co je stać. O Moronim nie wiedziałam nic. Nie wiedziałam, do czego był zdolny i do czego mógł się posunąć, gdybyśmy zawiedli jego oczekiwania.

- Co dokładnie mu obiecałeś?

- Mam mu znaleźć jakieś klucze, ale nie powiedziałem Moroniemu, kiedy się tym zajmę - uśmiechnął się szeroko.

Nie podzielałam jego radości. Anioł na pewno niebawem zażąda oddania przysługi.

- Mnie też wspominał coś o kluczach - mruknęłam. - A nie powiedział ci dokładnie, o co chodzi?

- Nie.

- Mnie dał kilka dni do namysłu - powiedziałam. - Z tym że ja nie wiszę mu przysługi i mogę odmówić.

Piotr niestety nie mógł powiedzieć tego o sobie.

- Co teraz zrobimy? - zapytał, dopijając kawę.

Od kilku minut zastanawiałam się nad tym. Jakie miałam możliwości? Mogłam wrócić z Piotrem na Ziemię i udawać, że nic się nie stało. Mogłam zostać też w Niebie. Tylko po co? Co mnie czekało z Belethem? Kolejne kłamstwa?

„Piotruś mnie nie zdradził” - powtórzyłam sobie w myślach.

- Wracamy na Ziemię - odpowiedziałam powoli.

- Nie jesteś zbyt szczęśliwa z tego powodu - zauważył z urazą.

Miał rację. Nie byłam. Żałowałam, że powoli zaczynałam ufać Belethowi. Znowu wyprowadził mnie w pole swoimi pięknymi słowami.

- Jest mi przykro, że po raz kolejny dałam się wciągnąć w gierki diabłów - powiedziałam.

Spojrzenie Piotra złagodniało.

- Nie przejmuj się. Jestem przy tobie. Znowu będzie jak dawniej.

Chciałam, żeby miał rację.

- Stworzymy przejście? - zapytał. - Arkadia jest piękna, ale chciałbym jak najszybciej wrócić do domu.

- Nie pożegnałam się z rodzicami - zauważyłam. - Chcę ich zobaczyć. Zostańmy tu jeszcze przez chwilę.

- A jeśli Moroni nas znajdzie?

- Na Ziemię na pewno też się zapaści, jeśli będzie chciał odzyskać dług...

Wątpiłam, żebyśmy zdołali się przed nim skutecznie ukryć.

- W takim razie możemy spokojnie pobyc w Arkadii - stwierdził. - Nic to nie zmienia.

Pokiwałam głową.

- Opowiedz mi o Piekle - poprosił. - Jak tam jest?

Uśmiechnęłam się na samo wspomnienie.

- Podobnie jak w Niebie, ale bardziej... hm... ziemsko. Niższa Arkadia trochę przypomina wybrzeże Morza Śródziemnego. Jest słonecznie, gwarno i kolorowo. Spodobałoby ci się.

- Chciałbym je zobaczyć - przytaknął.

Radość zniknęła z mojej twarzy. W Piekle było jeszcze więcej źle życzących mi osób.

- Boję się Moroniego - wyznałam. - Boję się ich wszystkich. Mam złe przeczucia. Oni nam tak łatwo nie odpuszczą. Nie pozwolą nam po prostu zniknąć i żyć dalej w spokoju.

- Nie mówmy teraz o tym - odgarnął mi włosy z czoła czułym gestem.

- Pójdiesz ze mną do moich rodziców? - zapytałam. - Poznasz ich.

Piotruś znieruchomiał.

- Sądzisz, że to dobry pomysł? - zapytał niepewnie. - Nie wolisz iść sama?

- Nie. Chcę iść z tobą - oświadczyłam. - Jesteś dla mnie ważny. Oni też.

Chcę, żebyście się spotkali.

- Dobrze - odpowiedział miękko. - W takim razie bardzo chętnie ich poznam.

Rozdział 25

Zawiązałam klucz diabła na mocnym rzemieniu. Zamierzałam nosić go na szyi jak Piotrek, żeby gdzieś mi się nie zapodział. Mógł się przydać do podróży po całym świecie. Gdy mieliśmy teraz uaktywnioną moc Iskry i jabłka, rysowała się przed nami dość ciekawa przyszłość na Ziemi.

Nawet nie tyle podróżnicza, co naukowa. Lubię, kiedy po pstryknięciu palcami w kilka sekund mam przyswojony kilkusetstronicowy podręcznik. Coś tak czułam, że chyba skończę studia z wyróżnieniem.

Spojrzałam na Piotrka, który właśnie kończył wiązać sznurówkę zakurzonych martensów. Czarne włosy opadły mu na oczy. Nie zauważył, że go obserwuję. Życie byłoby znacznie prostsze, gdybym go kiedyś nie pokochała, gdybym uległa diabłu.

Odwróciłam wzrok.

Przed nami znajdowała się gładka ściana kawiarni. Skoro obydwójce mieliśmy przyznany pobyt stały w Niebie, to spokojnie mogliśmy przedostać się do domu moich rodziców za pomocą kluczy. Nie wiedziałam, jak długo zajęłoby nam dotarcie tam pieszo.

- Idziemy? - zapytałam, gdy stanął obok mnie. Piotr kiwnął głową.

Wsunięcie metalu w beton zawsze wydawało mi się niemożliwe, zbyt magiczne, by coś takiego mogło zdarzyć się naprawdę. Jednak znowu zostałam mile zaskoczona. Klucz wszedł gładko. Przekręciłam go w zamku.

Przed nami zaczęły się formować białe podwójne drzwi z mnóstwem kolorowych szybek. Pomimo że należały do Beletha, nie zamierzałam z nich rezygnować i kopiować sobie mojego starego klucza od Piotrka. Te były wygodne, ponieważ przez szkło widać było zarysy tego, co znajdowało się po drugiej stronie. Czyli ewentualnego niebezpieczeństwa, złowrogie kształty nie przemykały za drzwiami.

Nacisnęłam klamkę i przeszłam na drugą stronę. Byliśmy w ogrodzie moich rodziców. Przeszliśmy przez jedną ze ścian ich niebieskiego domku. Obok nas wyrastały z ziemi kolorowe malwy.

- Gotów? - zapytałam Piotrka, gdy stanęliśmy na wycieracze.

Miał nietęgą minę. Wzięłam go za rękę. Nie wiem, czego się obawiał. Przeżył już spotkanie z moim bratem i całe jego przesłuchanie. Moi rodzice nie mogli być przecież gorsi od niego.

Poza tym, jakkolwiek by na to patrzeć i jakkolwiek źle by to brzmiało, nie żyli. Nie będzie ich spotykał codziennie, kiedy zechce porwać mnie na randkę.

Zadzwoiłam do drzwi. Po chwili otworzyła nam moja mama.

- Wikcia! - wykrzyknęła ucieszona.

Jej zaciekawione spojrzenie skierowało się na Piotrusia. On natomiast zerknął na mnie, hamując śmiech po usłyszeniu tego odrobinę wstydliwego zdrobnienia.

- Mamo, to Piotrek. Mój... chłopak - przedstawiłam go, mając nadzieję, że nikt nie usłyszał wahania w moim głosie. - A to moja mama.

- Miło mi cię poznać! - uściskała go serdecznie. - Chodźcie do środka.

- Kto przyszedł? - za jej plecami pojawił się tata.

- Nasza córeczka z narzeczonym!

Narzeczonem? Zerknęliśmy po sobie. Mama odrobinę przedobrzyła.

Chwilę później siedzieliśmy za stołem w jadalni przy herbacie i ciście upieczonym przez mamę. Podejrzewam, że zrobiła to ciasto w taki sam sposób, w jaki ja bym sobie poradziła. Najprawdopodobniej po prostu pstryknęła palcami i użyła mocy Iskry Bożej. Jeśli chodzi o zdolności kulinarne, to obie byliśmy ich pozbawione.

Miałyśmy ze sobą dużo wspólnego.

Nie sądziłam, że do tego dojdzie, ale po stosunkowo miłym początku zaczęło się małe przesłuchanie w wykonaniu taty. O dziwo, okazało się, że był nawet gorszy od Marka. Teraz odkryłam, z kim z kolei on miał wiele wspólnego.

- Od jak dawna jesteście razem?

- To coś poważnego?

- Gdzie studiujesz?

- Jakie masz plany na przyszłość?

- Jakie macie wspólne plany na przyszłość?

- Jesteś katolikiem?

I tak dalej, i tak dalej. Gdyby Piotrek nie był niewzruszony niczym skała, pewnie wybiegłby z krzykiem. Na szczęście jego odpowiedzi chyba usatysfakcjonowały tatę, bo w końcu spuścił odrobinę z tonu.

- Piękna z was para - zagrychała mama. - Jak z obrazka.

- Całe szczęście, że już nie zadajesz się z tymi diabłami - mruknął tata. - Musisz ich unikać.

Słowem nie wspomnieli o złapaniu Beletha i Azazela przez anioły nad Jeziorem Czasu. Najwyraźniej ich pojmanie nie zostało podane do wiadomości publicznej. Ciekawe, czy kiedykolwiek zostanie ujawnione? Może wszystko przycichnie?

- Zobacz, kochanie - mama wzięła tatę za rękę. - Kto by podejrzewał, że nasza mała Wikcia będzie miała takiego przystojnego narzeczonego...

- Nie jesteśmy narzeczonymi - wtrącił Piotrek.

Tata zmrużył oczy.

- Właśnie widzę, że nie ma pierścionka na palcu... - wycedził. - Kiedy zamierzacie się zaręczyć? Zakładam, że ten związek to coś poważnego. Powinniście dbać o swoje przyszłe życie w zaświatach. Musicie dbać o to, żeby wasza nieśmiertelna dusza trafiła do Nieba. Zdajecie sobie z tego sprawę?

No cóż... trochę podejrzewałam, że to może się tak skończyć. Z drugiej strony nie powinnam mu się dziwić. Nie żył - miał dowód, że po śmierci jest coś więcej i warto dbać o przyjęcie do Arkadii.

- Tak, tato - powiedziałam. - Ale jesteśmy jeszcze za młodzi na małżeństwo. Chcemy skończyć studia.

- No, ale spokojnie możecie być zaręczeni przez następne kilka lat - obruszył się i łypnął na siedzącego jak na szpilkach Piotrusia. - To zabezpieczenie dla dziewczyny. Gwarancja.

Dobra, bo to zaczynało być absurdalne. Musiałam to przerwać. Jeszcze chwila i tata zagrozi mu, że jeśli mnie rzuci, to nawet po śmierci razem z kumplami będzie go nachodził.

- Hej, hej, ja tu przyszedłam, żeby się z wami pożegnać w miłej atmosferze - powiedziałam. - Przenoszę się na Ziemię. Mam nadzieję, że już na zawsze.

Spojrzenia moich rodziców złagodniały. Mama zaczęła popłakiwać.

- To prawdziwe szczęście, że się spotkaliśmy, Wikciu - wstała i przytuliła mnie. - Nie sądziłam, że nam się to uda, dopóki nie umrzesz. A rozumiesz... to było trochę niezręczne czekać z wytęsknieniem, aż umrzesz...

Zaśmiałyśmy się. Miałam ten sam problem moralny, kiedy po swojej śmierci tęskniłam za Piotrkiem.

Tata także mnie przytulił. Żegnaliśmy się czule ze świadomością, że do naszego następnego spotkania może dojść za kilkadziesiąt lat.

Następnie popełniliśmy z Piotrkiem chyba największy błąd, jaki mogliśmy. Zamiast stworzyć przejście na Ziemię z wnętrza domu, postanowiliśmy wyjść na zewnątrz, żeby po raz ostatni rzucić okiem na bajkową Arkadię.

Wsunęłam klucz w ścianę obok drzwi wejściowych do błękitnego domku moich rodziców. Stali obok nas na ganku i czekali, aż odejdziemy.

Nie zdążyłam przekręcić klucza. Nagle w plecy uderzył mnie silny podmuch wiatru, zarzucając mi włosy na twarz. Odwróciliśmy się szybko. Moja dłoń zamarła przy ścianie.

- Witam was. Ach, cóż to? Wiktorio? Piotrze? Już odchodzicie? Tak bez pożegnania?

Tuż za nami, pośrodku trawnika wylądował Moroni. Złożył swoje czarne skrzydła. Moi rodzice bardzo ucieszyli się na jego widok.

Widząc nasze miny, Moroni grał dalej.

- Całe szczęście, że zdążyłem was złapać, żeby się pożegnać. Albo mam lepszy pomysł. Jedliście już obiad? Jeśli nie, to zapraszam was do mojej rezydencji.

Moi rodzice uśmiechnęli się zadowoleni. Spodobało im się, że jesteśmy tak popularni w Niebie.

- Rzeczywiście - przytaknęła moja mama. - U nas nic nie zjedli. Dziękujemy ci, aniele, że zajmujesz się nimi tak troskliwie.

O tym, że wepchnęła w każde z nas po trzy kawałki ciasta, szybko zapomniała. Ale w końcu czym jest zwykły tort w porównaniu z ambrozją, jaką musiały spożywać anioły?

- Och, nie ma za co - uśmiechnął się skromnie. - Przecież należy to do moich obowiązków. Nie bez powodu mam skrzydła.

Musiałam jakoś ratować sytuację. Nie dam się wciągnąć w pułapkę.

- Nie jestem pewna, czy mamy czas - powiedziałam i skłamałam. - Musimy pilnie wracać na Ziemię. Rodzice Piotrka mogą się o niego martwić.

- Spokojnie - rzekł Moroni. - W mojej rezydencji jest zasięg na Ziemię. Twój ukochany może zadzwonić stamtąd do rodziny.

- Narzeczony - wtrącił mój tata i kiwnął porozumiewawczo do Piotrka.

Jeszcze tylko brakowało, żeby niczym filmowy mafioso wskazał na swoje oczy, a potem na chłopaka, dając mu tym do zrozumienia, że go obserwuje...

Anioł podszedł do nas. Moja dłoń była nadal zaciśnięta kurczowo na kluczu, który tkwił w ścianie. Wciąż nie zdążyłam go przekreślić.

- Pozwól, że przekieruję nas na inne miejsce docelowe - powiedział Moroni.

Jego ciepła ręka objęła moje palce. Przekreślił klucz w ścianie. Zaczęły formować się na niej kolorowe drzwi. Za nimi panowała nieprzenikniona ciemność. Nic nie przeświecało przez kolorowe szkiełka.

Otworzył drzwi, a ja przycisnęłam klucz do piersi. Nie widziałam, co znajdowało się za nimi. Poczulałam słaby zapach soli i skóry.

- Naprawdę powinniśmy wracać natychmiast na Ziemię. Bardzo dziękujemy ci za zaproszenie, ale nie możemy - powiedział Piotrek.

- Bzdura - anioł machnął ręką. - Przecież już stworzyłem przejście. Nie każcie mi się namawiać.

Jego spojrzenie stwardniało.

Popatrzyłam na mrok za drzwiami. Wydawał się namacalny, żywy. Chyba nie mieliśmy wyboru.

- Uważajcie na siebie! - zawołała moja mama.

- Zapewniam panią, że się nimi zaopiekuję - rzekł Moroni. Następnie pchnął nas w mrok przed sobą.

Rozdział 26

Przekroczyliśmy próg. Po zamknięciu drzwi otoczyła nas ciemność oraz wyraźny już zapach skóry i soli. Moroni klasnął w dłonie. Na ten dźwięk srebrne rolety rozsunęły się, wpuszczając oślepiająco jasne słońce do pomieszczenia, które okazało się dość nowocześnie umeblowanym salonem.

Byłam tylko w trzech rezydencjach w Piekło i jednej w Niebie, wszystkie jednak wyglądały podobnie, zastawione meblami z przeróżnych epok, głównie tych dawno minionych, które cechowała elegancja, przepych i wręcz namacalna kosztowność. Człowiek bał się czegokolwiek dotknąć, żeby przypadkiem nie popsuć.

Wnętrza Moroniego bardzo się od nich różniły. Panował w nich minimalizm. Królował chrom, szkło i biała skóra, której zapach wcześniej czułam.

Ale skąd sól? Jej zapach wpadał do wnętrza przez olbrzymie okna. Dom Moroniego znajdował się tuż przy plaży. Doskonale było widać białe fale znaczące piasek.

Zerknęłam na anioła. Patrzył na nas, ciekawy reakcji na swoją wspaniałą rezydencję.

- Robi wrażenie - poczułam się zobligowana do pochwały. - Naprawdę możesz stąd dzwonić na Ziemię?

- Tak - uśmiechnął się szeroko. - Załatwiłem sobie ten przywilej.

W aniele wszystko było białe: strój, włosy, oczy, zęby. Brakowało tylko białej duszy.

- Pod jakim pretekstem? - zapytałam.

- Proszę, usiądźcie - wskazał nam kanapę, a sam rozsiadł się w fotelu. - Nie potrzebowałem pretekstu. Jestem aniołem. Aniołom się ufa.

Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy go wysłuchać. Usiedliśmy.

- Ale ty założyłeś Kościół mormonów. Nie powinni już ci ufać - zauważył Piotrek.

Opowiedziałam mu wcześniej wszystko, czego dowiedziałam się o Moronim. Chciałam, żeby był przygotowany na ewentualne spotkanie, które niestety doszło do skutku szybciej, niż podejrzewałam.

- Och, Niebo jest miłosierne - machnął ręką.

Zabrzmiało to tak, jakby właśnie stwierdził, że raczej łatwowierne i głupie.

Zapatrzyłam się na widok za oknem. Był piękny. To właśnie tak musiała wyglądać plaża, na której Wenus wyłoniła się z piany. Mogłabym mieszkać w takim domu. Tylko inaczej bym go umeblowała. Wystrój Moroniego był zimny i nieprzyjazny. Tak jak on sam.

- Dobrze. Widzę, że nie chcecie dzwonić ani się rozluźnić - westchnął. - W takim razie proponuję przejść do rzeczy.

Pochylił się, składając dłonie. Jego rysy wyostrzyły się chytrze, a spojrzenie stwardniało.

- Czas, byście oddali mi przysługę - oświadczył.

- Ja ci nic nie obiecywałam - zaznaczyłam. - Dałeś mi kilka dni do namysłu. Zdecydowałam, że ci nie pomogę, więc daj mi święty spokój.

Zdziwił się, jednak to uczucie szybko znikło z jego twarzy. Chyba nie był przyzwyczajony do uzewnętrzniania emocji.

- Możliwe, że pozostawiłem ci wybór. Jednak nie zostawiłem go twojemu kochankowi - odwrócił się do Piotra. - Zawarliśmy umowę, na mocy której ma mi pomóc. No proszę, Wiktorio, nie podejrzewałem, że zostawisz go samego z tym zadaniem. Nie wesprzesz ukochanego? Nie tego się po tobie spodziewałem.

Usiłowała zachować kamienną twarz, jednak w środku cała się gotowała. Znowu się w coś wplątywała. Intuicja podpowiadała mi, że tym razem będzie jeszcze gorzej.

- Przecież wiesz, że mu pomogę - wycodziłam.

- Tak właśnie sądziłem, ale wołałem się upewnić - poweselał.

Piotrek patrzył na niego ponuro.

- Obiecałem ci pomóc - mruknął. - Czego chcesz?

Moroni rozsiadł się wygodnie. Celebrował każdą chwilę.

Upajał się władzą, jaką miał nad nami.

- Pragnę wam tylko jeszcze przypomnieć, że ode mnie i od moich zeznań zależy, czy nie zostaniecie powiązani ze sprawą wejścia na teren Jeziora Czasu. Mówię to, na wypadek gdybyście chcieli szybko zakończyć naszą współpracę.

- W ten sposób zaszкодżisz też sobie - stwierdziłam. - Oskarżą cię o fałszywe zeznania.

- Ależ skąd - zaśmiał się. - Po prostu skruszony udam się do Gabriela, twierdząc, że wydawało mi się wtedy, że widziałem jakiś kształt w trzcinach. Dwie postacie ludzkie. Jednak zrzuciłem to na karb zbyt bujnej wyobraźni. Sądzę, że anielskie postępowanie szybko do was dotrze. Nie będą potrzebowali więcej wskazówek. Diabły zapewne też nie utrzymają języka za zębami, jeżeli wydanie was aniołom w jakikolwiek sposób je usprawiedliwi. A jak podejrzewam, prowodyrem całego zajścia byłaś ty, Wiktorio?

- Przecież doskonale wiesz - warknęłam. - To ty podsunąłeś nam ten pomysł.

- Tak - przyznał. - Ale denerwowanie cię sprawia mi niemalą satysfakcję.

- Możesz przejść do rzeczy? - twardo zapytał Piotrek. - Powiedz, w czym mamy ci pomóc, a potem daj nam spokój. Chcemy żyć na Ziemi.

Moroni spojrział zamyślony przez okno. Zupełnie jakby zastanawiał się, od czego powinien zacząć. Czyżby to zadanie było aż tak złożone?

- Jak już wam wspomniałem, potrzebuję kilku kluczy. Część z nich zdobyłem sam. Nie mam jednak dostępu do wszystkich miejsc, w których są ukryte. Do tego właśnie potrzebuję was. Musicie zdobyć dla mnie niektóre.

- A co otwierają? - zapytałam beczelnie, pewna, że i tak mi nie odpowie.

Po raz kolejny mnie zaskoczył. Odpowiedział mi. Tak po prostu.

- Krótko mówiąc, wrota do Piekieł. Jednak nie w znaczeniu miejsca, a wydarzeń. Czytaliście może Biblię Szatana?

Spojrzeliliśmy na niego podejrzliwie.

- Nie, a ty czytałeś? - zapytał Piotrek.

Moroni odrobinę się zmieszał. Chyba zdawał sobie sprawę, że znajomość tej lektury osobie na jego stanowisku raczej nie przystoi.

- Tak... książka nie ma żadnej wartości. To stek bzdur, którymi podniecają się maluczcy śmiertelnicy. Jednak... opisano w niej moje klucze. Co prawda alegorycznie i w przenośni, ale jest tam o nich mowa. Wszystkie są zgromadzone w jednym miejscu i pozwalają osiągnąć to, czego pragnę. Nieograniczoną władzę. Dlatego musicie je zdobyć.

Kolejna nadprzyrodzona istota ogarnięta manią wielkości. Nie rozumiałam, czemu oni wszyscy nie mogli pogodzić się ze swoim miejscem w szeregu. Ja bym była szczęśliwa, mając skrzydła i święty spokój. Za to żadnego z nich to nie satysfakcjonowało.

Dziwacy jacyś.

- A po co ci ta władza? - zapytałam wytrącona z równowagi.

Zdziwił się.

- Jak to, Wiktorio? Wydaje mi się, że już sobie to tłumaczyliśmy.

- Wstawiłeś mi jakiś kit o programie kosmicznym Etiopii...

- Nie mówiłem dokładnie o Etiopii, ale to prawda. Nie okłamałem cię. Mówiłem od początku samą prawdę.

Dobrze. Mieliśmy już z Piotrkim namacalny dowód na to, że Moroni był szalony. Teraz trzeba było tylko zdecydować, jak wybrnąć z tej sytuacji bez większych szkód na ciele i umyśle.

Anioł chciał zostać Bogiem. To nie mogło się dobrze skończyć.

- Ale czemu w Afryce? - drażył temat Piotr.

- Jest tam tak samo przejrzyste niebo jak na przylądku Canaveral, więc czemu nie? Poza tym moje wrota do Piekieł muszą powstać w miejscu, gdzie kosmos jest blisko ziemi. Okolice równika temu sprzyjają.

Och, czyli nie zamierzał wysyłać Etiopczyków w przestrzeń kosmiczną. Chciał tam stworzyć jakieś drzwi!

Co mi za pociecha, że niby mówił prawdę, skoro samymi zagadkami?

- Ile tych kluczy mamy ukraść? - zapytałam. - Bo zakładam, że gdyby były ogólnodostępne, to sam byś sobie poradził.

Piotrek spojrzał na mnie zaskoczony. Jeszcze nie wpadł na to, że będziemy robić coś, czego prawo zabrania. Ja nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- W rzeczy samej - kiwnął głową anioł. - Och, nie będzie ich dużo. Wszystkich jest dziewiętnaście. Was proszę tylko opieć.

- Aż pięć? - jęknęłam. - Myślałam, że jeden, dwa. No, góra trzy.

- Pięć - jego uśmiech odrobinę się poszerzył. - Ale pocieszę was: jeden z nich macie przy sobie. Więc zostaną wam tylko cztery.

Ja nie zrozumiałam, o co mu chodzi, ale Piotrek wyszeptał:

- Klucz diabła, tak?

Moroni kiwnął głową.

- Właśnie. Także korzystam z klucza, lecz anielskiego. Rękopis zaś wyraźnie wspomina o kluczu diabła. Proszę, byście mi go oddali.

Zdjęłam z szyi swój klucz. Zamknęłam go w dłoniach, skupiając się na jego fakturze i ciężarze. Nie zamierzałam pozbawiać się możliwości podróżowania po świecie przez jego głupi kaprys.

Otworzyłam dłonie. Leżały na nich dwa klucze. Na jednym był zawiązany brązowy, szorstki rzemień. Podałam mu ten bez sznurka.

- Pozwól, że poproszę o oryginał - patrzył chciwie na moje ręce. - Nie wiem, czy kopia zadziała.

Rozwiązałam rzemień i podałam mu pierwowzór. Zatrzymałam dla siebie informację, że to i tak kopia. Oryginał znajdował się w rękach Beletha. Anioł nie musiał o tym wiedzieć.

- Jestem pod wrażeniem, że potrafisz je pomnażać. W Niebie nikt nie ma takich zdolności. Naprawdę musisz być wyjątkowa.

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam ochoty słuchać jego pochwał. Poza tym nie podobało mi się, że był mną coraz bardziej zainteresowany. Jeszcze chwila i zamieni się w drugiego Beletha.

A tego wołałabym uniknąć.

O ile diabeł Beleth pociągał mnie fizycznie, to anioł nie miał na to szans. Nieodłącznie kojarzył mi się ze złymi bohaterami z komiksów. Zwłaszcza tymi stworzonymi przez Marvel.

- Zanim opowiem wam o pozostałych kluczach, pozwólcie, że zabiorę was na małą wycieczkę. Pokażę wam te egzemplarze, które już zbierałam - powiedział.

Idąc przez kolejne pokoje rezydencji, podziwialiśmy najznamienitszych malarzy ostatniego pokolenia i ich dzieła. Nie rozumiałam sztuki nowoczesnej. Jak dla mnie wszystko, co potrafiłam sama narysować, rzucając kubłem z farbą w płótno, nie było sztuką, a jedynie bohomazem.

Kiedyś to dopiero byli malarze! Poznałam kilku z nich podczas mojego pobytu w Piekło. Oni także nie rozumieli, czemu współczesność zamiast udoskonalać ich sztukę, tworzyła coś tak... bezpłciowego.

Trzymaliśmy się z Piotrkim za ręce, idąc za Moronim niekończącymi się korytarzami. Wszystkie były pełne światła, czyste, wręcz aseptyczne. Nigdzie nie było dywanów ani zasłon. A tym bardziej zwierząt.

Mnie z domkiem na plaży automatycznie kojarzył się kremowy golden retriever. Oto potęga amerykańskich seriali.

- To mój gabinet - przepuścił nas w drzwiach.

Wnętrze wyglądało tak jak pozostałe pokoje. Za chromowym, surowym biurkiem stał czarny fotel na kółkach, a za oknem rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok.

W rogu stała potężna biała szafa. Moroni otworzył ją. Ciekawie zerkaliśmy mu ponad ramieniem. Jednak w środku były tylko jakieś śmieci, wyglądające jak zbiór pamiątek z wakacji. Zawiedziona cofnęłam się. A zresztą czego oczekiwałam? Że tak na widoku będą w równych rzędach wisiały klucze?

Anioł odwrócił się do nas z miną wyrażającą dumę.

- I co? - zapytał.

- Gdzie są klucze? - odpowiedziałam pytaniem, nic nie rozumiejąc.

Piotrek odpowiedział mi:

- To chyba są klucze, tylko w innej postaci.

Jeszcze raz przyjrzałam się zagadkowym przedmiotom. Największą uwagę zwracał stary, pożółkły pergamin leżący na małym podwyższeniu. Reszta szpargałów spokojnie mogła zmieścić się w plecaku.

Dostrzegłam dwie buteleczki. Jedną z piaskiem, a drugą z jakimś mętnym płynem, miniaturową klepsydrę, medalion, krwistoczerwoną podwiązkę, fajkę, wyglądającą na bardzo starą, glinianą figurkę kobiety z olbrzymim biustem i biodrami, laskę, kolejny medalion i kryształową kulę z wirującą chmurą w środku.

To właśnie kula zaintrygowała mnie najbardziej. Wydawało się, że w jej wnętrzu znajduje się najprawdziwszy miniaturowy cumulonimbus siekący deszczem i piorunami w dno kryształu. Była najbardziej czarodziejska ze wszystkich przedmiotów.

- Masz rację, chłopcze - pochwalił go Moroni, najwyraźniej zadowolony z efektu, jaki zrobiły na nas jego zdobycze. - To są klucze.

Już nie dziwiło mnie, dlaczego nie były głęboko ukryte przed niepożądanymi spojrzeniami. Po pierwsze, do domu anioła nikt by się nie włamał. Nie było takich osób w Niebie. Poza tym nikt by się na to nie poważył. Już po samym spojrzeniu Moroniego można było się zorientować, że znajdzie winnego i się zemści.

Po drugie, kto o zdrowych zmysłach wziąłby ten zbiór za coś ważnego? To naprawdę wyglądało na sentymentalny składzik pamiątek z wakacji.

Chociaż oczywiście podwiązka jako pamiątka z wypadu anioła na Ziemię była lekko niepokojąca...

- To klucze henochiańskie. Jedyne w swoim rodzaju. Zamknięte w zwyczajnych przedmiotach będących alegorią ich jestestwa - wyjaśnił, biorąc do ręki kruchy pergamin. - A oto instrukcja, jak wszystkie połączyć w całość i otworzyć bramy Piekieł mające zapewnić nieograniczoną władzę.

Gdy to mówił, jego oczy błyszczały szaleńczym fanatyzmem. Anielski albinos był w tym momencie bardziej przerażający niż całe zastępy złotych golemów.

Ścisnęłam rękę Piotrusia. Posłałam mu delikatny uśmiech. Było mi różnie, gdy był przy mnie.

- Rozumiem, że się stęskniliście przez długą rozłąkę, ale może byście mnie słuchali? - warknął zirytowany anioł.

Spojrzeliśmy na niego ponuro.

- Opowiem wam teraz o moich zdobyczach.

Zaczął po kolei wyjmować przedmioty i pokazywać je nam. Żadnego jednak nie pozwolił dotknąć. Jako pierwsza ukazała się mała buteleczka z piaskiem.

- Pergamin już widzieliście. Nie dam wam go potrzymać, bo jeszcze popsujecie. Poza tym tylko ja mogę wiedzieć, co jest w środku - machnął buteleczką. - To jest piasek z Sahary. Ma mi przekazać władzę nad ziemią.

Skrupulatnie odłożył zdobycz i sięgnął po następną.

- Klepsydra symbolizuje niechronne przemijanie wieków. Przed naszymi oczami błysnął złoty medalion z trapezem zamkniętym w trójkącie, który był zamknięty w okręgu.

- Oto Medalion Zakonu Trapezoidu, czyli przedstawienie struktury wiary w Szatana. Jako nieliczni macie możliwość ujrzenia ich symbolu. Jest ściśle tajny od setek lat - zachwycał się Moroni. - To bardzo słynne stowarzyszenie. Znaście je, prawda?

Spojrzeliśmy po sobie z Piotrkiem. Oboje pierwszy raz słyszeliśmy tę nazwę. Chłopak miał znudzony wyraz twarzy. Nie bawił go ten wykład.

- Nie znacie go? - aniołowi opadły ze zdumienia ręce.

- To jakieś satanistyczne kółko różańcowe geometrów? - dzielnie usiłowałam odgadnąć.

Może przewrotność ich wyznania polegała na siadaniu nie w kółku, a w trapezie? Moroni przestał się uśmiechać. Co? Nie trafiłam?

- To mistyczny zakon trenujący swoich członków w sztukach walki, by zdołali odnaleźć świętego Graala - zawiedziony odłożył medalion.

No trochę nie trafiłam... Ale czego się po mnie spodziewał? To, że byłam kiedyś diabolicą, nie znaczyło, że wiedziałam o wszystkich ugrupowaniach satanistycznych. Przecież ich było jak grzybów po deszczu.

Zresztą w Piekło i tak się wszyscy z nich śmiali i nie traktowali poważnie...

- Zastanawiam się, czy jest sens pokazywać wam resztę - mruknął do siebie anioł.

Przed nami leżała jeszcze cała sarta przedmiotów. Osobiście wolałabym, żeby przedstawił skróconą wersję wykładu.

- Tak więc to jest podwiązka kurtyzany, obrazująca uciechy cielesne i pożądania. To róg kozła zwiastujący nadejście Ery Szatana. To fajka symbolizująca niebezpieczne uzależnienia. To strzała, jak widzicie z grotem w kształcie pioruna. Mówi o przemocy i gniewie. To butelka łez sierot przedstawiająca nieszczęście. To figurka kobiety - uosobienie magii lubieżności.

To waga symbolizująca sprawiedliwość. Oto berło, insygnium mistrza. To medalion feng shui mówiący o dychotomii dobra i zła. To kryształowa kula - symbol ziemskiej równowagi.

Kolorowe przedmioty przelatywały przed naszymi oczami, gdy Moroni szybko wyjmował je i wkładał z powrotem do przepastnej szafy. W końcu zawiesił głos i wyjął z kieszeni klucz diabła.

- A to klucz otwierający bramy do królestwa Lucyfera - z czcią położył go obok pozostałych insygniów jego przyszłej mocy.

Zdziwiła mnie ilość zgromadzonych przez niego szpargałów. Może powinniśmy się cieszyć, że mamy do odnalezienia tylko cztery? Wygląda na to, że większość roboty wykonał Moroni.

Niepokoilo mnie tylko, do czego wykorzysta je zdradziecki anioł. Zamierzał zostać Bogiem. Czy było w ogóle możliwe zajęcie Jego miejsca? Przecież nie dałby się tak po prostu zdetronizować. Poza tym archanioły posiadały dość dużą moc. Na pewno zdołają przeciwstawić się Moroniemu.

Prawda?

Anioł skrupulatnie zamknął szafę i zerknął na wszelki wypadek w odsłonięte okna, czy aby na pewno nikt nas nie podglądał. Najwyraźniej nie wierzył nawet mieszkańcom Niebios.

- Zapraszam was teraz ponownie do salonu - oświadczył. - Tam porozmawiamy o przedmiotach, które pomożecie mi odnaleźć.

Ciekawość to pierwszy stopień do Piekła. Czy może jednak zaszkodzić, kiedy w tym Piekle już się było?

- Wszystkie przedmioty zdobyłeś sam? - zapytałam.

- Tak - powiedział dumny, idąc korytarzem. - Zdobycie niektórych z nich graniczyło niemal z cudem i było bardzo ciężkim zadaniem.

- Ciężkim? - dociekałam.

- Och tak. Ledwo przeżyłem.

- A w jaki sposób zdobyłeś podwiązkę prostytutki?

Rozdział 27

Moroni nie odpowiedział na moje pytanie. Chyba uważał, że jest to poniżej jego anielskiej godności.

Ponownie usiedliśmy w zimnym salonie. Jeszcze raz zapatrzyłam się na sielski widok za oknem. Słońce skłaniało się powoli ku zachodowi.

Nasz szantażysta przeczesał dłonią krótkie blond włosy. Patrzył na nas z zadowoloną miną. Cieszyło go, że znalazł głupich, którzy wykonają brudną robotę za niego.

- Pragnę, byście odnaleźli dla mnie cztery przedmioty. Są małych rozmiarów. Łatwo będzie wam je ukryć. Zapewniam, że sobie poradzicie.

Jasne, gdyby to był taki pryszcz, to sam by sobie poradził.

- Pierwszy klucz symbolizuje kontynuację przerwane go życia. Oddaje cześć pożądanym targającym ludźmi. To jabłko.

- Jabłko? - wydusiłam.

Proszę, niech to tylko nie będzie to jabłko, o którym ja myślę. Z jabłoni, która przez pewien czas była zamieniona z mojej winy w krzak pomidorów.

- Jabłko z Drzewa Poznania Dobra i Zła - wyjaśnił Moroni. - Musicie dostać się po nie do Piekieł.

Psiakrew.

- A gdzie rośnie to drzewo? - zapytał Piotrek. Był pełen dobrych chęci. Chciał jak najszybciej mieć to z głowy.

- W gabinecie Lucyfera, w doniczce - odpowiedziałam ponuro.

Piotrkowi od razu przeszedł dobry humor.

- Mamy się włamać do Szatana? - wykrzyknął.

- Tak - potwierdził spokojnym głosem Moroni. - Będzie to jedno z waszych zadań. Co do kolejnych...

- A nie ma takiego drzewa w Niebie? - przerwałam mu. - To niemożliwe, żeby jedyny egzemplarz był w Piekle.

- Dlaczego? - zdziwił się. - W Arkadii nikomu nie przyznajemy mocy. Drzewo nie jest nam potrzebne. Lucyfer zobowiązał się go pilnować i odpowiednio pielęgnować, więc nikt przeciw temu nie zaprotestował.

Zaświaty były ze sobą w bardzo dobrej komitywie. Nie podejrzewałam ich o to.

Chociaż z drugiej strony jak mogłam zapomnieć o tym, że Niebo po cichu nadzorowało pracę Piekła?

- Jak wiecie, jestem aniołem - kontynuował Moroni. - Nie mogę, ot tak sobie, pojawić się w Niższej Arkadii. Ktoś mógłby mnie zauważyć.

- Przecież tam byłeś - zauważył Piotr. - Pod Głową Anubisa, kiedy się poznaliśmy.

- Tak. Uzyskałem wtedy przepustkę na jeden dzień pod pretekstem rozmowy z wiernym członkiem moich ziemskich zastępów, który dopiero co tam trafił. Z mormonem - uściślił.

- Uwierzyli? - zdziwiłam się.

- A czemu by nie? Jestem aniołem.

Racja. Miał doskonałą przykrywkę. Kto by podejrzewał anioła? Chociaż jak dla mnie był odrobinę podejrzany przez swoje przekrety sprzed kilkudziesięciu czy raczej kilkuset lat. Niestety Niebo było miłosierne...

Ja to bym dopiero wprowadziła tu porządek.

O nie! Zaczęłam myśleć jak Azazel!

- Drugim przedmiotem, którego od was oczekuję, jest pierścień.

To zabrzmiało lepiej. Nie przypominam sobie, żeby Lucyfer nosił biżuterię. Czyli nie będę musiała nic więcej mu zabierać.

- Pierścień symbolizujący, że władza kapłańska często służyła Szatanowi. Musicie zdobyć dla mnie Pierścień Rybaka - dokończył.

- To rybacy noszą pierścienie? - zdziwiłam się.

Mięsień szczęki Moroniego zaczął drżeć. Chyba znowu nie trafiłam...

- Pierścień Rybaka to sygnet z wytłoczoną postacią świętego Piotra zarzucającego sieć. Nad nią znajduje się imię papieża, do którego on należy.

- Zaraz - wtrącił się Piotrek. - Czyli tym razem mamy obrabować jakiś papieski grób, żeby go zdobyć? Pierścień którego papieża jest ci potrzebny?

Moroni zaśmiał się posepnie z naszej niewiedzy.

- Każdy papież dostaje swój osobisty Pierścień Rybaka, pełniący też funkcję pieczęci stosowanej w jego prywatnej korespondencji, podczas mszy świętej inaugurującej jego pontyfikat. Po śmierci papieża kamerling niszczy go publicznie. Jak więc widzicie, nie możecie się włamać do żadnego grobu. Potrzebny mi sygnet obecnego papieża. Oczywiście chodzi mi o zwykłego papieża - podkreślił. - Autor Biblii Szatana był uważany za czarnego papieża, ale nie nosił pierścieni. To musi być zwykły papież.

Och, to wspaniale. Potrzebowaliśmy takiego zawężenia kręgu poszukiwań. Inaczej nie domyślilibyśmy się, o kogo mu chodzi.

- Czemu ty nie możesz zdobyć tego pierścienia? - zapytałam. - Gdybyś się objawił papieżowi, to może sam by ci go oddał.

- Nie mogę pojawić się w Watykanie - oświadczył. - Archanioł Gabriel lubi tam spacerować. Jeszcze bym go spotkał.

- Mógłbyś go okłamać, że też tam spacerujesz - podsunęłam.

- Nie - skwitował krótko mój pomysł.

Oparł się na fotelu. Skórzane siedzenie zaskrzypiało. Jakoś nie mogłam uwierzyć, że Moroni wzdryga się przed kłamstwem.

- Kolejnym przedmiotem jest kość niewiniątka. Służy do zapowiedzi.

- Skąd mamy ją wziąć? - zapytałam głucho.

- Kość niewiniątka - wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, nie wiem.

Moi mormoni właśnie nad tym pracują. Czytają różne starożytne pisma i

podania. Może dziecka? Na pewno nie niemowlęcia, które nie zostało ochrzczone, bo ciąży na nim grzech pierworodny. Sądzę, że musicie w tym wypadku nawiedzić jakiś cmentarz. Ja nie będę rozgrzebywał grobów. Nie wypada mi - uprzedził nasze pytanie. - Gdy dowiem się, o jakie niewiniątko chodzi, to dam wam znać.

Zmierzył nas przeciągłym spojrzeniem.

- Ostatnią rzeczą, o którą was proszę, jest lampa. Lampa symbolizująca oświecenie, ale także zniszczenie. Jest bardzo piękna. Widziałem ją tylko raz, ale zapamiętałem na zawsze. Wysoka na około trzydzieści centymetrów, działa bez prądu. Świeci swoim wewnętrznym światłem zawartym w błękitnym kryształku umieszczonym na złotej nóżce. Bardziej przypomina pochodnię niż zwykłe lampy, które znacie jako śmiertelnicy. Jej blask jest nieprzerwany.

Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Musiała być naprawdę ładna.

- Gdzie ją znajdziemy? - zapytał Piotruś.

- W gabinecie Gabriela.

Odpowiedź spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Nawet nie musieliśmy nam tłumaczyć, dlaczego sam nie może jej zdobyć. To było aż nazbyt oczywiste. Kto o zdrowych zmysłach włamywałby się Archaniołowi do domu, żeby ukraść jego ulubioną lampę?

- Chyba żartujesz - wyjąkałam. - To niewykonalne.

- Na pewno dacie sobie radę - zapewnił. - W końcu posiadacie ogromną moc. Nie ma dla was rzeczy niemożliwych.

Picusię znalazł.

- Ile mamy czasu? - Piotrek rzeczowo podszedł do sprawy.

Moroni zamyślił się.

- Osobiście chciałbym, żeby wszystko zostało załatwione jak najszybciej. Jednak nie będę się upierał. Rozumiem, że musi zająć wam chwilę zaplanowanie wszystkich kroków. Prosiłbym też, byście po każdym udanym przejęciu przedmiotu natychmiast mi go przekazali.

Czyżby się obawiał, że gdy zostaniemy złapani, wszystko zostanie zagarnięte przez anielskie służby? Chociaż może rzeczywiście bezpieczniej byłoby od razu pozbywać się dowodów rzeczowych. Lepiej, żeby wszystkie obciążające nas przedmioty leżały w szafie u Moroniego.

- Na pociechę powiem wam, że możecie zacząć natychmiast - anioł posłał nam sztuczny uśmiech. - Poza tym nie musicie szukać przedmiotów w tej kolejności, w której je wam wymieniłem.

Spojrzałam na niego ponuro. Parszywy anioł. Miałam rację, że ich nie lubiłam.

- Czy gdy oddamy ci wszystkie przedmioty, dasz nam spokój? - wołałam się upewnić. - Obiecujesz, że nie będziesz więcej ingerował w nasze życie?

- Wiktorio... jako dwie osoby o tak potężnych mocach zawsze będziecie wzbudzać zainteresowanie i zapewniam, że jeszcze nie raz ktoś będzie chciał ingerować w wasze życie. Mogę ci jednak obiecać, że gdy uzyskam wszystkie

potrzebne mi przedmioty, świat się zmieni. Gdy ja będę panem, zagwarantuję wam ochronę.

Nie odpowiedział na moje pytanie.

- A ty dasz nam spokój?

Skrzywił się. Nie chciał związać sobie rąk.

- Dam - warknął w końcu.

Wstaliśmy z miękkiej kanapy. Nie było sensu dłużej tu przesiadywać. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego mogliśmy.

Wyjęłam klucz diabła z kieszeni.

- Tak więc bądźmy w kontakcie - pożegnał nas anioł, mierząc nasze sylwetki swoimi przezroczystymi oczami.

Kolorowe niczym turecka lampa drzwi pojawiły się na ścianie przed nami. Nacisnęłam klamkę. Po drugiej stronie nie czekała na nas Ziemia, ale drugie miejsce, w którym do tej pory czułam się bezpiecznie.

Mój dom w Los Diablos.

Piotrek ostatni raz zerknął przez ramię na Moroniego i przeszedł za mną przez portal do Niższej Arkadii. Zamknęłam za nim drzwi. Zaczęły blednąć, aż w końcu na ścianie pozostał tylko migoczący kontur, jedyny ślad po tym, że kiedykolwiek tam były. On też miał zaraz zniknąć.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Piotruś.

Znajdowaliśmy się w salonie, równie przestronnym, jak ten należący do anioła, jednak znacznie przytulniej i cieplej umeblowanym. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie, przy ogromnym telewizorze leżała sterta nieobejrzanych filmów. Z kolei orientalny szezlong zarzucony był książkami, w tym Regulaminem Piekła.

- To mój dom w Niższej Arkadii - odparłam. - To mogłaby być nasza baza wypadowa.

Nagle przez otwarte drzwi na ganek do środka wbiegł mój kochany Behemot, pomiaukując z zadowoleniem. Wzięłam go na ręce i przytuliłam mocno.

- Co tam kocie Behemocie? - zagruchałam, wtulając twarz w jego miękkie futro.

Piotruś z westchnięciem usiadł na szezlongu, zapadając się w jego miękkich poduszkach. Schował twarz w dłonie.

Usiadłam obok niego. Nie wiedziałam, jak mam go pocieszyć.

- Nie sądziłem, że wplączę nas w coś takiego - spojrzał na mnie pustym wzrokiem. - Przepraszam.

- Spokojnie - pogładziłam go po kolanie. - Damy sobie radę. Uda nam się.

- Nic nam się nie uda! - niespodziewanie wybuchł. - Złapią nas albo co gorsza zabiją! Przecież zdobycie tych przedmiotów jest niewykonalne.

Behemot nastroszył sierść na grzbiecie.

- Na pewno coś się uda - mruknęłam.

- Powiedz mi, jak szybko Lucyfer zdołał złapać cię w swoim gabinecie, gdy ostatnim razem się tam włamałaś? - zapytał.

Miał rację. Nie wiem skąd, ale Szatan od razu dowiedział się, że z Belethem myskujemy w jego prywatnych rzeczach. Do dzisiaj nie dowiedziałam się, czy ktoś go przypadkiem nie naprowadził na nasz trop. Jednak kto mógł mieć z tego powodu jakiś zysk?

Beleth? Przecież nie zbliżyliśmy się do siebie w więzieniu ani podczas procesu. Chociaż oczywiście do tego dążył.

Azazel? On wydawał się najprawdopodobniejszym kapusiem. Gdyby nas nie pojmano i gdyby Lucyfer nie postanowił eksterminować wszystkich osób z Iskrą, to nie pomogłabym mu w rebelii. To był powód, dla którego się zgodziłam.

Czy to możliwe, że Szatan nigdy nie dowiedziałby się o tamtym włamaniu, gdyby wszystko dobrze poszło?

Spojrzałam na rozgoryczonego Piotrka, który wszystko widział w czarnych barwach.

- Tym razem pomogą nam przyjaciele - powiedziałam. - A nie Beleth czy Azazel.

- Przyjaciele? - zapytał głucho. - Jacy przyjaciele?

- Zapewniam cię, że kilku takich mam. I w Piekło, i w Niebie.

Chłopak kiwnął głową.

- Żałujesz? - zapytałam niespodziewanie.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Czego mam żałować?

- Tego wszystkiego - potoczyłam spojrzeniem po ścianach. - Że wciągnęłam cię w te diabelskie sprawy. Mogłeś dalej spokojnie żyć jako niczego nieświadomy śmiertelnik.

Zamyślił się, ważąc słowa.

- Przyznam, że wołałbym się w to nigdy nie mieszać - w końcu wyznał. - Mam złe przeczucia. Czuję, że spotka nas coś złego.

Pokiwałam głową. Czuję dokładnie to samo.

Lubiący chłopaka kot delikatnie trącił nosem jego dłoń. Piotruś zaczął go machinalnie głaskać za uchem, na co zwierzak zareagował z entuzjazmem głośnym mruknięciem. Powoli Piotr zaczął się rozluźniać. Mój kotek wiedział, jak owinać sobie ludzi wokół pazurka.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Piotrek.

Był zmęczony, ale jego czarne oczy były pełne siły.

- Może od Piekła? - zaproponowałam. - Zawsze gdyby coś nam się nie udało, możemy zwierzyć się Lucyferowi. Może nas zrozumie.

Nie lubił mnie, ale istniała szansa, że uwierzy moim słowom. Nie był taki jak Gabriel. On nie ufał bezgranicznie ani nie zapominał. Szybciej od niego pozna się na machlojkach zdradzieckiego anioła. Możliwe, że nawet nie będziemy musieli specjalnie go przekonywać.

- Sądysz, że dobrze robimy? - zapytał. - Może nie powinniśmy się zgodzić pomóc Moroniemu, tylko od razu wyznać prawdę, na przykład archaniołom.

Było to jakieś wyjście z sytuacji. Przyznaję.

- Ale on wtedy powie, że byliśmy nad jeziorem - mruknęłam.

- To chyba mniejsze zło od uczynienia Moroniego bogiem - westchnął ciężko. - Sam już nie wiem. Wpakowaliśmy się w niezłe kłopoty.

- Sądzę, że na początku moglibyśmy współpracować z Moronim - powiedziałam. - Chciałabym przeczytać ten rękopis, który ma w swoim gabinecie. Może go w którymś momencie zabierzemy? Dzięki niemu na pewno Gabriel by nam uwierzył i może przymknąłby oko na występki nad jeziorem. Dopóki nie mamy namacalnego dowodu niecznych planów anioła, nie mamy z czym iść do Gabriela. Przecież Moroni na pewno wszystko ukryje albo zniszczy, zanim dowiedzimy prawdy.

Chłopak zastanawiał się chwilę nad moimi słowami, drapiąc bezmyślnie kota za uszami.

- Może masz rację - przyznał. - To gdzie idziemy?

- Poczekaj. Najpierw porozmawiam z Belfegorem i... ze Śmiercią.

Rozdział 28

Diabeł Belfegor zgodził się spotkać z nami jeszcze tego samego dnia w małej kafejce nad brzegiem morza przy głównym bulwarze Los Diablos. Nie miałam do niego numeru telefonu, zresztą nadprzyrodzeni mieszkańcy zaświatów i tak ich nie używali. Przesłałam mu po prostu wolny przekaz myślowy, a on odpowiedział.

Lubiłam telepatię. Była wygodna i tania.

Nie powiedziałam uroczemu diabłu, czemu chcę się spotkać. Postanowiłam zachować tę rewelację na wieczór. Zdradziłam tylko, że przyprowadzę swojego ziemskiego chłopaka. Piotruś bardzo go zainteresował, więc nie musiałam zbyt długo namawiać zarzuconego robotą diabła.

Popijaliśmy kawę, podziwiając zachód słońca. Belfegor jeszcze się nie pojawił.

- On jest transwestytą - powiedziała Piotrkowi, chcąc przygotować go na to, co zobaczy.

Chłopak zakrztusił się.

- Diabeł? Transwestytą? - zaśmiał się. - Ale jak to?

- Piekło od dawna usiłowało wprowadzić do zawodu diabllice. Na to, by w ich roli występowały kobiety, wpadło dopiero niedawno - wyjaśniłam. - A Belfegorowi już tak zostało. Chociaż pasuje to do jego image'u sekretarki Szatana.

W tej chwili do naszego stolika zaczął się zbliżać młody blondwłosy chłopak. Tym razem nie miał na sobie sukni z falbanami. Włożył czarne proste spodnie i czerwony żakiet, rozchodzący się na bladej, wąskiej piersi. Zauważyłam, że miał na nogach śliczne czółenka.

Belfegor był bardzo ładny. Trzeba mu to było przyznać.

- Witaj - wstałam.

Diabeł wycalował mnie sześć razy w policzki, jak nakazywała piekielna etykieta.

- To Piotrek - przedstawiłam chłopaka. - A to Belfegor.

Piotruś podniósł się niepewny, czy diabeł nie zechce także przywitać go w ten entuzjastyczny i wylewny sposób.

- Spokojnie, ciebie nie będę całować - zaśmiał się Belfegor i uścisnął mu dłoń. - Miło mi cię poznać. Wiele o tobie słyszałem.

Usiedliśmy przy stoliku.

- Dokładnie tak sobie ciebie wyobrażałem - powiedział diabeł. - Z opowieści Wiki wywnioskowałem, że jesteś nieziemsko przystojny, jednak przeszedłeś moje oczekiwania. Mam nadzieję, że będziecie żyli razem długo i szczęśliwie.

Chłopak poczerwieniał, a ja odwróciłam wzrok po usłyszeniu tych życzeń.

- Masz genialne buty! - zapiałam z zachwytu nad czólenkami, żeby szybko zmienić temat.

- Och, dziękuję ci, kochanie - Belfegor bardzo się ucieszył. - Do Piekła właśnie trafił nowy projektant obuwia i już wypuścił na rynek swoje pierwsze produkty.

Chwilę poplotkowaliśmy o tym, co się ostatnio działo w Niższej Arkadii i jakie sławy do niej trafiły pod moją nieobecność. Piotruś po cichu pił kawę, starając się nie zwracać na siebie uwagi Belfegara.

- To teraz chciałabym porozmawiać o tym, dlaczego tak pilnie chciałam się z tobą spotkać - powiedziałam w końcu.

- Oczywiście, kochanie - odparł. - Tak sądziłem, że to będzie coś ważnego. Postaram się wam pomóc.

- Musimy z Piotrkim zdobyć jabłko z drzewka Lucyfera - walnęłam prosto z mostu. - Możesz nam powiedzieć, kiedy twojego pracodawcy nie będzie w gabinecie?

I Piotruś, i Belfegor w tym samym momencie się zakrztusili.

- Powiedziałaś mu? - jęknął chłopak.

- Zamierzacie się włamać? - jęknął diabeł.

- Wierzę, że Belfegor nas nie zdradzi - odpowiedziałam Piotrkowi, ale swoje słowa bardziej kierowałam do diabła. - Jest jedynym, komu bezgranicznie ufam w Niższej Arkadii.

Diabeł poprawił kołnierz czerwonego żakietu i wbił we mnie zrozpaczone spojrzenie.

- Wiktorio! Ale włamać się? - zniżył głos do szeptu. - I to do Lucyfera?

Jego imię wypowiedział wręcz z nabożną czcią.

- Nie mamy wyboru - mruknęłam. - Inaczej nasze życie przez pewnego osobnika nie będzie trwało długo i szczęśliwie.

Diabeł przygryzł wargę. Widać było, że bił się z myślami. Kompletnie go zaskoczyłam.

- Po co wam to jabłko? - zapytał zduszonym głosem. - Chyba nie chcecie dać go komuś do zjedzenia?

- Nie - pokręciłam głową.

Nawet gdyby Moroni je zjadł, to i tak by na niego nie podziałało.

- Nie rozumiem w takim razie, do czego wam jabłko...

- Nie możemy ci powiedzieć - westchnęłam.

Belfegor zmartwił się. Zmarszczył czoło i kurczowo objął filiżankę z kawą. Jego długie palce pianisty były zakończone krwistoczerwonymi paznokciami. Diabeł jak zwykle miał perfekcyjny manicure.

- Prosimy cię tylko o informację - odezwałam się. - Kiedy Lucyfera nie będzie w gabinecie? Weźmiemy jabłko i uciekniemy. Obiecujemy.

- On zauważy, że nie ma jabłka - powiedział diabeł. - Co wieczór je liczy.

- Coś wymyślę - zapewniłam go. - Powiedz tylko, kiedy będzie bezpiecznie pojawić się w gabinecie.

Belfegor pobladł. Spojrzał mi głęboko w oczy.

- Jutro. Jutro rano, około szóstej. O tej godzinie będzie przez sześć minut na obchodzie po Urzędzie.

Wtedy kontroluje wszystkich urzędników. Nie będzie go w gabinecie.

Sześć minut? Szybki jest. Przecież tam jest kilkadziesiąt biur.

- Dziękuję ci - ścisnęłam jego dłoń. - Bardzo nam pomogłeś. Obiecuję, że nie zniszczę tym razem świata.

Zaśmiał się.

- Szczerze mówiąc, nie podejrzewam, żebyśmy wyszli z tego cało - stwierdził. - Ale ufam Bogu i aniołom. Oni nas ocala.

Dopiliśmy kawę i zaczęliśmy się rozchodzić.

- A, jeszcze jedno pytanie - na odchodnym diabeł przyjrzał nam się uważnie. - Jak dostaniecie się do środka?

- Wolę ci tego nie mówić. Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejszy - wyznałam.

Belfegor uściskał mnie serdecznie.

- Masz dobre serce, Wiktorio. Bądź dzielna. Wróciliśmy do mojej rezydencji. Piotr stworzył nam szybko coś do jedzenia. Zaczynał poznawać zalety posiadania mocy diabelskich. To spora oszczędność czasu.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Przypomniało mi się, że jeszcze niespełna kilka tygodni temu byliśmy zwykłymi ludźmi. Wtedy też Piotrek zawsze robił mi coś dobrego na obiad. Bardzo lubił gotować.

Usiedliśmy w kuchni oświetlonej ostatnimi promieniami słońca i kilkoma świeczkami.

- To jak w zasadzie dostaniemy się do środka? - zapytał, gdy jedliśmy doskonale spaghetti carbonara.

- Śmierć nam w tym pomoże - odparłam, nawijając nitki na widelec. - To moja znajoma. A raczej znajome... nigdy nie wiem, jak się do niej zwracać.

- Już myślałam, że chcesz nas uśmiercić...

- Nie dałabym Luckowi takiej satysfakcji - skwitowałam. - Założę się, że już on by się postarał, żebyśmy trafili do Arkadii. Uwolniłby się od nas na wieczność.

- Ja tam nie mam nic przeciwko. Całkiem mi się podobało w Niebie.

- Piekło też jest piękne - uśmiechnęłam się, ale uśmiech powoli spęzł mi z twarzy. Przypomniałam sobie Phylis. - Tylko że tutaj nie wszyscy są tacy mili jak Belfegor...

- Za to w Niebie jest Moroni - przypomniał mi. - A jak to z nami będzie? Czy kiedy umrzemy, będziemy już zmuszeni zostać w jednym z zaświatów? Nie będziemy mogli poruszać się po nich za pomocą kluczy? To byłoby kapitalne wracać na Ziemię po swojej śmierci.

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Ale masz rację, nie będziemy zwykłymi obywatelami zaświatów, więc zasady w nich panujące nie powinny nas obowiązywać.

Dokończyłam makaron.

- A wracając do Śmierci, to potrafi się poruszać wykorzystując czarną dziurę. Nikt inny nie używa tego środka lokomocji. W gabinecie Lucyfera nie można stworzyć drzwi. Nie wiem, w jaki sposób chroni to pomieszczenie, ale zwyczajnie się nie da. Gdyby to było możliwe, włamanie, którego dokonałam z Belethem, może nie byłoby tak tragiczne w skutkach.

- A sądzisz, że Śmierć będzie chciała nam pomóc? - zapytał, także kończąc posiłek.

- Chyba tak - pstryknęłam palcami, a talerze zniknęły. - Ona jest ponad tym. Jej nie obejmują żadne prawa panujące w zaświatach. Sądzę, że nieźle się ubawi naszym pomysłem.

- Wesola Śmierć. To chyba dobrze.

Zerknęłam na zegarek. Niepostrzeżenie światło słońca zmieniło się w światło gwiazd. Świece dopalały się. Najwyższy czas pójść spać, jeżeli o szóstej rano mieliśmy być rześcy i gotowi na wtargnięcie do gabinetu Szatana.

- Idziemy spać? - zaproponowałam.

- Co rozkażesz - odparł. - Ja się ciebie słucham, od dzisiaj to ty jesteś szefową wszystkich operacji. Masz znajomości, których ja nie posiadam.

Szliśmy schodami na pierwsze piętro, na którym znajdowała się moja sypialnia. Zerknęłam na Piotra, na jego szerokie ramiona, rozwichrzone włosy. Chciałam zobaczyć, czy chemia jeszcze zadziała. Musiałam to sprawdzić.

Przed oczami stanęła mi twarz Beletha. Z nim chemia działała aż za bardzo.

- Oj, sądzę, że masz jedną znajomość - poprawił go. Dotknął moich pleców, przepuszczając mnie w drzwiach. - Tak? A jaką to?

- Bardzo wpływową. Zna wszystkie ważne osoby w Piekło i Niebie. - Zatrzymałam się, by musiał się do mnie zbliżyć, przechodząc obok.

- Naprawdę? A do tego jest pewnie piękna? - stanął naprzeciwko mnie.

Oparłam się plecami o framugę. On przysunął się jeszcze bliżej. Dotknęliśmy się nosami. Zamknęłam oczy.

- Tak - powiedziałam schrypniętym głosem. - Jest piękna, mądra, elokwentna...

- I jedyna w swoim rodzaju - dokończył, a nasze usta spotkały się w pocałunku.

Szarpiąc ubrania, ruszyliśmy w stronę łóżka. Zza wysokich okien migotały do nas gwiazdy. Usiadłam na pościeli. Piotrek ściągnął przez głowę podkoszulkę. W ciemności widziałam jego umięśnioną klatkę piersiową. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zaczął sporo ćwiczyć.

Przesunęłam dłonią po mięśniach brzucha. Moje palce zatrzymały się przy pasku jego spodni.

Odgarnął mi włosy na plecy i patrząc prosto w oczy, powiedział:

- Jesteś piękna, Wiki.

Położyliśmy się obok siebie. Nasze odbicia w lustrach zawieszonych na ścianach sypialni powtórzyły nasze gesty.

Moje włosy rozsypały się na poduszce. Nade mną pochylał się lekko uśmiechnięty Piotrek. Nie musiał nic mówić. Widziałam w jego oczach, że był szczęśliwy.

Widząc ruch, zerknął w jedno z luster. Dopiero teraz zauważył, że były wszędzie.

- Czemu tu jest tyle luster? - zapytał zbity z tropu. Wpatrywaliśmy się w swoje odbicia.

- Projektant wewnątrz uważał, że to intrygujący pomysł - powiedziałam zgodnie z prawdą.

Nie dodałam, że tym projektantem był Beleth. Piotrek stracił nimi zainteresowanie. Ponownie wpatrzył się w moją twarz i położył głowę na poduszce obok.

- Jest tak spokojnie. Mógłbym zostać tu z tobą na zawsze - wyznał.

Pogłaskałam go po policzku i przymknęłam ciężkie powieki.

- Mhm... - mówiąc to, usnęłam jak kamień.

Rozdział 29

Następnego dnia, tuż przed szóstą rano, w naszej kuchni, siedząc na wysokim barowym stołku, Śmierć popijała zieloną herbatę. Zamachała nieistniejącymi nogami pod habitem. Zdołałam połączyć się z nią za pomocą wolnego przekazu myślowego. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby mi się to nie udało.

Sami za nic w świecie nie dostalibyśmy się do gabinetu Szatana. Droga prowadząca przez Urząd była niedostępna z powodu krążącego tam Lucka. Z kolei w jego rezydencji roiło się od pełniących służbę demonów. Zresztą można było się tam bardzo łatwo zgubić. Labirynt tworzący Urząd to przy niej nie trudnego.

- Przyznam wam, że nie mogę się doczekać. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się znaleźć w gabinecie Szatana. Wiecie, tam raczej nikt nie umiera... - zaskrzeczała. - Wiktorio, naprawdę cię lubię. Wciąż dostarczasz mi nowych, ekscytujących rozrywek.

Piotrek zaparzył właśnie kawę. Miły aromat rozszedł się po całym pomieszczeniu.

- Chcesz może? - zapytał naszego gościa.

- Kawa jest niezdrowa - obruszyła się Śmierć, kręcąc zamasyżycie głową ukrytą pod kapturem. - Ja piję tylko zieloną herbatę.

- Przecież jesteś Śmiercią - zdziwił się. - Nie możesz umrzeć...

- Ale mam zasady - odparła z godnością. - Alkoholu też nie piję.

Piotrek zerknął na mnie, ale już nic nie powiedział. Nie chciał jej czymś podpaść. W końcu to od niej zależało, czy umrzemy w miarę szybko, czy w męczarniach. Widziałam jej zakrwawiony topór i nie miałam ochoty kiedyś z niego skorzystać.

- Jest szósta - spojrzałam na zegarek.

- To idziemy! - Chropowaty głos Śmierci zawsze przyprawiał mnie o nieміłe dreszcze.

Był niczym skrobanie widelcem po pustym talerzu.

Sięgnęła do kieszeni i rzuciła coś przed siebie. Czarny punkt zaczął się rozszerzać i wirować. Po chwili był na tyle duży, że Śmierć spokojnie zdołałaby przez niego przejść, a my musielibyśmy się nieźle pochylić. Przejście było dostosowane wielkością do właścicielki.

Czarna dziura wirowała. Widziałam po drugiej stronie maleńkie punkciki gwiazd.

- Teraz niech jedno weźmie mnie za rękę. Drugie niech się trzyma pierwszego - zakomenderowała, wyciągając rękę owiniętą habitem.

Piotrek nie miał ochoty jej dotykać, więc ja ją ścisnęłam. Pod drapiącym materiałem wyczułam drobną dłoń. Schwyciła mnie z zadziwiającą siłą. Drugą

ręką złapałam Piotrka. Poczułam się jak na wycieczce szkolnej, gdzie wszyscy musieli się trzymać razem.

- Nie wolno wam mnie puszczać, gdy przejdziemy na drugą stronę. Wiem, że tam jest bardzo ładnie, ale sami nie znajdziecie właściwego wyjścia i jeszcze utkniecie gdzieś w czasie i miejscu, z którego nie znajdziecie powrotu. A mnie nie będzie się chciało was szukać. Jasne?

Kiwnęliśmy głowami. Śmierć przemieściła się w stronę czarnej dziury. Podążyliśmy za nią. Gdy zbliżyłam się do przejścia, poczułam, jak coś mnie wciąga. Niczym niewidzialny morski prąd.

Chwilę później, machając nogami, zawisłam w przestrzeni kosmicznej. Szybko zamknęłam usta, pewna, że zaraz się uduszę. Przecież tu panowała próżnia!

- Możecie oddychać - odezwał się melodyjny głos. - To nie jest kosmos. To tylko inny wymiar.

Odwróciłam się, zaskoczona, do Śmierci. Habit falował na jej ciele, odsłaniając to, czego jeszcze nigdy wcześniej nie widziałam.

Ona jednak miała ciało!

Kaptur zsunął się. Śmierć spojrzała na nas przeraźliwie błękitnymi oczami bez źrenic. Miała trójkątną twarz o delikatnych kobiecych rysach.

Zerknęłam na rękę, za którą mnie trzymała. Mój nadgarstek oplatały szczupłe palce o owalnych, idealnie przyciętych paznokciach.

- Śmierć! - zawołałam. - Jesteś śliczna!

- Śliczne jeśli już - sprostowała.

Pociągnęła nas przed siebie. Wydawało się, że lecimy. Włosy falowały mi dookoła twarzy, zupełnie jakbym znajdowała się pod wodą.

Piotrek śmiał się jak dziecko. Wolną ręką odpychał się, udając, że płynie żabką. Szybko mnie wyprzedził i zrównał się ze Śmiercią.

Cały czas kurczowo się ich trzymałam.

Dopiero teraz zaczęłam rozglądać się na boki. Początkowo sądziłam, że otaczała nas pustka, jednak tak nie było. Wszędzie między gwiazdami były czarne dziury wirujące bezgłośnie. Portale prowadzące w najróżniejsze miejsca i czasy.

- Tu jest strasznie dużo przejść - powiedziałam. - Miliardy!

- Dlatego musicie się mnie pilnować - głos Śmierci był delikatny niczym śpiew słowika. - I nie miliardy, ale zyliony. O ile istnieje taka liczba.

Wokół nas fruwały przedmioty codziennego użytku. Wyglądało na to, że trafiliśmy do prywatnych apartamentów Śmierci. Obok mnie przefrunęło duże lustro i szczotka do włosów. Gdzieś w oddali dryfowało łóżko. Piotruś ledwo co wyminał olbrzymią, kilkumetrową grecką rzeźbę nagiego wojownika.

Śmierć, jak każdy, lubiła kolekcjonować bibeloty.

Kierowaliśmy się do jednej z czarnych dziur wirujących w ciszy. Po drugiej stronie widać było zarysy pokoju obitego ciemną drewnianą boazerią.

- I skaczemy! - jej piękny głos przeszedł w skrzek, gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Przejście znajdowało się na wysokości sufitu gabinetu Szatana. Zaskoczona uderzyłam ciężko o ziemię, obok mnie wylądował Piotrek. Nie wiem, czemu to przejście było w takim dziwnym miejscu.

Chyba tylko dla większego dramatyizmu.

Śmierć zręcznie stanęła na ziemi. Nawet habit jej nie drgnął. Zauważyłam, że znowu zniknęła. Nie było widać jej twarzy ani dłoni. Szybko opuściła rękawy.

- Ty jesteś kobietą! - zawołałam. - Czemu udajesz, że nie masz płci? Przecież jesteś dziewczyną.

Kompletnie mnie ignorując, Śmierć podeszła do wielkiego, okrwawionego krzyża, jednej z wielu pamiątek Lucyfera.

- Nie zajmuje się nim - mruknęła z dezaprobatą. - Dwa tysiące lat temu wyglądał znacznie lepiej.

Piotrek ciekawie rozglądał się dookoła.

- To muzeum!

- Śmierć! Ty jesteś kobietą - naciskałam.

- Nie powinnaś przypadkiem kraść jabłka? - zapytała niewinnie, podchodząc do jednej z wielu gablot Lucyfera. - Tylko patrzeć, aż właściciel wróci.

- Najpierw powiedz mi, czemu udajesz, że nie masz płci - upierałam się.

Nie mieściło mi się to w głowie. Przecież była bardzo ładna!

- Oślica - skwitowała. - Bo tak mi wygodniej. Zresztą ciało mam tylko w innym wymiarze. Tu jestem niewidzialne. Poza tym budzę w ten sposób respekt. Widziałaś moje ręce? Kto by się ich przestraszył? A jak widzą rękawy habitu obejmujące topór, to od razu sikają w majtki.

- I tylko dlatego udajesz? - nie mogłam tego pojąć. Śmierć zatrzymała się przy procy Dawida.

- Hm, jak sądzisz, Lucek zauważy, jak sobie ją wezmę? - zapytała.

- Raczej tak - odpowiedział za mnie Piotrek.

Był tak samo jak ona zafascynowany wystrojem wnętrza. Podziwiał właśnie łapę zakończoną pazurami. Wyglądała jak smocza nóżka. Zapewne pochodziła od jakiegoś dinozaura. Szatan zakonserwował ją swoimi mocami, by wyglądała wciąż... świeżo.

- Czemu udajesz? Przecież gdybyś wyznała, że jesteś kobietą, to na pewno znalazłby się jakiś facet, którym mogłabyś się zainteresować - ukucnęłam przy doniczce z jabłonką.

Aż się wzdrygnęła.

- A po co mi facet? Jestem jedyne w swoim rodzaju. Nie ma więcej takich jak ja.

Postanowiłam poznać ją z Borysem. Na początku oboje będą mieli obawy - byłam o tym przekonana. Jednak kto wie, co z tego wyniknie?

Może nawet Śmierć zrobi sobie wakacje?

Zerwałam zielone jabłko. Dla pewności największe. Następnie przyłożyłam palec do gałązki. Pojawił się na niej mały biały kwiat. Jak na przyspieszonym filmie opadły mu płatki. Zaczął formować się owoc. Po chwili gałązka uginała się pod ciężarem podobnego jabłuszka.

Szybko pozbierałam płatki. Nie mogliśmy zostawić żadnych śladów.

Klasnęłam w dłonie. Czas niepostrzeżenie się kończył. Nie mogliśmy zostać złapani.

- Hej, koniec tego dobrego - powiedziałam. - Uciekamy.

- Już? - zapytali razem Piotrek i Śmierć.

- Tyle tu jeszcze do obejrzenia - zaskrzeczała niechętnie Ona.

- Może po prostu pewnego dnia odwiedź Lucka? - zaproponowałam. - Ucieszy się z wizyty.

- Ja też bym sobie pooglądał - zaprotestował Piotrek.

- Poczytaj Biblię. Zapewniam cię, że wszystkie gadzety, które w niej występują, Szatan zdołał zdobyć - złapałam go za rękę.

Ciężko wzdychając, Śmierć podeszła do ściany i sięgnęła do kieszeni po miniaturową przenośną czarną dziurę, która służyła jej do otwierania przejścia.

Za ciężkimi dębowymi drzwiami usłyszeliśmy kroki i gniewny głos Lucyfera. Dyktował coś cicho drepczącemu za nim demonowi.

Czarna dziura powoli tworzyła się nad naszymi głowami, tam gdzie poprzednio zniknęła. Najwyraźniej mogła powstać tylko w takim miejscu.

Klamka do gabinetu opuściła się, naciśnięta dłonią Szatana.

O nie!

- Masz zapisać to inaczej, słyszysz? Nie rozumiem, jak wszyscy możecie być tacy tępi. Przecież to nie jest nic trudnego! - gniewny głos Lucyfera przedostał się przez drzwi. Przystanął na chwilę, zawzięcie strofując podwładnego.

Czarna dziura powiększyła się dostatecznie, byśmy zdołali przez nią przejść. Piotrek schwycił Śmierć, a drugą ręką ścisnął moją dłoń.

Drzwi do gabinetu zaczęły się uchylać. Promień światła z korytarza pojawił się na grubym perskim dywanie tuż przy moich stopach.

Śmierć uniosła się w powietrze, wciągana przez przejście. Pociągnęła za sobą Piotrusia, a on mnie. Ruch był tak gwałtowny, że o mało nie upuściłam jabłka.

Drzwi otwierały się coraz szerzej.

Odwrócony do nas Lucyfer kończył dyktować polecenia demonowi. Pokraczny stworek wychylił się, zerkając na mnie wciągana właśnie przez sufit. Otworzył szeroko czerwone ślepka, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie widzi. Ze zdziwienia rozdziawił usta.

Olbrzymia kropla śliny pacnęła z jego zagiętego kła na drewnianą podłogę.

- I przestań się ślinić! - warknął rozwścieczony Lucyfer. - Natychmiast to posprzątaj, jełopie! Jak ja nie cierpię demonów!

Szatan odwrócił się do niego plecami i wszedł do gabinetu. Mały stworek uniósł dłoń, jakby chciał mu powiedzieć, co właśnie zobaczył, ale władca Piekieł huknął mu drzwiami przed nosem.

Demon karnie wyjął chusteczkę z kieszeni i szybko starł kroplę śliny, rozsiewając przy okazji dziesiątki kolejnych. Z zaaferowania aż się spocił. Władca Piekieł był dzisiaj w bardzo złym nastroju.

Lucyfer w tym czasie ruszył w stronę biurka.

Moja stopa machnęła tuż nad jego głową, gdy znikąłem powoli, wciągana przez czarną dziurę.

Szatan zatrzymał się, wiedziony swoim oczywiście niezawodnym instynktem. Rozejrzał się czujnie na boki, ale niczego nie zauważył.

Ledwo dostrzegalny powiew powietrza poruszył blond lokami diabła. Ten szybko spojrzął do góry, jednak nad nim był po prostu kremowy sufit.

- Dziwne - mruknął sam do siebie.

Następnie podszedł do Drzewa Poznania Dobra i Zła i na wszelki wypadek przeliczył rosnące na nim jabłka.

Zadowolony rozsiadł się na krześle przy biurku. Miał dzisiaj wiele pracy. Demon z pokoju 666666666666 nie spisywał się tak jak należy.

Poza tym diabeł musiał się zastanowić, co zrobić z wszechobecną śliną wydzielaną przez pracowników.

Może zakáže im się ślinić?

Jaka to szkoda, że nie miał więcej podwładnych takich jak Belfegor. Uczciwych, lojalnych, wiernych, a co najważniejsze - estetycznych.

Rozdział 30

W trójkę przyglądaliśmy się zielonemu jabłku leżącemu na kuchennym blacie. Nie mogłam uwierzyć, że nam się udało. Było naprawdę blisko. Gdyby Szatan tylko się odwrócił, zobaczyłby moją nogę.

Już za mną nie przepadał, ale po czymś takim chyba by mnie znienawidził.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - zapytała Śmierć, wskazując rąbkiem habitu na jabłuszko. - Bo pewnie wiecie, że jak zjecie je, to wasze moce nie wzrosną, co?

- Nie zamierzamy go jeść - odparł Piotrek wymijająco.

Ja postanowiłam powiedzieć naszej towarzyszce prawdę. Komu jak komu, ale jej można było zaufać.

- Anioł Moroni chce od nas tego jabłka - wyznałam. - Zamierza za jego pomocą i za pomocą kilkunastu innych przedmiotów otworzyć wrota Piekieł.

Zapadła cisza. Piotrek wpatrywał się we mnie ze zdumieniem, nie mogąc pojąć, czemu powiedziałam o tym Śmierci. Za to ona? Ona zaczęła się śmiać.

- Wiedziałam, że dostarczysz mi rozrywki - skwitowała. - Wrota do Piekieł, powiadasz? No to będzie ciekawie.

Zatarła ręce. Już wiedziałam, co sobie kalkulowała po cichu.

- Będzie dużo zmarłych za jednym zamachem. To mi się podoba! - była autentycznie zadowolona. - Tylko mi tego nie popsuj, tak jak ostatnim razem...

No cóż... ona lubiła wszelkiego rodzaju kłęski żywiołowe i wojny. Mogła rzucić się wtedy w wir pracy, którą uwielbiała. Miała do mnie pretensje za to, że nie dopuściłam kiedyś do wybuchu bomby atomowej w Moskwie. Nie mogła się tego doczekać, a ja jej beczelnie popsułam całą zabawę.

- To zostawiam was - rzuciła na ścianę przenośną czarną dziurę. - Mam dużo roboty! Dzisiaj huragan Wespa uderzy w Nowy Orlean. Lubię to miasto. Przyciąga wszystkie możliwe zawirowania pogody. Nie mogę się spóźnić! Wskazówka zegara już wiruje.

Jej skrzekliwy, obłąkańczy śmiech zniknął razem z nią w przejściu. Wpatrywaliśmy się w białą ścianę i srebrne szafki kuchenne.

- Ona jest dziwna - skwitował Piotruś.

We mnie też wzbudzała sprzeczne emocje. Jednak jej ufałam.

- Gdzie teraz? - zapytał.

- Może Niebo? - zaproponowałam. - Zaniesiemy Moroniemu jabłko, a przy okazji włamiemy się po lampę do Gabriela. Bądź w odwrotnej kolejności.

Właśnie osiągnięty sukces motywował nas do dalszego działania. Spojrzałam krytycznie na nasze ubrania. Spodnie i koszulki były kruczoczarne. Zbyt różniłybyśmy się w Arkadii. Pstryknęłam palcami. Czerń zamieniła się w delikatny błękit, który szybko przesunął się w dół mojego ciała,

zakrywając kolana. Stworzyłam sobie niepozorną letnią sukienkę. Teraz nie powinnam wyróżniać się z tłumu.

- Też powinieneś coś zrobić - doradziłam Piotrusiowi. Niechętnie zamienił czarne bojówki na lniane białe spodnie, a czarną podkoszulkę na również lnianą białą koszulę.

Wsunął klucz w ścianę, ale go nie przekręcił.

- Gdzie dokładnie się przenosimy? - zapytał. - Do domu twoich rodziców?

- Nie - odparłam z uśmiechem. - Zobaczymy, czy w Niebie też mam przyjaciół. Do Administracji.

Przekręcił klucz. Przed nami pojawiły się proste drzwi z wiśniowego drewna. Otworzył je i przepuścił mnie. Oślepiło nas światło pastelowej Arkadii.

Szybko wbiegliśmy po kilku marmurowych schodkach do budynku. Szarpnęłam olbrzymie drzwi za złożoną klamkę. W środku wszystko wyglądało tak jak poprzednio. Te same dywany, żyrandole, kanapy.

Teraz tylko musiałam znaleźć mojego przyjaciela.

- Dzień dobry państwu, w czym mogę pomóc? - usłużny, podekscytowany głos skierował nasze spojrzenia w dół. - A może przed załatwieniem formalności chcecie państwo napić się herbaty lub kawy?

Niestety do naszych usług stały się dwa inne putta. Żaden z nich nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał Borysa. Zwłaszcza ten, który się ślinił...

- Szukam Borysa - powiedziałam.

Piotruś posłał mi krzywe spojrzenie.

- Jakiego Borysa? - zapytał.

- Wygląda jak oni - wskazałam palcem na tego, który się ślinił.

- Aha - chłopak od razu się rozchmurzył.

- Bardzo mi przykro - odparł putto wyglądający na bardziej rozgarniętego.

- Niestety Borys właśnie obsługuje innego klienta. Może mogę zaproponować państwu usługi Stefana?

Wskazał na swojego towarzysza. Olbrzymi gil właśnie zwieszał mu się z nosa. Z niebywałą wprawą putto wciągnął powietrze, a razem z nim wydzielinę.

- Dzień dobry - wymamrotał przez zapchany nos.

- Jest tylko odrobinę przeziębiony. Zapewniam, że to nic zaraźliwego - szybko powiedział pierwszy putto.

Usiłując powstrzymać grymas obrzydzenia, odpowiedziałam:

- Wolałabym jednak poczekać na Borysa. Jest bardzo kompetentnym pracownikiem. To znaczy Stefano na pewno też! Ale wolę Borysa...

Wygadany putto posłał nam firmowy uśmiech.

- Doskonale państwa rozumiem. Zapraszam w takim razie na jedną z wielu kanap, które znajdują się w holu. Może podczas oczekiwania napiją się państwo kawy lub herbaty w naszej doskonałej kawiarni? Mogą państwo także tam coś zjeść. Naszymi pracownikami są najlepsi ziemscy kucharze i barmani wszystkich epok - zaproponował nam usłużnie.

- Nie, dziękujemy - powiedział Piotruś.

- Jestem pewien, że Borys niedługo skończy - zapewniał gorąco putto, odprowadzając nas do kanapy.

Usiedliśmy na największej sofie. Jej czerwone poduchy wręcz zapraszały, żeby spocząć w ich objęciach. Niespodziewanie mebel okazał się bardzo miękki. Spłoszeni spojrzeliśmy sobie w oczy z Piotrkim, kiedy coraz bardziej zapadaliśmy się w poduszki.

Coraz głębiej.

I głębiej.

Kiedy już nie mogliśmy się ruszać, osaczeni przez miękkie poduszki, proces zapadania zatrzymał się. Przyznam, że mimo wszystko było mi całkiem wygodnie. Mały putto pochylił się w naszą stronę.

- Wygodnie państwu? Może coś do czytania?

- Nie, dzięki - mruknął Piotrek.

Szarpnął całym swoim ciałem, ale nie zdołał nawet odrobinę się uwolnić.

- Może herbaty?

- Nie, dziękujemy - odparłam powoli, bo najwyraźniej jak odpowiadaliśmy szybciej, to nie rozumiał odmowy.

Putto pokiwał głową i pociągnął za sobą Smarka, to znaczy Stefana.

Spojrzeliśmy po sobie z Piotrusiem zza wielkich poduch, które otaczały także nasze głowy.

- Trochę przerażające, nie? - zapytałam. - Czuję się, jakby ta kanapa zjadała mnie żywcem.

Piotrek zmarszczył brwi.

- Czy ja wiem? Całkiem wygodna. Oby tylko nie proponowali nam więcej herbaty... Sądzę, że w tym stanie nie zdołamy im się przeciwstawić...

Szerokim holem spacerowali pracownicy w swoich majteczkach i nieliczni klienci. Administracja nie była zawałona robotą.

W tej chwili podszedł do nas kolejny putto. Był wyjątkowo niski. Na jego trójkątnej twarzy malował się szeroki uśmiech. Oczu w ogóle nie było widać zza blond grzywki.

- Przepraszam, na kogo państwo czekają? - zapytał. - Może ja mogę państwu w czymś pomóc?

- Czekamy na Borysa - wyjaśniłam.

- Ach, rozumiem! To może chcą państwo napić się herbaty dla umilenia oczekiwania?

Kątem oka zauważyłam, że Piotrek czerwienieje na twarzy ze złości. Jeszcze chwila, a zleje się z kanapą...

- To ja poproszę! - zawołałam.

Może kiedy będę trzymała filiżankę w dłoni, to wreszcie wszyscy dadzą nam spokój?

- Z przyjemnością! - jego ekscytacja z powodu bycia przydatnym nie miała granic.

Piotrek odetchnął głośno.

- A jaką pani sobie życzy? Czarną, zieloną, białą, puerh, oolong?

- Eee... czarną...

- Życzy sobie pani z cukrem? - uśmiech nie schodził z twarzy putta.

- Hm, tak - odparłam, nie wiedząc, w co się pakuję.

- A z jakim cukrem? Trzcinowym, buraczanym, palonym, gronowym, skrobiowym czy owocowym?

Piotrek posłał mi spojrzenie: „A nie mówiłem?”.

- Trzcinowym? - strzeliłam.

- W kostce czy kryształkach?

- W kostce - powtarzałam za nim bezmyślnie.

- Doskonale! W takim razie już idę ją przygotować. Odetchnęłam z ulgą. Wreszcie sobie pójdzie. Niestety putto po zrobieniu kilku kroków zawrócił wyraźnie zafrapowany.

- Przepraszam bardzo! Zupełnie nie wiem, gdzie ja dzisiaj mam głowę. A jaką czarną? Assam, yunnan, darjeeling, ceylon?

Miałam wrażenie, że się zaraz popłaczę.

- Ceylon? - jęknęłam.

- A czy życzy sobie pani smakową? Mamy malinową, truskawkową, poziomkową, waniliową, karmelową, whisky, aroniową, czekoladową, brzoskwiniową, cytrynową, mandarynkową...

- Gorzką... - przerwałam mu wyliczankę.

Putto zaśmiał się ubawiony.

- No tak, tylko nie będzie to całkiem gorzka, bo chciała pani do niej cukier! A przepraszam bardzo, jaki to miał być cukier? Z tego całego zamieszania wypadło mi z głowy!

Szybko odwróciłam się w stronę Piotrusia. Ratunku!!! Ten putto jest tak przesłodzony, że zaraz umrę na cukrzycę!

Jednak mój przystojny wybawca, mój brązowooki rycerz w lśniącej zbroi, bohater, o którym marzę nocami wpatrzona w rozgwieżdżone niebo... spał.

Znikąd pomocy! Umrę z pragnienia, zanim dostanę herbatę.

NIEEEEEEE!!!!!!!!!!

- Zmieniam zamówienie! - ryknęłam na putta. - Gorzka, ceylon, bez cukru, natychmiast!!!

Mały człowieczek podskoczył przerażony. Posłał mi spłoszone spojrzenie.

- Czyżby nie była pani zadowolona z moich usług? - pociągnął nosem, jakby właśnie miał mi się tu zamiar rozplakać.

Borys! Gdzie jesteś?!

- Po prostu przynieś herbatę! - warknęłam, a putto z miną skazańca w końcu się oddalił.

Przebudzony moim głosem Piotruś uniósł głowę.

- Co? Co? Co się stało? - zapytał nieprzytomnie.

- Usnąłeś - wytknęłam mu.

- Ja? Wcale nie - obruszył się. - Na chwilę tylko przymknąłem oczy.

Westchnęłam ciężko. Miałam już tego wszystkiego dość. Niespodziewanie tu przede mną pojawił się człowieczek, którego właśnie odprawiłam. Trzymał w dłoni małą filiżankę.

- Już? - zdziwiłam się.

- Mamy doskonałą kawiarnię - zachwalał, podając mi naczynko z bardzo cienkiej porcelany.

Bałam się je mocniej ścisnąć w obawie, że zgniotę porcelanę, polewając się wrzątkiem. Że już nie wspomnę o ranach klutych zadanych przez mikrocienkie kawałki filiżanki.

- A może życzy pani sobie do napoju jakieś ciastko? - zapytał putto.

Szybko odmówiłam. Na szczęście przyjął odmowę i życząc smacznego, oddalił się na swoich krótkich nóżkach. Moja radość trwała jednak krótko. Zawrócił tknięty najwyraźniej jakąś światłą myślą.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - A może życzą sobie państwo, bym zabawił ich rozmową?

- Nie... - wycedził Piotrek.

- Mogę przedstawić państwu wiele faktów z historii Arkadii i jej światłych mieszkańców.

- Czy ty zawsze tyle mówisz? - zapytałam z irytacją, mieszając bezymyślnie herbatę.

- Najlepsza będzie zamieszana siedem razy - doradził mi usłużnie putto. - Tak, chyba zawsze tyle mówiłem. A w każdym razie tak twierdził mój znamienity przyjaciel Vincent van Gogh.

W Niebie także mieszkały same sławy. W wolnym czasie muszę się dowiedzieć, kogo mogę tutaj spotkać.

- Hej, a van Gogh obciął sobie ucho, prawda? - chciał wiedzieć Piotrek. - Dlaczego to zrobił?

- Och, to długa historia - westchnął putto. - Ale mogę wam ją opowiedzieć. Zacznę może od krótkiego wyjaśnienia, kim byłem dla Vincenta. Otóż byłem jego muzą i natchnieniem - oświadczył dumny karzełek.

Zachłysnęłam się herbatą. Piotrek chciał mnie poklepać po plecach, ale nie zdołał uwolnić ręki.

- Że co? - wydusiłam.

- Och, to państwo nie wiedzą? - putto nabrał powietrza, szykując się do kolejnego słowotoku. - My, putta, jesteśmy nie tylko pracownikami niebiańskiej Administracji. Stanowimy także natchnienie i pomoc dla artystów na Ziemi. Jesteśmy im losowo przydzielani. Często, ale nie zawsze, ukazujemy się im. Pomagamy mieszać farby i takie tam inne. Pilnujemy, żeby nic się nie stało obrazom. Dodatkowo konserwujemy je drobnymi zaklęciami. Gdyby nie my, Kaplica Sykstyńska już dawno by się zawałiła. Michał Anioł odwalił tam niezłą fuszerkę...

Wydawało się, że może mówić bez końca, płynnie przeskakując z jednego tematu na drugi.

- Van Gogh chyba nie miał z tobą lekkiego życia, skoro tyle mówisz - skomentował Piotrek.

- Lubił pracować w ciszy. Wszelki hałas bardzo go irytował i doprowadzał do białej gorączki. Miewał wtedy ataki szału i niszczył swoje obrazy - przyznał putto. - Ale ja tak lubiłem z nim rozmawiać i mu doradzać. Nigdy nie potrafiłem się powstrzymać. Zwłaszcza jeśli chodziło o wybór kolorów. Wydaje mi się, że nie miał do tego ręki. Gdyby nie ja, jego obrazy byłyby znacznie gorsze.

- Podpowiadałeś mu, jak ma malować? - nie mogłam w to uwierzyć. Na miejscu malarza splawiłabym knypa i kazała mu wracać, skąd przyszedł.

- Trochę tak - przyznał ze skrucą nasz mały rozmówca. - Nie lubił tego. Często mówił, że chętnie by ogłuchł.

Układanka złożyła się w całość.

- Pewnego dnia odciął sobie ucho. Myślał, że to mu pomoże - zachichotał putto, a potem posłał nam spłoszone spojrzenie i szybko zaczął się tłumaczyć: - Ale to nie była moja wina. To całkowicie nie była moja wina! Nie wiedziałem, że mówi prawdę, kiedy wspominał, że wolałby ogłuchnąć niż mnie słuchać. Sądziłem, że blefuje. Kto mógł podejrzewać, że spełni groźbę? Myślałem, że wspominał o tym od kilkunastu lat z wrodzonej przekory.

Putto najwyraźniej doszedł do wniosku, że podzielenie się z nami informacją, o tym, że doprowadził jednego z najslynniejszych malarzy do szaleństwa, nie była jednak dobrym pomysłem.

- To ja już chyba pójdę - mówiąc to, odwrócił się na pięcie i pognął holem, żwawo przebijając krótkimi nóżkami.

Wreszcie sobie poszedł! Ulga była nie do opisania. Przez chwilę siedzieliśmy w upojnej ciszy.

Nagle Piotrek spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Coś mi się przypomniało - powiedział. - A gdzie jest jabłko?

Upiłam łyk herbaty, która - jak muszę przyznać - była przepyszna. W jednej chwili pojaśniało mi w głowie. Nie wiem, czy od napoju, czy od pytania Piotra.

Zapomniałam o jabłku!

- Zostało w kuchni - jęknęłam zrezygnowana. - Wszystko jest nie tak!

- Nie przejmuj się, kochanie - pocieszył mnie Piotrek. Usiłował dotknąć mojego ramienia, ale nie dosięgnął przez rozdzielające nas poduszki.

- Zdobędziemy lampę, a potem pójdziemy po jabłko. Nic się nie stało. Moroni trochę sobie poczeka.

Przed nami znowu było słychać tupot pięt o posadzkę, szybko się odwróciłam, pewna, że to znowu ten namolny putto. Jednak to był...

- Borys! - krzyknęłam z ulgą.

Podciągnął majteczki, żeby nie widać było zza nich pudełka papierosów. Zerknął na nas z rozbawieniem.

- Nieźle się wpakowaliście - stwierdził. - O, i widzę, że zdołałaś zamówić herbatę. Jestem pełen podziwu. Jaki smak?

- Bez smaku - mruknęłam. - Borys, wyciągnij nas stąd!

Śmiejąc się z nas złośliwie, zaklaskał siedem razy. Kanapa zaczęła się wybrzuszać tak samo, jak poprzednio się zapadała. Powoli wypychała nas na zewnątrz. Gdy moje stopy dotknęły podłogi, szybko zerwałam się z podstępnego mebla.

- Myślałem, że się od niej nie uwolnimy - powiedział Piotruś, spoglądając na normalnie wyglądającą kanapę.

Putto zerkał na niego ciekawie. Gdzie moje maniery?

- Poznajcie się - machnęłam w powietrzu pustą filiżanką. - To jest Borys, mój dobry znajomy z Nieba, a to Piotrek, mój chłopak z Ziemi.

Uścisnęli sobie ręce. Putto, żeby zrobić dobre wrażenie, z prawdziwą werwą złapał dłoń chłopaka. Wyprostował się także jak mógł, żeby dodać sobie jak najwięcej centymetrów. Mimo to Piotrek i tak musiał się nieźle pochylić, żeby go dosięgnąć.

- A więc moi drodzy. Czemu mnie wezwaliście? - zapytał Borys. - Potrzebne wam jakieś lewe papierki?

Rozejrzałam się dookoła.

- Może poszukamy jakiegoś odosobnionego miejsca? - zaproponowałam.

Putto wziął ode mnie filiżankę. W jednej chwili rozplynęła się w obłoku niebieskiej pary.

- To może wyskoczmy na papieroska? - zapytał konspiracyjnym szeptem.

Chwilę później przeczołgaliśmy się przez małe przejście tuż obok bramy do Nieba. Borys przycisnął drzwi kamieniem, żeby się nie zamknęły. Nie było od zewnątrz klamki. To uniemożliwiało powrót tą samą drogą.

Putto wyjął wymiętoloną paczkę papierosów i wyciągnął w naszą stronę. Pokiwaliśmy głowami, chociaż Piotrek przez chwilę się zawahał. Rzucił palenie dla mnie jakiś miesiąc temu i cały czas mocno go do papierosów ciągnęło. Zdołał jednak zachować silną wolę.

Usiedliśmy na schodach. Zerknęłam niespokojnie na złote golemi, te jednak ani drgnęły na nasz widok. Miałam nadzieję, że nie będą słyszały, o czym mówimy.

- To te potwory? - zapytał Piotrek. - Nie wyglądają tak strasznie.

- Po Niebie krąży pewna opowieść, która powoli zamienia się w legendę - odezwał się Borys. - Mówi o jednym mieszkańcu zaświatów, który uwiedziony urodą kamieni szlachetnych usiłował wydłubać golemowi jedno z rubinowych oczu. Podobno miał być to prezent dla ukochanej. Zginął na miejscu, nawet nie dotknąwszy błyskotki.

Borys, jak go znałam, mógł wymyślić tę historię ku przestrodze. Jednak brzmiała całkiem prawdopodobnie.

- To mówcie, gołąbki - zaciągnął się papierosem. Piotrek spojrzał na mnie, dając mi znak, żebym to ja mówiła.

- Borys... powiem ci tak - zaczęłam. - Z przyczyn całkowicie niezależnych od nas zostaliśmy niejako zmuszeni do działań mających na celu zagładę świata. Na razie musimy robić to, co każe nam pewna osoba. Jednak w odpowiednim momencie odwrócimy się od niej. A w każdym razie mam nadzieję, że nam się to uda.

Tylko raz rozmawiałam z Borysem. Nie wiedziałam, czy mogę mu ufać.

- No i? - zapytał.

Moje słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- Musimy zdobyć pewną lampę. Lampę, która znajduje się w gabinecie Gabriela.

Putto zachichotał.

- Toście se wybrali artefakt. Może od razu ukradniecie ulubione sandały Archanioła? Albo kije golfowe świętego Piotra?

- To nie jest śmieszne - mruknęłam. - Musimy ją zdobyć.

Putto po raz ostatni zaciągnął się końcówką papierosa i rzucił ją na marmur. Przydeptał niedopałek gołą piętą.

- Lalka - westchnął. - Ja wiem, że ty masz dobre serce i wszystko, co robisz, to tylko po to, żeby było dobrze. Ale powiedz mi, skarbie, w jaki sposób ja mam wam pomóc? Lubię swoją robotę. Nie chcę jej stracić przez udział w przestępstwie.

- Opowiedz nam tylko o rezydencji Gabriela. Gdzie to jest, jak się tam dostać, gdzie jest gabinet - wtrącił Piotrek. - Z resztą jakoś sobie poradzimy. A jeśli nie, to wyznamy prawdę archaniołowi. Zawsze zostaje nam taka możliwość.

Borys przez chwilę się zastanawiał. Uśmiechnął się do mnie.

- Dobra, tyle mogę wam chyba pomóc. W końcu moim powołaniem jest służyć informacją, czyż nie? - jego zapity śmiech poniósł się pod złotą bramą. - Rezydencja Gabriela stoi na szczycie góry Synaj.

- Synaj? Na Ziemi? - zdziwiłam się.

- Nie - machnął ręką. - Po prostu w Niebie ta górka tak samo się nazywa. Znajduje się pod Edenią. Jest tylko znacznie niższa i płaska na czubku. To w zasadzie płaskowyż. Bardzo łatwo tam trafić, zresztą każdy przechodzień was tam pokieruje. To najważniejszy punkt zwiedzania wycieczek po tym rejonie Arkadii. Nikt się nie zdziwi, że tam idziecie.

Na razie brzmiało to zachęcająco.

- Gabriel udostępnia zwiedzającym swoje ogrody. Słyną z niebywałego piękna. Osobiście wolę wiszące ogrody Semiramidy, ale są gusta i guściki... Do rezydencji wejść nie można, ale jak sami wiecie, drzwi tutaj nikt nie zamyka.

Gabriela przeważnie nie ma w domu, bo ma na głowie całe Niebo. Służby też nie zatrudnia. Chyba jako jedyny z archaniołów nie ma żadnego putta.

Zamyślony podrapał się po brodzie, na której rysował się niechlujny, co najmniej tygodniowy, zarost z resztkami dzisiejszego śniadania.

- Chwali mu się to - stwierdził. - Miałem okazję służyć przez chwilę u Archanioła Michała. Nie wspominam tego za dobrze... szybko złożyłem wymówienie.

Czekaliśmy, aż Borys coś doda, ale milczał zagubiony wśród własnych myśli i wspomnień.

- Coś jeszcze? - zapytał Piotruś. - Gdzie dokładnie jest jego gabinet? Dasz nam jakieś wskazówki?

- Nie mam zielonego pojęcia - westchnął zrezygnowany. - Nigdy nie byłem w środku. Musicie się po prostu rozejrzeć. Na pociechę dodam, że macie duże szanse, że nie będzie go akurat w domu.

- Dzięki - uścisnęłam jego małą rączkę.

- Trzymam za was kciuki, dzieciaki - powiedział. - Wiem, że nie zniszczylibyście specjalnie świata. A więc do boju!

Mówiąc to, podskoczył do góry, wiwatując na naszą cześć. Przez chwilę unosił się, machając zawzięcie małutkimi skrzydełkami. Opadł na ziemię, dysząc ciężko.

Coś mi się przypomniało.

- Borys, znalazłeś już sobie dziewczynę? - zapytałam niewinnie.

Rozdział 31

Wolno przechadzaliśmy się po pięknych ogrodach Gabriela. Tuż obok mnie przeleciał mały czerwony koliber. Udawaliśmy, że z przejęciem podziwiamy piękno natury. Przyznaję, że było czym cieszyć oczy.

Nad naszymi głowami rozpościerał się dach z liści, utworzony przez wiekowe dęby. Zwieszał się z nich ciemnozielony mech, kładąc się pod nasze stopy. Zauważyłam, że na wielu drzewach rosły kępy dorodnej jemioli. Brakowało tylko druidów.

Ogrody Gabriela nie były typowe. Lepiej pasowało do nich określenie „las”. A już idealnie - „zaklęty las z bajki”.

Co jakiś czas mijały nas grupy entuzjastycznych mieszkańców Niebios. Pozdrawiali nas wesoło, a my ich.

- Czyli co zamierzasz? - zapytał mnie rozbawiony Piotruś. -Umówić ich na randkę?

- Poproszę Śmierć o małą przysługę - wyjaśniłam. - Powiem jej, że obiecałam, że pokażę Borysowi Piekło, ale że muszę zabrać go tam chyłkiem, dlatego nie mogę użyć drzwi.

- I wyobrażasz sobie, że kiedy będą przelatywać przez inny wymiar, to putto zapłonie do Śmierci gorącym uczuciem, gdy tylko zobaczy jej twarz?

- Tak - potwierdziłam. - Poza tym jedynie tam będzie mógł latać na tych swoich mikrych skrzydełkach. Nie ma tam grawitacji.

- W swoim iście szatańskim planie zapomniałaś o jednym. W którym momencie Śmierć się zakocha?

Zamyśliłam się. O tym rzeczywiście nie pomyślałam. Założyłam, że gdy zobaczy faceta swojego wzrostu, to po prostu straci dla niego głowę. Jednak nie musiało to być takie proste. Była dość wybredna. Najwyraźniej uważała też, że ma w sobie coś boskiego.

Ale Borysowi nie powinno to przeszkadzać. Już zdążył się przyzwyczaić, że ktoś wydaje mu rozkazy, prawda?

Naszym oczom ukazała się w końcu rezydencja Gabriela. Przypominała jeden z malowniczych, krytych rdzawą dachówką budynków w Toskanii. Brakowało tylko winnicy.

Rozejrzeliśmy się, czy nikt nas nie śledzi, i szybkim krokiem podeszliśmy do wejścia.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Piotrek kiwnął głową, a ja nacisnęłam klamkę.

Wskoczyliśmy do środka.

Znaleźliśmy się w rozległym salonie. Szybko przebiegliśmy krótkim korytarzem, który łączył się z podobnym pomieszczeniem. Gdzie był gabinet?

Pokoje Gabriela były umeblowane klasycznie, z lekkim przepychem. Nie było tu miejsca na sztukę nowoczesną Moroniego. Wszędzie wisiało mnóstwo

obrazów. Na jednej ze ścian zauważyłam *Madonnę wśród skał*, a na innej *Moneę Lisę* Leonarda da Vinci. Z tego, co wiedziałam, oryginały wisiały w paryskim Luwrze. Czyżby to były kopie? A może wspaniały malarz trafił do Nieba i narysował archaniołowi duplikaty?

Kolejną rzeczą, która zwróciła naszą uwagę, były liczne kryształy - wazony, naczynia bądź po prostu kawałki kamieni. Minęliśmy pięknie wyszlifowany kryształ górski mojej wysokości. Mógł ważyć nawet tonę.

Następny pokój okazał się kuchnią. Potknęłam się o różowy kryształ, który przewrócił się z głośnym brzękiem na ziemię. Na szczęście się nie stłukł. Gabriel miał ich tyle, że były wszędzie. Nawet na środku kuchni, na podłodze.

- Może na piętrze? - zapytał Piotrek.

Czas nieubłaganie płynął, a my nie mogliśmy znaleźć gabinetu. Wbiegliśmy po schodach. Nad nami wisiał kryształowy żyrandol iście królewskich rozmiarów.

Pierwszy pokój, do którego wpadliśmy, okazał się sypialnią. Szerokie, co najmniej dwuosobowe łóżko zapraszało do spoczynku. Tu na ścianach nie było obrazów, ale zdjęcia. Setki zdjęć z podróży Gabriela po całym świecie. Niektóre były czarno-białe, malutkie. Zupełnie jakby wykonano je, gdy aparaty fotograficzne dopiero pojawiły się na Ziemi.

Gabriel pod wieżą Eiffla. Gabriel uśmiechnięty w jakiejś kopalni ściska w dłoni malutki kryształ. Gabriel na tle piramid w Gizie.

- Chodź - Piotrek pociągnął mnie za rękę.

Nie chciałam odejść, chciałam zobaczyć, gdzie jeszcze był. No i może znajdę jakieś skandalizujące zdjęcia? Lucyfer miał obsesję na punkcie Angeliny Jolie. Może Gabriel też coś ukrywał?

Następny pokój okazał się wreszcie gabinetem. Stało w nim masywne drewniane biurko tuż przy oknie, z którego rozpościerał się widok na ogród, a dalej na całą Edenię. Mieszkanie na wzgórzu miało swoje zalety.

Szybko rozejrzeliśmy się po ścianach. Tutaj także otaczały nas dziesiątki kryształów.

- Nasz jest niebieski na złotej nóżce - przypomniał mi Piotrek, pomimo że doskonale to pamiętałam, i zaczął przechadzać się wzdłuż ścian, szukając właściwego bibelotu. Na półkach leżały ich setki, o ile nie tysiące. Piękne obrazy zwielokrotnione w kryształach otaczały nas ze wszystkich stron.

Nie, Gabriel na pewno nie postawiłby drogocennej lampy tak na widoku. Podeszłam do biurka i otworzyłam pierwszą z brzegu głęboką szufladę. *Voilà!* Stała w niej lampa. Niebieski kryształ na złotej nóżce, przypominający pochodnię. Co prawda, nie świeciła, ale to na pewno była ona.

- Mam - oświadczyłam triumfalnym głosem.

Piotrek podszedł do mnie szybko i wziął ją do ręki. Była dość ciężka.

Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo nam poszło. Wszystko układało się po naszej myśli!

Nagle na dole trzasnęły drzwi wejściowe. Mieliśmy ponoć duże szanse, że Gabriel nie przyjdzie do domu.

Ale przyszedł...

Posłaliśmy sobie spłoszone spojrzenia. Co teraz?! Zatrzasnęłam szufladę, a Piotrek ścisnął mocno lampę.

- Szybko, uciekamy z gabinetu. Na pewno tu przyjdzie - złapał mnie za rękę.

Wybiegliśmy z pokoju. Rezydencja Gabriela była bardzo mała. Nie było tu dziesiątek pokoi tak jak w domach należących do diabłów. Archanioł nie musiał uzewnętrzniać swoich seksualnych potrzeb przez budowę niezliczonej ilości sypialni. Na piętrze był tylko gabinet oraz jedna sypialnia należąca do właściciela.

Usłyszeliśmy miękkie kroki na schodach i wesołe pogwizdywanie. Wskoczyliśmy do sypialni.

Tutaj też nie mieliśmy się gdzie ukryć. Poza ogromnych rozmiarów łóżkiem nie było innych mebli.

- Za mną! - Piotrek doskoczył do łóżka, podwinął narzutę i wsunął się pod nie.

Zrobiłam to samo co on, ciągnąc za sobą narzutę, by opadła miękko na ziemię, całkowicie nas zasłaniając. Przeczółgałam się w stronę Piotrka. Przez chwilę nasłuchiwałam kroków Gabriela. Poszedł do swojego gabinetu. Nie wybiegł stamtąd z krzykiem, czyli nie zauważył od razu braku lampy.

Dopiero teraz zauważyłam małe kartonowe pudełko skrzętnie ukryte pod łóżkiem. Piotrek przysunął się do niego, chcąc zajrzeć do środka.

Co to było?

Otworzył pokrywkę. Otaczały nas ciemności. Skupiłam się na tym, żeby czubek mojego palca zapłonął delikatnym światłem niczym ołówkowa latarka.

Skierowałam światło do wnętrza pudła.

Były tam zdjęcia.

Jednak nie zdjęcia Gabriela na tle jakiegoś znanego ziemskiego obiektu turystycznego. W kartonowym pudełku leżały pozółkle zdjęcia młodej dziewczynki. Odwróciłam pierwszą fotografię. Widniał na niej schludny napis: Anabelle 1901, Genewa.

Kolejne zdjęcia ukazywały coraz starszą dziewczynę, a w końcu kobietę. Na kolejnych zdjęciach widzieliśmy, jak dorastała aż do momentu, gdy założyła na głowę czarny zakonny welon.

Zdjęcia były zniszczone, wielokrotnie dotykane.

Kim była Anabelle dla Gabriela? Data na pierwszych zdjęciach sugerowała, że już dawno umarła i trafiła do zaświatów.

Pod stertą zdjęć znaleźliśmy listy pisane drobnym kobiecym pismem. Wszystkie były zaadresowane: „Drogi Gabriel, mój Anioł Stróż”. Odłożyłam listy i położyłam na nich fotografie. Zerknęliśmy po sobie z Piotrusiem. Wzruszył ramionami, dając mi znak, że także nic z tego nie rozumie.

Nie istniała posada Anioła Stróża. Zawstydzeni własną ciekawością zamknęliśmy pokrywkę.

Archanioł miał jakieś tajemnice, którymi z nikim się nie dzielił, ale skrzętnie ukrywał je w tekturowym pudełku pod łóżkiem.

Kroki zadudniły w sypialni. Usłyszeliśmy szelest. Zesztywniałam pewna, że Gabriel zaraz nas nakryje i bardzo się zezłości, widząc, że grzebiemy w jego prywatnych rzeczach. Wtedy nie będzie pewnie chciał słuchać o niecnym planach Moroniego.

Archanioł rzucił coś na łóżko i wyszedł. Usłyszeliśmy, jak zbiega po schodach. Znowu pogwizdywał. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe.

Odczekaliśmy kilka minut i wyczołgaliśmy się spod łóżka. Na narzucie leżała nowa szata archanioła. Była tak biała, że aż się skrzyła. Nie ma to jak anielski proszek do prania. Oszalająca biel!

Piotrek cały czas ścisnął w dłoni lampę.

Zbiegliśmy cicho po schodach.

Piotruś uchylił drzwi wejściowe i wyjrzał przez szparę.

- Nie ma go - powiedział i szybko wyszedł. W ogrodzie Piotrek obejrzał lampę.

- Nie świeci - oświadczył. - Nigdzie żadnego przycisku - mamrotał do siebie, oglądając ją dokładnie.

Obawiałam się, że jak będzie ją tak dłużej podziwiał, to ktoś ją w końcu zauważy. Na szczęście ogród wraz z nadchodzącym zmierzchem opustoszał. Ludzie ruszyli do domów na kolację.

- No, działaj! Co za bubel! - mruknął ponuro i ze złością zamachał nią gwałtownie w powietrzu.

Nagle lampa rozbłysła porażającym błękitem, oślepiając nas na chwilę. Miałam wrażenie, że słup światła sięgnął nieba i chmur, doskonale widoczny z odległości kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu kilometrów.

- Zgaś ją! - pisnęłam przerażona.

Zaraz ktoś coś zauważy. Gabriel na pewno nie odszedł aż tak daleko.

- Jak?! - Piotrek też spanikował.

Machał szaleńczo lampą, ale ta ani myślała zgasnąć. Wydawało się, że płonie coraz mocniej.

- Nie poruszaj nią! - powiedziałam. - Może to pomoże.

Lampa jakby odrobinę przygasła. Poczułam przyptyw nadziei. Może jednak nikt nas nie złapie na gorącym uczynku.

Nagle na końcu alejki usłyszeliśmy kroki. Rozejrzałam się rozpaczliwie na boki. Lampa przygasła, ale nadal świeciła.

- Chowaj się! - pchnęłam Piotrką w kłęb bluszczu. Chłopak wsunął lampę pod koszulę i wskoczył w morze liści.

Okazało się znacznie głębsze, niż przypuszczał. Liście sięgały mu do połowy uda. Zanurkował pod spód, chowając się w ich gąszczu. Ja poczekałam,

aż się ukryje. Musiałam sprawdzić, czy błękitne światło nie wydobywa się spod bluszczu.

Na szczęście niczego nie zauważyłam.

Odwróciłam się w stronę dobiegających kroków. Były coraz szybsze i wydawało mi się, że zbliżają się do mnie. Nie mogłam zaryzykować ukrycia się w gęstwinie. Ruch liści zdradziłby moje położenie, a także kryjówkę Piotrusia.

Moim oczom ukazał się Archanioł Gabriel.

- Wiktorio! - zawołał, wyraźnie kierując się w moją stronę - Stój!

Rozdział 32

Ostatnią prostą pokonał biegiem, szybko się do mnie zbliżając. Gorączkowo zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Mam uciekać z krzykiem? Albo udawać głupią i zaprzeczać wszystkiemu?

Wiedziałam tylko, że nie mogę zdradzić położenia Piotrusia. Był cień szansy, że nie zauważył, jak się chował. Może chociaż jemu uda się uciec.

- Gabrielu! - posłałam mu szeroki firmowy uśmiech, którym zjednywałam sobie klientów Piekła. - To znaczy, Archaniele Gabrielu!

Zatrzymał się obok mnie.

- Och, po co tak oficjalnie! Wystarczy Gabrielu - uściśnął mnie serdecznie.

Zaraz... Co się dzieje? Nie krzyczy? Czyżby nie gonił mnie dlatego, że widział błękitne światło jego lampy? Ani nie widział, jak chyłkiem wymykamy się z jego rezydencji?

Byłam zdezorientowana.

- Jakie to szczęście, że cię spotkałem - powiedział. - Bardzo chciałem z tobą porozmawiać.

- Taaak? - zapytałam powoli.

Czyli nie wie? Nie mogłam uwierzyć, że nam się udało. Coś takiego! Czyżbym chociaż raz w życiu miała szczęście? Niewiarygodne.

Poczułam przypływ nadziei. Skoro teraz tak dobrze mi idzie, to może i z tym całym Moronim sprawnie sobie poradzę?

Archanioł wziął mnie pod rękę. Rozejrzał się po otaczającym nas bluszczu. Jednak po chwili wrócił do mnie spojrzeniem swoich przenikliwych orzechowych oczu.

- Wydawało mi się, że ktoś z tobą był - wytłumaczył swoje zachowanie.

- A tak, Piotrek - powiedziałam szybko. - Ale już poszedł. Dawno. Tak, już go tu nie ma. Zdecydowanie. Rozdzieliliśmy się. Mamy się potem spotkać. Wiesz, jak to jest...

Zaśmiałam się. Czułam, że coraz bardziej się pogrążam, ale byłam tak przerażona, że nie mogłam nic na to poradzić.

Gabriel nadawał się na namiestnika Arkadii. Całą swoją postawą i zachowaniem pokazywał, że jest osobą u władzy. Jego twarz o odrobinę ostrych rysach cechowały zaciśnięte usta i ostre spojrzenie oczu, które wydawały się wszechwiedzące. Całość odrobinę łagodziły brązowe loki okalające jego anielską twarz.

Był piękny, ale jednocześnie poważny. Wzbudzał respekt.

- Rozumiem - oznajmił. - Co powiesz na mały spacer? Chciałbym z tobą porozmawiać o sprawach anielskich, diabelskich i w ogóle o tobie. Jesteś bardzo ciekawą postacią, Wiktorio. Jeszcze nie mieliśmy sposobności, by pogawędzić.

- Nie ma sprawy - odparłam i dodałam głośniej, by Piotrek usłyszał: - Z moim chłopakiem mam spotkać się w parku niedaleko domu moich rodziców koło fontanny. To mogę chwilę pospacerować.

Powoli oddaliliśmy się aleją. Szybko odwróciłam głowę. Zdążyłam zauważyć, że liście bluszczu się poruszyły. Zupełnie jakby ktoś zza nich wyszedł.

- Droga Wiktorio, widzę, że znowu machlojki diabłów cię dosięgły - rzekł znużony archanioł. - Chcę, byś wiedziała, że bardzo ci współczuję. To, co zapomniałaś, miało być zapomniane. Bardzo mi przykro, że niemiłe wspomnienia powróciły.

- Nie ma sprawy - odparłam zakłopotana.

Zaśmiał się cicho. Szliśmy niespiesznie jedną z ocienionych alejek. Minęła nas jakaś para, oboje kiwnęli przyjaźnie głowami na powitanie.

- Jest sprawa - westchnął. - Mamy ciągle kłopoty z tymi diabłami. Słyszałaś może, co się wydarzyło nad Jeziorem Czasu?

Kiwnęłam głową.

- Całe szczęście, że cię w to nie wciągnęli. Czekają ich naprawdę poważne konsekwencje. W Niebie prawo jest święte. Nie można naginać go do swoich potrzeb. Sądzę też, że nie uda im się zdobyć teraz stałego pobytu w Niebie. Jednakże tak jak ty dostali pobyt czasowy na najbliższe siedemdziesiąt siedem lat. To za krótko na karę za włamanie na teren jeziora. Z kolei po ekstradycji do Piekła wyrok nie będzie ich już obowiązywał - ponownie westchnął ciężko. - Lucyfer najprawdopodobniej, chcąc zrobić mi na złość, oczyści swoich podwładnych z zarzutów. To skomplikowana sprawa...

Tak, Gabriel zdecydowanie nie powinien się dowiedzieć, że razem z Piotrusiem byliśmy nad Jeziorem Czasu i maczaliśmy w tym wszystkim palce. Teraz już byłam pewna tego, że przyznanie się byłoby złym posunięciem.

- Przepraszam, że cię tym zamęczam - uśmiechnął się do mnie ciepło. - Wyżalenie się nie było powodem, dla którego porwałem cię na spacer. Po pierwsze, chcę zapytać: jak podoba ci się Niebo?

Zbliżaliśmy się do niskiego murka oddzielającego tereny ogrodu od stromizny, którą kończył się płaskowyż. Archanioł puścił moje ramię i oparł się o niego, podziwiając widok. Przed sobą mieliśmy całą Edenię. Jej metalowe kopuły błyszczały w zachodzącym świetle. Wyglądała pięknie.

- Bardzo - odwzajemniłam uśmiech. - Nie spodziewałam się, że jest takie bajkowe. Myślałam, że raczej przypomina Piekło, że jest ziemskie. No i wszyscy są bardzo mili. Chociaż powiem ci, Gabrielu, że zamówienie herbaty w Administracji grozi utratą zmysłów.

Zachichotał. Tak! Wielki władca Nieba zachichotał przy mnie niczym mały chłopiec.

- Tak - powiedział. - Nasi pracownicy są momentami zbyt gorliwi. Mam jednak nadzieję, że napar ci smakował?

- Był wyśmienity - przyznałam. - Nigdy nie piłam takiej herbaty.

Anioł wyglądał, jakby urósł w sobie.

- To ja wpadłem na pomysł, żeby serwować klientom Administracji drobny poczęstunek i napoje - oznajmił.

- Świetny pomysł - mruknęłam i wróciłam do opowieści. - Poza tym zobaczyłam moich rodziców. Nie widziałam ich odkąd, no cóż, umarli.

- Cieszę się. Więzy rodzinne są bardzo ważne. Trzeba mieć dom, ludzi, których się kocha, wobec których jest się lojalnym.

Przypomniałam sobie zdjęcia tajemniczej Anabelle i to, w jaki sposób tytułowała archanioła.

- A jak to jest z aniołami? - zapytałam. - Istnieje ktoś taki jak Anioł Stróż?

Od diabłów doskonale wiedziałam, że taka posada nie istnieje. Jednak oni zawsze mogli mnie okłamać.

- Nie, nie ma kogoś takiego - wyjaśnił. - To znaczy, nie ma takiego stanowiska.

- Jak to? - nie zrozumiałam.

- Nie ma tylu aniołów, by zapewnić opiekę wszystkim ludziom na Ziemi. Jest to po prostu technicznie niemożliwe.

- To skąd się wzięło przekonanie o Aniołach Stróżach? Przecież nawet są do nich modlitwy.

Nie podobało mi się to, co usłyszałam. To oznaczało, że nikt mnie nie pilnował. Chociaż, gdyby pilnował, to chyba nie raz złapałby się za głowę i zrezygnował z posady nad tak krnąbrnym i „zdemonizowanym” podopiecznym.

- Czasami się zdarza, że ktoś staje się takim opiekunem - wyjaśnił. - Jak wiesz, nie możemy zakładać rodzin, ale potrafimy kochać. Kochamy ludzi. Czasem traktujemy ich jak członków własnej rodziny, dawno niewidziane dzieci. Gdy jakiś anioł jest samotny, może zacząć opiekować się jakimś śmiertelnikiem. Służyć mu drobną pomocą. Oczywiście żaden człowiek o tym nie wie. Nie wolno pokazywać się swojemu podopiecznemu - lekko się zarumienił.

Listy do niego kierowane przeczyły tej ostatniej zasadzie.

- Miałem kiedyś podopieczną - wyjął ścisłym głosem.

Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Wspomnienia chyba były bardzo pogodne i miłe.

- Nazywała się Anabelle. Poznałem ją przypadkiem podczas pieszej wycieczki po Alpach Szwajcarskich. Była wtedy małą dziewczynką. Poszła na długi spacer ze starszym rodzeństwem i się od nich odłączyła. Pomogłem znaleźć jej wtedy drogę. Od tamtej pory co jakiś czas do niej zaglądałem, pomagałem. Można powiedzieć, że czuwałem nad nią. Była dla mnie niczym córka.

Kiwałam głową. Czyli to nie zakazana miłość, jak podejrzewałam. Skarciłam się w duchu. Jak mogłam o coś takiego podejrzewać Gabriela? Był przecież dobry. To diabły były tymi zdeprawowanymi istotami nadprzyrodzonymi.

- Traktowała mnie jak Anioła Stróża. Nawet tak mnie tytułowała - dodał z lekką dumą i spojrzał lekko zbity z tropu. - Musiałem jej się wtedy pokazać - wyznał jakby na swoją obronę. - Inaczej wpadłaby w rozpadlinę skalną. Nie miałem wyboru.

Poczułam się w obowiązku go pocieszyć.

- Spokojnie, przecież nasz los został dawno temu zapisany. Nie możemy go zmienić. Widocznie tak musiało się stać.

Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie zaskoczony.

- To nieprawda - zaprzeczył. - Przecież po to ludzie mają wolną wolę. Jeżeli wszystko od dawna byłoby przesądzone, to nie miałyby to najmniejszego sensu.

Poczułam, że gotuję się w środku ze złości. Diabły mówiły mi coś innego. A szczególnie podkreślały tę informację podczas wizji nad pewnym zbiornikiem wodnym...

- A jak to jest z Jeziorem Czasu, o którym opowiadałeś? Przecież ono pokazuje przyszłość. W takim razie nie można jej zmienić.

- Pokazuje jedną z wersji przyszłości. Gdyby patrzeć w jego wody wystarczająco długo, pewnie można by zobaczyć wszystkie. To człowiek dokonuje wyboru, to od niego zależy, jak potoczą się jego losy.

Poczułam się oszukana. To znaczy, że możliwe, że wcale nie będę miała najpiękniejszej na świecie białej sukni ślubnej? A co się stanie, jak w ogóle nie dożyję ślubu?!

Ciekawe, czy zobaczyłabym inną wersję przyszłości? Na przykład starość spędzoną w Piekło w towarzystwie pewnego diabła.

- Rozumiem - odparłam, usiłując ukryć emocje.

- Wracając do mojej podopiecznej, to pilnowałam Anabelle przez całe jej życie. Wiesz, że została siostrą zakonną? - uśmiechnął się. - Postanowiła służyć Bogu. Możliwe, że to przeze mnie. Na szczęście obie wojny światowe ominęły Szwajcarię. Chciałem, żeby miała szczęśliwe życie. Od czasu do czasu spaceruję z nią po tych ogrodach. Z moją małą Anabelle.

Kiwałam głową, słuchając jego opowieści. Zachowywał się jak ojciec dumny ze swojej pociechy. Zapewne tak właśnie się czuł.

- Droga Wiktorio, przepraszam cię za te opowieści. Nigdy nie miałem z kim się nimi podzielić. - Jego przenikliwe orzechowe oczy przewiercały mnie na wylot. - Jednak czuję, że tobie mogę zaufać.

Czemu wszyscy mi ufali? Poczułam się jak ostatnia szuja, gdy przypominałam sobie, że właśnie go okradłam. Powinnam powiedzieć mu prawdę, ale nie mogłam, dopóki nie będę miała wystarczających dowodów. Teraz Moroni wszystkiego by się wyparł.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Dziękuję ci za zaufanie - wydusiłam. - Nie wiem, czy powinieneś mi ufać. Jestem tylko człowiekiem.

- Aż człowiekiem - poprawił mnie. - Wolna wola czyni z ciebie naprawdę potężną istotę.

- Przysięgam, że nikomu nie powtórzę tego, co mi właśnie powiedziałeś - zapewniłam go.

Tak też zamierzałam zrobić. Choćbym miała umrzeć za dochowanie tajemnicy.

- Gabrielu, ja także chciałabym ci o czymś opowiedzieć, ale jeszcze nie mogę - miałam wrażenie, że się rozplaczę. - Dobrze? Kiedyś coś ci opowiem. Mam nadzieję, że nie będziesz wtedy na mnie zły.

Zmarszczył czoło.

- Hm... no dobrze - chyba nie był zadowolony.

A może to była gra? Może chciał w ten sposób wyciągnąć ode mnie wszystko, co wiedziałam o Moronim i o diabłach? Nie, to archanioł. Nie posunąłby się do psychologicznych gier i grania na uczuciach.

Rozpogodził się, patrząc na panoramę Arkadii.

- Jeszcze o czymś chciałem z tobą porozmawiać. Wiem, że byłaś diabolicą. Powiedz mi, czy uważasz, że taka praca miałaby sens w Niebie? To znaczy, praca anielicy - zaśmiał się. - Diablice raczej nie są nam potrzebne.

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami, zaskoczona jego pytaniem.

No proszę, czyżby Arkadia chciała wyjść naprzeciw Piekłu i także rozwinąć zakres swoich usług? Wydawało mi się to dziwne, ale cóż... prawa rynku dotyczą nawet zaświatów.

- A macie braki kadrowe? - zapytałam.

- Tak - skrzywił się. - Nie dajemy sobie rady z obsługiwaniem wszystkich zmarłych. Jest ich coraz więcej każdego roku. Mam wrażenie, że ludzi nigdy nie przestanie przybywać. Niedługo pod bramami Nieba ustawią się kolejki...

- Na pewno nie będzie tak źle - starałam się go pocieszyć.

- Będzie... oj, wierz mi - westchnął. - Nie jestem tylko pewien, czy wprowadzając anielice, nie sprowadzimy sobie na głowę nowych kłopotów.

Wiedziałałam, co chciał przez to powiedzieć. Ja nie podołałam roli diablicy. Wszystkich zawiodłam.

- Sądzę, że w Niebie nie będzie to takim problemem - odparłam. - Tutaj nie ma diabłów, które będą usiłowały wprowadzić w życie swoje teorie spiskowe.

- Chyba, że damy obywatelstwo Belethowi i Azazelowi...

- No, chyba że je im dacie - przyznałam. - Chociaż powinniście przyjrzeć się też własnym zastępom.

Jego orzechowe oczy przewiercały mnie na wylot.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Właśnie tego na razie nie mogę powiedzieć...

- Chcesz powiedzieć, że nie możesz powiedzieć? Ktoś ci grozi?

- Nie mogę powiedzieć...

Cała ta rozmowa robiła się coraz bardziej bezsensowna.

- Kiedyś ci opowiem. A wracając do anielic, to sądzą, że to dobry pomysł. Na pewno znajdziesz dziewczyny godne zaufania, które dobrze się spiszą.

Zaletą w tym zawodzie jest wygadanie i zdolność do przekonania klienta. Momentami strasznie to przypomina telemarketing. A w każdym razie mnie się to tak kojarzyło.

- Masz w tym doświadczenie - zamyślił się.

- Kilka miesięcy pracowałam w tym zawodzie - wzruszyłam ramionami. - Powiem ci, że ciężko jest czasami namówić zmarłych na Piekło. Oni wiedzą, co jest dobre. Poza tym stereotypy panujące w ludzkich umysłach powinny wam sprzyjać. Niebo z zasady jest lepsze.

- A nie czułaś wyrzutów sumienia, namawiając śmiertelników na Niższą Arkadię? - chciał wiedzieć archanioł.

Nigdy się nad tym tak naprawdę nie zastanawiałam. Nie musiałam dokonywać żadnych moralnych wyborów. To po prostu była moja praca. Praca, która dawała mi możliwość podróżowania na Ziemię, do ukochanego Piotrusia.

- Chyba nie - odpowiedziałam. - W końcu Piekło nie jest takie złe.

- Niebo jest lepsze - powiedział z wyższością Gabriel.

- Są bardziej do siebie podobne, niż sądzisz - mruknęłam.

Nie skomentował moich słów.

- Mam dla ciebie propozycję, Wiktorio - powiedział zamiast tego.

- Jaką? - zapytałam nieufnie.

Archanioł odwrócił się w moją stronę. Nad Edenią powoli zapadał zmrok. Jego twarz ukryta była częściowo w cieniu.

- Co powiesz na to, żeby być naszą przeciwwagą dla Kleopatry? Jest doskonałą diablicą. Nie wiem, jak to się dzieje, ale zdołała namówić na Niższą Arkadię nawet kilku biskupów. Po prostu w głowie mi się to nie mieści... Poza tym mają teraz jeszcze jakąś nową diablicę.

Dobrze o tym wiedziałam. Cholerna Phylis...

- Chcesz, żebym prowadziła kursy dla nowych anielic? - zdziwiłam się.

Nie było tu wiele do tłumaczenia. Mnie wystarczył asystujący diabeł, żebym wszystko pojęła. Rozmowa z Kleopatą w sumie nie była potrzebna.

- Nie, nie chodzi mi o taką pomoc - pokręcił głową.

- Bo wiesz, że na początku wystarczyłoby, żeby anioł pomagał kobiecie przekonującej zmarłych?

Nie rozumiałam, jakiej pomocy z mojej strony oczekiwał.

- Wiem, Wiktorio, ale nie o to mi chodzi. Chciałbym cię zapytać, czy nie zostałabyś naszą pierwszą anielicą?

Oniemiałam.

- Ale ja żyję! - wybuchnęłam.

- Wiem, ale nie martw się. My poczekamy. Jesteśmy cierpliwi - uśmiechnął się.

Rozdział 33

Moja rozmowa z Gabrielem była odrobinę surrealistyczna. Nie wiedziałam, czy mam się po tym wszystkim śmiać, czy płakać.

Oczywiście archanioł zapewnił mnie, że nie życzy mi śmierci ani nie wróży krótkiego życia. Jednak ja to tak odebrałam.

Nie miałam wyboru, więc zgodziłam się zostać anielicą po swojej śmierci. Anioł nie chciał słuchać moich zapewnień, że mam słabe osiągnięcia. Nie chciał słyszeć o odmowie. Moje obawy skomentował dość wyczerpująco:

- Po prostu pracowałaś po złej stronie. Przyjrzyj się Niebu i Piekłu. Czy w Niższej Arkadii widziałaś jakiegokolwiek dziecko? Albo rodzinę mieszkającą razem? W Piekle nie ma instytucji, jaką jest rodzina. Tam trafiają samotni ludzie egoistycznie szukający rozrywek. Ludzie słabi, którzy dają się skusić diablom. Po pewnym czasie zamieszkiwania w Niższej Arkadii pojmują swój błąd. Odkrywają, że są tak samo samotni jak na początku. Na tym polega pobyt w tamtym miejscu. Niebo jest inne. Lepsze. Sądzę, że nie miałabyś najmniejszych kłopotów z pracą anielicy. Masz dobre serce.

Nie wiem, czy będę bardziej przekonująca ze skrzydełkami na plecach. Ja chyba nie naoglądałam się wystarczająco kanału Telemarket Mango.

Zdenerwował mnie. Czy nie mogę liczyć na normalne życie pozagrobowe? Mam pracować przez wieczność? Poza tym, jakżeby inaczej, kontrakt na anielicę ma trwać przepisowe siedemdziesiąt siedem lat.

Ciekawe, czy potem będę mogła zrezygnować? Wątpię, czy jakkolwiek putto pomoże mi wyplatać się z prawnych kruczków umowy z Niebem. Archanioł trzymał w garści całą Administrację.

Dodatkowo moją odmowę storpedował stwierdzeniem, że i tak już mam moc, to po co miałaby się marnować? Nie wolno przecież niczego marnować.

Na złość od dzisiaj zamierzam zawsze zostawiać resztki na talerzu i wyrzucać je do kosza...

Szybko wbiegłam do parku, w którym miał na mnie czekać Piotrek. Miałam nadzieję, że zrozumiał instrukcje. Chciałam jak najszybciej go zobaczyć. Było mi strasznie źle. Chciałam, żeby mnie pocieszył.

Zapadł zmrok, jednak ulice Edenii nie potrzebowały oświetlenia, wystarczał olbrzymi Księżyc. Prawie nie było spacerujących mieszkańców Nieba. Wszyscy dawno udali się do domów. Okna także zakończyły na dzisiaj działalność. Strażnik poszedł do domu.

Przy fontannie stał mój chłopak. Zauważyłam, że pod koszulą, założony za pasek, niczym pistolet, miał podłużny kształt zakończony owalem. Lampa oświetlenia archanioła. Piotruś także mnie zauważył. Uśmiechnął się z ulgą.

Przytuliliśmy się mocno.

- Martwiłem się - powiedział. - Strasznie długo cię nie było.

- Gabrielowi zebrało się na wyznania - mruknełam ponuro. - Uwierzysz, że zaproponował mi pracę, kiedy umrę? Mam zostać pierwszą w historii anielicą. On chyba chce zniszczyć z moją pomocą świat...

- Na pewno nie będzie tak źle. Każdy może popełniać błędy - pocieszył mnie. - Jestem pewien, że już nigdy więcej nie wysadzisz Księżyca. Taki numer mógł udać ci się tylko raz.

Zły nastrój wcale nie zniknął.

- Wygląda na to, że archanioł nie może się doczekać, aż umrę. Zupełnie jakby kibicował temu co nieuchronne. To trochę straszne.

Piotrek pokiwał głową, przyznając mi rację.

- Na pewno nie czeka. Nie martw się.

- Mówisz tak, bo nie widziałeś ekscytacji na jego twarzy. Wyobraża sobie, że z moją pomocą dokopie Piekła, że zyska więcej dusz...

- Już dobrze, dobrze - Piotrek gładził mnie po plecach, mocno przytulając.

- Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie. Zawsze przy tobie będę. I nie pozwolę jakimś aniołom na zrobienie ci krzywdy.

Powoli się uspokajałam.

- Za to ja spotkałam babcię - skrzywił się.

- To źle? - podniosłam na niego wzrok. Był wyraźnie zakłopotany.

- Nakrzyczała na mnie, że się źle prowadzę - mruknełam. - Podobno widziała w jakimś oknie, zupełnie nie wiem, o co jej chodziło, że piję alkohol. To znaczy, że się upijam na imprezie.

Postanowiłam nie tłumaczyć mu znaczenia okien. Kiedyś się dowie. Na razie nie musiałam go stresować faktem, że jego babcia może wiedzieć znacznie więcej o jego codziennym i prywatnym życiu. No, chyba że strażnik zareagował w odpowiednim momencie.

- Nie martw się. Ona tylko się o ciebie troszczy - pocieszyłam go. - Co teraz zrobimy? Idziemy do Piekła po jabłko i do Moroniego?

- Chodźmy - skinął głową.

W tej chwili nad naszymi głowami załomotały ciężko skrzydła. Spojrzeliśmy do góry. Czarnoskrzydły anioł opadł obok nas na ziemię, rozchełstana od wiatru koszula ukazywała trójkąt gładkiej piersi. Jego sandały zapadły się w błoto, które powstało z rozlanej dookoła fontanny wody. Skrzywił się z obrzydzeniem.

- Moi ulubieni śmiertelnicy! - zawołał, uprzednio rozejrzawszy się dookoła. - Czyżbyście mieli dla mnie jakiś prezent?

Wpatrywał się z chciwością w wybrzuszenie pod koszulą Piotrka.

- Tak - mruknełam. - Mamy lampę.

Jego oczy zabłyśły.

- Udało wam się ją zdobyć! - wydawał się w to nie wierzyć.

Jego dłonie lekko drżały, gdy sięgnął po niepozorny przedmiot. Piotrek starał się już przypadkiem nie machnąć lampą, byle tylko nie rozbłysła

oszałamiającym błękitem. Nie wiem, w jaki sposób ją poprzednio zgasił. Musiał się chyba solidnie namęczyć.

Moroni ostrożnie przejął lampę, jakby była najdelikatniejszym przedmiotem na świecie.

- Jest cudowna - zachwycił się.

Dyskutowałabym. Zwykły patyk z kryształem na czubku. Jej światło też jakoś specjalnie mnie nie poraziło. Po prostu przeraźliwie mocny błękit. Lampa jak lampa. Tyle że anielska.

- Doskonale. W takim razie jeszcze tylko trzy przedmioty - Moroni szybko ukrył zdobycz w torbie przewieszanej przez ramię. - Moi wyznawcy jeszcze nie poznali znaczenia kości niewiniątka, ale na pewno szybko to nastąpi. Wtedy przekażę wam dalsze instrukcje.

Żadne z nas nie pisnęło nawet słowem o jabłku, które już udało nam się zdobyć. Nie wiem, o czym myślał Piotrek, ale mnie intrygował teraz pewien fakt.

- Skąd wiedziałeś, że tu będziemy? - zapytałam.

- Mam swoich informatorów w Niebie - odpowiedział protekcjonalnie. - Od samego ranka kontrolowałem wasze poczynania. Widziano, jak osobno opuszczacie ogrody Gabriela, pomimo że udaliście się tam razem.

Czyli o jabłku nic nie wiedział.

- Poza tym mam dla was nowe zadanie - oświadczył.

- Jakie zadanie? - zapytaliśmy w tym samym momencie.

Nie spodobało mi się to. Oj, wcale.

- Nie zrobimy dla ciebie niczego więcej - warknęłam. - Jeszcze tylko trzy przedmioty i dajesz nam święty spokój, pamiętasz?

Zaśmiał się ponuro.

- Dam wam święty spokój, och, dam. Jednak nie podolicie zdobyciu kolejnych przedmiotów bez pomocy. Moim warunkiem jest, by ktoś wam pomógł.

- Kto? - rzeczowo zapytał Piotrek.

- Ktoś, komu jestem winny przysługę - uśmiechnął się. - Waszym pomocnikiem zostanie diabeł Beleth.

Spojrzeliśmy po sobie. Diabeł? I to na dodatek Beleth?

- Musicie uwolnić go chyłkiem z więzienia - kontynuował anioł. - Zdaję sobie sprawę, że może to doprowadzić do pewnego zamieszania, jednak postaram się je opanować. Poza tym nikt się nie dowie, że to wy go wydostaliście.

- Nie zgadzam się - odparł Piotrek.

- Nie masz nic do gadania - skwitował Moroni ze złośliwym uśmiechem. - Albo uwolnicie Beletha i będziecie korzystać z jego pomocy, albo wyjawię Gabrielowi, że byliście nad Jeziorem Czasu. Wybierajcie.

Spojrzałam na Piotra.

- Zastanawiam się, czy przyznanie się do winy nie będzie miało mniejszych konsekwencji - powiedziałam.

Chłopak pokiwał głową, ale anioł nas wyśmiał.

- Chyba nie sądzicie, że ujdzie wam to na sucho? Wycieczka nad jezioro czy kradzież lampy? Gabriel na pewno nie wybaczy wam kłamstwa w żywe oczy. Poza tym podburzę resztę aniołów, by skazano was dla przykładu. Zadbam o to, byście otrzymali najgorszą z możliwych kar.

- Niby jaką? - zakpił Piotrek. - Nie zabijesz nas. Najwyżej po śmierci trafimy do Pieła.

- Och nie, mój drogi. Już ja zadbam o to, byście trafili na miejsce wiecznego odpoczynku do Tartaru...

Jego słowa zawisły w powietrzu. Po plecach pociekła mi strużka potu. Nie mogliśmy tam trafić.

Piotrek nie rozumiał, o co chodzi. Szybko mu wyjaśniłam:

- Tartar to miejsce, gdzie trafiają najczarniejsze dusze. Mordercy, gwałciciele, szaleńcy. Tam jest tak strasznie, że nie mają wstępu nawet anioły i diabły...

- Albo nie - Moroni zmienił zdanie. - A może namówię ich na egzekucję po waszej śmierci? Publiczne przeszycie gorejącym mieczem, co sądzicie? Zdarzały się już takie przypadki. W końcu macie zbyt silną moc, jeszcze zdołacie uwolnić się z Tartaru.

Piotrek miał minę, jakby chciał zmiażdżyć go spojrzeniem.

- Nie wierzę, że możesz to zrobić. Nie namówisz nikogo na Tartar czy egzekucję. To Niebo! Przejrzą cię. Poza tym my powiemy wszystko, co o tobie wiemy.

Moroni zachichotał.

- A chcesz zaryzykować i się przekonać?

Nie wiedziałam, czy powinniśmy mu wierzyć. Z drugiej strony kompletnie nie znałam historii Arkadii. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, czy tutaj naprawdę zdarzają się takie rzeczy i czy coś takiego było w ogóle możliwe. Niestety tylko historię Pieła miałam w małym palcu. Nawet nie wiem, czy ktoś wydawał przewodnik po Arkadii.

Zmełam w ustach przekleństwo.

- Zrobimy to - warknęłam wściekła. - O ile najpierw powiesz nam, dlaczego jesteś mu winny przysługę.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

- Czemu chcesz to wiedzieć?

- Odpowiedz... - wzruszyłam ramionami.

- Dla mnie sprowadził cię do Nieba - oświadczył, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że ta wiedza do niczego mi się nie przyda. - Ja zająłem się dostarczeniem tutaj pana Piotra. Ciebie nie udałooby mi się przekonać. A oboje byliście mi potrzebni.

- Nie jesteś mu winny przysługi - powiedziałam zadowolona z siebie. - Sama poszłam do Nieba. On mnie nie namawiał. Nie musimy go uwalniać.

- A dlaczego poszłaś do Arkadii? - zapytał z niewinną miną Moroni.

- Bo chciałam się dowiedzieć, czy Piotrek naprawdę mnie zdradził, czy to może sprawka diabłów.

Anioł poklepał torbę, jakby chciał się upewnić, że lampa nadal w niej jest.

- A czemu zaczęłaś podejrzewać, że to może być sprawka diabłów?

- No, bo się podejrzanie zachowywali...

- Czy naprawdę jesteś aż tak naiwna, że uważasz, że zdołałybyś przechytrzyć tak starego diabła, jakim jest Beleth? Gdyby nie chciał półsłówkami dać ci do zrozumienia, że coś jest nie tak, toby tego nie zrobił. To potężna istota, której wiek jest liczony w miliardach lat. Sądzisz, że nie ukryłyby przed tobą prawdy?

Nie wierzyłam mu. Beleth wielokrotnie udowodnił mi, że potrafi zachowywać się bardzo nierozsądnie. Zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o mnie. Chyba miał kłopoty z panowaniem nad emocjami w takich momentach.

- Nieprawda - uparcie trwałam przy swoim. - Poza tym Beleth i Azazel musieli mnie sprowadzić do Nieba, żebym pomogła im w zdobyciu władzy archanielskiej. Czyli tak czy inaczej bym tu przyszła. W żadnym wypadku nie jest to twoja zasługa.

- Dobrze, w takim razie nie wierz w moje słowa. A chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze jestem winien Belethowi przysługę?

Spojrzeliliśmy na niego nieufnie.

- Dla mnie Beleth zdradzi Azazela.

Zamrugalam. Niemożliwe. To najlepsi przyjaciele. Chociaż z drugiej strony Azazel wielokrotnie wmanewrowywał Beletha w swoje ciemne sprawki. Może wreszcie przystojny diabeł postanowił się odegrać?

- Nie wierzę ci - oświadczyłam.

Zaśmiał się chrapliwie.

- To zupełnie jak Beleth. On też nie wierzył, że Azazelowi uda się zostać archaniołem.

- Możliwe, że w to nie wierzył, ale byłby przynajmniej aniołem. Za to przez ciebie zostanie wygnańcem. Wątpię, żeby się na to zgodził.

- Przy mnie nie będzie wygnańcem. Gdy już zasiądę na tronie niebiańskim, umieszczę go po swojej prawicy.

- A jeśli twój plan się nie powiedzie? - prychnął Piotrek. - Co wtedy? Sądzisz, że nadal będzie po twojej prawicy? To diabeł. Zdradzi cię.

- Zapewniam cię, że się powiedzie - oświadczył lekko zirytowany anioł.

- Kłamiesz - mruknęłam. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Kochanie, anioły też kłamią - skwitował. - Nie obchodzi mnie, co myślicie. Macie uwolnić Beletha z więzienia. Potwierdzi, że zawarł ze mną umowę.

Zerknęliśmy po sobie z Piotrusiem.

- Więzienie znajduje się na południu Edenii, kawałek za Wieżą Obserwacyjną. Pilnuje go tylko jeden anioł. Po prostu musicie jakoś go obejść. Beleth i Azazel są zamknięci w osobnych celach. - Sięgnął do swojej torby.

Wyciągnął z niej długi żeliwny klucz. Wcześniej pogłaskał z uwielbieniem lampę Gabriela.

- Tym otworzycie jego celę.

Piotrek wziął do ręki klucz.

- Proponuję, żebyście natychmiast udali się do więzienia. Anioł pilnujący naszego diabelskiego uciekiniera pewnie niedługo położy się spać. Jego zmiennik przyjdzie o siódmej rano. Pracują na dwudziestoczterogodzinnych zmianach.

Przez cały czas uśmiechał się złośliwie.

- Nie potrzebujemy pomocy Beletha w zdobyciu kolejnych przedmiotów - oświadczyłam.

- Zapewniam was, że potrzebujecie. W Piekło nie będzie tak łatwo jak tu.

- Już mamy jabłko - nie wytrzymał Piotrek.

Posłałam mu ponure spojrzenie. Nie chciałam na razie tego zdradzać.

- Jak to? - Moroni autentycznie się zdziwił, a zaraz potem zezłościł. - Oddajcie mi je! - zażądał. - I bez dyskusji. Piotrze, idź po nie, a ja tu poczekam z Wiktoria. Będzie moją tymczasową zakładniczką.

Chłopak skrzywił się. Spojrzał na mnie, a ja kiwnęłam głową. Nie mieliśmy wyboru. Piotruś stworzył drzwi z boku rzeźby, z której wyrastała fontanna.

Nienawidziłam Moroniego i miałam ochotę się na nim odegrać. Jak najszybciej.

- A ty co? Wrócisz sobie zaraz szczęśliwy do domu? - zakpiłam. - Kiedy inni wykonują dla ciebie czarną robotę?

- Och nie - poklepał torbę. - Podrzucę tam tylko to cacko i jabłko, a następnie udaję się na Ziemię do moich wyznawców. Zmotywuję ich, by szybciej odkryli znaczenie kości niewiniątka.

Przed nami zmaterializowały się drzwi z wiśniowego drewna. Przeszedł przez nie Piotrek. Z wahaniem podał aniołowi owoc. Ten schwycił łapczywie jabłko i wepchnął do torby.

- A teraz życzę wam powodzenia w uwalnianiu Beletha - powiedział.

Śmiejąc się z nas szyderczo, zamachał czarnymi skrzydłami, prawie bez wysiłku wzbijając się coraz wyżej w niebo. W końcu zniknął nam z oczu.

- Nie podoba mi się to - mruknął Piotrek. - Przecież pomoc diabła nie jest nam potrzebna.

- Nie mamy wyboru - stwierdziłam.

Piotrek spojrzał na mnie ze złością.

- A ciebie w ogóle to nie rusza? - zapytał. - Chyba bardzo chcesz go znowu spotkać.

- Przestań! - odburknęłam. - Czyja wyglądam, jakbym teraz szalała z radości? Nie zależy mi na Belecie. Jest dla mnie nikim. Nie zapomniałam, że mnie zamordował i podstępem zwabił w to miejsce. Jeśli sądzisz, że coś do niego czuję, to jesteś głupi.

Odwrociłam wzrok, wbijając go w wyłączoną o tej godzinie fontannę. Usilnie starałam się przekonać samą siebie, że to, co przed chwilą powiedziałam, było prawdą. Ale jeśli było prawdą, to dlaczego czułam, że kłamię?

Nie mogę zakochać się w diable, przecież kocham śmiertelnika. A nie mogłabym kochać ich obu naraz. Już sama się w tym gubiłam.

- Mam plan - oświadczyłam, zmieniając temat.

- Jaki? - zapytał ponuro.

- Moroni powiedział mi, że po zostawieniu przedmiotów w domu uda się na Ziemię. Poczekamy, aż tak zrobi i włamiemy się do niego. Ukradniemy przedmioty i zaniemiemy je Gabrielowi. Sądzę, że powinien być na nas mniej zły, jeśli damy mu dowody zbrodni Moroniego.

Rozdział 34

Zdjęłam buty i zanurzyłam palce w piasku. Fala zmoczyła moje stopy, zatapiając je coraz głębiej. Ukryliśmy się wśród skał, na plaży, niedaleko domu Moroniego. Jeszcze paliły się w nim światła. Anioł krzątał się w swoim gabinecie. Nie spieszyło mu się na Ziemię do swoich wyznawców.

- Ciekawe, czy Beleth ucieszy się na nasz widok - mruknął Piotruś.

Nadal boczył się na to, że musieliśmy go uwolnić. Liczyłam, że uda nam się okraść Moroniego i nie będziemy musieli tego robić. Bałam się, że moja decyzja o powrocie na Ziemię nie będzie już taka niezłomna, gdy spotkam przystojnego diabła.

W końcu światło w gabinecie zgasło. Śledzony przez nas anioł wyszedł na taras, rozpostarł skrzydła i odleciał w ciemną noc, zostawiając otwarte na oścież drzwi na taras.

Kochałam tę ufność mieszkańców Niebios.

Co prawda, ktoś tak podstępny jak Moroni nie powinien raczej wierzyć w prawość innych obywateli i mieszkańców Arkadii. W końcu istniało pewne prawdopodobieństwo, że trafi się ktoś tak cwany i zdeprawowany jak on.

- Idziemy - szepnęłam.

Szybko włożyłam buty. Wybiegliśmy zza skał i ruszyliśmy w stronę domu. Piotrek rozglądał się czujnie, ale nikogo nie było widać. Dom stał na uboczu. Nie musieliśmy przejmować się ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów.

Przeskoczyłam przez barierkę rozległego tarasu. W domu panował mrok. Niczego nie słyszałam poza szumem fal. Użyłam mocy, tworząc w dłoni kulę przygaszonego światła.

Piotrek otworzył szafę. Jej wnętrze wyglądało tak, jak je zapamiętaliśmy. Z tą różnicą, że bezcenny rękopis schowany był teraz w grubej tubie z karbowanego plastiku. Zdjęłam zakrętkę. Był tam. Anioł widocznie bał się, że może się rozsypać, zanim odczyta go w asyście wszystkich przedmiotów.

To by było dopiero ironiczne zakończenie całej historii.

- Tak po prostu zabierzemy? - zapytał Piotrek.

- Nie wiem - przygryzłam wargę.

Gdybyśmy je ukradli, to za szybko by się zorientował, że coś jest nie tak.

- Może zrobimy dla niepoznaki kopie? - zapytałam.

- A czy kopie będą działać? - Piotrek miał wątpliwości. - Przecież klucze, które skopiowałam, działają, więc możliwe, że i przedmioty, które zostawimy Moroniemu, będą działać.

Miał rację. Kopistką niestety byłam za dobrą.

- Trudno - wzruszyłam ramionami. - Ważne, żebyśmy oryginały przekazali Gabrielowi.

Po kolei wyjmowaliśmy z szafy przedmioty, a ja tworzyłam ich falsyfikaty. Byłam już bardzo zmęczona. Na koniec został nam rękopis. Piotruś wyjął go ostrożnie z ochronnej tuby.

Rozwinęłam go. Napisany był w języku, którego nie znałam, ale rozumiałam. Klątwa wieży Babel już mnie nie obejmowała. Potrafiłam odczytać ten tekst.

To było zaklęcie.

A w każdym razie wywnioskowałam tak z pierwszej linijki, brzmiącej „Zaklinam siły piekielne...”. Oryginalne, nie...?

- Skopiuj go - popędził mnie Piotrek.

Miał rację. Zbyt dużo czasu spędziliśmy w domu Moroniego. Mógł wrócić lada moment.

Wzięłam chropowaty pergamin w obie dłonie. Wydawał się tak kruchy, jakby mógł rozpaść się na najdrobniejsze kawałki.

Piotruś skopiował czarną tubę. To było proste, dał sobie radę. Dopiero uczył się korzystać ze swoich zdolności.

Skupiłam się na rękopisie. Rdzawy, wytarty atrament nieczytelnego pisma zabłysnął na chwilę. Wyglądał, jakby był zaschlą krwią. I prawdopodobnie nią był. Obrzydlistwo.

Otworzyłam oczy.

Nic się nie stało. Przede mną nadal znajdował się nieskopiowany dokument.

- Co jest...? - mruknęłam. Spróbowałam jeszcze raz.

Zamknęłam z całych sił oczy. Czulałam, jak moc płynie wzdłuż moich ramion aż do czubków palców. Uchyliłam jedną powiekę.

No nie!

Nic się nie działo. Dokument nie dawał się skopiować.

- Nie mogę! - jęknęłam. - Zupełnie jakby był chroniony.

- Dokument tylko do odczytu? - zakpił Piotrek, jednak dobry humor przeszedł mu, gdy zdał sobie sprawę z tego, co to oznaczało. - To jak my go skopiujemy? - zapytał.

- Nie wiem. Chyba musimy go po prostu zabrać. Może Moroni nie zajrzy do tuby?

Było to tak prawdopodobne jak śnieg w czerwcu, ale nie mieliśmy wyboru.

Piotrek wstawił pustą tubę do szafy i zamknął drzwiczki. Staraliśmy się położyć wszystko tak, jak leżało na początku. Byłoby najlepiej, żeby Moroni pozostał w nieświadomości jak długo tylko się da.

Nocną ciszę przerwał łopot skrzydeł. Anioł wracał!

Nie mogliśmy wydostać się przez taras, bo prawdopodobnie tam by wylądował. Pobiegliśmy długim korytarzem do salonu. Stopy w sandałach ślizgały mi się po białej terakotowej podłodze.

Kiedy mijałam kanapę, nogi mi się rozjechały i wylądowałam na tyłku, boleśnie tłukąc sobie kość ogonową. O cholera!

- Wiki! - Piotrek szarpnięciem postawił mnie na nogi, a następnie tak samo mocno pociągnął z powrotem na ziemię.

Moroni, pogwizdując cicho, wszedł do salonu, trzymając lampę Gabriela. Chyba nie mógł się nią nacieszyć. Minał kanapę, zapatrzony w kryształowe cacko, i rozsiadł się w fotelu.

- Mój skarb - usłyszeliśmy jego cichy, pełen uwielbienia głos. - Moje cudeńko.

Zerknęliśmy na siebie z Piotrusiem. Gollum się znalazł...

- Pokażesz tatusiowi, jak świecisz? - Moroni rozplątywał się nad lampą.

Jasnobłękitne światło zalało pomieszczenie. Nas, przed jej blaskiem, zasłoniła kanapa. Jak mieliśmy stąd uciec?

Mimo problemu z cichym oddaleniem poczułam dumę. Wykonałam doskonałą kopię! Nawet Moroni, ślepo zapatrzony w lampę, nie dostrzegł, że to nie był oryginał. Dobra jestem!

- Ach - westchnął anioł, porażony światłem. - Piękne.

Nie mieliśmy gdzie uciec. Piotrek wskazał na podłogę. Nie rozumiałam, o co mu chodziło. W końcu pojęłam. Cień, jaki zostawiała na ziemi kanapa, był mniej więcej wielkości drzwi. Chłopak zerwał z szyi kluczyk i wsunął go w podłogę. Pod naszymi stopami powstały drzwi z wiśniowego drewna. Piotrek sięgnął do klamki. Gdy ją przekreśli, runiemy w dół. Zapewne narobimy też mnóstwo hałasu.

- Przygotuj się - powiedział bezgłośnie.

Kiwnęłam głową na znak, że jestem gotowa.

Piotruś przekreślił klamkę. Spadliśmy w dół. Zamachałam bezradnie rękami, a potem uderzyłam o podłogę, boleśnie wykręcając kostkę. Usłyszałam, jak coś chrupnęło. Piotrek miękko niczym kot zeskoczył obok mnie.

Szybko wyciągnął rękę i zatrzymał mocą drzwi, zanim trzasnęły o ścianę. W dziurze w suficie widzieliśmy błękitny sufit iskrzący się światłem. Używając sił piekielnych, Piotrek zamknął drzwi.

Zamek szczęknął.

Zamarliśmy, jednak nic się nie stało. Kontur framugi powoli zaczął się rozmywać. Po chwili jedynym śladem po drzwiach były szybko znikające złote przebłyski.

Nie mieliśmy oczywiście pewności, że Moroni niczego nie usłyszał i nie zaczął właśnie szaleć po własnym domu. My jednak byliśmy bezpieczni. Przez jakiś czas.

Rozejrzałam się. Znajdowaliśmy się w moim domu w Los Diablos. Tutaj anioł nie mógł przyjść. Jego drzwi bez przepustki wyglądającej jak karta magnetyczna nie mogłyby się otworzyć w Niższej Arkadii.

Poruszyłam stopą. Przeszedł ją ostry ból. Świetnie. Złamałam coś. Objęłam nogę w kostce i tchnęłam w nią moc. Poczułam, jak pod skórą kości wskakiwały na właściwe miejsca.

- Miau - Behemot doskoczył do mnie i polizał moją twarz. Podrapałam go za uchem.

- Wiki, nic ci nie jest? - Piotruś zdjął plecak i rzucił go na ziemię.

Gdy pomagał mi wstać, kotek zaczął z zainteresowaniem obwąchiwać torbę. Chyba poczuł, że w środku znajdują się ciekawe przedmioty. Od razu znalazł szczelinę w miejscu, w którym nie był dosunięty suwak, i wepchnął tam swoją trójkątną główkę.

- Behemot, zostaw - powiedziałam. - Tam są złe przedmioty do czarnej magii.

Kotek wyjął pyszczek. Zauważyłam, że coś przeżuwał.

- On coś zjadł! - zawołałam spanikowana, łapiąc zwierzaka.

Piotrek chwycił plecak i zaczął wysypywać jego zawartość na dywan, ja zaś przytrzymałam zwierzaka za głowę. Siłą otworzyłam mu szczęki, ale pomiędzy nimi już nic nie było.

- Co zjadłeś, głupku?! - jęknęłam. - Może ci zaszkodzić. Kotek wyrwał mi się i zeskoczył na podłogę. Zacharczał.

On na pewno zaraz umrze! Oczami wyobraźni widziałam małe medaliony, które z pewnością zdołałby przełknąć. Bez trudu mogłyby zatkać mu przewód pokarmowy. Co robić? Co robić? - pomyślałam.

Gdzie ja znajdę w Piekło weterynarza?!

Kocurek pokiwał główką i kichnął donośnie, a z noska poleciały mu iskry.

- Co zjadł?! - krzyknęłam, chociaż chyba zaczynałam się tego domyślać.

Piotrek odwrócił się do mnie zakłopotany. W dłoni trzymał zielone jabłuszko. Odwrócił je tak, żebym dostrzegła ślady zębów pupila.

- Nie wiem, od kiedy koty jedzą jabłka, ale twój właśnie to zrobił - powiedział.

Spojrzeliśmy na zwierzaka. Zamachał ogonem i bez rozbiegu wskoczył na prawie dwumetrową szafę, po czym wystawił łebek za jej krawędź, podziwiając wysokość, którą osiągnął. Zamruczał zadowolony z siebie i rozłożył się tam do snu.

- Jabłko chyba będzie nadal działać, no nie? Brakuje tylko małego kawałka - zapytał Piotrek, oceniając odcisk szczęk kota.

- Chyba tak - powiedziałam, patrząc z dezaprobatą na diabolicznego zwierzaka, a on, jak to tylko koty potrafią, całkowicie mnie zignorował. Wydawał się bardzo szczęśliwy ze zdobycia nowych zdolności.

- Wstręciuch - skarciłam pupila.

- Dobra, zbierajmy się - powiedział Piotrek. - Im szybciej będziemy mieć za sobą rozmowę z Gabrielem, tym lepiej.

Kiwnęłam głową i dla pewności jeszcze raz sprawdziłam zawartość plecaka. Wyjęłam rękopis z zaklęciem. Intrygował mnie. Ciekawe, czy naprawdę działa?

I co to w ogóle znaczy, że otwiera bramy Piekieł? Tam przecież nie ma bramy...

- Idziesz? - zapytał Piotrek.

Z żalem odłożyłam dokument na miejsce. Korciło mnie, by przeczytać całość, oj korciło.

Spojrzałam na mężczyznę, któremu kiedyś oddałam serce. W czarnych włosach błyszczały drobinki piasku. Był zmęczony, ale uśmiechnięty. Traktował to jako wielką przygodę swojego życia.

Spakowaliśmy wszystko i przygotowaliśmy się do wyjścia. Gabrielu, obyś był w swojej posiadłości. Nie byliśmy przygotowani na to, co zastaliśmy w Niebie...

Rozdział 35

Drzwi powoli znikwały za naszymi plecami. Przejście stworzyliśmy w ścianie jednego z budynków Edenii w pobliżu wzgórza, na którym rezydował Gabriel. Nie wiedziałam, czy możemy dostać się bezpośrednio w pobliże jego domu. Możliwe, że cały teren był chroniony.

Ziewnęłam zmęczona. Zaczynało świtać. Rozejrzałam się dookoła. Dziwne. Nie sądziłam, że w Niebie jest tyle rannych ptaszków.

Był olbrzymi ruch, kompletnie nieadekwatny do pory dnia.

Minął nas jakiś zdyszany putto, wymachując swoimi maleńkimi skrzydełkami. Wyraźnie gdzieś się spieszył. Ścisnął w dłoni małą złotą trąbkę. Cały czerwony na policzkach wyteżał się, żeby dolecieć jak najdalej. Inny niebiański pracownik, podtrzymując wolną ręką białe majteczki, które zsuwały mu się z tłustej pupy, przebierał nóżkami. W drugiej dłoni także dzierżył złotą trąbę.

Co tu się działo?

Zerknęliśmy po sobie z Piotrkiem.

- Jakaś parada? - zapytał. - Albo święto?

- Nie mam pojęcia - poczułam się nieswojo.

W ogólnym rozgardiaszu jeszcze nie zostaliśmy przez nikogo zauważeni. Dziesiątki małych putt biegło w różne strony. Wszyscy byli wyraźnie czymś zdenerwowani.

Nigdzie nie dostrzegłam też żadnych mieszkańców Niebios. Owszem, pora była nieludzka, niemniej wobec takiego zamieszania spodziewałabym się obecności ludzi. Ich jednak nie było.

To wszystko robiło się coraz dziwniejsze.

W domu, przez którego ścianę właśnie przeszliśmy, wszystkie zasłony i okiennice były szczelnie zasunięte i zamknięte. Podobnie było w kolejnym domu. I w jeszcze jednym. I jeszcze jednym. Niebiańskie drzwi nie miały zamków, byłam jednak pewna, że zastawiono je co najmniej krzesłami.

- Nie podoba mi się to - szepnęłam do Piotrusia.

Ponad nami górowało wzgórze, na którym mieszkał Gabriel. Byliśmy bardzo blisko. Wystarczyło wejść na ścieżkę, która zaczynała się tuż przed nami, a doprowadziłaby nas na sam szczyt. Na razie nawet nie drgnęliśmy, zaskoczeni tym, co zastaliśmy. Zaganiani mali pracownicy Niebios także nie zwrócili na nas uwagi.

- Chodź - Piotrek wziął mnie za rękę. - Nie będziemy przecież tutaj tak stać. Zapytajmy kogoś, co się stało.

Wyszliśmy z cienia na środek ulicy. Akurat obok nas biegł mały szczerbaty putto.

- Przepraszam, czy coś się stało? - zapytałam uprzejmie.

Człowieczek wyhamował gwałtownie, wbijając pięty w podłogę. Spojrzał na nas nieprzytomnie. Zdenerwowany ścisnął kurczowo złotą prostą trąbkę.

- Och, włączcie natychmiast do domów - wyseplenił przerażony. - Stało się coś bardzo złego. To tragedia! Tragedia!

- Ale co się stało? - Piotruś złapał putta za ramię i potrząsnął nim lekko, żeby zwrócić na nas jego rozbiegane spojrzenie.

- Gabriel został okładziony! - pisnął człowieczek. - Dwoje śmiełtelników, chłopak i dziewczyna, układli jego lampę! Lampę Gabriela. To katastrofa! Wszystkie siły niebiańskie zostały skierowane na poszukiwania. Musicie zamknąć się w domu i czekać na informacje. Oni mogą być niebezpieczni! To śmiełtelnicy posiadający moce piekielne.

Mimowolnie cofnęliśmy się z Piotrusiem. O cholera jasna... spokojna rozmowa z Gabrielem chyba nie wchodziła w grę.

- Chyba się wkurzył - szepnęłam do Piotrka.

- Mogą być bardzo, ale to bardzo niebezpieczni - kontynuował putto. - Wszyscy mieszkańcy muszą pozostać podczas oblawy w domach. Zamknijcie się!

Ostatnie słowo wykrzyczał niemiłosiernie. Kilka innych putt odwróciło się w naszą stronę.

- Pamiętajcie. To chłopak i dziewczyna uzbłojeni w moce piekielne. Schowajcie się - poradził nam.

Dyszcząc ciężko i charcząc, jakby miał właśnie dostać ataku astmy, podleciał do nas i swego kolegi kolejny pracownik Arkadii. Z ulgą opadł na ziemię i spojrzał na nas podejrzliwie.

- A wy to kto? - zapytał, mrużąc jedno oko.

Miał długie krzaczaste wąsy opadające na wargi. Nie wiem dlaczego, ale zarost miał w kolorze czarnym, a loki na czubku głowy były blond. Czyżby to był ich obowiązek zawodowy posiadać czuprynę a la barokowy cherubinek?

- Chcieliśmy porozmawiać z Gabrielem - powiedział, ważąc słowa, Piotrek.

- Aha - mruknął putto, jednak nadal przyglądał się nam podejrzliwie. - Dzisiaj nie ma audiencji. Muszą państwo poczekać, aż cała ta sprawa się wyjaśni. Na razie proponuję, byście udali się do swojego domu i na przykład napili uspokajającej herbaty. Wszyscy jesteśmy bardzo zdenerwowani.

- Rozumiemy - odparłam. - Już idziemy.

Cofnęłam się, wpadając na Piotrusia. Zawartość naszego plecaka brzdęknęła donośnie. Pracownik przestał rozglądać się trwożliwie na boki. Wysunął dolną szczękę. Jego twarde spojrzenie znowu się na nas zatrzymało.

- Co niesiecie? - zapytał nieufnie.

- Nic takiego - Piotruś machnął ręką. - Kilka drobiazgów.

Sepleniący putto podskoczył zdenerwowany. Z wrażenia upuścił złotą trąbkę. Schylił się po nią, przez co majtki zsunęły mu się z pupy. Błysnęły pośladkami.

- Antonio! - warknął na niego ten bardziej zdecydowany. - Zachowuj się przy ludziach. Nie wypada tak.

Przestraszony ścisnął trąbkę i majtki. Zaczął się gwałtownie pocić. Wbił przerażone spojrzenie w nasz plecak. Zerknęliśmy po sobie z Piotrusiem. To chyba był dobry moment na to, żeby uciekać.

- To oni. To ci śmieltownicy! - szepnął.

Drugi putto spojrzał na nas ostro, dodał dwa do dwóch i zadał donośnie w trąbkę. Nagle twarze wszystkich otaczających nas pracowników odwróciły się w naszą stronę. Wystarczyła tylko chwila, by ich trąbki rozbrzmiały kakofonicznie.

Wszystkie naraz.

Teraz zdecydowanie należałoby już uciekać.

Piotruś szarpnął mnie za rękę i pociągnął w stronę głównej ulicy. Putta rzuciły się za nami w pogoń. Całe szczęście, miały krótkie nóżki i słabe skrzydełka, że już nie wspomnę o kiepskiej kondycji.

Biegliśmy coraz szybciej, nabierając rozpędu wraz z pokonywaniem w dół małego wzniesienia. Miałam wrażenie, że nogi same mnie niosą. A raczej powoli omdlewają i przestają nieść. Jeszcze chwila, a przestanę nadążać za Piotrkiem i wywalę się na twarz.

Jakiś bohaterski putto uczepił się plecaka. Piotrusiem szarpnęło do tyłu. O mało się nie wywrócił. Szczęśliwa ze spowolnienia ucieczki, spojrzałam szybko na plecak.

Nie wiem, jakim cudem, ale mały putto trzymał się go rękami i nogami. Miał chyba przeciwstawne paluchy...

Wyciągnęłam rękę i trzasnęłam go z całej siły pięścią.

Kości palców, których nazw nawet nie znam, zaprotestowały po spotkaniu się z wyjątkowo twardą główką niebiańskiego pracownika. Zaskoczony putto wywinął oczy na drugą stronę i odpadł od plecaka.

Niebiański pościg dał za naszymi plecami w trąbki. Firanki drżały w oknach domów, które mijaliśmy. Miałam wrażenie, że wszyscy uważnie oglądali tę gonitwę.

Wbiegliśmy na mały okrągły plac. Pośrodku stał zamknięty kram z owocami. Nie zdołałam go ominąć. Piotrek się zatrzymał, jednak ja w pełnym pędzie wpakowałam się między zielone jabłka.

Nie lubię jabłek. Same z nimi kłopoty. Przysięgam, że już nigdy żadnego nie tknę.

Owoce rozsypały się po całym placu.

- AHA! - ktoś nad nami zawołał z triumfem. - Mam was! Tuż ponad naszymi głowami, młóćąc ciężko białymi skrzydłami, wisiał w powietrzu nie kto inny jak Muriel.

Był to anioł, którego szczerze nie znosiłam. Znaliśmy się jeszcze z czasów, kiedy byłam diabolicą i pracowałam dla Lucyfera. Mieliśmy

przyjemność, a raczej nieprzyjemność przeprowadzić kilka targów o dusze śmiertelników.

Muriel odnosił się wtedy do mnie z wyższością i pogardą. Chyba głównie wkurzało go, że w Piekle mają dziewczyny, a Niebo jeszcze nie dojrzało do tego odważnego posunięcia.

Albo po prostu z wrodzonego narcyzmu uważał, że jestem kimś gorszym od niego.

Do tej pory jeszcze nie spotkałam go na ulicach Edenii. Nie wiem dlaczego. Może był tak zavalony pracą podczas targów, że nie miał czasu na spacer? Albo mieszkał w innym rejonie Nieba, lub po prostu starał się jak mógł, żeby tylko mnie nie spotkać.

Wisiał teraz nad nami w powietrzu i machał znacznie dłuższą wersją trąbki, w którą były zaopatrzone wszystkie putta. To była chyba prawdziwa anielska trąba. Taka alarmowa.

- Mam was! - zaśmiał się. - Wiedziałem, że będą jeszcze z tobą kłopoty.

Piotrek obejrzał się niecierpliwie przez ramię. Zastępy małych putt zbliżały się coraz szybciej.

- A ty kto? - Piotruś zapytał anioła.

Przez to jedno malutkie pytanie omal nie wypuścił trąby.

- Jam jest Muriel! Czerwcowy anioł! Wierny sługa Boga!

- I właściciel trąby jerychońskiej - warknęłam. - Wiemy.

Anioł zamachał gniewnie skrzydłami.

- To nie jest trąba jerychońska! To jedna z siedmiu trąb Apokalipsy. Po złamaniu siedmiu pieczęci zabrzmiał dźwięk siedmiu trąb. Potem zostanie zrodzony potomek dziewicy i rozpocznie się walka ze złem! Siły anielskie spotkają się z piekielnymi!

Nie miałam czasu na czcze gadki z tym pozerem. Musieliśmy uciekać. Muriel był za głupi, żeby nas złapać. Zawsze jednak istniało prawdopodobieństwo, że zaraz pojawi się jakiś normalniejszy anioł, który będzie wiedział, co robić z zatrzymanymi. Nie zamierzałam wpakować się do anielskiego więzienia.

- To może lepiej w nią nie trąb. Jest już za dużo samotnych matek - prychnęłam.

Piotrek szybko ocenił szanse naszej ucieczki. Wskazał na pustą ulicę. Musieliśmy tylko tam pobiec i stworzyć na jednym z budynków drzwi. Tylko dokąd mieliśmy uciec? Do Piekła? Lucyfer na pewno już został poinformowany o naszym przewinieniu. Od razu wydałby nas Gabrielowi.

Zostawało nam schronienie się na Ziemi lub... u Moroniego. On będzie nas chronił. W końcu współpracujemy.

Rozwścieczony Muriel wylądował na Ziemi i ruszył w naszą stronę. Niestety nie spojrzął na ziemię. Stał na jabłku, które usunęło mu się spod stopy. Ze zdziwieniem malującym się na jego urodziwej twarzy wylądował ciężko na tyłku.

W tej chwili usłyszeliśmy przeraźliwie niski dźwięk. Szybko zagłuszył on alarm, na który trąbiły wszystkie putta z okolicy. Szyby w oknach zdrząły wprawione w wibracje. Miałam wrażenie, że wnętrzości wywineły mi w brzuchu szalonego fikołka.

Zatkaliśmy uszy, nie mogąc znieść tego dźwięku. Przenikał do głębi, wwiercał się w myśli, zatrzymywał oddech w piersiach.

Podniosłam głowę do góry. Wysoko na niebie zobaczyłam sylwetki aniołów krążących tuż pod chmurami. Jeden z nich dał w długą złotą trąbę.

- ZŁODZIEJE!!! - nad Edenią podniósł się donośny okrzyk.

Zamrugałam ze zdziwieniem. Znałam ten głos. Nie należał do Gabriela. Na tle wschodzącego słońca barwiącego nieboskłon na różowo unosił się jeden z pomniejszych aniołów.

Czarnoskrzydły Moroni.

To on dał wcześniej w trąbę anielską, a teraz krzyczał:

- MÓJ DOM TAKŻE OKRADLI. ZABRALI MI PAMIĄTKĘ RODZINNA. STARY RĘKOPIS!

O, ty cholero! Pamiątek rodzinnych ci się zachciało! Piotr ścisnął moją rękę.

- Złapią nas! - pisnęłam nie na żarty przestraszona.

Nasz jedyny sojusznik właśnie odwrócił się do nas plecami. Najwyraźniej nie tylko lampę oglądał w zaciszu swojego domu tej nocy. Chyba nie udała mu się inkantacja...

Jego blada twarz wykrzywiona była w grymasie dzikiej wściekłości. Szybko leciał w naszą stronę, wbijając spojrzenie w plecak Piotrusia.

Nie miałam zielonego pojęcia, dokąd moglibyśmy uciec.

Piotrek szarpnięciem zerwał sobie z szyi kluczyk i wcisnął go w kostkę, którą była wybrukowana ulica. Pod nami zaczęły formować się drzwi.

- Stójcie! - Muriel złapał mnie za ramię.

Nie zauważyłam, kiedy znalazł się tak blisko mnie.

- Puszczaj! - pchnęłam w niego mocą.

Anioła odrzuciło ode mnie. Szarpnął mnie za rękę, pozostawiając na niej krwiste ślady swoich paznokci. Muriel uderzył ciężko o znajdujący się kilkanaście metrów od nas budynek. Osunął się na ziemię z jęknięciem.

W tej chwili Piotruś bez ostrzeżenia szarpnął za kłamkę. Drzwi otworzyły się, a my runęliśmy w dół.

Na szczęście po drugiej stronie znajdowała się polanka z dość miękką, przerośniętą trawą. Upadek nie był więc aż tak bolesny. Mimo to jęknęłam, gdy uderzenie wypchnęło mi całe powietrze z płuc. Piotrek zatrzasnął drzwi. Zaczęły znikać, uniemożliwiając kontynuację pościgu tą drogą.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam.

W oddali słychać było dźwięki małych trąb putt. Nikt nie odważył się więcej zadać w trąbę anielską odpowiedzialną za Apokalipsę Świętego Jana. A w każdym razie tak wywnioskowałam ze słów Muriela.

Znajdowaliśmy się tuż przed szarą bryłą Anielskiego Centrum Dowodzenia, na skraju miasta, a więc z dala od zamieszania związanego z naszym pościgiem.

Ciekawe, jak szybko odkryją, gdzie jesteśmy?

- Co tu robimy? - zapytałam.

- Mam pomysł, jak odwrócić ich uwagę - Piotrek szybko podniósł się na nogi i pomógł mi wstać.

Pobiegliśmy do budynku. Drzwi były otwarte tak jak poprzednio. Surowy, niewykończony budynek w ogóle się nie zmienił od mojej poprzedniej wizyty. Stanęliśmy w dużym przedsionku.

- Opowiadałaś mi, że tu można manipulować pogodą - powiedział Piotrek, patrząc na zamknięte drzwi. - Tam?

- Tak, ale słuchaj, co ty chcesz zrobić? To panel sterowania całą Ziemią. Na dodatek pilnują go dwa anioły.

- Jesteś pewna, że pilnują? Może też biorą udział w obławie?

Szczerze mówiąc, Zafkiel nie wyglądał mi na osobnika, który miałby ochotę brać udział w nagonce na śmiertelników. Z całą pewnością wolałby zostać na swoim stanowisku pracy i podziwiać wykresy.

Co innego Ariel. On prawdopodobnie podjąłby się wszystkiego, byleby tu nie siedzieć.

- Co chcesz zrobić? - jeszcze raz zapytałam.

- Narobimy zamieszania na Ziemi. Anioły pójdą tam naprawiać szkody, a my tymczasem załatwimy wszystkie sprawy w Niebie.

Brzmiało całkiem rozsądnie.

Machnęłam dłonią i stworzyłam nam na szyjach małe złote medaliki. Żarówka została już wymieniona. Poprzednią zniszczył Azazel swoim krucyfiksem. Drzwi zabłyśły na zielono. Szarpnęłam za klamkę. Wolałam nie pukać. Kto wie? Może po kontroli będą otwarte?

Istniało spore prawdopodobieństwo, że pukanie było tylko oznaką niebiańskiej kurtuazji.

- Cicho - ostrzegłam Piotrusia i otworzyłam drzwi. Moje podejrzenia okazały się na szczęście słuszne.

Weszliśmy powoli do środka.

W starym wytartym fotelu drzemał Zafkiel. Okulary przekrzywiły mu się na nosie, a z kucyka wymsknęło się kilka włosów. Najwyraźniej nawet on musiał kiedyś spać.

Ariel zerknął na nas znad harfy, na której pobrzękiwał jakąś smętną melodię.

A niech to! Wszyscy byli na stanowiskach. Kto wie? Może nawet nie słyszeli o tym, że byliśmy poszukiwani, podczas śledzenia losów Ziemi?

- Cześć - szepnęłam do Ariela. - Chciałam pokazać mojemu chłopakowi kilka guzików. Pamiętasz mnie? Byłam już tu.

Anioł wzruszył ramionami, nawet na chwilę nie przestając grać. Nic go nie obchodziło.

- Spoko - mruknął.

- To mogę? - upewniłam się, podchodząc na palcach do panelu sterowania.

Piotrek usiłował ogarnąć wzrokiem niezliczoną liczbę przycisków.

Ariel spojrzał na swojego chrapiącego szefa i upewniwszy się, że ten nadal śpi snem sprawiedliwego, pokiwał głową, jakby właśnie się w czymś utwierdził.

Zerknął na harfę.

Potem na Zafkiela.

Na harfę.

I na Zafkiela.

Harfa.

Zafkiel.

W końcu odwrócił się do nas.

- Trzęsienia ziemi to te fioletowe guziki, huragany są białe, susze szarżółte, pożary lasów rdzawe, a powodzie granatowe. Obok nich macie nazwy regionów i krain geograficznych, gdzie wystąpią - wyjaśnił. - Jeśli chcielibyście coś bardziej tradycyjnego, to te małe, kwadratowe, ponumerowane pstryczki to kolejno: zamiana Nilu w krew, żaby, komary, muchy, pomór bydła, wrzody, grad, szarańcza, ciemność i śmierć pierworodnych.

Piotrek się skrzywił. Może niekoniecznie mieliśmy ochotę zafundować planecie dziesięć plag egipskich, żeby łatwiej nam się uciekało. Chociaż sędzę, że narobiliśmy wtedy dużo zamieszania.

- Tylko nie wciskajcie guzika wielkieeego kataklizmu. Bo byłaby lipa - dodał.

- Nie ma sprawy - podeszłam do konsoli.

Piotruś zapytał mnie:

- A co robi guzik wielkiego kataklizmu?

- Wielkieeego kataklizmu - poprawiłam go odruchowo. - Jak Azazel go kiedyś przypadkiem wcisnął, to wyginęły dinozaury. Taki reset planety.

- To może go nie wciskajmy - zgodził się Piotrek. - Huragan w Nowym Orleanie, powódź w Polsce i Australii, trzęsienie ziemi w Turcji i Japonii, wybuch wulkanu w Kalifornii, pożary torfowisk w Rosji? Czy wybieramy coś niestandardowego?

Westchnęłam. Wolałabym, żeby nikt nie zginął podczas naszych manipulacji. Nie chciałam mieć czyjśóg życia na sumieniu.

- A może susze? - zapytałam. - Z ich powodu może nikt nie umrze?

- Z pragnienia - sprostował Piotrek.

Ariel wykonał solówkę na harfie.

- Anioły wszystko szybko ogarną. Nikt nie zginie - skwitował.

W takim razie nie ma problemu. Pochyliliśmy się z Piotrusiem i każde z nas uderzyło kilka razy otwartą dłonią w jakiegokolwiek przyciski. Szykowała się powódź w Etiopii, susza w Brazylii, pożar lasów w Finlandii, trzęsienie ziemi w Kanadzie i wiele innych ciekawych i równie nieprawdopodobnych sytuacji.

Wszystkie wciśnięte przez nas guziki zapłonęły jasnym światłem, a w pomieszczeniu zaczęła migać czerwona lampka i włączył się sygnał ostrzegawczy.

Zafkiel podskoczył w fotelu.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - zaczął panikować. Wymknęliśmy się z pomieszczenia.

- Obezwładnili mnie - dobiegł nas spokojny głos Ariela. Jego solówka na harfę ani na moment nie ucichła.

- CO??? - ryknął Zafkiel. - ZWALNIAM CIĘ!!!

Wybiegliśmy przed budynek. Nasz cel, tak samo jak cel Ariela, został osiągnięty. Teraz musieliśmy uciekać. Tylko patrzeć, aż pojawią się tutaj wszystkie anioły z okolicy.

- Co teraz robimy? - zapytałam, pewna, że Piotrek ma jakiś dobry plan.

- Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia - oświadczył. - Ale przynajmniej zyskaliśmy trochę czasu. Anielskie zastępy zajmą się bałaganem na Ziemi, a nie nami.

Co my mogliśmy teraz zrobić? Co? U Gabriela byliśmy już spaleni. Lucek może nie chce nas słuchać. Znikąd pomocy. Możemy się na jakiś czas ukryć w innym wymiarze Śmierci, ale przecież nie wypada siedzieć jej na głowie w tak zwanym mieszkaniu. Miała w sumie tylko jeden pokój...

Nie miałam pomysłu, jak wykaraskać się z tych kłopotów.

- Chyba musimy kogoś poprosić o pomoc - westchnął Piotruś.

- Ale kogo? - zaczęłam się zastanawiać.

Kto mógłby, a raczej kto chciałby nam pomóc?

Piotrek wsunął klucz diabła w ścianę betonowego bunkra.

- Dokąd idziemy? - zapytałam z ulgą, że przynajmniej on wie, co robić.

- Jest tylko jedno miejsce, gdzie ktoś nam pomoże w zamian za drobną przysługę. Anielskie więzienie...

Ułga, której przed chwilą doznałam, zniknęła.

Rozdział 36

Anielskie więzienie znajdowało się pod miastem, całkowicie na uboczu, w otoczeniu poszarpanych wzgórz i kotlin. Z dala od mieszkańców, których ten widok mógłby niepotrzebnie zdenerwować lub zmartwić.

Wizerunek Arkadii musiał pozostać nieskalany. Nie mogli sobie pozwolić na złą reklamę.

Budynek więzienia odrobinę przypominał Administrację. Na pewno nie miał nic wspólnego z bunkrem służącym za Anielskie Centrum Dowodzenia.

Wbrew pozorom był całkiem ładny. Czerwona pagoda opadała do ziemi. Powykręcane rynny przedstawiały smoki albo węże. Ściany obłożone były czarnym granitem. Budynek byłby całkiem gustowny, gdyby nie jeden drobny szczegół.

We wszystkich wysokich oknach, przez które widać było wiszące we wnętrzu białe firanki, znajdowały się złote kraty.

Ciężkie metalowe drzwi wejściowe przypominały zamkowe wrota obite grubymi gwoźdźmi. Nie było w nich klamek, a jedynie olbrzymie kołatki, które metalowe lwy trzymały w swych szczękach. Pośrodku, przedzielony na pół szczeliną wrót, znajdował się jeszcze jeden pysk olbrzymiego kota, wyszczerzonego w groźnym ryku.

Obeszliśmy budynek dookoła. Nigdzie nikogo nie było widać. Zupełnie opustoszały teren.

- Jak my wejdziemy do środka? - zasepił się Piotrek.

- Chyba trzeba zastukać - stanęłam naprzeciwko drzwi.

Ledwo dosięgałam do kołatki.

- A co zrobimy, gdy ktoś nam otworzy? Przecież jakiś anioł miał pilnować więzienia. Nie powiemy mu przecież: „Dzień dobry, chcemy uwolnić jednego więźnia. Możemy?” - marudził chłopak.

Jego plan już nie wydawał mu się taki wspaniały.

- Nie wiem... - westchnęłam ciężko. - Może został oddelegowany do szukania nas po całej Arkadii?

- Zafkiel i Ariel nie zostali oddelegowani - zauważył Piotrek.

- Bo Zafkiel to fanatyk - czułam, że tracę cierpliwość.

- Raz kozie śmierć. - Wyciągnął się do kołatki i trzy razy uderzył nią o metal.

- Jeszcze cztery razy - upomniałam go. - W Niebie puka się siedem razy.

Mamrocząc coś pod nosem, spełnił moją prośbę. Lekko przerdzewiały metal ciężko chodził pomiędzy zębami bestii. Musiał się odrobinę zmęczyć.

Po naszych uderzeniach zapanowała cisza. Nie usłyszeliśmy w środku żadnych kroków. Jedynie zgrzyt żelaza.

Dochodził od drzwi.

Czyżby ktoś przekręcił klucz w zamku?

Całym ciałem napałam na drzwi, usiłując je otworzyć. Ani drgnęły.

- Jeszcze jam was nie wpuścił - odezwał się nad nami głęboki, zgrzytliwy głos. - Musicie okazać się tego godni.

Odkoczyłam z krzykiem. Piotrek też się cofnął, ale nie krzyknął. Za to mój pisk poniósł się daleko ponad wzgórzami.

Rozglądnęłam się dookoła. Skąd dobiegał ten głos?

W drzwiach znowu coś zachrupało. Spojrzeliśmy na nie. Metalowe gałki oczne poruszyły się pod metalowymi powiekami lwa znajdującego się pomiędzy kołatkami. Zupełnie jakby spojrzały na mnie, a potem na Piotrusia.

- Kim jesteś? - wydukałam.

- Jam jest drzwiami - odparł poważnym głosem łeb.

- Drzwiami więzienia? - Piotruś siłą woli powstrzymał się od uśmiechu na myśl o tym szalenie ważnym stanowisku.

- Tak. Jam jest drzwiami.

Metalowy łeb wyrastał wprost z wrót. Zastanowiło mnie, czy w środku jest dalsza część jego potężnego cielska.

Czyżby kolejny zwariowany anioł taki jak Forneus? Z tym wyjątkiem, że zamiast przebywać pod postacią potwora morskiego podobał sobie drzwi? Niebiańskie istoty naprawdę były dziwne...

- Jesteś aniołem? - zapytałam.

- Nie. Jam jest drzwiami - powtórzył z godnością.

Czyli wychodzi na to, że jeszcze gdzieś pałęta się jakiś anioł którego będziemy musieli jakoś obejść.

- A jesteś strażnikiem więzienia? - wołałam się upewnić.

Może Moroni nie był doinformowany? Może poza lwem nie było innej ochrony. Sam budynek i drzwi wyglądały na dość solidne.

- Nie. Jam jest drzwiami.

- A czy w środku jest jakiś anioł, który pilnuje tego więzienia? - chciał wiedzieć Piotrek

- Nie wiem. Jam jest drzwiami.

- Taki wysoki, z czarnymi włosami ułożonymi w irokeza. Całkiem przystojny - usiłowałam go naprowadzić. - Na pewno zauważyłeś. Musiałeś go wpuścić.

- Jam jest drzwiami. W środku dużo istot. Nie znam ich.

Miałam podejrzaną wrażliwość, że nie będzie chciał wpuścić nas do środka. Traktował swoją pracę bardzo poważnie. Spojrzeliśmy po sobie Piotrkami co robić? Nagle Piotruś padł na pewien pomysł.

- To chyba nudne być drzwiami, co? - powiedział skrzywiony.

- Nie. Ja lubię być drzwiami.

- Ale nie nudzisz się? - koniecznie chciał wiedzieć Piotrek.

- Bycie drzwiami jest bardzo zajmujące - głos lwa podniósł się odrobinę w górę.

- Ale tylko się otwierasz i zamykasz - zauważyłam.

- Ja lubię być drzwiami.

- A długo nimi jesteś? - spytałam.

Lew otworzył szeroko paszczę i zawarczał głośno.

- Jam jest tylko drzwiami. Wchodźcie, czy nie?!

Uśmiechnęliśmy się z Piotrkiem. Chyba okazaliśmy się godni, a on naprawdę lubił być drzwiami.

- Wchodzimy - odparliśmy zgodnie.

- To wchodźcie - warknął.

Drzwi zaczęły się uchylać. Musieliśmy się cofnąć, ponieważ otwierały się na zewnątrz. W środku znajdował się długi korytarz z celami o długich srebrnych kratkach. Pośrodku leżał czerwony dywan ze złotymi frędzlami. Na ścianach obitych purpurową tapetą wisiały poślacane kandelabry. Wosk kapał dużymi kroplami na podłogę.

Przeszliśmy przez wrota.

Drzwi powoli się za nami zawarły. Zostaliśmy zamknięci w środku. Ciekawe, czy lew nas potem wypuści?

Korytarz prowadził do wysokich schodów. Budynek miał kilka pięter.

Powoli zaczęliśmy iść przed siebie, zaglądając po kolei do cel. Większość z nich była pusta, jednak kilka miało swoich lokatorów.

Minęliśmy zapijaczzonego putta. Spojrzał na nas czerwonymi od alkoholu oczami i złapał się kurczowo krat.

- Wypuście mnie! - zawołał. - Obiecuję, że już nie będę pił. Nie będę. Tylko troszkę. Czasami. Wiecie, jak trafi się okazja. Ale przez większość czasu będę trzeźwy.

Minęliśmy go szybko. Putto zaczął coś śpiewać, czkając co chwila.

- Och, moja butelko... ńik... czemuś taka pusta... ńik... och, moja pereńko... ńik... chcę cię wsadzić w usta... ńik!

- Zamknij się, miernoto! - wrzasnął z końca korytarza dobrze znany mi głos. - Ni krzty poezji, tylko same zberezeństwa.

Azazel. A gdzie był on...

- Ta pijacka mordą znowu zaczyna... - warknął jego kompan.

A gdzie był on, był też Beleth.

Po cichu ruszyliśmy szybko korytarzem.

Mijaliśmy cele. W jednej z nich dostrzegłam nieznanego mi anioła z połową twarzy spaloną żrącym kwasem. Przewiercił nas spojrzeniem jedyne go, błękitnego oka. W kolejnej znajdował się złoty golem zwinięty w pozycji embrionalnej na podłodze.

Poza nimi nie dostrzegliśmy nikogo. Drzwi się myliły. Wcale nie było tu zbyt wielu istot. No, chyba że wyższe piętra były bardziej zatłoczone.

Wnętrza cel nie przypominały tych piekielnych. W środku były kompleksowo wyposażone. Miały łóżka z pościelą i miękkimi materacami oraz poduszkami. Dywany na podłogach, lustra na ścianach, krzesła. W oknach

wisiały firanki i aksamitne zasłony. W Niższej Arkadii więzień mógł liczyć tylko na wilgotny pokój z metalową pryczą.

Stanęliśmy naprzeciwko celi Beletha, wcześniej mijając Azazela. Podstępny diabeł rozdziawił usta na nasz widok i podbiegł do krat. Przeszliśmy obok niego bez słowa.

Beleth leżał na łóżku z rękami pod głową. Wpatrywał się w baldachim. Wcześniej narzekał na pijaka z celi obok, ale teraz poruszał stopą w takt muzyki.

- To... to... - wyjąkał Azazel i wyciągnął do nas ręce przez kraty. - Niemożliwe... Chcecie nas uwolnić?

- Uwolnić? - zdziwił się Beleth, nadal nas nie zauważając. - Azazel, co ty pieprzysz? Całkiem na rozum ci padło w tym więzieniu?

Odwrocił się w naszą stronę i zamarł. Wbił we mnie spojrzenie swoich złotych oczu. Poczułam, jak mnie ono przewierca. Zerwał się z łóżka i, w jednej chwili znalazł się przy kracie. Cofnęłam się, żeby nie zdołał mnie dotknąć.

- Wiktorio! Ty żyjesz! - zawołał z nieopisaną ulgą. - Myślałem, że utonęłaś!

- I utonęłabym, gdyby nie Piotrek. Ty mi nie pomogłeś...

- Wolalem się za tobą nie rzucać - wyjaśnił pospiesznie diabeł. - W ten sposób zdradziłbym, że też byłaś nad jeziorem,

- Szlachetne z twojej strony - prychnęłam. - Pozwolić mi umrzeć zamiast zdradzić.

- Gdybyś umarła, to i tak trafiłabyś do świata pozagrobowego. Nie miałem nic do stracenia - mrugnął do mnie.

- W przeciwieństwie do mnie...

- Przesadzasz. Przecież śmierć wcale nie jest czymś strasznym. To po prostu przejaw skrajnego niedoboru zdrowia. Poza tym jesteś zbyt zżyta z Ziemią. Nie rozumiem tego przywiązania. Zresztą nie wpadłabyś do wody, gdybyś nie stanęła na łódce. Nawiasem mówiąc, to ty zafundowałaś nam atak Forneusa - usiłował się bronić, zwalając winę na mnie.

- Jesteś paskudny. Jak ty możesz spać w nocy? - zapytałam zirytowana.

- A bardzo dobrze. Dziękuję za troskę - uśmiechnął się czarująco, udając, że nie pojął przytyku. - Chociaż jest mi trochę chłodno. Przydałby mi się ktoś do wspólnego ogrzania pościeli.

- Kup sobie poduszkę elektryczną albo psa. On dodatkowo jeszcze cię obślini - doradziłam.

- Kochanie, twa obojętność łamie mi serce - odparł rozbawionym tonem.

Piotrek podszedł do spiralnych schodów i zerknął do góry. Wzruszył ramionami, gdy na niego spojrzałam. Nigdzie nie było widać pilnującego anioła.

- Ktoś was pilnuje? - zapytałam Azazela.

- Dzisiaj nikt. Podobno coś się wydarzyło w Arkadii i wszyscy musieli się tam stawić. Ciekawe co to. Wiecie może? - odpowiedział.

Odetchnęłam z ulgą. Po prostu stąd wyjdziemy, o ile drzwi nas wypuszczą. Bez zbędnych kłopotów. Wreszcie coś szło po naszej myśli.

- Wszyscy nas szukają, bo okradliśmy Gabriela z jego lampy oświecenia, a wcześniej anioła Moroniego. Chciał zdobyć władzę nad światem za pomocą pewnych artefaktów, które pożyczaliśmy, podstawiając fałszywki. Niestety rękopisu z zaklęciem nie udało nam się skopiować, więc się zorientował - wyjaśnił mu z kamienną twarzą Piotrek. - Mieszkańcy Nieba mają areszt domowy, a wszyscy pracownicy latają jak szaleni z trąbami i nas szukają.

- Zapomniałeś dodać, że spowodowaliśmy prawdopodobnie całą serię katastrof i klęsk żywiołowych na Ziemi, żeby odwrócić ich uwagę - dodałam.

- Ach tak. Masz rację, kochanie. Panel sterowania w Anielskim Centrum Dowodzenia świetnie się nam przydał.

Diabły stały, nie wiedząc, co mają powiedzieć. Nawet anioł z oszpeconą twarzą gwizdnął z uznaniem.

W końcu Azazel pociągnął nosem i wpatrzył się we mnie pełnym miłości spojrzeniem.

- Moja krew - duma wręcz go rozpierała.

Beleth patrzył na nas zdumiony.

- Ale jak to? - zapytał.

- A teraz zamierzamy cię uwolnić - oświadczyłam mu. Na moje słowa zareagował tylko Azazel:

- Jak to: „cię”? A co ze mną?

- Anioł Moroni nie zlecił nam uwolnienia ciebie i nie dał nam klucza do twojej celi - wyjaśnił mu usłużnie Piotruś. - Spiskował z Belethem, więc zależało mu na uwolnieniu tylko i wyłącznie jego.

- CO?! - Azazel ryknął i wyciągnął rękę w stronę celi Beletha. - Spiskowałeś z Poronionim Moronim przeciwko mnie?! Mnie?! Ty Brutusie cholerny! Ty diable!

- Do usług. Chyba nie oczekiwałeś, że będę chciał zostać archaniołem? - zachnął się. - Przecież ten pomysł był bezsensowny.

Azazel oddychał spazmatycznie. Zauważyłam, że Piotrek uśmiecha się złośliwie. Cieszyło go, że zdołał dokopać diabłom. Mnie cieszyło, że to wreszcie Azazel został wyrolowany. Miał okazję poczuć na własnej skórze, jak to jest.

- Ale dzięki mnie byłbyś aniołem - krzyknął Azazel.

- A dzięki Moroniemu będę prawą ręką boga. Nowego boga.

- Co...?

Postanowiłam pospieszyć z wyjaśnieniem.

- Moroni ubzdurał sobie, że zostanie bogiem i zdobędzie władzę nad wszystkimi zaświatami, kiedy tylko, używając dziewiętnastu kluczy, otworzy jakieś wrota do Piekieł.

Beleth westchnął znużony, jakby słyszał to już miliard razy. Za to Azazel pokiwał głową i jęknął zawiedziony:

- Dlaczego znowu pierwszy wymyślił coś takiego? Czemu ja nigdy nie mam takich pomysłów?

- Bo jesteś głupszy - odpowiedział mu Beleth.

- Zamknij się, ty źmijo wyhodowana na mojej piersi - pogroził mu pięścią.

Podeszłam do Azazela.

- Naprawdę Moroni może to zrobić? - zapytałam zaniepokojona. - Naprawdę po odczytaniu zaklęcia zdobędzie władzę nad światem?

- Tak... a wtedy wszyscy będziemy się musieli mu kłaniać... cholerny świat. Bycia bogiem mu się zachciało - wyglądał, jakby miał się rozpląkać. - Bogiem. Hm... gdybym to ja był bogiem...

Przestałam zwracać na niego uwagę. Piotrek wyjął z plecaka żelazny klucz. Pasował do zamka w kratkach Beletha.

Przystojny diabeł zmarszczył czoło i odsunął się od wyjścia.

- Zaraz, zaraz. Coś mi tutaj nie pasuje. Dlaczego mnie uwalniacie?

- Bo Moroni nam kazał - wyjaśnił Piotrek.

- Ale Moroni podobno oskarżył was o kradzież. Sami tak powiedzieliście. Czy to znaczy, że nadal z wami sympatyzuje?

Zerknęliśmy po sobie z Piotrusiem. Jakby mu to powiedzieć...?

- Obecnie Moroni nas chyba nienawidzi. A uwalniamy cię dlatego, że nie mamy pojęcia, gdzie moglibyśmy się ukryć. Poza tym musimy zdobyć dwa kolejne klucze, zanim zrobi to Moroni, a nie wiemy, gdzie znajduje się jeden z nich. Pomożesz nam w tym.

- Chociaż nie jestem pewien, czy musimy - wtrącił niechętnie Piotrek. - Bez inkantacji na manuskrypcie i tak nie wypowie zaklęcia.

- Sądzę, że może znać je na pamięć. Był dość fanatyczny, jeśli chodzi o te przedmioty.

- Chwila! - Beleth przerwał nam naszą dyskusję. - Usiłujecie mnie wmanewrować w ogólnozaswiatowy pościg za waszą dwójką i próbę zdobycia władzy nad światem? Ja się w to nie bawię.

Odwrócił się do nas plecami.

- A ja chcę! Ja chcę! - zajęczał Azazel, machając ręką jak nadgorliwy uczeń. - Wypuście mnie! Ja chcę zdobyć władzę nad światem! Jak zostałbym bogiem, moglibyście być moimi pierwszymi świętymi. Załatwię wam jakieś cuda. Co tylko chcecie.

- Nie mamy klucza do twojej celi - zgasłam jego zapędy. - Skoro sam nie zdołałeś sforsować krat, to my też nie damy rady.

Przekreśliłam klucz w zamku od samotni Beletha i otworzyłam na oścież drzwi.

- Zapraszamy do naszego spisku - powiedziałam do niego. Posłał mi przez ramię urażone spojrzenie.

- Niby dlaczego mam wam pomagać? Co ja z tego będę miał?

- Czyste sumienie - zakpiłam.

Tak jak podejrzewałam, nie zachwyciła go ta możliwość.

- Poza tym jeśli razem z nami wystąpisz przeciwko Moroniemu, to sądzę, że służby anielskie wybaczą ci przebywanie nad Jeziorem Czasu i może zostaniesz aniołem - kontynuowałam. - Zresztą jeśli w ogóle masz jakieś sumienie, to powinienes mi pomóc. O ile pamięć mnie nie myli, to podobno mnie kochasz. Co to ma być? Kolejna deklaracja bez pokrycia?

- Słucham? - Piotrek gwałtownie odwrócił się w moją stronę.

Beleth wydał usta i podszedł do mnie. Poczułam jego zapach. Powiew morskiej bryzy i orientalnego kadzidła. Zapach, który miał mnie uwieść. Jego złote, ciepłe spojrzenie wwiercało się we mnie. Kusilo, obiecywało. Zakrećilo mi się w głowie.

- A o ile mnie pamięć nie myli, to wybrałaś tego beznadziejnego śmiertelnika - powiedział.

- Wybrałam. I chyba dobrze zrobiłam, bo znowu mnie okłamywałeś od samego początku. Pomóż mi i spróbuj zdobyć na nowo moje zaufanie - zaproponowałam.

Piotrek przysunął się do mnie.

- Chwila, bo ja się chyba pogubiłem, kto tu komu coś obiecuje. Wiki? Zignorowaliśmy go z Belethem.

- Chcesz ze mną grać? - diabeł uśmiechnął się.

- Próbuję - mruknęłam zła, że mnie przejrzał.

- Wiesz, że możesz przegrać? - zapytał.

Jego złote oczy błyszczały ciepło. Nie złośliwie czy z pogardą. One były pełne całkiem innych uczuć.

- Nie zamierzam - odparłam hardo.

- Zgoda - diabeł uściśnął moją dłoń. - Pomogę wam. Chcę zobaczyć, Wiktorio, w jaki sposób wygrasz ze mną, a raczej z samą sobą. To może być bardzo interesujący pojedynek.

Odwróciłam się do Piotrka. Wpatrywał się pustym wzrokiem w podłogę, jakby rozważał moje słowa. Poczułam się winna. Wszystko się psuło.

- Czemu mnie nikt nie wypuści? - zajęczał Azazel. - Ja bardzo chcę pomóc.

- Bo ciebie nikt nie lubi - wyjaśniłam.

- Kurwa...

Cóż, taka była prawda. Nawet Kleopatra już go nie lubiła, a przecież tak wiele ich łączyło. Dzikie żądze, na przykład.

- Musimy odnaleźć jeszcze dwa przedmioty i będziemy wtedy mieli cały zestaw potrzebny do otwarcia bram Piekieł - swoje słowa skierowałam do Beletha, jednak to Azazel zapytał:

- Jakie przedmioty?

- Pierścień Rybaka i kość niewiniątka. O co chodzi z tą kością, to nawet Moroni nie wie. Będziemy mieć z tym największy problem - zasepiłam się.

- Nie mam pojęcia, co to za kość - mruknął Beleth i przesunął dłonią po swoim czarnym irokezie.

Azazel zachichotał.

- A ja wiem.

Rozdział 37

- To znaczy, zakładam, że wiem - tłumaczył się chwilę później.

- Mormoni anioła jeszcze nie zdołali znaleźć odpowiedzi, o jakie niewiniątko chodzi - powiedział Piotrek - a ty twierdzisz, że tak po prostu wiesz?

Podstępny diabeł uśmiechnął się i odgarnął warkocz na plecy.

- W końcu jestem Azazel. Wiem różne rzeczy - wyjaśnił.

- To mów szybko, jaka to kość? - ponagliłam go.

Nie byłam pewna, ile mamy czasu. W każdej chwili mógł pojawić się z powrotem anioł pilnujący więzienia. To nie było bezpieczne miejsce na pogaduszki.

- A co ja będę z tego miał?

Ręce mi opadły. Czy żaden z nich nie zna słowa bezinteresowność?

- Czyste sumienie - mruknął zrezygnowany Piotrek.

- Ależ ja mam najczystsze sumienie pod słońcem - zachnął się diabeł.

Czyściutkie. Idealnie czarne. Żadnych plam na takim tle nie widać.

- To może satysfakcję, że dzięki tobie Moroni nie zdobędzie władzy nad światem? - zaproponowałam.

Azazel zamyślił się.

- Taak. Chyba wam pomogę - powiedział.

Oparł się o kraty. Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

- Kość niewiniątka, powiadacie. Wyjaśnienie tej zagadki jest proste. Osobiście poszukałbym tej kości na Cmentarzu Niewiniątek.

Cmentarz Niewiniątek? Co to takiego? Pierwszy raz słyszałam tę nazwę.

- Oczywiście żadne niewiniątka nigdy nie były tam pochowane - machnął ręką. - Jaką ten cmentarz ma historię! Zaczniemy od tego, że powstał na miejscu pogańskiej świątyni, potem zwieźli tam szczątki Ryszarda z Pontoise i zdarzały się same cudy. Zawsze mnie zastanawiało, czy te cudy były od Ryśka, czy od pogan...

- Azazel, daruj sobie te historyczne wstawki. Powiedz, gdzie jest ten cmentarz - nakazałam. - Nie mamy czasu.

Prychnął na mnie. Zawiodłam jego oczekiwania. Nie byłam słuchaczem, jakiego najwyraźniej oczekiwał.

- Nie ma już tego cmentarza. Został zlikwidowany bodajże w 1785 roku. Dokładnie nie pamiętam. Średnio mnie to obchodziło.

- To po co nam o tym mówisz? - wycedziłam.

- Chyba wiem, o co mu chodzi - wtrącił Piotrek. - Wiem, gdzie są kości z tego cmentarza.

Niewiarygodne. Wszyscy najwyraźniej byli mądrzejsi i lepiej poinformowani ode mnie. Skandal!

- Przenieśli je do katakumb pod Paryżem - dokończył.

Katakumby. Słyszałam o nich. Jakiś czas temu głośno było w prasie o francuskich studentach medycyny, którzy bezkarnie kradli stamtąd czaszki i inne kości potrzebne im do zajęć anatomicznych. Nie rozumiałam tej lekko odrażającej fascynacji ludzkimi szczątkami. W Paryżu, tak jak w Warszawie, na uczelni medycznej w obrębie jej murów z całą pewnością można było wypożyczyć potrzebne pomoce naukowe.

Po co trzymać je w domu na parapecie? No ludzie...

Klasnęłam w dłonie.

- Czyli idziemy do katakumb! - powiedziałam zadowolona, że mam jakiś cel.

- Czekaj, czekaj - powstrzymał mnie Beleth. - Dlaczego kość niewiniątka ma być stamtąd? Przecież cmentarz powstał na długo, zanim ktoś zaintonował po raz pierwszy zaklęcie Moroniego.

Azazel uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Znam historię o dziewiętnastu kluczach henochiańskich. Ich przedstawienia są raczej wskazówkami. Nie musisz bezwzględnie mieć kości niewiniątka. Chodzi raczej o intencję. Ale na wszelki wypadek nie bierzcie się za nieochrzczone szczątki. Takie są beznadziejne do Czarnej magii.

- A ty skąd wiesz? - prychnęłam.

- Wiesz, miało się swoją sektę, nie? Gorąco polecam wam pozwiedzać katakumby. Świetne miejsce na przyjęcie albo czarną mszę.

- Chodźmy już - Beleth pociągnął nas do wyjścia.

- I wydostańcie mnie stąd szybko!!! - do drzwi odprowadził nas krzyk Azazela. - Proszę... - dodał bardzo cicho.

Wrota były zamknięte. Od tej strony nie było kołatek ani metalowego łba lwa. Pchnęliśmy drzwi, ale ani drgnęły. Zastukałam w nie delikatnie.

- Tak? - zapytał mnie głęboki głos, a drzwi zadrżały.

- Chcemy wyjść - powiedziałam. - Wypuść nas.

- A kto pyta?

- Wchodziliśmy tu przed chwilą. Pamiętasz nas? Dyskutowaliśmy o tym, czy lubisz być drzwiami - wyjaśniłam.

- Nie wiem, czy jesteście godni, bym was wypuścił. Jam jest drzwiami - znowu zaczął swoją śpiewkę.

- Nie chciałeś mieć nigdy klamki? - zagadał go Piotrek. - To by strasznie ułatwiło sprawę.

- Albo klapkę dla psa - zasugerowałam.

- Wywietrznik - dodał chłopak.

- Okienko? - zawtórowałam.

- Judasza? - spytał Piotrek.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Usłyszeliśmy, jak lew warczy rozzłoszczony i zgrzyta metalowymi zębiskami.

- Dziękujemy - pomachałam mu na do widzenia.

Przewrócił oczami.

- Tylko nie wracajcie - pożegnał nas.

Zbiegliśmy ze wzgórza. Trawę, pomiędzy której wyrastały polne kwiaty, przygniatały nasze stopy. Ukryliśmy się w małym zagajniku.

Beleth wyrzwał zza zarośli i zadowolony, że nikogo nie dostrzegł, usiadł, opierając się o pień młodej brzoźki. Byliśmy w miarę bezpieczni. Dopóki nikt nie wiedział, że uwolniliśmy diabła z więzienia, pościg nie powinien skierować się w jego okolicę.

Chyba że ktoś, na przykład pewien albinos ze skrzydełkami, napomknie, że moglibyśmy mieć ochotę kogoś ratować.

- Czyli macie wszystkie przedmioty poza Pierścieniem Rybaka i kością niewiniątka, tak? - zapytał.

Pokiwałam głową.

- Gdzie je macie?

Piotrek rzucił plecak na ziemię. Coś brzdęknęło. Miałam nadzieję, że lampa była jeszcze cała. Gabriel pewnie skróciłby nas o głowy, gdybyśmy ją stłukli.

- Tu - oświadczył chłopak i też usiadł.

Byliśmy zmęczeni. Sporo wrażeń się nazbierało. Poza tym nie spaliśmy całą noc. Ani nic nie jedliśmy. Byłam strasznie głodna. Szybko stworzyłam sobie dużą pizzę.

Piotrek porwał mi od razu kawałek.

- Wybacz - powiedziałam do Beletha. - Ale nie jedliśmy od wczoraj.

Pokiwał nieprzytomnie głową, wpatrując się głodnym wzrokiem w plecak.

- Macie tam wszystko? - wydusił.

- Tak - wzruszyłam ramionami. - Jabłko z gabinetu Szatana i lampę z gabinetu Gabriela udało nam się zdobyć. Potem Moroni zażądał uwolnienia ciebie i się zbuntowaliśmy, więc ukradliśmy mu wszystko.

- Ale zostawiliśmy kopie - podkreślił Piotrek.

- Tylko że Azazel powiedział, że liczy się raczej intencja niż przedmiot, więc kopie pewnie działają tak samo jak oryginały. W takim razie musimy zdobyć pierścień i kość przed Moronim. W ten sposób nie będzie miał kompletu - powiedziałam.

Beleth wreszcie zdołał odwrócić swoją uwagę od plecaka.

- Jeśli Moroni wpadnie na pomysł zdobycia kości z Cmentarza Niewiniątek, to raczej ją zdobędzie. W ossarium w katakumbach, posiadających dziesiątki, jeśli nie setki tuneli, jest w sumie sześć milionów ciał. Sądzę, że nikt go nie powstrzyma przed pożyczeniem jednej małej kosteczki.

- Po co komu tyle ciał w jednym miejscu? - skrzywiłam się z niesmakiem.

- Kiedyś w Paryżu często zdarzały się epidemie... - wyjaśnił mi na odmianę Piotruś.

- Dlatego zdecydowano się przenieść wszystkie szczątki z płytkich grobów z cmentarzy w obrębie ścisłego centrum miasta - wtrącił się Beleth.

Diabłu wyraźnie było nie w smak, że śmiertelnik wcina się do jego miniwykładu. To on chciał być tu najmądrzejszy. Wolałam nie rozmawiać o takich rzeczach podczas jedzenia. Mężczyźni jednak podłapali temat.

- I przeniesiono je do pozostałych po Rzymianach katakumb. Kiedyś były tam kopalnie wapienia - uwaga Piotrusia była bardzo zgrabnie wpasowana w wywód Beletha. Diabeł akurat nabierał tchu.

- A odkąd znalazły się tam zwłoki, katakumby zaczęto zwiedzać - wycedził Beleth. - Poza tym, jak mówił Azazel, często odbywały się tam imprezy, czarne msze. Podobno do dzisiaj się odbywają w korytarzach zamkniętych dla zwiedzających. Nie wiem, czy wiesz, że Wiktor Hugo umieścił tam akcję swojej powieści *Nędznicy*.

Piotrek przełknął kęs pizzy.

- Był też taki horror *Katakumby*, w którym Pink biegała po tunelach z jakąś inną dziewczyną i przed czymś uciekała - zamyślił się. - Ale już nie pamiętam, o co w tym filmie chodziło.

- Pink? - zawołałam z zachwytem.

Beleth miał minę, jakbym go kopnęła, i to między nogi. Nie podejrzewał, że bardziej podnieci mnie wizja Pink niż Wiktora Hugo.

Gdy zjadłam, poczułam się jeszcze bardziej zmęczona. Cała energia chyba uciekła do mojego żołądka, żeby tam w spokoju trawić pizzę.

- To co? - Beleth klasnął w dłonie. - Lecimy do Paryża?

Spojrzeliliśmy na niego ponuro.

- A może masz pomysł na jakąś kryjówkę? - spytałam. - Jakieś miejsce, w którym moglibyśmy trochę się przespać? Sądzę, że mój dom w Los Diablos jest spalony. Twój pewnie też.

Diabeł zamyślił się.

- Chyba znajdę takie miejsce.

- Moglibyśmy poprosić Śmierć o tymczasowe przechowanie - zaproponował Piotrek.

- Nie, ja znam lepsze miejsce - Beleth pokręcił głową.

- Lepsze od innego wymiaru, do którego wstęp ma tylko Śmierć? - zakpił chłopak.

Zupełnie jak małe dzieci. Za każdym razem, gdy się widzieli, nieważne czy w tej rzeczywistości, czy w innej, zawsze musieli udowodniać sobie nawzajem, który z nich jest mądrzejszy, przystojniejszy i bystrzejszy.

- Skoro zamierzacie wprosić się do Śmierci, to po co wam moja pomoc? - Beleth zmiażdżył go spojrzeniem.

- Pośrednio dzięki tobie dowiedzieliśmy się, skąd wziąć kość - uświadomił go chłopak. - Czy on jest nam jeszcze do czegoś potrzebny?

Spojrzał na mnie pytająco. Najpierw sam wpadł na pomysł, żeby go wypuścić, a teraz zmienia zdanie...

- Jest potrzebny - odparłam. - Zna lepiej Moroniego. Będzie wiedział, na co go stać i czego możemy się po nim spodziewać.

Piotrek miał skwaszoną minę.

- Chce mi się spać - powiedziałam. - Gdzie się ukryjemy?

- W Piekło - oświadczył diabeł. - Tak jak powiedziałaś, mój dom jest spaloną kryjówką, tak jak twój. Jednak mamy tam kilkoro przyjaciół.

Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie znalazł tak dużej przestrzeni, żeby pomieściła jego drzwi.

- Stwórz przejście na Ziemi - doradziłam mu.

Spojrzał na mnie, jakbym powiedziała jakąś wyjątkową herezję.

- Na Ziemi? - zapytał. - Chcesz komuś spaść na głowę? Nie wypada.

Dlatego, że się uparł, musieliśmy wrócić do więzienia. Pod górkę... Tylko po to, żeby móc wsunąć klucz w ścianę.

Metalowy lew patrzył na nas zmrużonymi oczami. Chyba nie ucieszył się na nasz widok. Nie próbowaliśmy z nim rozmawiać. Kto wie, czy on jednak nie potrafi wyjść z tej ściany. Latająca głowa byłaby dość dziwnym zjawiskiem, ale już nauczyłam się, że tutaj wszystko było możliwe.

Beleth wsunął klucz w ścianę.

- Dokąd idziemy? - zapytałam.

- Do starej przyjaciółki...

Nagle, gdzieś w oddali, zabrzmiał metalowy, jednostajny zgrzyt. Odwróciliśmy się w stronę łąki.

- Co to jest? - zawołałam, usiłując przekrzyczeć jazgot.

Na horyzoncie, tuż nad lasem, błyszczało kilka złotych punktów.

- Nie mówiliście, że gonią was GOLEMY!!!!!!!!!!!!!! - wrzasnął autentycznie przerażony Beleth.

- Bo nas nie goniły - mruknął w odpowiedzi Piotrek.

Spojrzałam na lwa, który zaśmiał się głębokim głosem.

- Gdy odeszliście, pojawił się strażnik więzienia. Powiedziałem mu o waszej wizycie - oświadczył zadowolony z siebie.

Oto dlaczego nie należy drażnić się z drzwiami. Mogą potem wepchnąć ci klamkę w plecy w najmniej oczekiwanym momencie.

Sylwetki golemów stały się wyraźniejsze. Teraz doskonale widziałam błyski światła odbijające się w ich zakrzywionych szablach. Jeden z potworów zamachał bronią, a ta zabłysła płomieniem.

Mieliśmy spore kłopoty.

Rozdział 38

Zza kilkudziesięciu kolorowych szybek błyskał do nas wesoło ogień. Nie wiem, po co Beleth zastukał szybko sześć razy, jak nakazywała piekielna etykieta, zamiast po prostu uciekać. Szkło zadzwoniło, źle osadzone w drewnie.

- Proszę - odpowiedział nam wyniosły głos w momencie, kiedy w pędzie wskoczyliśmy do środka.

Kleopatra siedziała na złotym krześle przy złotym biurku i przeglądała jakieś papiery. Zapewne dokumenty na temat kolejnego zmarłego, którego miała namówić na Niższą Arkadię. Za plecami miała pochodnię, której światło widzieliśmy.

- Cześć - powiedziałam.

Podniosła głowę i spojrzała na nas zdumiona. Długie strusie pióro, którym pisała, opadło na biurko. Olbrzymi kleks rozlał się po kartce.

- Och - wyszeptała po prostu.

To było chyba najoszczędniejsze powitanie, z jakim się spotkałam z jej strony. Zwykle była znacznie bardziej wylewna. Zaskoczona patrzyła, jak do pokoju wchodzi ja, potem Beleth, a na końcu Piotruś.

Chłopak zamknął za sobą drzwi, a spojrzenie królowej stwardniało.

- A gdzie Azazel?! - warknęła, zrywając się z krzesła, dla którego znacznie bardziej odpowiednia byłaby nazwa „tron”. - Boi się tu przyjść?!

- Nadal jest w więzieniu w Arkadii - wyjaśnił jej diabeł.

- Och - usiadła z powrotem zbita z pantałyku. - Nie rozumiem.

Beleth klasnął w dłonie. Obok biurka pojawiły się trzy miękkie fotele. Nie spodziewałam się tego po nim. Przez chwilę podejrzewałam, że stworzy tylko dwa wygodne siedziska, a dla Piotrka twardy drewniany taboret. Diabeł zdobył u mnie plus.

Usiedliśmy.

Fotel Piotra nie załamał się pod nim. Beleth zdobył kolejny punkt.

- Wszystko ci wyjaśnię, Kleo - przecesał dłonią czarnego irokeza i zaczął mówić.

Opowiedział jej w skrócie, co się dzisiaj wydarzyło, a także o naszej chwilowej współpracy z aniołem Moronim. Zakończył wszystko uroczą i jakże plastyczną wizją złotych golemów, które chciały nas rozczłonkować za pomocą swej straszliwej broni.

- Czego ode mnie oczekujecie? - zapytała, zerkając na plecak, którego Piotruś na wszelki wypadek nie wypuszczał z rąk.

- Pozwól nam się tu przespać i trochę odpocząć. Jutro stąd znikniemy i nikomu nie powiemy, że miałaś z tym cokolwiek wspólnego - zaproponował Beleth.

Królowa zerknęła na swoje skrupulatne notatki.

- Mam dzisiaj wieczorem targ, więc i tak nie będzie mnie w domu. Gdyby coś się wydało - posłała nam ostre spojrzenie - nie wiedziałam, że byliście w moim domu. Włamałiście się tutaj bezprawnie. Rozumiecie?

Kiwnęliśmy głowami. Nagle coś mi się przypomniało.

- Kleo, a nie wiesz, co u Behemota? Nie zaglądałaś do niego?

Królowa lekko się zaczerwieniła.

- Nie zaglądałam do niego.

Nie zaskoczyła mnie tym. Poprzednio, jak miała się nim zajmować, to też pokpiła sprawę.

Ciekawe, co u niego słyhać? Miałam nadzieję, że nie podpalił mi domu iskrami i że nic mu się nie stało. Mógł zrobić sobie krzywdę. Nie wiem, co sobie wyobrażał, ale po zjedzeniu jabłka nie mógł latać za ptakami. Chyba że owoc inaczej działał na koty.

Nie było jeszcze za późno. Zmrok nie kładł się na krajobrazie Los Diablos. Jednak zmęczenie pochylało moją głowę coraz niżej.

- Zaprowadzę was do pokoi - zaproponowała królowa.

- Masz trzy wolne sypialnie? - zapytał diabeł.

- Dwie wystarczą - sprostował Piotrek, podając mi dłoń, żeby pomóc mi wstać.

Nawet nie miałam siły, żeby przerwać ich kolejny pojedynek słowny. Chciałam jak najszybciej się położyć. A oni znowu się kłócili.

- Dwie? Wybacz, Piotrze, ale nie pociągają mnie mężczyźni - warknął diabeł. - Nie zamierzam zajmować z tobą jednego pokoju. Sądzę, że w rezydencji Kleopatry znajdzie się kilka sypialni. Nie jest ubogą krewną Nefretete.

Królowa zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Gratulacje, udało mu się wciągnąć ją do tej bezsensownej dyskusji.

- Mam szesnaście sypialni! - wybuchnęła. - A z tego, co wiem, tamta wieśniaczka tylko czternaście.

- No właśnie - Beleth pokiwał głową.

- W takim razie zajmij dwie, Belecie, skoro jedna ci nie wystarczy. Ja będę spał z Wiktoria, na wypadek gdyby mnie potrzebowała albo gdyby ktoś nas zaatakował - odparował Piotrek.

Diabeł już miał wdać się z nim w kolejną rozprawę, ale ja się wtrąciłam:

- Śpię w jednym pokoju z Piotrkim. Koniec dyskusji. Uszanuj moją decyzję.

Diabeł posłał mi zranione spojrzenie. Nie wiem, czy tylko grał, czy rzeczywiście cierpiał. Nie chciałam jednak ulec. Gdybym została sama w pokoju, najprawdopodobniej po niespełna dziesięciu minutach odkryłabym Beletha w swoim łóżku. Obecność Piotra będzie go hamowała i zdołam się wyspać.

A naprawdę o niczym więcej teraz nie marzyłam.

Wnętrze sypialni było takie, jakiego spodziewałam się po Kleopatrze. Pod ścianą stało olbrzymie okrągłe łoże zasłane poduszkami. Złoto błyszczało do nas zachęcająco w świetle świec. Królowa nie akceptowała sztucznego oświetlenia. Żarówki były dla niej wymysłem chorych ludzi. Twierdziła, że nie miały w sobie za grosz romantyzmu.

Kolorowym parawanem z malowanego drewna wydzielona była część łazienka. Stała tam duża marmurowa wanna i zlew. Sedesu nie było. Jeżeli tak wyglądały wszystkie toalety, to nie wiem, gdzie królowa załatwiała swoje potrzeby.

Widząc wannę i kolorowe flakony z wonnymi płynami, zapragnęłam wziąć długą, gorącą kąpiel. Idealną, żeby się zrelaksować. Jednak najpierw miałam coś do załatwienia.

- Niezła wanna - Piotrek stanął obok mnie.

- Martwię się o Behemota - powiedziałam.

- Chcesz iść do swojego domu? - zagadnął.

Widać było, że bardzo zależy mu na tym, by poprawić mi humor. Chyba zaczął zauważać, że diabeł Beleth nic dla mnie nie znaczył.

- Na chwilę. Zobaczymy tylko, czy nic mu nie jest. A najlepiej go stamtąd zabierzmy - poprosiłam szybko.

Piotrek lubił Behemota tak jak wszystkie koty. Nie potrafił mi teraz odmówić.

- Dobrze - z powrotem założył plecak na ramiona. Ucieszona podbiegłam do ściany i wsunęłam w nią klucz diabła, myśląc intensywnie o swoim domu w Los Diablos. Po chwili pojawiły się przed nami drzwi z kolorowymi szybkami. Po drugiej stronie panowała ciemność.

Szarpnęłam za klamkę i przeszłam na drugą stronę. Tam stanęłam przerażona.

Mój dom został splądrowany. Klasnęłam w dłonie, by zapalić światło. W świetle lamp wszystko wyglądało jeszcze gorzej.

Meble były poprzewracane. Jedna z żarówek strzeliła iskrami po dywanie przewróconym na drugą stronę. Książki były pozrzucone z półek. Wbiegłam po schodach do sypialni. Ktoś rozwlekł wszystkie ubrania po podłodze. Poduszki były rozprute.

W holu kilka obrazów i mozaik nawiązujących do sztuki arabskiej zostało kompletnie zniszczonych. Rozbitych w pył.

- Co tu się stało? - Piotrek wypowiedział głośno moje myśli, gdy zesłam z powrotem na dół.

- Ktoś czegoś najwyraźniej szukał.

Przypomniałam sobie, po co w ogóle tu przyszłam.

- Behemot! - krzyknęłam. - Gdzie jesteś?!

Wbiegłam do kuchni. Usłyszałam, jak Piotrek otwiera drzwi na taras i także nawołuje mojego pupila.

- Kocie! Kocie Behemocie! - jeszcze raz krzyknęłam. - Chodź do mnie!

Kuchnia także przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy. Potłuczone naczynia wyglądały, jakby ktoś w ataku szału ciskał nimi o ściany.

- Na dworze go nie ma. - Piotrek podszedł do mnie i objął pocieszająco ramieniem.

Ktoś, kto się tu włamał, mógł zrobić mu krzywdę! Mojemu kotkowi!

W tej chwili usłyszeliśmy nad głowami miauknięcie. Szybko spojrzeliśmy do góry. Zza żyrandola wyjrzał trójkątny łebek mojego ulubieńca. Znowu miauknął. Z ulgi o mało nie ugięły się pode mną kolana.

Kotek, jak gdyby nigdy nic, wyszedł z za żyrandola i ruszył po suficie w stronę ściany. Patrzyliśmy zafascynowani. Zupełnie jakby miał łapki posmarowane klejem. Koci spider-man zgrabnie zeskoczył na ziemię. Mój mały demoniczny kocur szybko nauczył się korzystać z mocy piekielnych. Przyznam szczerze, że szybciej ode mnie. Porwałam go w ramiona.

- Co tu się stało? - zapytałam w jego miękkie futro. - Nic ci nie jest?

Pomimo spożycia jabłka mocy nie zyskał głosu, więc mi nie odpowiedział. Miauknął tylko kilka razy, jakby mi coś tłumaczył.

- Chodźmy stąd - zasugerował Piotrek. - Jeszcze złodziej wróci. A nie wiemy, kto to jest.

Wsunął klucz diabła w ścianę i stworzył nam przejście z powrotem do pałacu królowej.

Już miałam przekroczyć próg, gdy kot wyrwał mi się i zeskoczył na ziemię. Zasyczał na drzwi i nastroszył sierść.

- Co robisz? - zapytałam. - Chodź. Idziemy do Kleopatry. Tam będziemy bezpieczni.

Behemot pokręcił przecząco łebkiem. Z nosa poleciały mu iskry.

Pokój królowej kusił ciepłem i kolorami. Czemu kot bał się wejść? Przecież nie mieszkał tam żaden inny zwierzak. Odwrócił się i uciekł w głąb domu. Usiadł na szeszlunku i, przewiercał nas spojrzeniem.

- Chyba chce tu zostać - westchnął znużony Piotrek.

- Nie możemy go zostawić - zaprotestowałam. - A jak złodziej tu przyjdzie i go skrzywdzi?

- Wiki, kochanie - chłopak wziął mnie za rękę. - On chodzi po ścianach i syczy iskrami. Sądzę, że prędzej zabiłby złodzieja, niż dał mu się pogłaskać. Masz jedyne na świecie kota obronnego.

Kotek pokiwał łebkiem, jakby się z nim zgadzał, i zaczął lizać łapkę. Bez najmniejszych oporów przeniósł swoją toaletę w strefę bardziej intymną. Mimo że zjadł jabłko, wcale nie zaczął być wstydlivy.

- No dobrze - mruknęłam niechętnie. - Do zobaczenia. Poluj na wszystko, co się rusza. Zwłaszcza na złodziei.

Kotek jak strzała skoczył w moją stronę i złapał mnie zębami za nogawkę spodni. Wbił we mnie spojrzenie swoich złotych oczu. Nie chciał, żebym przeszła przez drzwi.

- Chyba nie chce, żebyśmy też tam poszli - zauważyłam roztropnie.

Piotrek zmarszczył brwi, patrząc na pokój Kleopatry.

- Może twój dom odwiedził ktoś, kto mieszka u Kleo? - zasugerował.

Zaśmiałam się. To było niemożliwe. Ostatnią rzeczą, o jaką podejrzewałabym była królową Egiptu, byłoby grzebanie w moich rzeczach.

- Daj spokój. Przecież to moi przyjaciele - zachnęłam się. - Behemot, zostaw moją nogę. I tak tam wejdę.

Kot puścił spodnie i zamruczał zirytowany. Najwyraźniej uważał, że robię poważne głupstwo.

Po raz ostatni się z nim pożegnaliśmy.

Piotrek usiadł na łóżku i westchnął ciężko, kładąc się na pościeli. Ja natomiast wpatrywałam się w znikający kontur drzwi. Może trzeba było posłuchać Behemota? Koty wyczuwają niebezpieczeństwo i złe intencje. Zwłaszcza czarodziejskie koty.

A może po prostu uważał, że nie będę bardziej bezpieczna nigdzie indziej niż w domu?

Spojrzałam na wannę. Kusila, oj kusila.

Odkręciłam złoty kurek i zatkałam korkiem odpływ. Kryształowo czysta woda zaczęła płynąć po różowym marmurze. Wzięłam do ręki szklany flakon z fioletowym płynem. Zapach bzu i fiołków uniósł się w pomieszczeniu, gdy piana zaczęła pływać na powierzchni wody. Wanna pomimo swoich dużych rozmiarów szybko się wypełniała.

Piotrek uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie zachęcająco gdy wyszłam zza parawanu.

- Chyba wezmę kąpiel - powiedziałam.

- Sama? - zapytał.

Podeszłam do niego i wzięłam go za rękę. Pomiedzy nami przeskoczyły iskry napięcia. Spojrzałam w jego pełne zaufania czarne oczy. Zawsze będzie miał swoje miejsce w moim sercu, ale...

- Piotrek... - zaczęłam.

Wesołość zniknęła z jego oczu. Posmutniał.

- Przegrałem? - zapytał. - Diabeł wygrał?

- Nie, to nie tak - zaprzeczyłam. - Ale powiedz mi sam, czy my możemy być razem szczęśliwi?

- Byliśmy szczęśliwi - zauważył.

- Ale jak długo? Cztery miesiące? Tylko tyle diabły wytrzymały, zanim znowu wciągnęły mnie do swojego świata. Ja się od nich nigdy nie uwolnię.

Poza tym nie byłam pewna, czy chcę się od nich uwolnić. Nie wyobrażałam sobie teraz powrotu na Ziemię do mojego dawnego życia. Nie mogłabym tego wszystkiego zostawić i udawać przed samą sobą, że jestem taka jak wcześniej.

Piotrek ścisnął moją dłoń.

- Kocham cię, Wiktorio. Byłem skończonym idiotą, że nie zauważyłem tego, zanim zainteresowały się tobą diabły. Zostań ze mną. Nie zdradzę cię już. Przysięgam.

- Nie kochasz mnie - zaprzeczyłam.

- Kocham!

- Kochałeś dawną Wiki, ale ja już nią nie jestem - powiedziałam. - Zmieniłam się. Zakochałeś się w Wiktorii, dziewczynie z twojej uczelni, która za tobą łąziła i starała się zwrócić na siebie uwagę. Już nią nie jestem. Stałam się byłą diablicą, która niejedno ma na sumieniu.

- To nieprawda - zaprotestował. - Nie zmieniłaś się. Jesteś nadal moją Wiki, moją kochaną Wiki.

Pokręciłam głową.

- Nawet jeżeli ze sobą będziemy, to już nic nie będzie takie samo. Nie wiem, czy potrafię wrócić na Ziemię.

Piotrek wpatrzył się z napięciem w moją twarz, szukając oznak, że kłamię, że nie mówię mu teraz prawdy.

Tak długo byłam w nim szaleńczo zakochana. Ślepo. Uśmiechnęłam się na wspomnienie tamtego uczucia.

A teraz? Teraz zaczęłam na to patrzeć racjonalnie.

- Piotrek, sam powiedz. Czy nam mogło się udać? Czy to w ogóle było realne?

- Dla mnie było i jest nadal - upierał się.

- Ale dla mnie nie - odparłam twardo. - Czegoś brakowało w naszym związku. To była zwykła szczeniacka miłość, zauroczenie. To nie było nic trwałego. Powinieneś znaleźć sobie kogoś innego. Kogoś, kto by do ciebie pasował, bo ja nie pasuję.

Raniłam go. Widziałam na jego twarzy ból. Czułam się podle.

- Ty chyba sama siebie nie słyszysz - powiedział. - Jesteś człowiekiem, nie diablicą. Powinnaś żyć na Ziemi.

- Powinnam wiele rzeczy...

- Wiki, przestań. To nie jest śmieszne. Nie możesz zostać w Piekło z diabłami. Po co? Co na to powiedzą twoi rodzice? Masz przed sobą całe życie! Wiki, wróć ze mną na Ziemię.

- Nie chcę. Ja już czasami nie czuję się człowiekiem - odparłam. - Tu mi się podoba. Tu bardziej pasuję.

Dopiero teraz zrozumiałam, co tak naprawdę czułam.

- Przecież po tym, jak poznaliśmy prawdę nad Jeziorem Czasu, mieliśmy razem wrócić. Miało być tak jak przedtem. Co się teraz zmieniło? - zapytał.

- Gdyby nie Moroni, tobym z tobą wróciła - przyznałam. - Ale miałam czas, żeby wszystko przemyśleć. Piotrek, nie powinniśmy już być ze sobą.

- Ty naprawdę się zmieniłaś - wydusił zdumiony.

- Nie możemy być razem - powtórzyłam.

Miałam wrażenie, że tracę coś ważnego. Jego zaufanie, moje poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji, to wszystko właśnie zniszczyłam. Zamieniłam na niepewną przyszłość.

- Co oni ci zrobili? Mówisz tak, bo ktoś ci każe - spróbował znaleźć rozwiązanie.

- Nie. Mówię tak, bo tak czuję.

- Kłamiesz!

Pokręciłam przecząco głową. Mogliśmy dyskutować w ten sposób kilka godzin.

Staliśmy w milczeniu. Wydawało mi się, że przed nami pojawiła się niewidzialna ściana, bariera.

- Ale dlaczego? - zapytał.

- Ja już do ciebie nie pasuję. Jestem kimś innym.

- Wiki, to są diabły. Nie wolno im wierzyć!

- Nie są tacy źli - zaprzeczyłam.

- Owszem, bo są znacznie gorsi - prychnął.

Przeczesał ze złością włosy. Nadal nie mógł uwierzyć w moje słowa. Nie chciał uwierzyć.

- Czyli rozstajemy się już na zawsze? - zapytał. - Nigdy do mnie nie wrócisz?

- Tak będzie lepiej - odparłam. - Oboje będziemy szczęśliwsi, a ty bezpieczniejszy. Nikt nie będzie cię już w nic mieszał.

- Robisz to tylko dla mojego bezpieczeństwa? - uczepił się tej myśli. - Nie musisz tego robić. Podejmę ryzyko. Chcę z tobą być.

Westchnęłam.

- Piotrusiu - odgarnęłam mu włosy z twarzy, tak jak robiłam to tysiące razy wcześniej. - Robię to dla twojego bezpieczeństwa, ale nie tylko. Robię to też dla samej siebie. Wierz mi, obojgu nam będzie lepiej.

- Wątpię, żebym był szczęśliwszy - mruknął. - Wiki, powiedz mi, co ja mam zrobić? Co mogę zrobić, żebyś znowu mnie kochała? Jak cię odzyskać?

- Piotruś - ścisnęłam jego rękę. - Zawsze będę cię w jakiś sposób kochać. Jesteś dla mnie ważny. Ale nie chcę z tobą być. Zrozum. To nie jest twoja wina, tylko moja. To ja się zmieniłam. To ze mną jest coś nie tak.

- Przestań to powtarzać! - krzyknął.

Nie wiedziałam, że to będzie taka trudna rozmowa. Powstrzymałam się, żeby nie zacząć płakać, żeby mu nie ulec wbrew sobie.

- Zostańmy przyjaciółmi - poprosiłam.

Posłał mi spojrzenie pełne gorzkości. Usiadł bez słowa na łóżku. Zabolało mnie to.

- Piotrek, powiedz coś.

Nadal milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Miałam nadzieję, że nie skrzywdziłam go zbyt mocno. Nie chciałam, żeby cierpiał.

Woda szumiała za parawanem. Po pokoju rozchodził się zapach bzu i fiołków.

- Dobrze - odezwał się Piotrek, a ja drgnęłam zaskoczona jego głosem. - Zresztą i tak nie zostawiasz mi wyboru. To jedyny sposób, żeby pozostać w jakiś sposób w twoim życiu.

Nie zaprzeczyłam.

- To co teraz? - zapytał. - Chcesz, żebym pomagał ci w zdobyciu przedmiotów Moroniego, czy do tego też mnie nie potrzebujesz?

- Potrzebuję cię - usiadłam obok niego i wzięłam go za rękę.

Chciał ją zabrać, ale ścisnęłam mocno jego palce. Spojrzałam głęboko w jego smutne i urażone oczy.

- Jesteś mi potrzebny - powtórzyłam. - Jesteś moim przyjacielem. Bez ciebie nie dam sobie rady.

Widziałam jego niechęć. Już mi nie ufał.

- Beleth ci nie wystarczy? - zapytał zazdrośnie.

- Nie, ty jesteś mi potrzebny.

Odwrocił ode mnie spojrzenie.

- Dobrze, pomogę ci z Moronim - mruknął.

- Dziękuję - przytuliłam go. - I przepraszam, przepraszam...

Objął mnie mocno. Najprawdopodobniej ostatni raz. Przez chwilę poczułam się bezpiecznie. Tak jak kiedyś, gdy mnie przytulał.

- Kocham cię - szepnął. - Nieważne, że się zmieniłaś. Dla mnie zawsze będziesz taka sama.

W odpowiedzi tylko mocniej go ścisnęłam. Dobiegł nas chłupot przelewającej się wody.

- Muszę zakręcić kran - poderwałam się z miejsca.

Podchodząc do wanny, otarłam łzy. Bałam się, że Piotr zareaguje inaczej, gdy zacznę tę rozmowę. Bałam się, że rozstaniemy się w gniewie, że wyjdzie i mnie zostawi. Szarpnęłam za kurek, ale się zaciął.

Machnęłam przed twarzą dłońmi, by dzięki mocy usunąć różowe plamy i łzy. Nie chciałam, żeby mnie taką zobaczył. Nie chciałam robić mu nadziei.

- Piotrek! Pomożesz mi? Kurek się zaciął - poprosiłam. Podszedł do mnie i bez trudu zakręcił wodę.

W tej chwili usłyszeliśmy, jak szcęknęła klamka.

Obydwoje zaczęliśmy nasłuchiwać. Byliśmy ukryci za parawanem, więc nie widzieliśmy wnętrza pokoju.

Drzwi uchyliły się z ledwo słyszalnym skrzypnięciem. Nie zwrócilibyśmy na to uwagi, gdyby wcześniej tajemniczy gość nie puścił za szybko klamki.

Poczułam złość. To pewnie Beleth, obrońca mojej czci i cnoty. Skoro sam nie może, to i innemu nie da. Już miałam wyjść z za parawanu i na niego nawrzeszczeć, ale Piotrek powstrzymał mnie, nasłuchując czujnie.

Posłałam mu zdziwione spojrzenie i także wsłuchałam się w dźwięki, które wydawał tajemniczy gość.

On się skradał.

I najwyraźniej miał na nogach obcasy...

Ubranie intruza zaszeleściło, gdy zawadził o niski taboret stojący obok łóżka, przy którym porzuciliśmy plecak z artefaktami.

- Niech Set porwie te cholerne meble - usłyszeliśmy stłumione przekleństwo.

Po chwili zaszeleścił plecak. Wyszliśmy zza parawanu.

Kleopatra klęczała przy plecaku i siłowała się z suwakiem. Zasyczała z bólu i wsadziła do ust palec.

- Ekhm... - odchrząknęłam.

Kleo odwróciła się. Spojrzała na nas z głupią miną i palcem w ustach. Następnie wstała z godnością i otrzepała suknię.

- Myślałam, że jesteście zajęci - powiedziała spokojnie.

- A my myśleliśmy, że nikt nam nie będzie przeszkadzał - odparowałam.

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

- Widzę, że zainteresował cię nasz plecak - zauważył Piotrek.

- Taa... - spojrzała na swój palec. - Złamałam sobie paznokieć. Powinniście nosić taki worek z tasiemką. Znacznie wygodniejszy w obsłudze. Polecam. My, Egipcjanie, używaliśmy takich przed tysiącami lat. Doskonale spełniały swoją rolę.

Jej bezczelność nie miała granic. Zresztą i tak nie spodziewałam się po niej przeprosin. Posłała całusa w stronę swojej dłoni. Jej manicure był jak nowy. Uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

- Czemu chciałaś ukraść nasz plecak? - zapytałam, a fragmenty układanki ułożyły się w mojej głowie. - To ty włamałaś się do mojego domu?

Powinłam była od razu się tego domyślić. Któż by inny zniszczył podczas ataku szału arabskie mozaiki? Kleopatra nienawidziła wszystkiego co arabskie.

Do dzisiaj nie mogła wybaczyć Arabom, że poniekąd zniszczyli egipską kulturę. Teraz w Egipcie nikt już nie mówił po egipsku ani nie używał hieroglifów. Królowa wielokrotnie powtarzała mi, że to ogromna strata dla całego świata.

Pamiętałam jej opowieści o hierarchii społecznej w jej czasach. O możliwościach kobiet, stanowiskach, które piastowały. Były kapłankami, a nawet władczyniami. Gdy ich rodzice byli zamożni, otrzymywały też czasem typowe wykształcenie. Kleo uwielbiała rozwodzić się nad ich wolnością w dziedziczeniu i dysponowaniu swoim majątkiem, a także nad tym, że mogły się rozwodzić i otrzymywały potem alimenty od męża.

Feministki nie miałyby o co walczyć w tamtych czasach. Kobieta nie musiała zasłaniać twarzy ani ciała. Ubrania Egipcjanek raczej więcej odsłaniały i podkreślały, niż ukrywały.

Kleopatra ze swoim zamiłowaniem do golizny była tu świetnym przykładem.

- Och, to wiesz? - jej zdziwienie na moje pytanie o włamanie starczyło za odpowiedź. - Ale ubrań nie zniszczyłam. Przysięgam. Jeżeli coś było podarte, to pewnie twój kot się tym bawił.

- Po co ci artefakty Moroniego? - byłam zmęczona. Ukrycie się w Piekło chyba nie było najlepszym pomysłem.

Beztrosko zapomniałam, że tutaj wszyscy coś kombinują.

- Mam z nim układ - wyjaśniła. - Obiecał, że zwróci mi Azazela, jeśli dostarczę mu ukradzione przez ciebie przedmioty. Mówiłam ci, że nie pozwolę Azazelowi od siebie odejść i jestem gotowa zrobić wszystko, by go zatrzymać.

Faktycznie. Coś mi o tym wspominała...

- Kleo... Azazel jest w więzieniu za włamanie się na teren Jeziora Czasu. Otrzymał, co prawda tymczasowe, obywatelstwo anielskie na najbliższe siedemdziesiąt siedem lat, ale Gabriel osobiście mi powiedział, że nie przyjmą go na zawsze. Podejrzewam nawet, że wywalą go już całkiem niedługo. Więc, jak widzisz, nie masz co kraść jak zwykła złodziejka - teraz postanowiłam uderzyć w czułą strunę. - Po prostu poczekaj cierpliwie, aż Azazel wróci do ciebie na kolanach, prosząc o wybaczenie. Nie musisz bratać się z aniołem.

Królowa zastanawiała się nad moimi słowami. Widać było, że nie przekonałam jej do końca.

- Nad czym ja myślę? - zapytała samej siebie. - Przecież ty jesteś prawdziwą cnotką. Nie okłamałabyś mnie. Może masz rację? Może powinnam poczekać, aż będzie musiał korzyć się u moich stóp?

Zerknęła krytycznie na swoje nogi.

- Do tego muszę sobie kupić nowe buty - stwierdziła.

- Z całą pewnością - odparłam. - A nie spieszysz się przypadkiem na targ?

- Nie. To było kłamstwo, żeby uspić waszą czujność - przyznała i ziewnęła rozziewając. - Dobra. Zostawiam was, gołąbki. Też jestem już zmęczona. Poza tym ktoś na mnie czeka. - Puściła do mnie oko i dodała: - Pod nieobecność Azazela towarzystwa dotrzymuje mi Napoleon.

Można się było tego po niej spodziewać. Azazel był dość czuły, jeśli chodzi o Napoleona, który zalecał się swego czasu do królowej. Widocznie uznała, że to będzie świetny sposób na odegranie się na uczuciach diabła.

Zapomniała tylko o jednym. On nie miał uczuć.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś tłumaczyła mi, jacy mężczyźni ją interesują. Królowa gustowała w umięśnionych, wysokich i raczej tępych osiłkach. Napoleon odrobinę nie spełniał tych kryteriów.

- Bonaparte? - zdziwiłam się. - A on nie jest za niski?

Kleo wzruszyła ramionami.

- Ale jest sławny. Muszę dbać o wizerunek. Nie będę zadawała się z plebsem. Choćby nie wiem jak był przystojny.

Zerknęła na Piotrusia. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po jego klatce piersiowej. Pokiwała z uznaniem głową.

- Muszę przyznać, Wiki, że zaczynam rozumieć, dlaczego wciąż odrzucasz zaloty Beletha - powiedziała i wyszła z pokoju. Jeszcze długo słyszeliśmy jej wesoły, perlisty śmiech.

Woda już dawno wystygła w wannie. Mogłam ją podgrzać pstryknięciem palców, ale ochota na długą relaksacyjną kąpiel jakoś mi przeszła.

- Idziemy spać? - zapytałam.

- Tak - odparł zmęczonym głosem Piotrek. - Na łóżku jest sporo poduszek. Proponuję włożyć pod nie większość przedmiotów, a przede wszystkim rękopis... Ja będę spać na podłodze.

- Daj spokój - zachnęłam się. - To łóżko jest tak szerokie, że spokojnie się na nim zmieścimy. Chyba że nie chcesz leżeć obok mnie.

- Chcę...

Schowaliśmy przedmioty i po raz ostatni położyliśmy się obok siebie.

Nie było nam jednak dane przespać spokojnie tej nocy.

Rozdział 39

Płyłam w szerokiej łódce po Jeziorze Czasu. Piotrek wiosłował z uśmiechem. Czułam się szczęśliwa, chociaż było mi trochę duszno, mimo że znajdowaliśmy się na świeżym powietrzu, a po twarzy łaskotał mnie delikatny powiew wiatru.

Płynęliśmy spokojnie. Podczas naszej podróży mijaly nas wizje. Wszystkie przedstawiały mnie.

Ja z dyplomem uczelni.

Ja w białej sukni.

Ja w Paryżu podczas miodowego miesiąca. Ja z podpisaną umową o pracę. Ja ściskająca jakiegoś wrzeszczącego bachorka. Pełnia szczęścia i samospełnienia w moim obecnym stanie ducha.

Nagle ten piękny sen, kiedy to uśmiechałam się szeroko i śliniłam na zapewne ręcznie haftowaną, nienadającą się do prania poduszkę Kleopatry, został brutalnie przerwany. Tym brutalniej, że przerwał go kobiecy wrzask z silnym amerykańskim akcentem doskonale wyczuwalnym nawet w tym jednym, dosadnym słowie:

- KURWA!

Usiadłam w jednej chwili. A raczej spróbowałam usiąść. Nie udało mi się to, bo zaplątałam się w ramię Piotrka, którym mnie obejmował. Jak się potem okazało, miałam na sobie jeszcze jego nogę i połowę klatki piersiowej, przez co zapewne było mi odrobinę duszno, zaś delikatny powiew wiatru okazał się oddechem Piotra, którego twarz leżała tuż obok mojej.

- Co się...? - mruknął niewyraźnie, z trudem uchylając powieki.

Przed naszym łóżkiem stała Phylis ubrana jak zwykle w skórzany kostium prostytutki. Kompletnie pozbawiony gustu. Nie wiem, jak można z własnej, nieprzymuszonej woli łączyć ze sobą tyle krzykliwych kolorów. Poza tym jak zwykle jej olbrzymie piersi wyglądały, jakby tylko za pomocą wyjątkowo silnej magii trzymały się pod ubraniem.

Ciekawe, co by się stało, gdyby spróbowała biec?

Racja. Wtedy dostałaby nimi po twarzy.

- Gdzie jest rękopis? - zasyczała wściekła, trzymając w dłoni pusty plecak.

W przeciwieństwie do Kleopatry poradziła sobie z suwakiem. Muszę przyznać, że nie spodziewałam się tego po niej.

Piotrek usiadł i przetarł oczy. Gdy zobaczył kolorowo ubraną, rudą Phylis, skomentował całokształt tak, jak tylko on potrafił - krótko i na temat:

- O fak...

- Syfilis, co do cholery tutaj robisz? - warknęłam.

Jej oczy zapłonęły wściekłością. Tak samo zresztą jak policzki.

- Phylis, miernoto - odpowiedziała. - Szukam rękopisu Moroniego. Gdzie go schowaliście?

Oparłam się nonszalancko na łokciu o ukrytą pod poduszką tubę. Prędeży ją zgniotę, niż oddam tej krowie.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabym udzielić ci tej informacji - odrzekłam.

- Dobrze, w takim razie zabiję cię, a potem sama poszukam - uśmiechnęła się.

- Zaraz, zaraz. Bo ja nic nie rozumiem - Piotrek usiadł. - Czemu chcesz ją zabić? Phylis zmierzyła go długim spojrzeniem.

- Ponieważ zawarłam umowę z aniołem Moronim - wyjaśniła chyba tylko dlatego, że przystojny Piotrek ją pociągał. Mnie na pewno nie udzieliłaby potrzebnych informacji.

- Z Moronim? - wydusił chłopak.

Ręce opadają. Czy istnieje ktoś, kto się z nim nie umawiał w jakiejś sprawie?

- Tak. W zamian za przyniesienie rękopisu i zabicie Wiktorii obiecał, że odda mi Beletha - wyznała bez żadnego skrępowania. - Byliśmy kochankami. Kochałam go, dopóki ty się nie zjawiłaś!

- Za pomoc Moroniemu zostaniesz osądzona i skazana przez Lucyfera - powiedziała, usiłując przemówić jej do rozsądku. - Najprawdopodobniej zabiorą ci moc, a jako zwykła obywatelka Niższej Arkadii nie będziesz mogła być z Belethem. To będzie ostateczny koniec twojego związku z nim.

Będę musiała przepytac Beletha. Co to znaczy, że on miał dziewczynę?! I do licha, kiedy on ją miał? Wtedy jak się do mnie zalecał?! Zazdrość zaczęła mnie zżerać od środka.

- Moroni zdobędzie władzę nad światem - oświadczyła. - Zresztą jakby coś się nie udało, to Belethowi też zabiorą moc.

- Nie, kretynko. On jest diabłem. Nie jest człowiekiem, więc nie można zabrać mu mocy piekielnych, bo on jest tymi mocami. Mogą go co najwyżej zlikwidować.

Jej głupota mnie zdenerwowała. Kto zajmował się jej edukacją w Piekło? Czemu ona nie wie podstawowych rzeczy? W ogóle nie czytała Regulaminu Piekła, tomy od I do VI? Chyba w szóstym było dużo informacji o diabłach.

Phylis poczerwieniała. Wyciągnęła rękę w moją stronę. Skórzany kostium zatrzeszczał, jakby miał zaraz puścić w szwach.

- Giń, suko - warknęła.

Znowu zapomniałam o pewnym drobnym szczególe. Malutkim. Takim tyci, tyci. Byłam teraz człowiekiem.

Zabicie mnie stało się bardzo łatwe.

Złapałam się za pierś. Ostry, kłujący ból promieniował w środku mojej klatki piersiowej. Lewa ręka zaczęła mi drętwieć. Bolała mnie nawet szyja i żuchwa.

No i masz ci los. Właśnie miałam zawał serca. Sądząc po ogromie bólu, diablica nie bawiła się w zaciśnięcie malutkiej tętniczki. Ona chyba odcięła mi całkowicie dopływ krwi wieńcowej do serca.

- „BELETH! - krzyknęłam w myślach, mając nadzieję, że mój przekaz go obudzi. - POMOCY!”

- Wiki! Wiki! Co się dzieje?! - Piotrek zaczął panikować. Nie wiedział, że można w taki sposób kogoś zabić. Nie zdażyłam mu o tym opowiedzieć.

Zrobiło mi się czarno przed oczami. Klęczałam w pościeli, nie mogąc nabrać powietrza. Już raz umierałam w bólu. Czy nie mogę zginąć w spokoju, we własnym łóżku?

Uchyliłam powieki.

No dobra... byłam w łóżku. Okej...

Ale nie we własnym! Składałam reklamację.

- Zostaw ją! - krzyknął Piotrek.

Nie wiem, co zrobił, ale nagle ból minął. Przewróciłam się, oddychając spazmatycznie. Nie mogłam się ruszyć.

- O cholera jasnaaaaaa!!! - ryknął Piotrek. Usłyszałam rumor, zupełnie jakby ściany się waliły. Obok mnie, w pościeli, tuż przy mojej głowie wylądował kawał sufitu.

Podniosłam się na łokciu. W chmurze tynku zobaczyłam dwie sylwetki. Piotrek unikał wyciągniętej ręki Phylis i rzucał w nią za pomocą mocy wszystkim, czym się tylko dało. Marmurowa wanna poszybowała w powietrzu.

Diablica w ostatniej chwili się uchyliła. Gdyby nie to, jej mózg właśnie rozlewałby się po podłodze. W całym tym zamieszaniu, które umiejętnie robił Piotrek, nie potrafiła dobrze w niego wycelować, żeby zacisnąć jakieś ważne naczynie krwionośne w jego ciele.

Na szczęście nikt jej nie powiedział, że znacznie ekonomiczniej i szybciej jest zatykać tętnice mózgowe. Wtedy nie trzeba się tak długo męczyć z przeciwnikiem.

Szkoda, że ja nie mogę jej zamordować. Ale cóż można poradzić? Już była truposzką. Bardziej martwa nie będzie.

Skupiłam się na jej włosach. Rude strąki wykręciły się w stronę jej twarzy. Zaczęły pchać się do oczu, ust i nosa. Odgarniała je, nie zauważając, że to nie jest normalne, całkowicie skupiona na próbie zlikwidowania Piotra.

W końcu nie mogła sobie z nimi poradzić. Zaczęły ją dusić. Phylis charczała. Ha! Zwycięstwo!

Zerwałam się z łóżka, chcąc podejść do Piotrka, który ocierał z czoła krew. Widocznie, usiłując trafić Phylis, sam czymś oberwał. Nie był zbyt dokładny w korzystaniu z mocy.

Nagle zrobiło mi się czarno przed oczami. Upadłam na ziemię.

Włosy przestały atakować Phylis. Rzuciła się na Piotrka. Zapatrzony na mnie, nie zauważył jej ataku.

Gdy trzasnęłam z całej siły o ziemię, mroczki przed oczami zniknęły. Było mi duszno. Coraz ciężej mi się oddychało. Phylis chyba uszkodziła mi jakieś naczynie. Miałam krwotok wewnętrzny, który uciskał płuca.

Zobaczyłam, że Piotrek także opadł na kolana, trzymając się za pierś. Pobladł i zacisnął kurczowo szczęki.

NIE!!!

Czemu nikt nie biegł na pomoc? Kleopatry nie było, bo zabawiała się z Napoleonem, ale gdzie podziewał się Beleth?!

Spróbowałam wstać, lecz nie dałam rady.

Zamorduję ją. Z zimną krwią. Choćby miało to oznaczać, że rozszarpie Phylis na kawałki gołymi rękami.

Przyłożyłam dłoń do swojej piersi. Nie miałam czasu na całkowite wyleczenie. Byle jak zatamowałam krwotok i pchnęłam moc w stronę diablicy. Jakby zdmuchnięta grzmotnęła o ścianę. Usłyszałam, jak trzasnęło jej głucho kilka kości. Miałam nadzieję, że kręgosłup. To by ją unieruchomiło na dłużej.

Szybko rzuciłam się w stronę Piotrka. Oddychał płytko, nadal masując pierś. Odsunęłam jego rękę i przyłożyłam swoje na wysokości jego serca. Czułam, jak bije. Połączyłam się z tym rytmem. Czułam, że moje tętno się do niego dostosowuje.

Patrzył mi głęboko w oczy. Zrozumiał, co robię. Na jego twarz wracały kolory. Oddychał coraz spokojniej. Za to ja czułam, jak moc ze mnie uchodzi.

A może znowu krwawiłam?

Zabrałam dłoń i odwróciłam się w stronę Phylis. Gramoliła się właśnie na nogi.

- Zabiję was! - pisnęła, nastawiając sobie rękę. Kość gruchnęła, wskakując na miejsce. - Zamorduję!

Teraz nie zamierzała już się z nami bawić. Piotrek zmrużył oczy, posyłając w jej stronę silny strumień mocy. Zamierzał zrobić to samo, co ona nam uczyniła.

Diablica złapała się za pierś, nie rozumiejąc, skąd wziął się ten ból. W końcu nie żyła. Nie mogła umrzeć na zawał.

Ja skupiłam się na naczyniach w jej głowie. Odetnę jej dopływ krwi, może zemdleje!

Chociaż wołałabym, żeby jej czaszka wybuchła...

Phylis miała rację. Byłam słaba. Nie potrafiłam jej zabić tak jak Agaresa i Pajmona.

Piotrek chyba nie miał takich oporów. Nagle diablica padła bez życia wstrząsana drgawkami, jakby przez jej ciało przebiegał silny prąd.

- Co ty zrobiłeś? - zapytałam.

- Nic! Co ty zrobiłaś? - odwrócił się w moją stronę, tak samo zdziwiony jak ja.

- To ja zrobiłem to, co należało - odezwał się za naszymi plecami głęboki, zmysłowy głos.

Rozdział 40

Phylis leżała nieruchomo na posadzce. Z jej uszu, nosa i ust wyciekała gęsta czerwona ciecz. Krew.

Nie oddychała, nie ruszała się. Drgawki ustały. Beleth podszedł do niej i przyjrzał się z zaciekawiony. Nie dotknął jej, nie pomógł. Po prostu obserwował.

- Hm - mruknął w końcu. - Ciekawe.

Najwyraźniej zadowolony z siebie odwrócił się w naszą stronę. Piotrek usiadł na posadzce, masując pierś, a ja przy nim klęczałam.

- Widzę, że nie mogłaś sobie poradzić beze mnie, moja piękna - odezwał się dumny. - Wiedziałem, że on nie da rady.

- Nie dałem, bo nie chciałem jej zamordować tak jak ty - warknął chłopak, zrywając się na nogi. - W przeciwieństwie do zwykłego diabła mam sumienie.

- Nie jestem zwykłym diabłem - wycedził Beleth. - Zapominasz, że zaraz zostanę aniołem.

- Na pewno nie po tym, jak zamknięto cię w więzieniu, z którego uciekłeś.

Beleth na chwilę został zbity z tropu.

- Możliwe - odpowiedział. - W takim razie jestem niezwykły z innego powodu. Wiktoria mnie pożąda.

- No popatrz - Piotrek podparł się pod boki. - Mnie też. To chyba nie czyni cię lepszym ode mnie, człowieka, czyż nie?

Pierwszy raz ktoś przegadał osłupiałego w tym momencie Beletha. Byłam pod wrażeniem, mimo że obaj całkiem o mnie zapomnieli.

To była moja sprawa, kogo pożądałam...

W tej samej chwili zauważyli, że klęczę na ziemi.

- Pomogę ci - powiedzieli w tym samym momencie i rzucili się w moją stronę.

Każdy złapał za jedno moje ramię i szarpnął mną do góry. Głowa opadła bezwładnie, kiedy zrobiło mi się czarno przed oczami.

O... zapomniałam o krwotoku...

* * * *

Chwilę później ocknęłam się na łóżku. Obok mnie ze skwaszonymi minami siedzieli mężczyźni mojego życia.

Odetchnęłam głęboko. Najwyraźniej któryś z nich naprawił moje narządy wewnętrzne. Zapewne Beleth, bo Piotrek jeszcze nie umiał tego robić. Chyba że nauczył się tego instynktownie, tak jak ja.

Leżałam w innej sypialni. Zapewne mnie przenieśli. Poduszka pod moją głową pachniała Belethem. A zatem wylądowałam w jego łóżku.

- A co z Phylis? - zapytałam.

Diabeł wzruszył ramionami. Naprawdę mało go to obchodziło.

- Pewnie tam leży.

- A wstanie? - wolałam się upewnić.

- Pewnie wstanie - odparł.

Jeżeli nie wstanie szybko, to Kleopatra zdziwi się, widząc nowy element wystroju. Phylis mogła się teraz wydawać martwą naturą.

- Kim ona w ogóle jest? - zapytał Piotrek.

Nie wiedział, że była nową diablicą. Nie zdażyłam mu o tym opowiedzieć. Szybko mu wyjaśniłam ten drobny szczegół.

- A zabić nas chciała, bo zgadła się z Moronim? - upewnił się chłopak.

- Tak - odparłam i gwałtownie usiadłam. - Manuskrypt! - Wszystko mam.

- Piotruś poklepał leżący obok niego plecak, który dopiero teraz zauważyłam.

- Jak to z Moronim? - twarz Beletha stężała. - O co chodzi?

- Otóż twoja była kochanka - nie mogłam pozbyć się oskarżycielskiego tonu - oświadczyła nam, że zawarła z Moronim układ. Miała nas zabić i oddać mu manuskrypt. W zamian anioł obiecał, że gdy już będzie po wszystkim, to cię jej odda.

Diabeł zmarszczył brwi.

- Wiedziałem, że trzeba było ją zabić - westchnął i popatrzył tęsknie na drzwi. - Może jeszcze tam leży...?

- Słuchaj, Beleth, to nie jest ważne, czy ta wywłoka żyje, czy nie. Liczy się, że najwyraźniej wszyscy na nas polują, bo chyba nie ma na tym świecie i na równoległych osoby, która by nie spiskowała z Moronim.

- Czyżbyś była zazdrosna? - diabeł przysunął się do mnie z łobuzerskim uśmiechem.

- Ty, odsuń się od niej - Piotrek odepchnął go. - Miała zawał. Tlen jej zabierasz.

- Milcz, synu Adama - warknął.

- Spokój! Natychmiast się uspokójcie - rozkazałam. - Beleth, mów, o co tu chodzi!

Diabeł niechętnie usiadł na brzegu łóżka, ale przysunął rękę w taki sposób, żeby dotykać mojego uda.

- Byłem samotny, kiedy wróciłaś na Ziemię do swojego śmiertelnika i na dodatek o mnie zapomniałaś. Wtedy pojawiła się nowa diablica. Przyznam, że rude mnie nie interesują. Z natury są wredne i puszczalskie, ale nie miałem wyboru. Z nikim innym być nie mogłem. Ona była pod ręką... Ale biust powiększyła sobie już w Piekło, jeśli chcesz wiedzieć.

Nie chciałam wiedzieć. Jednak dowiedziałam się, że szalona diablica nie oszukiwała. Chyba mieliśmy spore kłopoty. Biorąc pod uwagę aparycję Beletha, mogły nam siedzieć na karku dziesiątki dziewczuch napalonych na jego nadprzyrodzone przyrodzenie.

Ciekawe, jak bardzo nadprzyrodzone?

Zaczerwieniłam się. Na szczęście nikt nie słyszał moich myśli. Piotrek śmiertelnie by się na mnie obraził, a Beleth...

No dobra, on by się ucieszył.

- Poza tym ty w tym czasie byłaś z Piotrem - zauważył diabeł. - To chyba jesteśmy tak samo winni wzajemnej zdrady.

- Żeby się zdradzać, musielibyście ze sobą być - skomentował złośliwie Piotrek.

- Jesteśmy ze sobą złączeni - odparł z wyższością Beleth. - Może nie fizycznie, ale psychicznie na pewno.

- Co robimy? - westchnęłam ciężko, przerywając ich dyskusję. Czułam się nieswojo, gdy przy mnie rozmawiali o ewentualnych związkach w naszym trójkącie. - Skoro już nie śpimy, to idziemy po tę kość niewiniątka i pierścień?

Ciekawe, czy czeka nas za to ekskomunika...? Ekskomunika, hm... Trafia się wtedy do jakichś zaświatów, czy od razu posyłają delikwenta do Tartaru?

- Chodźmy - Piotrek wstał i podał mi rękę. Skorzystałam z pomocy przy wstaniu z łóżka, jednak tym razem nie zakreśliło mi się w głowie. Dobry znak.

W tej chwili usłyszeliśmy zza okna syrenę alarmową i głos demona skrzeczący przez megafon:

- W budynku dokonano złamania paragrafu 6, przepisu o numerze 6 mówiącego o wzajemnym postępowaniu osób obdarzonych mocą piekielną. Wiemy, że na terenie budynku znajduje się diablina w ciężkim stanie. Oprawca bądź oprawcy proszeni są o opuszczenie lokalu i udanie się na rozmowę z Szatanem. Powtarzam...

Wysłuchaliśmy jeszcze pięć razy tego samego komunikatu. Szóstka królowała i w tym momencie. Pewnie musieli powiedzieć to sześć razy, bo inaczej spisany w sześciu kopiach protokół postępowania by się nie zgadzał.

Chyba trzeba się przenieść do wcześniej wspomnianego Tartaru. Tylko tamtejsze władze, o ile takowe istnieją, jeszcze nas lubią.

A lubią najwyraźniej dlatego, że nie znają. Spojrzałam pytająco na Beletha. Może powinniśmy uciec przez drzwi, używając klucza diabła?

Jednak przystojniak stał zamyślony. W końcu westchnął:

- Czyli ona jednak żyje, a już myślałem...

- Na terenie całego budynku zostały zamknięte przejścia. Oprawco, bądź oprawcy, nie macie sposobu ucieczki za pomocą mocy piekielnych. Jesteście proszeni o natychmiastowe udanie się do głównego wejścia i oddanie w nasze ręce. Powtarzam...

Na wypadek gdybyśmy byli głusi, znowu wydukał pięć razy ten sam komunikat. Mój pomysł z drzwiami został brutalnie przekreślony.

Skierowałam się w stronę wyjścia.

- Co robisz? - zapytał zdziwiony Piotrek. - Chcesz się poddać?

- Oni są dość zapalczywi - odparłam. - Chyba nie mamy innego wyboru.

Beleth nie protestował. Ruszył za mną potulnie.

Pchnęłam złote wrota prowadzące do pięknych ogrodów Kleopatry. Ich rozmach także wzbudzał zachwyt. Jednak tym razem nic nie zobaczyłam, oślepiąca przerażająco białym światłem, którym dostałam prosto po oczach. Zakryłam je dłońmi, głośno przeklinając demona, który wycelował we mnie lampę.

Szybko stworzyłam sobie na nosie okulary odporne na te błyski. Mogłam się swobodnie rozejrzeć.

Przyznam, że byłam pod wrażeniem. Piekło zorganizowało akcję poszukiwawczą znacznie lepiej od Nieba. Było naprawdę wszystko. Kilka setek demonów w czerwonych odbłaskowych kombinezonach z czarnymi ochronnymi kaskami odrobinę przypominającymi czapkę Lorda Vadera celowało w nas reflektorami. Pałac Kleopatry był aktualnie lepiej oświetlony od wieży Eiffla i Big Bena razem wziętych.

Mniej więcej kolejne dwie setki pokurczy skradało się z widłami.

Wiedziałam! Ja po prostu wiedziałam!

Od dawna podejrzewałam, że wszystkie istoty nadprzyrodzone mieszkające w Piekło posiadają widły. Wreszcie miałam na to dowód! Ha!

- Beleth, czy ty też masz widły? - zapytałam.

Mimo wszystko takie narzędzia bardziej pasowały mi do diabłów niż demonów.

- Tak, ale nie takie badziewie. Moje są połączone - odparł, także podziwiając całą scenę przez okulary przeciwsłoneczne.

- Po co ci one? - patrzyłam, jak demony podchodzą niepewnie coraz bliżej. Bały się bardziej niż my. - Dźgasz nimi satanistów, jak się wkurzysz?

- Nie - pokręcił głową. - To broń paradna. Od czasu do czasu Lucek organizuje parady, w których obowiązkowo musimy brać udział. Każdy z nas powinien nieść wtedy widły.

Nie całkiem takiej odpowiedzi się spodziewałam. Niski demon odważył się do nas podejść. Zdjął z głowy hełm.

- Pójdziecie teraz ze mną - warknął.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że nie ma kłów. Równo spiłowane nie wystawały zza warg. Nie mogłam w to uwierzyć! Czyżby Lucyfer wreszcie zadbał o ich higienę i załatwił im dentystów?

To zbyt piękne.

Potulnie ruszyliśmy za demonem. Otaczało nas kilka innych potworków, z prawdziwym zaangażowaniem ściskających widły. Odniosłam niemiłe wrażenie, że miały ochotę nas dźgnąć, ale się powstrzymywały.

Podróż na piechotę była uciążliwa i nudna. Kleopatra nie mieszkała zbyt blisko centrum. Wolą, żeby jej posiadłość majestatycznie wznosiła się na horyzoncie, niż stała przy głównej arterii miasta. Wystarczyło kilka dni z mocami diablity i już się odzwyczaiłam od normalnych sposobów przemieszczania. Żałosne.

Niczym nieoznakowanym wejściem w szarym budynku na rogu, który przypominał zamknięty warzywniak, weszliśmy do niekończącego się białego korytarza. Najwyraźniej piekielny Urząd miał liczne boczne wejścia. Szatan widocznie nie zamierzał nas wprowadzać przez swoją rezydencję.

Klaustrofobiczne korytarze osaczały mnie.

- Moglibyście je przemaalować - zasugerowałam idącemu obok mnie demonowi w hełmie.

Zapewne mnie nie usłyszał, bo zdjął czarną osłonę.

- He? - warknął, ale nie splunął na mnie przy okazji. On także miał spiłowane kły.

- Mówię, że moglibyście przemaalować ściany - powtórzyłam. - Te wyglądają jak szpitalne.

- He? - chyba nie zrozumiał.

- Nieważne...

Jeden z pracowników Lucyfera niósł skonfiskowany plecak z taką miną, jakby znajdowała się tam jakaś broń masowego rażenia. Na przykład wiertło dentystyczne.

W końcu stanęliśmy przed drzwiami z numerem 6666, prowadzącymi do sekretariatu Szatana. Demony wprowadziły nas do środka. Cierpliwie czekaliśmy na windę. W kabinie było bardzo ciasno.

Poczułam, że ktoś maca mnie po pupie. Nie był to Piotrek, bo miałam go przed sobą. Żadnego z demonów raczej też nie posądzałam o takie spoufalanie się z więźniem. Jeszcze by ich Lucek zdegradował.

Zostawał tylko...

Spojrzałam na przystojnego diabła, który puścił do mnie oko spod swojego czarnego irokeza. Dłoń zaczęła uciskać mój pośladek.

Bez żenady, oczywiście najpierw upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wyciągnęłam rękę i złapałam go za wybrzuszenie z przodu spodni.

- Mhm... - mruknął.

Zacisnęłam palce, żeby nie miał wątpliwości, dlaczego moja ręka się tam znalazła.

- Uch... - jęknął.

Dłoń z mojego pośladka natychmiast zniknęła. Odgięłam palce, zadowolona z siebie.

Winda z lekkim szarpnięciem zatrzymała się na szóstym piętrze. Drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze dobrze znanego nam gabinetu Szatana.

Za biurkiem siedział Lucek. Oczekiwał nas.

Potulnie weszliśmy do środka. Twarz władcy Piekieł stężała na nasz widok. Wykrzywił się ze złości.

- Beleth! Co ty tu robisz?! Przecież się umawialiśmy!!! - warknął, zrywając się na równe nogi.

Otoczające nas demony skuliły się ze strachu. Najwyraźniej Szatan, gdy jest wściekły, zachowuje się jak dziewczyna z PMS-em. Wyżywa się na wszystkich, a zwłaszcza na niewinnych.

- Jakie „umawialiśmy”? - zapytałam zirytowana.

W tym momencie Lucek zauważył mnie i Piotrka, a także swoich podwładnych, którzy już się przynajmniej nie ślinili ze strachu.

- WON! - ryknął na demony.

Nie trzeba im było drugi raz tego powtarzać. Część wskoczyła z powrotem do windy, a ci, którzy nie dali rady, zwiali drzwiami. Zostaliśmy sami z rozwścieczonym Szatanem.

- Usiądźcie - rozkazał, tworząc przed swoim biurkiem dodatkowe dwa krzesła.

- Wyjaśnij mi, o co chodzi z tym całym umawianiem? - zajęłam wskazane mi miejsce.

- A ty mi wyjaśnij, czemu znowu wpakowałaś się w kłopoty? - zapytał z przekąsem.

- Karma - wzruszyłam ramionami.

Lucyfer zacisnął usta w wąską kreskę. Blond loki opadły mu na czoło.

- To może ja wytłumaczę - Beleth odwrócił się do mnie. - Jakiś czas temu dobiliśmy z Luckiem, ekhm, Szatanem, pewnego targu. Mianowicie ja, w zamian za jabłko, miałem raz na zawsze usunąć Azazela z Piekieł. Udało mi się to w pewnym stopniu. Co prawda, podejrzewałem, że łatwiej zdobędziemy anielskie obywatelstwo - teraz zwrócił się z przeproszącą miną do Lucyfera - ale wiesz... sprawy w Administracji odrobinę się przeciągają...

- Tak - mruknął tamten. - Słyszałem o waszej przejażdżce po Jeziorze Czasu, głupcy.

- Niemniej Azazel nadal jest w Niebie, zamknięty na cztery spusty, a nawet sześć, a kto wie, czy nie na siedem, nie wiadomo na jak długo - zauważył z uśmiechem przystojny diabeł. - Nie możesz więc zarzucić mi całkowitej niesłowności.

Średnio zadowolony z tego obrotu sprawy Lucyfer mruknął coś pod nosem. Czyli to dlatego Szatan nie zdziwił się na mój widok w Piekle i ułatwiał mi wszystkie formalności. Zdenerwowało mnie to. Czy w zaświatach wszyscy mieli jakieś tajne układy?

- Hej - zirytowałam się. - A dlaczego ze mną nikt nie spiskował, co?

- Bo jesteś za szlachetna - wyjaśnił mi Szatan. - Ciebie nawet nie warto pytać...

Zasepiłam się.

- Spiskowałaś z Moronim - przypomniał Piotrek, usiłując poprawić mi humor.

- On się nie liczy - wtrącił Beleth. - Spiskował z nią tylko dlatego, że miał nadzieję, że Wiki będzie szlachetna. Nie sądził, że może mu ukraść przedmioty

potrzebne do zdobycia władzy nad światem. A tu taka niespodzianka! - jego spojrzenie było pełne dumy.

Miło, że chociaż jego nie zawiodłam.

- Jakie zdobycie władzy nad światem? - zainteresował się Lucyfer.

Wyjaśniliśmy mu wszystko łącznie z opowiedzeniem ogólnikowo o przedmiotach znajdujących się w plecaku Piotrka, którego w międzyczasie przedstawiłam Szatanowi. Nie wdawaliśmy się w szczegóły, co musieliśmy zdobyć. Gdybyśmy to zrobili, musielibyśmy przyznać się Luckowi, że myszkowaliśmy w jego gabinecie.

Władca Piekieł kiwał głową zamyślony. Wydawało się, że słuchał nas jednym uchem.

- A czy wśród tych przedmiotów nie powinno być przypadkiem jabłka z Drzewa Poznania Dobra i Zła? - zapytał. - Pasowałoby mi.

- Nie - odparliśmy zgodnym chórkim.

Pomimo że nie uzgadnialiśmy wcześniej zeznań, doskonale wiedzieliśmy, co by się z nami stało, gdyby poznał prawdę. Szatan zerknął niespokojnie na swoją jabłonkę, a potem na nas.

- Na pewno? - upewnił się.

- Ależ oczywiście - potwierdził Beleth, posyłając mu szeroki uśmiech.

Chyba dlatego, że to właśnie diabeł mu odpowiedział, Lucyfer nie uwierzył. Przykucnął przy drzewku i zaczął przeliczać owoce. Po chwili, najwyraźniej zadowolony z oględzin, wrócił na swój fotel.

- A ta cała Phylis, przeżyje chociaż? - zapytał od niechcienia.

- Chyba tak - Beleth wzruszył ramionami. - Chociaż lepiej byłoby się jej pozbyć.

- Taa... też jej nie lubię. Strasznie pyskata jest - westchnął Lucek.

Piotrek posłał mi zszokowane spojrzenie. No tak... on jeszcze się nie przyzwyczyił do tego, że potężne istoty, jakimi były diabły, raczej nie przejmowały się czymś życiem i istnieniem.

- To co teraz, skoro już omówiliście sprawę Phylis? - warknęłam.

Beleth posłał mi rozbawione spojrzenie.

- Ona naprawdę nie była dla mnie ważna, kochanie. Poza tym przypominam, że ty w tym czasie byłaś z Piotrem. Mimo to uroczo, że jesteś zazdrosna.

Rozdział 41

Szatan posłał mi zmęczone spojrzenie. Miał lekko podkrążone oczy. Chyba nawet pomimo pozbycia się z Piekła wiecznie wtrącającego się Azazela nadal miał dużo roboty.

- Co teraz? - swoje pytanie skierowałam do niego. - Zamkniesz nas w więzieniu, skazesz za próbę morderstwa Phylis, a może wymyślisz coś jeszcze innego?

- Chyba nie będę taki - uśmiechnął się i podrapał po brodzie. - Z tego, co mi opowiedzieliście, zapowiada się na to, że Moroni pragnie opanować świat. Ciekawe, jak w jego wizji ma wyglądać Piekło?

- Wspominał, że zamierza je zatrzymać, bo bez Piekła nie byłoby Nieba - przypomniałam sobie z grubsza jego słowa.

- Taaak... Miło z jego strony... - westchnął ciężko. - Tylko ciekawe, czy chce je zachować w tej formie... Wiedziałem, że z nim jest coś nie tak. Od razu wydał mi się podejrzany, kiedy nie chciał przystąpić do mojej rewolucji, pomimo że wcześniej mi pomagał.

Spojrzał na nas. Chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył.

- Nie zamierzam nic z wami robić. Macie zapewniony azyl w Piekle jako moi obywatele. Nie mam zamiaru wydawać was Gabrielowi, a on nie może mi kazać tego zrobić. Oczywiście jakby ktoś pytał, to ja nie mam zielonego pojęcia, coście zrobili i co ukradli.

Pokiwaliśmy głowami.

- A w ogóle to Gabriel nie chciał was wysłuchać? - chciał wiedzieć Szatan.

- Nie próbowaliśmy nawet z nim rozmawiać - wyjaśnił Piotrek. - Wysłał za nami anioły z mieczami.

- I golemi... - mruknął ponuro Beleth.

- Konserwatywny głupek - zakpił Lucek. - A wracając do Moroniego, to radzę wam czym prędzej ruszyć na poszukiwanie ostatnich dwóch kluczy. Z całą pewnością już się na nie rzucił. Musicie go wyprzedzić.

To chyba był nasz plan na dziś.

- Zajmę się Phylis. Możecie się nią nie przejmować. Nie będzie więcej próbowała was zniszczyć - uspokoił nas. - Czy jeszcze ktoś w Piekle jest w jakikolwiek sposób powiązany z Moronim?

- Nie - odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Żadne z nas nie zamierzało dawać Szatanowi wskazówek w sprawie powiązań Kleopatry z aniołem. Po pierwsze dlatego, że była naszą przyjaciółką, a po drugie - woleliśmy nie mieć w niej wroga. Lucek pewnie krzywdy by jej nie zrobił.

Ale ona nam tak...

- Postaram się też jakoś wam pomóc - Lucek zamyślił się. - Oczywiście na moją bezpośrednią pomoc nie macie co liczyć, ale... Moroni może was zaatakować przez swoich wyznawców. Wiem, że Beleth zlikwiduje ich bez najmniejszych skrępowań, ale wy na pewno zawiedziecie na tej linii.

Posłał znaczące spojrzenie mnie i Piotrkowi.

- Moje demony będą wam pomagać - uśmiechnął się zadowolony, że wpadł na tak proste rozwiązanie. - W razie potrzeby mogę wszystkim wmówić, że wyrwały się na wolność i ruszyły waszym śladem, bo myślały, że z rebeliantami będą dobrze się bawić. Wystarczy, że sześć razy zawołacie w myślach: „Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego”, a pojawią się z odsieczą.

Nie zdziwiło mnie to. Ani trochę.

- Nieco nie za długie jak na hasło ratunkowe? - zapytałam. - Nie może być po prostu: „Szatanie, pomóż”?

- Nie. To, co ja wymyśliłem, bardziej mi się podoba.

Już nie mieliśmy o czym dyskutować. Podjął ostateczną decyzję.

- To chyba możecie już iść - Lucyfer sięgnął po jakieś papiery na biurku i zaczął udawać, że czyta je z uwagą.

Beleth już zaczął podnosić się z krzesła, ale ja nie ruszyłam się z miejsca. Miałam jeszcze jedną sprawę do władcy Piekieł.

- Chcemy cię poprosić o obywatelstwo dla Piotrka - powiedziałam.

- Co proszę? - Szatana, kolokwialnie mówiąc, zatkało. - Nie przyznam obywatelstwa śmiertelnikowi.

- Nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Ma Iskrę Bożą jak ja, poza tym także zjadł jabłko.

Zdruzgotane spojrzenie Szatana łatwo było zinterpretować. Osobiście odczytałam je jako: „Ponownie jakiś śmiertelnik poważił się sięgnąć po zakazany owoc znajdujący się pod moją opieką przez tyle tysięcy lat!”.

Oczywiście można było też zinterpretować to w prostszy sposób jako: „Co?! Znowu?!”.

Wiedziałałam, że się ucieszy.

- To jak? - uśmiechnęłam się do niego zachęcająco.

Szatan wiedział, że Piotr nie jest obywatelem Piekieł. Liczył na to, że się nie zorientujemy i że ewentualny azyl go nie obejmie. Nie ze mną te numery!

Cała krew odpłynęła Luckowi z twarzy, ale sięgnął do szuflady biurka po odpowiednie formularze. Szybko je wypełnił, sarkając pod nosem. Zrobił sześć kopii i podał Piotrkowi do podpisu.

- Może dom też mam mu przydzielić? - mruknął niezadowolony.

- Jak znajdziesz czas, to możesz przydzielić mu jakąś ładną rezydencję - odpowiedziałam beczelnie.

Żyłka na lekko poznaczonym zmarszczkami mimicznymi czole Szatana zaczęła pulsować.

- Nie powinniście już iść? - zapytał. - Moroni pewnie was właśnie ubiega.

Pożegnaliśmy się z nim krótko i wsiedliśmy do windy. W sekretariacie Szatana w podziemiach Urzędu nie było Belfegora. Widocznie szef wysłał go gdzieś w jakiejś ważnej sprawie.

Stanęliśmy przy gładkiej ścianie i spojrzeliśmy po sobie.

- To jak? - Beleth uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z czekającej go przygody. - Idziemy?

Kiwnęłam głową i spojrzałam krytycznie na swoje ubranie. Skoro miałam grzebać w ludzkich szczątkach, to wypadałoby mieć strój odporniejszy na zabrudzenia. Stworzyłam na sobie dżinsy i wygodne, w miarę wodoodporne buty, a także kurtkę. Była wczesna wiosna, mogłam zmarznąć.

Możliwe, że byłam próżna, bo zadbałam, żeby wszystkie elementy stroju były ładne i pasowały do siebie kolorystycznie.

Pstryknęłam palcami, przebierając także Piotrka. Nie był tym zachwycony. No dobra... może odrobinę przesadzałam z dbaniem o niego. W końcu nie byliśmy już parą.

Zerknęłam na diabła. Powinam mu o tym powiedzieć. Ciekawe, jakby zareagował? Ucieszyłby się, a może uznał, że nasza gra już nie będzie teraz aż tak zabawna?

Beleth przekręcił klucz. Przed nami pojawiły się jego kolorowe drzwiczki.

- Szybko - popędził nas i przeskoczył przez próg.

Pobiegliśmy za nim. Po drugiej stronie zaatakował nas hałas i dziesiątki ludzi biegnących w różne kierunki w szarym tunelu. Niedaleko stał chłopak z gitarą i przyglądał nam się zbaraniały. Najwyraźniej zauważył pojawiające się drzwi.

Różnokolorowy tłum, w którym przeważali ludzie ciemnoskórzy, porwał nas w stronę wyjścia. Byliśmy w paryskim metrze.

Piotrek złapał mnie za rękę, żebym się nie zgubiła, i pociągnął za Belethem w stronę schodów. Wybiegliśmy na plac Denfert-Rochereau.

Byłam kiedyś w Paryżu, ale nie znałam tej jego części. Nie miałam pojęcia, gdzie mogłoby być wejście do katakumb. Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie nie widziałam olbrzymiego napisu czy strzałek.

- Gdzie...? - urwałam.

Piotrek pociągnął mnie w stronę niepozornego, niskiego budyneczku, przed którym nie było kolejki, tak jak przy innych paryskich zabytkach.

Katakumby pełne ludzkich szczątków nie przyciągały raczej rodzin z dziećmi, którym marzył się Disneyland.

Weszliśmy szybko do środka, uciekając przed deszczem, który właśnie się rozpadał. Przeszliśmy przez małe pomieszczenie do kasy. Za szybą siedziała gruba Murzynka. Spojrzała na nas znudzona znad gazety.

- Trzy bilety, proszę - powiedziałam poprawną francuszczyzną.

Podobało mi się to, że po zostaniu diabolicą bez trudu posługiwałam się wszystkimi językami świata.

Dawało mi to znakomitą uludę, że jestem wybitnie inteligentna.

- 24 euro - odpowiedziała kasjerka.

- 8 euro za bilet?! - oburzyłam się.

Przecież to było jakieś 32 złote! Robój w biały dzień!

- Studenci 4 euro za okazaniem legitymacji - wyjaśniła beznamiętnym tonem. - Macie legitymacje?

Chyba nie byłam pierwszą osobą, którą poraziła cena biletu.

- Wiki, daj spokój - westchnął Piotrek.

Stworzył potrzebne pieniądze i podał kobiecie. I w ten oto sposób odrobinę zdewaluowaliśmy euro.

Podaliśmy zakupione bilety starszemu panu za bramką. Z dobrotliwym uśmiechem wskazał nam kręte schody prowadzące w czeluść.

Powoli zaczęliśmy schodzić w dół. Na oko jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia cztery metry pod poziom ulicy.

Na dole stanęliśmy w małym pomieszczeniu obwieszonym zdjęciami sprzed kilkadziesiąt lat, które przedstawiały całe rodziny przychodzące na zwiedzanie katakumb oświetlonych pochodniami i lampami.

To dlatego, że wtedy jeszcze nie było Disneylandu.

Beleth oparł się o ścianę obok mnie. Rozpięta czarna koszula ukazywała gładką pierś. Nie stworzył sobie kurtki, chociaż na pewno było mu zimno. Pod ziemią panował piwniczny chłód.

- To jak? - zapytał niskim, aksamitnym głosem. - Idziemy w jakieś ciemne ustronne miejsce?

- Idziemy po kość, a potem po pierścień - ruszyłam przodem.

Od razu wdepnęłam w mulistą kałużę. Wolałam nie zastanawiać się, z czego było to błoto. Na szczęście mieszkańcy tego cmentarza już dawno się rozłożyli.

Korytarz, który odchodził od niskiego pokoju, przypominał ciemną piwnicę. Miejscami na ścianie wisiały lekko oświetlone tabliczki opisujące historię tego niesamowitego miejsca.

- No i gdzie te kości? - westchnęłam zmęczona po piętnastu minutach marszu.

Miałam wrażenie, że ta pseudopiwnica nigdy się nie skończy. Minęliśmy, owszem, dość ciekawe płaskorzeźby stworzone przez osiemnastowiecznych pracowników kamieniołomów, ale poza tym nie było zbyt wielu rozrywek.

Nasz korytarz nie miał żadnych odgałęzień. Wszystkie były szczelnie pozamykane kratami, żeby żaden turysta nie zabłąkał się w tym labiryncie.

- Jeszcze kawałek - odparł skwaszony diabeł.

Był zły, że się do niego nie odzywałam i ignorowałam go, odkąd usiłował mnie obmacać kilka minut temu, a Piotrek mu za to przywalił porządnie w spłot słoneczny. Zajęty osaczaniem mnie Beleth nawet nie zauważył pięści chłopaka. Za to teraz czujnie obserwował go spod rzęs.

Martwiłam się o Piotrka. Chciał dobrze. Najwyraźniej uznał, że skoro sam ze mną nie będzie, to nie dopuści do tego, żeby diabeł sprowadził mnie na złą drogę. Mój tata pewnie by temu przyklasnął, ale Beleth zachwycony nie był.

W końcu doszliśmy do sali, od której odchodził kolejny niepozorny korytarz oznaczony tabliczką: *Arrete! C'est ici l'empire de la mort.*

- Zatrzymaj się! Tu zaczyna się imperium śmierci! - przeczytał ściszym głosem Piotruś.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Byłam bardzo ciekawa tego co za chwilę zobaczę. Chociaż ostatnio obcowałam ze zmarłymi na co dzień, poczułam niezrozumiały niepokój.

Weszliśmy do środka. Początkowo sądziłam, że po obu stronach przejścia ciągnie się ułożony z dziwnych cegieł, około półtorametrowej wysokości mur.

Myliłam się. Były to kości piszczelowe ułożone bardzo skrupulatnie, jedna na drugiej, w taki sposób, że naszym oczom ukazywały się jedynie ich główki.

Wgłębi, za całym szpalerem, znajdowały się ułożone pozostałe części szkieletów. Powoli szliśmy, kierując się do szkieletów pochodzących z Cmentarza Niewiniątek. Korytarz wydawał się jeszcze dłuższy od poprzedniego

Momentami wyglądało to dość makabrycznie. Najwyraźniej ludzie, którzy chowali tych zmarłych uznali, że ułożenie co jakiś czas czaszek w kształt krzyża albo serduszka będzie dobrym pomysłem. Ja jednak miałam co do tego pewne wątpliwości. Gdzieś w oddali usłyszeliśmy ludzkie głosy. Najwyraźniej jacyś turyści szli za nami trasą wycieczkową.

Minęliśmy znużonego strażnika przysypiającego na krzeselku.

- Co za straszna robota - mruknął Piotrek, kiedy już się od niego oddaliliśmy. - Wyobrażasz to sobie? Siedzieć tu całymi dniami: pilnować, żeby ludzie nie robili zdjęć z fleszem i nie kradli kości.

- Masz rację - pokiwałam głową i podciągnęłam suwak kurtki pod samą szyję. - Często musi chorować. Przecież tu jest okropnie wilgotno.

Chłopak posłał mi niedowierzające spojrzenie.

- Miałem na myśli nastrój, jaki panuje w tym miejscu - wyjaśnił.

- Aaa, ha, ha, ha. No tak - zaśmiałam się sztucznie.

Beleth popatrzył na mnie znacząco. Zaczynałam się do niego upodabniać.

W końcu doszliśmy do działu obejmującego szczątki paryżan pochowanych niegdyś na Cmentarzu Niewiniątek. Głosy za naszymi plecami robiły się coraz donośniejsze.

- Pospieszmy się - popędził nas Beleth, zerkając niespokojnie w korytarz. Stałam przed murem ułożonym z kości.

- Którą mam wziąć? - zapytałam.

- Wszystko jedno - Piotrek sięgnął po leżącą na szczycie.

- Hej, ja chcę wybrać - obruszyłam się.

Ta, po którą sięgał chłopak, była ukruszona. Kto wie, czy by działała? Sięgnęłam po taką, która wyglądała, przynajmniej u nasady, na całkowicie niezniszczoną.

Szarpnęłam, ale nie ruszyła się z miejsca. Leżały tutaj, jedna na drugiej, od dziesięcioleci. Wyglądało na to, że na skutek wilgoci i wielu innych rzeczy, o których wiedzieć nie chciałam, skleiły się ze sobą na stałe.

Złapałam ją obiema dłońmi i szarpnęłam. Nie poruszyła się. Oparłam się nogą o te leżące niżej i jeszcze raz szarpnęłam.

- Wiki... - westchnął Piotrek. - A może spróbuj inną?

- Niech weźmie tę - zaprotestował Beleth.

Najwyraźniej jego nowa strategia polegała na zgadzaniu się ze mną we wszystkim.

- Już wychodzi - stęknęłam z wysiłkiem.

Kość rzeczywiście jakby odrobinę się obluzowała. Głosy się zbliżały. Szarpnęłam jeszcze raz z całej siły.

Nagle poleciałam do tyłu. Piszczel wysunął się z młażnięciem, zupełnie jakby ktoś go wcześniej trzymał i nagle puścił.

Upadłam na plecy prosto w kałużę.

- Udało mi się! - wysapałam, kiedy obaj doskoczyli do mnie, żeby pomóc mi wstać.

W tym momencie schludny stos kości, pieczołowicie ułożony, jeszcze zanim się urodziłam, zadrżał i z chrzęstem zaczął się na nas sypać.

Oj...

Po piszczelach zsunęły się czaszki i kolejne części szkieletów. Jedna z czaszek wylądowała tuż przede mną. Miałam wrażenie, że puste oczodoły wpatrują się we mnie karcącym wzrokiem.

Dobra, nie ma się czym martwić. Klasnę zaraz w dłonie, a one ułożą się tak samo, jak wcześniej leżały. Nic złego się nie stało!

- Co się dzieje?! Kim jesteście?! - krzyknął ktoś za nami łamaną francuszczyzną. W jego głosie wyczuwało się silny angielski akcent.

Dobra, to chyba nie zdążę klasnąć w dłonie... Mam nadzieję, że właściciele tych szczątków, których spotkam w Niebie albo w Piekło, nie będą na mnie za bardzo źli za zbezczeszczenie ich miejsca wiecznego spoczynku.

Jak się okazało, wcale nie był tak wieczny.

Tuż obok nas zatrzymała się grupka mężczyzn. Patrzyli na nas wrogo.

- To kości z Cmentarza Niewiniątek - jeden z nich wskazał na tabliczkę obok nas.

- Kim jesteście? - zapytał drugi.

- Turysta - Beleth zaśmiał się sztucznie i zaczął się podnosić. - Nie rozumiem po francuski. Nie wiem, co mówić ty.

Za jego przykładem zerwaliśmy się na równe nogi. Wciąż ściszałam w dłoni zdobyczą piszczel.

- Kość! Ukradli kość! - zaczął się podniecać jeden z mężczyzn. - To o nich mówił nam prorok! To diabły! Musimy im przeszkodzić.

Moroni okazał się dość szybki. Dzięki swoim wyznawcom prędko domyślił się, o co chodzi z kością niewiniątka, i wysłał najdzielniejszych mormonów do Francji. Szkoda, że właśnie musieliśmy na nich trafić.

- Łapać ich!!!

Śliskie podłoże nie ułatwiało szybkiej ucieczki. Wydawało się, że jakimś cudem prześladowcy nas doganiają.

- To się wpakowaliśmy - wysapał Beleth.

Jeden z mormonów uczeplił się plecaka Piotrka i pociągnął go do tyłu. Wyhamowałam gwałtownie w kałuży.

- Piotrek! - krzyknęłam.

Mormon uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie wyjdziecie stąd żywi! - warknął. - Zajmiemy się wami, tak jak kazał nam prorok.

Uznałam, że był to doskonały moment nie tyle do użycia mocy piekielnych, co do wezwania odsieczy z Niższej Arkadii.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! - krzyknęłam.

Momentalnie wszystkie spojrzenia prześladowców skierowały się w moją stronę. Odrobinę zbiłam ich z tropu moim okrzykiem wojennym.

Najgorsze było to, że musiałam go powtórzyć jeszcze pięć razy.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! - wrzasnęłam.

Korzystając z nieuwagi mormonów, Piotrek wyrwał się i minął mnie biegiem, łapiąc po drodze za rękę. Pędziliśmy z całych sił przed siebie.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! - wysapałam.

- Ty pomocię Szatana!!! - wrzasnął za mną rozwścieczony mężczyzna. - Jak śmiesz?!

Hm... Lucek by się chyba zdenerwował. Wątpię, żeby ucieszyły go insynuacje, że możemy być spokrewnieni.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego! - krzyczałam, tracąc oddech.

Gdy tylko moje ostatnie słowo przestało rozbrzmiewać echem w pustych korytarzach, nad naszymi głowami zgasło światło.

Rozdział 42

Oślepieni zatrzymaliśmy się. Wszyscy, oprócz Beletha. Może posiadał koci wzrok, bo nawet się nie zatrzymał, gdy ogarnęła nas ciemność.

Słyszeliśmy teraz podniesione głosy mormonów, gdy nawoływali się w korytarzu.

Lampy wiszące przy suficie zabłyśły kilka razy i rozświetliły na chwilę mrok. Zdażyłam dostrzec, że dookoła nas stało kilkanaście ściskających widły demonów. Szczęrzyły się wesoło w stronę mormonów.

Złapałam Piotrka i pociągnęłam na oślep w stronę wyjścia. Wolną dłonią szorowałam po chropowatej ścianie. Demony zajmą się pościgiem i skutecznie go zatrzymają. Goniący nas mężczyźni byli zbyt przerażeni, żeby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

Po chwili zobaczyliśmy w oddali przed sobą światło. Wbiegliśmy do wysokiego pomieszczenia. Przed nami było jeszcze jakieś dwieście schodków i oczekiwana powierzchnia.

- AAAAAAU! - za naszymi plecami ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć.

- CHICHICHICHICHICHICHICHICHICHI! - odpowiedział mu złowieszczy chichot.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Nie wiedziałam, co demony zrobią goniącym nas mężczyznom, ale na pewno nie będzie to nic przyjemnego.

Zaczęliśmy wspinać się po schodach. W końcu, gdy czułam każdy mięsień w nogach i pośladkach, dotarliśmy na szczyt. W korytarzu panowała cisza. Nie było słyhać ani ludzi, ani demonów.

Dyszac ciężko, wydostaliśmy się z budynku. W wąskiej uliczce, na którą prowadziło niepozorne wyjście, czekał na nas Beleth. Jak gdyby nigdy nic popijał kawę zakupioną w małej kawiarence naprzeciwko. Wszystko w niej było w czaszki. Kubki, torby, książki. Bliskość katakumb łatwo naprowadziła właściciela na odpowiednią i niepowtarzalną stylizację knajpy.

- Już? - zapytał spokojnym głosem.

- Tak, już - warknęłam zła, że nas zostawił. - Ale nie dzięki tobie. Musieliśmy wezwać na pomoc demony.

- Och, naprawdę? - zdziwił się teatralnie. - To ja specjalnie się oddaliłem, żeby twój rycerzyk mógł stanąć w obronie swojej ukochanej, a ty wezwałaś demony? Żalosne.

Posłał kpiące spojrzenie Piotrkowi, który zagotował się cały ze złości.

- Tak? - teraz ja zapytałam. - A byłam przekonana, że uciekałeś gdzie pieprz rośnie, bo sądziłeś, że Moroni dał swoim poplecznikom gorejące miecze.

- Jeśli już to fanatykom, a nie poplecznikom - sprostował. - Poza tym to nieprawda.

Nie miał więcej argumentów do wypowiedzenia. Wzruszył tylko ramionami. Oznaczało to, że trafiłam w sedno.

- Kość już mają - Piotrek ściągnął nas na ziemię. - Jako pierwsi musimy zdobyć pierścień papieski, inaczej przegramy.

- No proszę, rycerzyk się spieszy - prychnął rozdrażniony diabeł.

- Ktoś musi - odpowiedział mu lakonicznie Piotr. - Tobie najwyraźniej nie zależy na powodzeniu naszych poszukiwań.

Beleth zmełł przekleństwo w ustach.

- Idziemy? - przerwałam.

Nastrój naszej trójki był koszmarny. Wszyscy skakali sobie do oczu.

- W takim razie Watykan - warknął diabeł i wsunął swój klucz w ścianę budynku. Następnie szarpnął ze złością drzwi i przeszedł przez próg, żeby rozejrzeć się, czy po drugiej stronie jest bezpiecznie.

W tej chwili nad naszymi głowami rozległ się zgrzyt metalu. Między budynkami błysnęło złoto.

- Golemy! - krzyknęłam.

Razem z Piotrkim przeskoczyliśmy przez drzwi.

Po drugiej stronie przejścia znajdowała się mała uliczka tuż obok placu Świętego Piotra. Rozejrzałam się niespokojnie po niebie w poszukiwaniu mechanicznych potworów. Wydawało się, że towarzyszący nam diabeł nawet nie zauważył ich poprzedniego ataku.

Szliśmy za Belehemem, który śmiało ruszył na sam środek placu. O tej porze roku nie spodziewałam się tłumu turystów, jednak dość spora ich liczba błąkała się przed bazyliką.

Stanęliśmy przy fontannie Berniniego tuż pod egipskim obeliskiem, jednym z trzynastu znajdujących się obecnie w Rzymie. Ten kiedyś był ozdobą cyrku Nerona.

Kleopatra miała rację. Egipt był wszędzie. Nawet w Watykanie.

Diabeł podziwiał imponujących rozmiarów kościoł. Nie odzywał się do nas.

Rozejrzałam się dookoła. Nie miałam pojęcia, gdzie mógłby znajdować się teraz papież. Mógł być wszędzie.

- Jesteś na świętej ziemi. Nie powinieneś zacząć syczeć z bólu i się palić?

- zapytałam Beletha, żeby zmienić temat i trochę poprawić mu humor.

Odwrócił się w moją stronę. Złość zniknęła z jego twarzy, powrócił za to łobuzerski uśmiech.

- Skarbie, tak mogą robić co najwyżej wampiry - odparł. - Diabły na pewno nie.

- To wampiry istnieją? - szczerze się zainteresowałam. Półki księgarni w Polsce aż uginały się od powieści o wampirach i śmiertelnikach, w których się zakochali.

Posłał mi znaczące spojrzenie.

- Może w wilkołaki też wierzysz? - zapytał.

No tak...

- To gdzie ten papież? - westchnęłam.

- Popatrzcie - zaordynował i machnął ręką nad wodą fontanny.

Woda zagotowała się, a po chwili jej powierzchnia uspokoiła się, ukazując nam obraz staruszka ubranego w szarą kurtkę, który spacerował po parku pozbawionym liści o tej porze roku.

Beleth cmoknął.

- Castel Gandolfo? - zapytał Piotrek.

- No proszę, rycerzyk się poznał - zakpił Beleth.

- Możesz przestać mnie tak nazywać?

Potrzeba było czasu, żeby wyprowadzić Piotra z równowagi. Jednak istniała szansa, że niedługo diabłu się to uda.

- A co? Nie podoba ci się, rycerzyku? - Beleth delektował się tym określeniem.

Nie poznawałam go. Wielokrotnie tłumaczył mi, że jest przedwieczną istotą, którą bawią ludzkie zachowania i słabości. Był niczym staruszek wśród przedszkolaków. A co teraz robił? Zachowywał się jak zazdrosny, przyszczaty szesnastolatek. Jak człowiek. Nie wiem dlaczego, ale wzbudziło to moją sympatię. Miał wady. Nie był idealnym płomieniem Boga.

Minęło nas kilku gwardzistów papieskich. Ich kolorowe stroje zaprojektowane przez Michała Anioła raziły w oczy. W skrytości ducha podejrzewałam, że byli tak ubierani nie ze względu na tradycję, ale raczej na poczucie humoru duchownych.

Podobały mi się ich żółto-fioletowo-czerwone stroje. Wprowadzały trochę wesołego rozgardiaszu do stonowanego i spokojnego Watykanu. Oczywiście gwardziści nie byli weseli. Zachowywali kamienne oblicza, gdy rozbawieni turyści robili im zdjęcia. Pełen profesjonalizm.

- To poszukajmy ściany - ochoczo zaproponował Beleth.

Wróciliśmy do zacienionej uliczki i przekroczyliśmy przejście stworzone przez diabła. Po drugiej stronie przywitał nas park pozbawiony liści, ale mimo to bardzo ładny. Wyobraziłam sobie, jak musiał wyglądać na wiosnę lub latem.

Zaczęliśmy się skradać w stronę, po której spacerował papież. Chyba chciał wybrać się na samotną przechadzkę, bo ochroniarze zostali w pewnym oddaleniu. Mogłam się założyć, że cały park był obstawiony, ale kto mógłby podejrzewać, że niepowołani goście mogą dostać się do parku, wchodząc przez dąb korkowy o wyjątkowo szerokim pniu.

Papież, nie zauważając nas za swoimi plecami, usiadł na niskiej ławeczce na szczycie niewielkiego wzniesienia. Przed sobą miał widok na cały park.

Spojrzałam na Beletha. Nie wiedziałam, co powinniśmy zrobić, żeby go nie przestraszyć. Był w końcu osobą duchowną, a my... no cóż... bliżej nam było do wysłanników Piekieł niż ludzi. Diabeł pokiwał przecząco głową i wskazał na mnie, a następnie na papieża.

Co? Sama mam go zapytać o pierścień? Nie chcę!

Piotrek wziął mnie za rękę i uśmiechnął się uspokajająco. Następnie pociągnął mnie lekko w kierunku starszego mężczyzny. Beleth zmarszczył brwi.

Już nie starając się być cicho, podeszliśmy do papieża. Nie chcieliśmy go przestraszyć.

- Dzień dobry - powiedziałam po włosku. - Czy moglibyśmy porozmawiać z Waszą Świątobliwością?

Staruszek drgnął zaskoczony i odwrócił do nas swoje mądre oczy.

- Tak, dziecko? Co wy tu robicie? Straże was przepuściły? - miał schrypnięty, chropowaty głos.

Spojrzeliliśmy po sobie z Piotrkim. Nie należało kłamać papieżowi.

- Weszliśmy tutaj ukradkiem - powiedział Piotrek. - Wiemy, że nie powinniśmy, ale musieliśmy z Waszą Świątobliwością porozmawiać.

Staruszek oparł się na ławce. Jego spojrzenie nie było już zaniepokojone. Było raczej pełne dobroci i dobrych chęci. Mile mnie tym zaskoczył. Nie przepędził nas, nie wyklął. Chciał nas wysłuchać.

- Jestem Wiktor, a to Piotrek - przedstawiłam nas. - Pochodzimy z Polski. A to Beleth. Beleth... nie jest człowiekiem...

W tym momencie diabeł także podszedł do ławki. Musiał mieć w końcu swoje wielkie wejście.

- Witaj, *padre* - odezwał się niskim głosem.

Papież ściągnął brwi, przyglądając się naszemu towarzyszowi, którego zachowanie nie wskazywało na to, by czuł się onieśmielony.

- Beleth? - zapytał papież, a jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Czy to nie jest jedno z imion pomiotu Szatana?

Diabeł skrzywił się.

- Nie przyznaję się do żadnego powinowactwa z Lucyferem - odparł zgorszony. - Jestem zwykłym, szanującym się diabłem. Boisz się mnie, *padre*?

- Nie ulękę się sił ciemności - odparł z godnością papież. - Czego ode mnie chcecie?

Byłam pod wrażeniem. Nie dość, że od razu nam uwierzył, to jeszcze potrafił stawić czoło. Poczulałam dumę, że Kościołem kieruje taki mądry człowiek.

Beleth prychnął zniesmaczony. Uważał Ojca Świętego za kolejnego słabego człowieka. Mylił się.

- Potrzebujemy twojej pomocy - powiedziałam. - Wąż się losy Nieba i Piekła. Jeden z aniołów, anioł Moroni, pragnie zdobycia boskiej władzy. Powstało wielkie zamieszanie. Usiłujemy mu w tym przeszkodzić - powiedziałam.

- Co prawda, teraz pomaga nam przedstawiciel Piekła, co może być mylące, ale naprawdę działamy w słusznej sprawie - dodał Piotrek. - Musisz nam uwierzyć.

- Moroni? - upewnił się papież. - To imię fałszywego proroka.

Poczulałam ulgę. Jak dobrze było rozmawiać z kimś, kto wiedział, o co chodzi, bez zbędnych tłumaczeń.

- Tak. Moroni usiłuje zebrać dziewiętnaście kluczy, które pomogą mu zdobyć boskie moce - znowu zaczęłam mówić. - Zamierza przejąć władzę nad Niebem, Ziemią i Piekłem. Nie możemy do tego dopuścić. Usiłujemy go wyprzedzić, by zdobyć potrzebne mu przedmioty, zanim on do nich dotrze.

- A jaka jest w tym moja rola? - zapytał papież. - Nie wiem, jak mógłbym wam pomóc. Mogę wesprzeć was modlitwą.' Oczywiście o ile to, co mówicie, jest prawdą.

- Posiadasz ostatni artefakt, prawdopodobnie o najsilniejszej mocy. Insignium władzy papieskiej, jaką mają ludzie od czasów świętego Piotra. Symbol wiedzy i wiary - wyjaśnił niechętnie Beleth.

Nie rozumiałam, czemu był taki zniesmaczony rozmową z papieżem. Owszem, Ojciec Święty był wobec niego nieufny, ale kto by nie był? Ja, w przeciwieństwie do diabła, czułam się zaszczycona, że mogłam z nim porozmawiać.

Papież szybko zrozumiał. Spojrzał na swoją zniszczoną czasem dłoń. Na jego palcu błysnął potężny złoty sygnet.

- Pierścień Rybaka? - zapytał.

- Tak - kiwnęłam głową.

Starszy mężczyzna spojrzał w dal przed siebie. Zamyślił się.

- Gdybyśmy potrafili jakoś udowodnić ci, że mówimy prawdę... - westchnął Piotrek.

- Potraktujcie to pytanie jak spowiedź - odezwał się Ojciec Święty. - Czy przyrzekacie strzec pierścienia i ocalić wiarę?

Potwierdził z Piotrkim. Diabeł milczał. Papież spojrzał na Beletha. Nie był zdziwiony jego zachowaniem.

- Nie mogę przyrzekać w spowiedzi. Ona mnie nie obowiązuje - stwierdził diabeł. - Mogę w niej spokojnie skłamać i tego nie wyczujesz.

- Wiem - odparł starszy mężczyzna. - Liczyłem jednak na ukryte w tobie dobro. Dzieci, strzeżcie się fałszywych przyjaciół - skierował swoje słowa do nas.

Beleth prychnął rozdrażniony i stworzył sobie w dłoni papierosa, którego od razu przypalił.

- Dam wam pierścień - oznajmił papież. - Będę się też za was modlił.

Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo nam się udało. Nie zadawał dziesiątek pytań, zaufał nam. Wydawało mi się to zbyt piękne, by było prawdziwe. Mieliśmy szczęście, że papieżem jest tak mądry człowiek.

- Dziękujemy - powiedziałam. - Zrobimy co w naszej mocy, by ocalić wiarę.

Ojciec Święty zdjął z palca pierścień. Spojrzał na niego, a następnie pocałował i się przeżegnał. Podał mi go.

Pierścień był ciężki, zrobiony z lanego złota. Przedstawiał świętego Piotra zarzucającego sieć. Dookoła niego wiło się imię obecnego papieża.

- Idźcie z Bogiem, dzieci - powiedział Ojciec Święty.

Mocno zacisnęłam palce na pierścieniu. Nie zamierzałam dopuścić do tego, by Moroni go zdobył.

- Dziękujemy ci, ojczu - powiedział Piotrek.

- Gdy wam się uda, odwiedźcie mnie znowu - odparł. -I zwróćcie pierścień.

- Oczywiście - pokiwałam głową.

Beleth, znudzony, rzucił niedopałek na ziemię. Nawet go nie przydeptał. W stronę nieba unosił się szary dymek.

- Idziemy? - zapytał.

Chyba wiedziałam, co należało teraz zrobić. Powinniśmy znowu spróbować porozmawiać z Gabrielem. Dzięki pierścieniowi zdobyliśmy trochę potrzebnego czasu. Moroni nie zdoła zdobyć władzy nad światem bez niego. Spokojnie mogliśmy wrócić do Arkadii.

- Jeszcze raz dziękujemy - powiedziałam. - Do widzenia.

Starzec kiwnął nam głową na pożegnanie.

W tej chwili z silnym łopotem skrzydeł na ziemię tuż obok mnie spadł anioł Moroni. Krzyknęłam przestraszona.

- Dziękuję za zdjęcie pierścienia z palca papieża - zaśmiał się ochryple anioł.

Chwycił mnie, blokując ręce, i wznosił się w powietrze. Zaczęłam krzyczeć przerażona, kiedy ziemia uciekła mi spod nóg. Dłonie Moroniego boleśnie zacisnęły się na moich ramionach.

- WIKI!!! - krzyknął Piotrek.

Usiłował mnie złapać, ale zanim to zrobił, wznieśliśmy się już ponad niego. Anioł młócił wściekle skrzydłami.

- Pierścień będzie mój - oznajmił mi.

Nad naszymi głowami otworzyło się niebo. Wlecieliśmy w świetlistą dziurę.

- Oddajcie mi rękopis, a nie stanie jej się krzywda - powiedział cichnący głos Moroniego.

- WIKI!!! - nad parkiem poniósł się krzyk Piotrka.

- Moroni - wyszeptał Beleth z nienawiścią. Za jego plecami papież modlił się po łacinie.

Rozdział 43

Powoli się budziłam. Powieki miałam ciężkie, w głowie dudniło mi, jakby ktoś uderzał młotem tuż przy moich uszach. Chciałam coś powiedzieć, ale w ustach zaschło mi tak bardzo, że nie zdołałam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Jedynie zakaszłam głucho.

Przez dłuższą chwilę nie widziałam wyraźnie. Raziło mnie białe światło.

- Ach! Widzę, że już się ocknęłaś - powiedział doskonale znany mi głos.

Obraz nabrał ostrości. Naprzeciwko mnie stał Moroni. Na cienkim rzemyku na szyi zawiesił sobie złoty Pierścień Rybaka.

Dookoła nas zebrało się kilkoro ludzi. Zauważyłam, że

dwóch mężczyzn trzymało dziewczynę i chłopaka. Przykładali im noże do gardeł. Na gładkiej szyi młodej kobiety rysowała się czerwona linia w miejscu, w którym płytko zraniło ją ostrzy. Patrzyła na mnie pełnymi przerażenia oczami. Chłopak kiwał przecząco głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. To była Zuza.

Moja najlepsza przyjaciółka. Oraz Marek. Mój brat.

Szarpnęłam się całym ciałem w ich stronę. Zorientowałam się że jestem przywiązana do pnia wyschniętej akacji. Znajdowaliśmy się pośrodku pustki. Otaczały nas suche połacie trawy. Gdzieś w oddali zaryczał słoń.

Afryka. Sawanna. Miejsce idealne do otworzenia wrót do Piekieł.

- Moroni - syknęłam. - Zabiję cię!

- Tylko spróbuj - powiedział zimnym głosem. - Jeżeli użyjesz mocy, moi słudzy zamordują twoich najbliższych.

Spojrzałam na nich. Nie zdołałabym obezwładnić obu na raz. Gdy zranie jednego, drugi dźgnie swoją ofiarę. Nieważne, co zrobię, nie uratuję jednej osoby.

- Jeżeli spróbujesz się uwolnić, także czeka ich śmierć - oznajmił anioł.

- Czemu? - zapytałam.

- Wiki! Wiki! Co się dzieje? - zawołał Marek. Prześladowca uderzył go w twarz, żeby zamilkł.

Nie mogłam na to patrzeć.

- Nic, Marek, to tylko ci się wydaje - po policzku potoczyła mi się samotna łza. - To tylko zły sen...

Przełknęłam ślinę i posłałam Moroniemu twarde spojrzenie. Nie złamię mnie. Za dużo przeszłam, żeby tak po prostu się rozkleić.

- Czemu? - powtórzyłam pytanie.

- Jesteś moją zakładniczką - wyjaśnił. - Chcąc cię ratować, Beleth i Piotr przyniosą mi rękopis.

- A ty staniesz się bogiem - prychnęłam.

- W rzeczy samej - spojrzał na rozświetlone niebo. - Dzisiaj idealna pogoda na otwarcie bram do ciemności. Przygasimy odrobinę słońce.

Miałam ochotę zaśmiać mu się prosto w oczy.

- Żeby być bogiem, musiałbyś mieć w sobie trochę pokory i szacunku do życia - powiedziałam. - Nigdy nie będziesz bogiem, a jedynie jego marną karykaturą.

- Milcz! - krzyknął i uderzył mnie w twarz. - Jak śmiałaś mnie okraść? Myślisz, że nie wiem, że podłożyłaś mi falsyfikaty? Na szczęście to nieważne. Moi słudzy odkryli, że nie liczą się artefakty, a jedynie intencje. Inaczej marny byłby twój los.

Splunęłam krwią z rozciętej wargi. Rana zasklepiła się szybko dzięki mocy Iskry Bożej.

- Wiki! - jęknęła Zuza i zaczęła spazmatycznie płakać.

Czekaliśmy. Wyznawcy Moroniego co chwilę popijali tworzoną przez niego wodę. W przeciwieństwie do mnie i moich najbliższych mieli czapki oraz okulary chroniące ich przed żarem afrykańskiego słońca.

Było tak gorąco.

Kręciło mi się w głowie. Co jakiś czas patrzyłam w niebo w poszukiwaniu złotych golemów.

Nie pojawiały się. Tak samo jak Piotrek i Beleth. Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł ze strony Moroniego, żeby pozostawić im zadanie uratowania mnie. Prędzej świat się skończy, niż tych dwóch się dogada. Zastanawiało mnie, czy przypadkiem któryś nie zamordował już drugiego.

Przypadkiem, rzecz jasna.

Poczułam ukłucie w klatce piersiowej. Miałam nadzieję, że nie spotkali golemów. Nie mogliby zginąć z mojego powodu. Tęskniłabym i szalała z rozpaczą za nimi obydwoma.

Wysokie trawy falowały. Zuza chyba zemdlą. Zwieszała się bezwładnie z rąk mormona. Anioł siedział w niedbalej pozie na kamieniu. Miał zamknięte oczy. Nawet się nie rozglądał. Dookoła niego rozłożone były artefakty potrzebne do ceremonii.

Jeszcze raz potoczyłam spojrzeniem po otaczającym nas krajobrazie. Nagle mój wzrok przyciągnęła plama czerni w morzu ochry i brązu. Zniknęła ukryta w zaroślach tak szybko, jak się pojawiła.

To chyba był irokez Beletha!

Chwilę później w polu mojego widzenia pojawiła się rozczochrana głowa Piotrka. Rozejrzał się szybko, niezauważony przez naszych oprawców, i schował w trawie.

Poczułam niewyobrażalną ulgę. Obaj żyli.

Moroni podniósł do góry głowę, jakby coś go zaniepokoiło.

Nagle trawa po przeciwnej stronie zapłonęła. Przestraszeni mormoni odskoczyli z krzykiem. Anioł zaczął się głośno śmiać.

- A więc jesteście! - zawołał. - Długo kazaliście na siebie czekać. Pokażcie się i oddajcie manuskrypt, a waszej kochance nic się nie stanie.

- Nie jestem ich kochanką - warknęłam.

A w każdym razie nie obu. Wypraszam sobie.

- Jednego czy dwóch. Co za różnica? - machnął na mnie ręką i znowu podniósł głos. - Oddajcie mi manuskrypt!

W tej chwili z trawy z krzykiem wyskoczył Piotrek, nacierając na Moroniego gorejącym mieczem. Wstęga ognia ciągnęła się za nim, gdy machnął potężnym ostrzem tuż przed nosem anioła, który usiłował odskoczyć kompletnie zaskoczony tym posunięciem. Gorące ostrze obcięło fragment białej szaty Moroniego.

Tuż za mną zmaterializował się jakby znikąd Beleth i jednym machnięciem szabli rozciął wiążące mnie liny.

- Gorejące miecze? - zapytałam.

- Miałem ich kilka w zapasie - wyjaśnił mi z uśmiechem. - Uciekaj.

Pchnął mnie w stronę traw. Ja jednak nie mogłam tak po prostu uciec. Nie, gdy mormoni przetrzymywali Zużę i Marka. Mój brat także wyglądał jakby zemdłał. Dobrze. Przynajmniej nie był świadomy tego, co rozgrywało się nad jego głową.

Sawanna płonęła. Gęsty dym zasnuł błękitne niebo.

Piotrek znowu zamachnął się na Moroniego. Ten jednak uniósł się w powietrze na swoich czarnych skrzydłach poza zasięg jego ramion.

- Zabijcie go! - rozkazał swoim podwładnym. Mężczyźni rzucili się w stronę chłopaka, porzucając moich najbliższych. Pobiegłam w ich stronę. Leżeli obok siebie nieprzytomni.

- To tylko sen - szepnęłam do nich i tchnęłam moc do ich umysłów. Teraz powinni w to uwierzyć.

Czy mogłam ich przenieść bez tworzenia drzwi? Położyłam dłonie na ramionach Zuzy i pomyślałam o jej mieszkaniu i łóżku. Dziewczyna zniknęła. To samo zrobiłam ze swoim bratem.

Później wyjaśnię im, co tak naprawdę się wydarzyło. Nad naszymi głowami potoczył się zgrzyt i dźwięk gnieczonego metalu.

Chmurę dymu rozcięły złote skrzydła. Olbrzymi golem zawył metalicznym głosem. Jego cztery grube ramiona zabłysły w słońcu, gdy zamachnął się na Piotrka czterema srebrnymi, gorejącymi mieczami. Chłopak ledwo uskoczył przed płomiennym atakiem.

Twór świętego Piotra wzbił się na nowo w powietrze. Zobaczyliśmy, że w dymie znajduje się ich więcej. Znacznie więcej.

- Jak je pokonać? - zapytał Piotrek, podbiegając do mnie.

- Każdy z nich ma w pysku kartkę papieru. Trzeba ją wyjąć i zmasać pierwszą literę, zamieniając słowo „emet” na „met”.

Chłopak posłał mi zdruzgotane spojrzenie.

- A nie da się prościej, nie zbliżając się do ich łap?

- Nie.

- Kurwa - zaklął. - To mamy problem.

- Aaa! - w tej chwili za naszymi plecami ryknął Beleth.

Gorejący miecz upadł w miejscu, w którym klęczał przed chwilą Piotrek. Na szczęście chłopak zdążył odskoczyć. Rzucił mi swój plecak i wyciągnął ostrze, by odparować kolejny cios diabła.

- Beleth, co ty wyprawiasz? - krzyknęłam.

Za moimi plecami złośliwie zaśmiał się Moroni:

- Mój wspólnik Beleth właśnie wykonuje swoją część planu. Dostarcza mi rękopis oraz zabija Piotra. W nagrodę zaś otrzyma ciebie. Oddaj mi plecak. Proszę.

Odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam prosto w puste, przezroczyście oczy anioła. Mocniej ścisnęłam plecak, w środku zachrzącał delikatny manuskrypt i inne skradzione przez nas przedmioty.

Piotrek walczył dzielnie z Belethem. Przegrywał. Nie znał się na szermierce. Za to diabeł miał tysiące lat na doskonalenie tej sztuki.

- Beleth, przestań! - krzyknęłam, jednak on w tym zamieszaniu chyba nawet mnie nie usłyszał.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego - szepnęłam, łapiąc się tej ostatniej deski ratunku.

- Co? - warknął anioł. - Jak śmiesz mówić takie bezceństwa?!

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego. Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego. Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego - powtarzałam niczym mantrę, cofając się.

W tym momencie Piotrek wykonał piękne pchnięcie, o mało nie trafiając diabła, który cudem zdołał odskoczyć.

- Piotrek, nie! - krzyknęłam.

Nie chciałam, żeby któremuś z nich stała się krzywda. Musiałam to przerwać. Musiałam powiedzieć Belethowi, że już nie jestem z Piotrem.

- Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego. Lucyfer jest najwspanialszym władcą Piekieł i nikt przenigdy nie będzie lepszy od niego - dokończyłam.

W tej chwili dookoła nas w chmurze czerwonego dymu pojawiło się kilkanaście małych, brzydkich demonów.

Jeden z nich zaśmiał się jak szalony i dźgnął widłami anioła. Ten nie odskoczył. Po prostu spojrzał twardo na diabelski pomiot.

Stworek rozdziawił usta ze zdziwienia. Tę chwilę wybrały golemi, by zaatakować. Ich rubinowe oczy zabłysły, gdy falą złota opadły na ziemię. Jeden z demonów odważył się rzucić na maskarę. Ta jednak jednym machnięciem srebrnej szabli zamieniła demona w garstkę prochu, który rozwiął się na wietrze.

Pozostałe demony z krzykiem zaczęły znikać w obłokach czerwonej pary. Pozostał po nich tylko nieznaczny zapach siarki unoszący się w powietrzu. I to tyle, jeżeli chodzi o pomoc z Piekieł. Moroni złapał za trzymany przeze mnie plecak i szarpnął. Materiał rozpruł się na szwie. Skopiowane przez nas

przedmioty rozsypały się na ziemi. Anioł pochwycił manuskrypt. Ja natomiast szarpnęłam za pierścień na jego szyi i zerwałam cienki rzemyk.

Anioł zupełnie jakby się tym nie przejął. Wzbił się w powietrze i rozwinął rękopis. Na jego twarzy pojawił się szaleńczy uśmiech.

- Będę bogiem! - krzyknął.

Zauważyłam, że jeden ze złotych golemów rozdzielił Piotrka i Beletha. Zacisnęłam palce na pierścieniu, który według słów Moroniego i tak nie był ważny. Jednak chciałam go zatrzymać i oddać papieżowi, jeśli uda nam się wyjść z tego cało.

Czułam się, jakbym to wszystko oglądała w zwolnionym tempie. To, co widziałam, krew z rozrywanych żywcem przez golemy popleczników Moroniego, płomienie z broni Beletha oraz wszechobecny dym i pył, wydawało mi się nierzeczywiste. Dwóch bliskich mi mężczyzn przestało ze sobą walczyć. Zostali zaatakowani przez podopiecznych świętego Piotra. Jak sen. Koszmarny sen.

- Wiki! - Piotrek podbiegł do mnie i pociągnął w wysoką trawę, wrywając z amoku, w który wpadłam.

Za naszymi plecami Beleth usiłował bronić się przed dwoma golemami. Jego także poszukiwały złote potwory. Też był ich ofiarą.

Ukryci w trawie patrzyliśmy, jak anioł wzbijał się coraz wyżej w powietrze. Wątpiłam, że nasza kryjówka okaże się azylem. Na pewno zaraz golemy nas odnajdą.

- To koniec - szepnęłam.

- Od! sonhuf valoresaji, gohu sanctisini... - zaczął intonować mocnym głosem Moroni.

Ścisnęłam rękę Piotrka. Poczułam ból. Zdałam sobie sprawę, że w tej dłoni trzymałam Pierścień Rybaka. Podałam go chłopakowi.

- Schowaj go gdzieś - powiedziałam.

Włożył go do kieszeni spodni. Następnie spojrzał na mnie. Miał rozpalony wzrok.

- Mam nadzieję, że to przeżyjemy - jęknął.

W tej chwili jeden ze złotych golemów zawył przeraźliwie. Wyjrzelśmy z trawy. Beleth siedział na jego plecach. Właśnie wyrwał mu z ust kartkę i oderwał początek z literą „E”. Złoty golem zabłyszczał i rozsypał się w złoty, mieniący się pył. Diabeł spadł na ziemię. Dokonał tego, czego prawdopodobnie nikt nie zrobił przed nim. Pokonał anielskiego strażnika.

Jak na zawołanie reszta bestii rzuciła się na niego.

- Pomogę mu - krzyknął chłopak i podbiegł w stronę Beletha.

Zobaczyłam zaskoczone spojrzenie Beletha, gdy Piotr odparował cios, który najpewniej odrąbałby głowę niespodziewającego się pomocy diabła. Nie sądził, że śmiertelnik okaże się jego sojusznikiem.

Spojrzałam na Moroniego, który wisząc w powietrzu, czytał słowa zapisane czarnym, zapewne niegdyś czerwonym, atramentem na rozpadającym

się kawałku papierusa. Nad naszymi głowami dym z palącej się sawanny zaczął układać się w wirujący okrąg.

Wrota do Piekieł, czymkolwiek by były, właśnie się otwierały.

Anioł wisiał w powietrzu wysoko nad moją głową. Nie miałam szans, żeby tam go dosięgnąć. Latać także nie umiałam pomimo mocy Iskry Bożej.

Co robić? Piotrek i Beleth odwracali uwagę golemów, które na razie mnie nie zauważyły.

Wiem!

Już wiedziałam, co mogę zrobić.

Rozdział 44

Wyobraziłam sobie skrzydła. Piękne białe skrzydła. Anielskie skrzydła. Skrzydła, których nie powinnam mieć, a które właśnie wyrastały mi z pleców na wysokości łopatek.

Miałam nadzieję, że będą działać. Udało mi się stworzyć je diabłom. Teraz też powinno mi się udać.

Zanim białe lotki wykształciły się do końca, zamachałam skrzydłami i wzbiłam się w powietrze. W połowie drogi pomiędzy mną a aniołem, w rozbłysku białego światła pióra rysowane złotym promieniem zostały stworzone do końca.

Młóciłam skrzydłami, lecąc coraz wyżej. Minał mnie golem. Jego rubinowe oczy zabłysły gniewnie. Machnął czterema szablami, ścinając kilka długich białych piór.

Leciałam dalej. Poda mną rozbłysła kula ognia, pochłaniając złotą rzeźbę, która zaczęła się topić. Fala gorąca popchnęła mnie jeszcze szybciej do góry.

To Piotrek albo Beleth usiłowali mi pomóc.

Wyciągnęłam ręce w stronę manuskryptu, który trzymał Moroni. Anioł zauważył, że lecę prosto na niego. Nie przerywając intonacji, usiłował się cofnąć. Zrobił to jednak za późno.

Zdołałam chwycić za dolną połowę rękopisu. Wyrwałam kawałek z końcówką tekstu.

- NIE!!! - zawył Moroni.

Mocno machając słabnącymi skrzydłami, starałam się jak najbardziej od niego oddalić. Wzlecieć jak najwyżej.

Niczym Ikar kierowałam się ku słońcu, ale go nie widziałam. Nade mną formował się czarny okrąg wrót do Piekieł. Podążyłam w jego kierunku. Anioł z głośnym krzykiem leciał za mną.

Był silniejszy. Doganiał mnie.

Spojrzałam na tekst, który mu wyrwałam. Linijki, które przeczytał, świeciły się na złoto, błyszcząc w przygaszonym słońcu. Te jeszcze niewypowiedziane były ciemne, martwe. Nie mogłam pozwolić, by Moroni dokończył. To byłby koniec świata, który znamy.

A zapewne także koniec mojego życia. Anioł nie pozwoliłby mi żyć. Nie po tym jak wystąpiłam przeciwko niemu.

Skupiłam się na locie. Przelałam moc w skrzydła, by były silniejsze.

Nagle naprzeciwko mnie z dymu wyłonił się złoty golem. Był tak blisko, że mogłam przejrzeć się w jego małpiej twarzy pozbawionej wyrazu. Uniósł ramiona, chcąc przebić mnie szablami.

Z krzykiem przerażenia przestałam machać skrzydłami i runęłam w dół. Bezradnie usiłowałam się czegoś złapać.

Moroni wyminął mnie, wrywając mi z ręki fragment manuskryptu. Golem machnął szablami, rozcinając ramię anioła. Jego krzyk potoczył się nad płonąca sawanną, a krople białej anielskiej krwi zboczyły jej ziemię. Rana szybko zasklepiła się, pozostawiając brzydką, spaloną bliznę.

Golem runął za mną, a anioł wzbijał się wyżej, w stronę wrót. Zaczął ponownie czytać. Ból wykrzywił jego przystojną twarz, znacząc ją zmarszczkami. Czyżby w ten sposób oblicza aniołów przestawały być idealnie gładkie?

Zamachałam rozpaczliwie skrzydłami, usiłując zamortyzować upadek. Golem był tuż nade mną.

Przed uderzeniem w ziemię zdołałam wzlecieć z powrotem. Pęd moich skrzydeł odgarnął dym, odsłaniając pole walki, na którym Beleth i Piotrek dzielnie stawiali czoło trzem atakującym ich golemom.

- WIKI! - krzyknął chłopak, gdy robiąc beczkę w powietrzu, minęłam szable rozwścieczonych anielskich bestii zaledwie o milimetry.

Goniący mnie golem zderzył się z jednym z towarzyszy tuż nad głową Piotrka. Zgrzyt trącego metalu przyprawiał o dreszcze.

Nie mogłam pozwolić, żeby Moroni skończył czytać. Nie zostało mi wiele sił. Leciałam prosto na niego.

- Agaleus amantitum. Saeve turitulum. Saeve katepasitas. Saeve sancti... - głos Moroniego stawał się coraz silniejszy, gdy czytał kolejne linijki.

Planowałam z całej siły w niego uderzyć. Moroni jednak zauważył mnie na długo, zanim do niego doleciałam. Posłał mi złowrogi uśmiech i wyciągnął oszpeconą rękę w moją stronę.

Promień błękitnego światła poleciał prosto na mnie. W ostatniej chwili odskoczyłam. Moc anioła uderzyła w ziemię, powodując tam potężny wybuch. Miałam nadzieję, że nie trafił w Piotra ani w Beletha.

Moroni zauważył, że wpadłam w popłoch, gdy jego moc zaryła w ziemię tuż obok walczących. Posłał mi złośliwy uśmiech.

Następny promień skierował prosto w to samo miejsce. Walczące postacie zostały odrzucone jak szmaciane lalki. Powoli podnieśli się z ziemi.

- Ty chamie! - ryknęłam do anioła. - Ty potworze! Jak śmiesz?!

Zaśmiał się złośliwie.

- Zabiję ich - oświadczył. - A ty będziesz na to patrzeć. Dopiero potem zginiesz.

- Nie pozwolę ci na to! - wrzasnęłam.

Wzorując się na aniele, który pokazał mi nową sztuczkę, wyciągnęłam ramiona i posłałam w jego stronę falę zielonej energii. Zanim się zorientował i uskoczył, zdołała podpalić mu czubki skrzydeł.

Moroni zawył z wściekłości.

- Zniszczę cię, gdy tylko zostanę bogiem!!! - krzyknął, patrząc na smętne resztki długich piór.

Zamłóciłam wściekle skrzydłami, szybko zmniejszając dzielącą nas odległość.

- Najpierw musisz nim zostać! - zawołałam, wrywając mu manuskrypt.

Ruszył za mną w pościg. Drapiący czarny dym drażnił moje oczy. Płakałam. Nie widziałam, gdzie lecę. Słyszałam za sobą sapanie i wściekły łomot skrzydeł Moroniego. Co chwilę uskakiwałam przed niebieskimi promieniami, którymi próbował mnie trafić.

Usiłowałam zniszczyć rękopis. Chciałam go spalić, jednak płomień tylko parzyły moje palce. Nieprzeczytanych słów nie potrafiłam także podrzeć.

Manuskryptu broniła silna, przedwieczna magia, jakiej ja nie posiadałam. Zdziwiło mnie to. Było coś, czego nie potrafiłam.

Co miałam zrobić, żeby Moroni nie został bogiem? Nie miałam przecież wyboru. Tak naprawdę wcale tego nie chciałam. Musiałam. Tak. Musiałam.

- Saeve teragesi... - zawołałam.

Kolejna linijka czarnego pisma zabłysła złotem. Nad naszymi głowami, w kipieli dymu coś zawrzało.

- Katepsitum olganesus altrishagma... - kontynuowałam.

- PRZESTAŃ!!! - zawył Moroni. - NIE WOLNO CI!!!

Błękitny płomień przestrzelił moje skrzydło, które zgięło się z bólu. Po raz kolejny runęłam w dół.

Przypomniałam sobie, że byłam teraz śmiertelna.

- O choleeeeeeeee...!!! - zawylałam, lecąc w stronę twardej spalonej ziemi.

- ATAKUJCIE JĄ!!! - Moroni czerwony na twarzy z wściekłości wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. - ATAKUJCIE JĄ!!!

Na jego rozkaz wszystkie golemi dotychczas atakujące Piotrka i Beletha wzbily się w powietrze. Usiłując naprawić złamane skrzydło, widziałam błysk ich srebrnych szabl.

Uzdrowione skrzydło zamachało. Minęłam pierwszego golema, przelatując nad jego głową. Pozostałe zrobiły powolny zwrot swoimi ciężkimi cielskami. Mnie uniósł wiatr. Byłam lżejsza. Szybsza.

Ale nie od Moroniego.

Anioł niczym diabełek z pudełka wyskoczył naprzeciwko mnie.

- Zabiję cię! - krzyknął. - Oddaj manuskrypt!

Z całej siły wleciałam prosto na niego, uderzając go barkiem. Nie wiem, kogo z nas bardziej zabolalo.

Chyba mnie...

Złoty golem wpadł na anioła. Zadzwięczało, gdy jego czaszka spotkała się z metalową piersią potwora. Kolejne stwory nadal kierowały się w moją stronę.

Zobaczyłam w oddali Beletha. Usiłował lecieć mi na ratunek. Gorejący miecz w jego dłoni zabłysł płomieniem, gdy zaatakował goniącego mnie golema.

Moroni dochodził do siebie. To koniec. Przegramy. Było ich zbyt dużo.

Złożyłam skrzydła i po raz kolejny runęłam w dół. Pikując, minęłam golemy, które nie zorientowawszy się, jeszcze chwilę wlatywały w górę.

Odgiełam rękopis, którym szarpał wiatr, i doczytałam ostatnie czarne słowo w tym dziwnym języku, o ironio, oznaczające nieskalaną mądrość:

- Iadanamada!

Czarne chmury nad naszymi głowami rozbłysły oślepiającym blaskiem. Skłębiony wir zamienił się w światłość. Biały promień poraził nas wszystkich.

Słup światła ruszył w stronę ziemi. Na swojej drodze napotkał złote golemy, które pod jego ciężarem zmieniały się w złoty, mieniący się pył. Moroni i Beleth pozostali przy życiu. Spadli na ziemię, jakby ich skrzydła przestały działać.

Jedynie ja nadal unosiłam się w powietrzu w tej obezwładniającej bieli. Nie musiałam machać skrzydłami. Powoli znikwały, krusząc się na drobne kawałki. To słup bieli trzymał mnie w powietrzu.

Manuskrypt w mojej dłoni rozsypał się w pył.

Spojrzałam w dół.

Na ziemi, wśród traw, które już nie płonęły, stał Piotrek. Mrużąc oczy, wpatrywał się w niebo, we mnie. Żył.

W tej chwili poczułam ostry ból, przenikający każdą komórkę mojego ciała.

Zacząłam krzyczeć.

Rozdział 45

Nie wiedziałam, co się dzieje. Ból był okropny. Niewyobrażalny! Wydawało mi się, że coś wwierca mi się w głowę, w serce. Nie mogłam myśleć, nie mogłam oddychać. Mogłam tylko cierpieć. Nagle ból zniknął. Tak po prostu.

Otworzyłam oczy i nabrałam głęboko powietrza. Ucisk w piersiach zelżał. Znowu mogłam oddychać.

Nade mną była biel. Czarny wir znikł. Zastąpiła go światłość, która powoli zniknęła, odsłaniając błękitne niebo.

Zdałam sobie sprawę, że leżę na ziemi. Nie wiedziałam, jakim cudem już się nie unoszę. Czyżbym spadła?

Nie pamiętałam upadku.

- Wiki - nade mną pochylał się Piotrek. - Nic ci nie jest?

Delikatnie głaskał mnie po policzku. Wziął mnie za rękę. Moja skóra różniła się od jego. Promieniała.

Uśmiechnęłam się. Na twarzy Piotra pojawiła się ulga. Pomógł mi usiąść. Leżałam w okręgu ułożonym z przygniecionej trawy. Poza nim, na polaci pokrytej szarym popiołem ze spalonej sawanny, stali Moroni i Beleth.

Diabeł patrzył na mnie bezgranicznie zdumiony. Miałam wrażenie, że bał się podejść.

- Nie! - zawył anioł. - To nie może tak być! Nie mogłaś odebrać mi boskiej mocy.

Rzucił się w moją stronę. Beleth starał się go zatrzymać, ale Moroni mu się wyrwał. Biegł prosto na mnie i na Piotrka. W odległości kilku metrów odskoczył do tyłu, jakby spotkał na swojej drodze niewidzialną barierę.

Wrzasnął wściekły i posłał w naszą stronę falę niebieskiego ognia. Ona także zatrzymała się na niewidzialnej barierze.

Anioł opadł na kolana. Jego złość zamieniła się w rozpacz.

- Mój sen o potędze - wyjąkał.

Na horyzoncie zaczęły się zbierać ciemne burzowe chmury. Przestraszyłam się. Odważyłam się sięgnąć po boskie moce. Po coś, po co nie powinnam. Co się teraz ze mną stanie? Zostanę ukarana przez Boga? Unieczniona?

Cisza panująca na wymarłej ziemi została zakłócona przez jednostajny trzepot kilkunastu par skrzydeł.

Nadlatywały anioły.

Patrzyliśmy, jak ich zgrabne sylwetki zniżają lot, zbliżając się do nas.

Archanioł Gabriel, lecący na czele orszaku, wylądował w pyłe. Miał zmarszczone czoło i poważne spojrzenie. Wzniósł oczy do góry na burzowe chmury, które powoli się rozpogadzały. Jego oblicze przyjęło to z ulgą.

Przymknął powieki. Przez chwilę wyglądał, jakby modlił się po cichu.

Gdy w końcu spojrział na mnie, jego orzechowe oczy nie były pełne wściekłości.

- Chyba musicie nam coś wyjaśnić - powiedział spokojnym głosem.

* * * *

Sala przesłuchań i sądów w Niebie zupełnie nie przypominała tej znajdującej się w Piekło. Tu nie było sufitu niknącego w ciemnościach ani twardej drewnianych ławek. Zgrabna kopuła Sali Rozpraw podtrzymywana była przez siedem kolumn, pomiędzy którymi znajdowały się wysokie okna wpuszczające do środka dużo światła.

Na środku przygotowano pięć krzeseł: dla mnie, Piotra, Beletha, Moroniego i Azazela. Ten ostatni nie był zadowolony z tego faktu. Cały czas usiłował wszystkich przekonać, że nie powinien być znaleźć się w tak parszywym towarzystwie. W końcu on niczym nie zawinił, czyż nie?

Przed pięcioma krzesłami dla przesłuchiwanym ustawiono dwa trony. Jeden złoty, a drugi czarny. Domyślałam się, że Lucyfer został zaproszony na tę „uroczystość”.

Nie tylko zresztą Szatana spotkał ten zaszczyt. Specjalnie z okazji dnia sądu nad nami pozwolono najznamienitszym mieszkańcom Niższej Arkadii na odwiedzenie Niebios. Ławki dla publiczności znajdowały się pod ścianami, po naszych bokach i za naszymi plecami. Słyszałam, jak powoli się zapełniały.

Bałam się tego, co usłyszymy od Gabriela, ale czułam ulgę. Nic już nie zależało ode mnie. Nic już nie musiałam robić. Byłam wolna.

Kleopatra pomachała do mnie z trybun. Obok niej zasiadł Napoleon. Azazel pochylił się i zaczął kłąć pod nosem.

Królowa rozglądała się ciekawie na boki. Widok Nieba chyba jej się spodobał. Było tak samo pełne przepychu jak jej pałac. Tu nie było miejsca na tandetę, która niestety momentami wydawała się wszechobecna w Piekło.

Wszędzie biegały małe putta na swoich krzywych nóżkach, usłużnie proponując zgromadzonym herbatę. Były w swoim żywiole.

Spojrzałam na Beletha. Siedział za Piotrkiem. Chciałam się do niego odezwać, ale nie mogłam tego zrobić tak, żeby nikt nie usłyszał.

Chciałam mu powiedzieć, że to koniec gry, że wygrał. Spróbowałam przesłać w jego stronę przekaz myślowy ale nie potrafiłam. Głęboko nad czymś skupiony otoczył swój umysł niewidzialną barierą. Był dla mnie niedostępny. Nad czym tak rozmyślał?

Gdy wydawało się, że wszyscy goście już przybyli, za złotym tronem pojawiły się ogromne, rzeźbione, złote wrota. Po chwili przeszedł przez nie Gabriel, jak zwykle ubrany w białą szatę. Jego sandały jesuski zaskrzypiały na marmurowej posadzce.

Chyba zaczynałam rozumieć, czemu anioły nosiły skarpetki do sandałów. Przecież ten wszechobecny marmur był strasznie zimny!

Archanioł zajął swoje miejsce i spojrzął na tron należący do Szatana, zupełnie jakby oczekiwał, że ten nagle się na nim pojawi.

- Jeszcze chwilę poczekamy - oznajmił anielsko-diabelskiej publiczności.

Minęło kilka minut. W końcu za czarnym tronem pojawiły się również czarne wrota. Szatan przybył. Pchnął drzwi i dumnym krokiem wkroczył do Sali Rozpraw. Obcasy jego wysokich botków stuknęły po marmurze. Biała, rozchełstana pod szyją koszula z żabotem ukazywała trójkąt bladej piersi.

Staął przy swoim tronie.

- Witaj, Gabrielu - następnie potoczył spojrzeniem po sali i zapytał z udawanym przestrawem: - Och, czyżbym się spóźnił?

- Nieważne, Lucyferze - Gabriel machnął ręką. - Siadaj już i zaczynajmy. Dziękuję ci za przybycie.

- To całe szczęście, że nie czekaliście - Szatan zasiadł z szerokim uśmiechem na miękkim siedzisku.

Gabriel skrzywił się, ale nie odezwał. Lucyfer zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Archanioł nic nie mógł na to poradzić bez wdawania się w kolejną słowną potyczkę. Szatan był znany z giętkiego języka. Anioł mógłby przegrać.

- Dobrze - głos Gabriela poniósł się po pomieszczeniu. - Zebraliśmy się tu dzisiaj...

W tej chwili pośrodku Sali, tuż przed oczami Gabriela, zawirowała czarna dziura. Wskoczyła z niej Śmierć, ciągnąc za rękę zakłopotanego Borysa.

- Oo, spóźniliśmy się - oznajmiła. - Przepraszamy. Potrucztałi szybko w stronę trybun. Borys pomachał mi wesoło. Gabriel potarł czoło.

- Czy ktoś jeszcze chciałby coś dodać? - zapytał. - Spóźnić się? Wyjść? Chciałbym zacząć...

- Przepraszam, ta herbata miała być z cukrem? - gdzieś z trybun zapiszczał mały putto.

Szatan ostentacyjnie zerknął za zegarek kieszonkowy.

- Doprawdy, Gabrielu, nie mam całego dnia. Zaczynamy?

Zamiast wybuchnąć gniewem, co niewątpliwie uczyniłby na jego miejscu Lucyfer bądź ktokolwiek inny, Archanioł wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do nas łagodnie.

Byłam nim zachwycona. Nie dał się wyprowadzić z równowagi tanimi sztuczkami Szatana. Gabriel był kwintesencją dobrego władcy.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, by wysłuchać Wiktorii, Piotra, Beletha, Moroniego i Azazela... a także zastanowić się, co dalej począć z mocami, które posiada Wiktoria. Wiktorio - zwrócił się do mnie - opowiedz mi, jak to się właściwie zaczęło.

Wstałam ze swojego miejsca.

- Zaczęło się od zwykłego jabłka, które nie było takie zwykłe - rozpocząłam.

Opowiedziałam, jak odzyskałam moc Iskry Bożej i w jaki sposób Piotrek wszedł w jej posiadanie. Następnie z grubsza opisałam bieg wydarzeń, który sprawił, że po raz pierwszy znalazłam się w Niebie, już po stworzeniu diabłom skrzydeł. Postanowiłam pominąć fragment o rzekomej zdradzie Piotra. To i tak nie była prawda.

Jednak nie zapomniałam wspomnieć o nieobecnej Phylis która dzielnie pomagała diabłom w ich machlojkach.

- Zanim przejdziemy do dalszego ciągu rozprawy, chciałbym coś dodać - przerwał Szatan.

Gabriel spojrział na niego zdziwiony.

- Chciałbym zaznaczyć, że jako władca Piekieł nie mam zielonego pojęcia, skąd jabłko mocy znalazło się w rękach tych oto diabłów. Każdego dnia liczę owoce znajdujące się na drzewku. Nigdy żadnego nie brakowało.

Nie zdziwiło mnie, że Lucyfer pragnął się wybielić. W końcu osobie na jego stanowisku nie wypadało przyznać się do próby pozbycia się jednego z diabłów. A przecież tylko po to pozwolił Belethowi i Azazelowi na stworzenie skrzydeł. Miał szczerą nadzieję, że dzięki temu już nigdy więcej ich nie spotka.

- Rozumiem - mruknął Gabriel i zwrócił się do mnie: - Kontynuuj, proszę.

Znowu zaczęłam mówić. Powiedziałam o tym, jak w Niebie dzięki diabłom spotkałam dawno zmarłych rodziców a także o tym, że anioł Moroni zaczął interesować się moją osobą i chciał wykorzystać Piotra do przeciągnięcia mnie na swoją stronę. Wyjaśnienie zawłości iście diabelskiego planu anioła nie zajęło mi długo. W końcu Moroni chciał tego co wszyscy.

Władzy.

Azazel zerwał się ze swojego miejsca.

- Chciałbym tylko zaznaczyć, Wysoki Gabrieliu, znaczy Sądzie, że ja przez cały czas byłem zamknięty w anielskim więzieniu. Nie miałem nic wspólnego z wydarzeniami, które w międzyczasie miały miejsce. Zupełnie nie rozumiem, co ja tutaj robię! Ja nie znam tych ludzi! - wskazał na mnie i na Piotra.

- Dobrze. Siadaj, Azazelu - uciszył go Gabriel. - Wezmę pod uwagę twoje słowa.

- Ale...

- Siadaj - rozkazał mu Archanioł.

Diabeł posłusznie usiadł na krzeselku i złożył dłonie na podołku.

- Musieliśmy zdobyć przedmioty, zanim zrobi to Moroni - wyjaśniłam. - Z początku mu pomagaliśmy. Myśleliśmy, że dzięki temu się uwolnimy, że będziemy zwykłymi ludźmi. Jednak potem zrozumieliśmy, że nie możemy mu pomagać. To było tuż po tym, jak zabraliśmy lampę z twojego domu, Gabrieliu. Chcieliśmy potem wszystko wytłumaczyć, ale Moroni zaczął nagonkę na naszą dwójkę.

- Rozumiem - Gabriel nie okazywał żadnych uczuć. Po prostu słuchał z uwagą.

- Do odnalezienia pozostały nam dwa przedmioty - kontynuowałam. - Kość niewiniątka oraz Pierścień Rybaka. Musieliśmy je zdobyć, żeby powstrzymać Moroniego. Myśleliśmy, że to wystarczy. Skoro papież nam uwierzył, wierzyliśmy, że ty też. Ale nie zdołaliśmy...

- To chwalebne, Wiktorio - stwierdził Gabriel. - Nie poddaliście się, pomimo że nikt wam nie wierzył. Nawet ja...

Azazel zerwał się z krzesła.

- Chciałbym dodać, że to ja wpadłem na pomysł, gdzie może leżeć kość niewiniątka. Gdyby nie moja tak istotna pomoc, moi drodzy przyjaciele, z którymi przecież znamy się jak łyse konie, nigdy nie wpadliby na pomysł, że mogą ją zdobyć na Cmentarzu Niewiniątek.

Zaskoczona posłałam mu spojrzenie, Beleth zachichotał. Z nieznanym ludzi staliśmy się nagle drogimi przyjaciółmi.

- Tak, Azazelu... rozumiem twój wkład w te wydarzenia - westchnął Archanioł.

Tym razem ze swojego miejsca zerwał się Moroni.

- To wszystko wierutne kłamstwa - krzyknął, plując śliną. - Ona kłamie, Gabrielu. Przecież mnie znasz. Jestem aniołem. Jestem taki jak ty. Ja bym nie chciał zostać bogiem. Przez cały czas usiłowałem jej przeszkodzić. To ona z tym chłopakiem uknuli cały ten plan. A diabeł Beleth im pomagał!

Przystojny brunet poderwał do góry głowę. Spojrzał na Archanioła.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytał.

Gabriel kiwnął głową i kazał Moroniemu usiąść i ochłonąć.

- Wszystko, co powiedziała Wiktor, jest prawdą - oświadczył Beleth. - Podstępem usiłowałem zdobyć jej miłość. Jak zawsze zresztą - uśmiechnął się protekcyjnie do Piotra. - W przeciwieństwie do niektórych ja muszę próbować. Nie mam zadania ułatwionego na starcie.

- Beleth, ja... - zaczęłam, ale mi przerwał.

- Wiem, chcesz mi powiedzieć, że przegrałem.

- Nie, to...

- Dobrze, dobrze, siadajcie wszyscy - Gabriel uniósł do góry obie dłonie, nie pozwalając mi dokończyć. - Zamilknijcie chociaż na chwilę. Potem będziecie mieć mnóstwo czasu na rozmowy.

Lucyfer śmiał się pod nosem. Chyba nie podejrzewał, jak dobra zabawa będzie go tu czekała. Chociaż raz to w Niebie, a nie w Piekło narobiono zamieszania. Niczym nie musiał się martwić.

- Mój drogi Gabrielu - odezwał się z niemałą satysfakcją w głosie. - Muszę zauważyć, oczywiście tylko w ramach koleżeńskiej porady, że gdybyście byli bardziej otwarci, to do niczego by nie doszło. Gdybyście wysłuchali Wiktorii i Piotra, zamiast nasyłać na nich golem, to nie byłoby teraz problemu z mocami Wiktorii, czyż nie?

- Nie wysłałem złotych golemów, Lucyferze - twarz Archaniola stężała. - Gdy to się wydarzyło, byłem na Ziemi. Pod moją nieobecność to anioł Moroni doprowadził do tego całego zamieszania.

- Cóż... najwyraźniej masz nauczkę, że nie należy opuszczać posterunku, prawda? - Szatan aż zatupał z uciechy. - Powinieneś brać ze mnie przykład. Ja nie opuszczam stanowiska pracy w Piekło. Dbam o moje zaświaty cały czas.

Z ławek dla publiczności dobiegł stłumiony śmiech.

- Dobrze, Lucyferze - odparł z godnością Gabriel. - Zastanowię się nad twoją uwagą. Na pewno będzie bardzo pomocna.

Posłał nam zmęczone spojrzenie. Podparł brodę i zastanowił się, co z nami zrobić. Miała nadzieję, że nic strasznego. W końcu nie zniszczyliśmy mu lampy. Jest nietknięta. No może troszkę zarysowała się w miejscu, w którym przypadkiem trafił ją gorejący miecz podczas walki na sawannie z golemami, ale ogólnie rzecz biorąc, była jak nowa. Zawsze można patrzeć na nią od tej nieuszkodzonej strony, prawda? Jest tak samo ładna.

Gdzieś rozbiła się o ziemię filiżanka z herbatą. Od razu siedmiu małych puttów z różowymi chusteczkami rzuciło się w tamtą stronę.

Gabriel westchnął. Najwyraźniej podjął decyzję.

- Azazelu...- zaczął.

Diabeł zerwał się na równe nogi.

- Ja nic nie zrobiłem - powiedział szybko. - A jak już robiłem, to tylko po to, żeby pomóc. W ostatecznym rozrachunku jestem na plusie... prawda?

- Azazelu - Archanioł zdawał się nie słyszeć jego paplaniny. - Otrzymałeś obywatelstwo anielskie na okres siedemdziesięciu siedmiu lat. Nie zostanie ci ono odebrane. W zamian za pomoc Wiktorii i Piotrowi zostajesz oczyszczony z zarzutów naruszenia zamkniętego terenu Jeziora Czasu i wypuszczony z anielskiego więzienia.

Po Sali Rozpraw przebiegł szmer rozmów. Kleopatra z niesmakiem wydeła wargi. Była pewna, że Azazel zostanie wyrzucony do Piekła.

- A co z wiecznym anielskim obywatelstwem, o które się starałem? - zapytał Azazel.

- W związku z twoimi machlojkami i pomocą Wiktora i Piotrowi w łamaniu anielskich praw nie zostanie ci ono przyznane. Kiedy minie siedemdziesiąt siedem lat, zostaniesz poproszony o opuszczenie Arkadii i przeniesienie się z powrotem do Piekła. - Gabriel uśmiechnął się wesoło, jakby poczuł z tego powodu ulgę.

Zapewne poczuł. Z kolei Szatan... on wyglądał, jakby miał się rozplakać. Czym bowiem jest siedemdziesiąt siedem lat spokoju w porównaniu z wiecznością snucia planów przejęcia władzy przez Azazela?

Kleopatra uśmiechnęła się radośnie. Jej wszystko pasowało. Najbliższe kilka dziesiątek lat zamierzała spędzić z Napoleonem, który wprowadził ją do towarzystwa francuskiej arystokracji. Potem? Kto wie? Ludwik XIV, czyli Król Słońce, nie był taki brzydki.

A kiedy Azazel wróci do Piekieł... Och, już ona mu pokaże, gdzie jego miejsce. Ten zdradziecki łotr nie wyjdzie z sypialni przez miesiąc. Królowej zamglili się wzrok, jej usta rozciągnęły się w błogim uśmiechu. A może przez dwa miesiące?

- Kleo, coś ci jest? - z upojnych rozmyślań wyrwał ją odrobinę skrzekliwy głos Napoleona.

- Eee, nie, nic - szybko odparła i zaczęła się wachlować, żeby przegnać z policzków rumieńce.

Tymczasem Archanioł nakazał Moroniemu powstać ze swojego miejsca.

- Dotychczas byłem dla ciebie łaskawy - oznajmił mu. - Wybaczyłem ci założenie Kościoła i kierowanie ludzi na manowce. Przymykałem oko na twoje knowania. Tym razem przebrała się miarka.

- Ale jak to? - zaprotestował anioł. - Ja nic takiego nie zrobiłem. Działiałem tylko w obronie Nieba. Chroniłem je przed nią - wskazał na mnie palcem.

- Jak w twoim posiadaniu znalazł się manuskrypt henochiański? - zapytał Gabriel. - Skąd dowiedziałeś się o kluczach?

Moroni milczał. Nie zamierzał odpowiedzieć. Poczulałam ukłucie strachu. On jeszcze nie powiedział swojego ostatniego słowa. Miałam wrażenie, że w zanadrzu miał jeszcze dużo pomysłów na to, jak zostać bogiem.

- Dobrze - skwitował jego milczenie Archanioł. - Skazuję się na siedem tysięcy lat zamknięcia w anielskim więzieniu.

Azazel wychylił się do Beletha i podniósł do góry kciuki w niemym zachwycie. Chyba po raz pierwszy to nie on dostał najwyższą karę.

- NIE!!! - ryknął Moroni i posłał w stronę Gabriela snop niebieskiego światła.

Lucyfer machnął leniwie ręką. Czerwony promień rozbił w pył śmiertcionośny cios anioła. Zaskoczony Archanioł nawet nie zdołał zareagować.

- Siedem tysięcy lat? Gabryś, weź ty się lepiej zastanów - parsknął Szatan.
- Może lepiej siedemdziesiąt siedem? Popatrz, jak się rzuca.

- Nie - Archanioł pokręcił głową. - Jesteśmy miłosierni. Siedem tysięcy lat wystarczy.

Kilkanaście putt, z aniołem na czele, o zaciętym wyrazie twarzy podeszło do Moroniego. Schwycili go pod pachy i wyprowadzili z Sali Rozpraw.

- Belecie - Gabriel zwrócił się do diabła. - Ciebie czeka to samo co Azazela. Nie będę brał pod uwagę twoich związków z Moronim. Potraktuję cię tak, jak twego kompana z Piekieł. Po upływie siedemdziesięciu siedmiu lat musisz opuścić Arkadię.

Diabeł kiwnął posłusznie głową i zasiadł na swoim miejscu.

- Piotrze - chłopak wstał. - Najpierw chciałbym cię przeprosić za to, że w tak złym świetle po raz pierwszy zobaczyłeś Niebo i anioły.

Beleth rzucił pod nosem kilka przekleństw.

- Nie chcę ani nie mogę cię ukarać. Nie należysz do żadnych zaświatów. Mam jednak do ciebie prośbę. Nie odwiedzaj Arkadii, dopóki nie stanie się ona miejscem twojego wiecznego spoczynku. Zdaję sobie sprawę, że moce, które posiadasz, będą cię do tego kusiły, ale postaraj się wytrwać.

Piotruś skinął głową i odetchnął z ulgą. Ja także się ucieszyłam. Ta decyzja oznaczała, że mnie także nie powinna spotkać żadna krzywda.

- Wiktorio - posłusznie wstałam i uśmiechnęłam się do Archanioła. - Z tobą niestety coś trzeba zrobić...

Rozdział 46

Uśmiech stęzał mi na twarzy. Co zrobić? Chyba nie zlikwidować?

- Tak? - zapytałam.

- Nie możesz posiadać boskich mocy - wyjaśnił Gabriel. - Tak... no cóż... nie wypada.

A Allah to im jakoś nie przeszkadza, tak? Łazi w tych swoich turbanach i udaje boga na ulicach Edenii. Już za sam fakt, że obiecał kiedyś swoim wiernym po siedemdziesiąt dwie kobiety w Niebie, powinni coś z nim zrobić.

Przecież wszystko ze mną jest okej. No dobra, może odrobinę świecę w ciemnościach, ale to całkiem przydatne. Jak idę w nocy do łazienki, to nie muszę zapalać światła.

- A jeśli obiecuję, że nie stworzę własnej religii i nie zniszczę świata? - zapytałam.

Szatan posłał mi powątpiewające spojrzenie.

No dobra... z tym ostatnim to może miałam pewne problemy. Ale jakby na to nie patrzeć, tym razem nie doprowadziłam do upadku żadnego satelity!

- Musisz stracić swoją moc, Wiktorio - powiedział Gabriel.

- Dobrze, ale jak? - zapytałam.

- Nikt nie może odebrać boskiej mocy nikomu, komu została ona przyznana - powiedział tajemniczo Archanioł.

Zaraz, czy to znaczy, że spotkam Jego? Spotkam Boga? O nie, ale ja jestem brzydko ubrana. I nie wiem, jak się powinnam zachowywać w Jego obecności. Dlaczego nie przeczytałam Biblii do końca?! Wreszcie mam za swoje, że odkładałam to na ostatnią chwilę!

- Tylko sama możesz zrezygnować z mocy - dokończył Gabriel.

Zbił mnie tym z tropu. To nie spotkam Boga?

- Jak? - zapytałam.

Archanioł poruszył się niespokojnie na krześle.

- Nie jestem pewien. Ostatni taki przypadek mieliśmy w starożytnej Grecji, kiedy niejaki Zeus usiłował zdobyć moc.

Za naszymi plecami ktoś wstał z ławki, rozpychając się między ludźmi.

- A jużci, że ją posiadłem - odezwał się mocny, niski głos. Odwróciłam się w jego stronę. W siódmej ławce od góry stał wysoki, umięśniony mężczyzna, ze skołtunioną białą brodą, ubrany w togę.

- Cały świat od Myken po Peloponez drżał przed Zeusem Gromowładnym - mężczyzna podparł się pod boki. - Białołowo, zastanów się. Możesz być Ateną dwudziestego wieku.

- Teraz mamy dwudziesty pierwszy wiek, dziadku - oświadczył mu zblazowany Szatan. - Powiedz jej lepiej, jak się pozbyłeś mocy, i skończmy wreszcie tę rozprawę. Jestem głodny.

Zeus wyduł wargi i odparł pełnym pogardy głosem:

- Żaden tartaryjski demon nie będzie mnie pouczał. Ateno, zastanów się. Jeżeli zrezygnujesz z mocy, nigdy jej nie odzyskasz. Tak jak ja pozostaniesz na łasce tych istot - jego oczy pojaśniały. - Mogłabyś przywrócić wiarę w dawne bóstwa!

Chyba głównie z tego powodu musiałam pozbyć się mocy. Jeszcze chwila i wszyscy, których religie dawno umarły, rzuciliby się na mnie z pazurami, żebym, machając piorunami, przywróciła je na ziemię.

Wolałam nawet nie patrzeć w stronę Kleopatry. Pewnie zażądałaby, w imię naszej przyjaźni, żebym wybiła wszystkich muzułmanów ze świętej egipskiej ziemi. Szkoda tylko, że po czymś takim nie zostałby tam nikt, kto mógłby wierzyć w jej panteon bóstw o głowach zwierząt.

- A jak pozbyłeś się mocy, Zeusie? - zapytałam.

- Podstępem mnie do tego przymuszono. Oni dwaj - wskazał na Lucka i Gabriela. - Namówili mnie, bym pomyślał, że przesyłam ją w chmury. Moja moc miała niby od tego wzrosnąć. A utraciłem ją na zawsze...

Gabriel i Lucyfer sami nie rozumieli, jak do tego doszło. Ja chyba wiedziałam. Podejrzewam, że czułam to samo co Zeus. Nie byłam teraz sobą.

A raczej nie byłam sama.

Gdzieś w środku mnie kłębiło się coś żywego. Ciepłego. Było mną, ale jednocześnie mną nie było. Nie sprawiało mi bólu. Po prostu czułam tego obecność na wysokości żołądka. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Przyłożyłam dłonie do piersi. Było tam. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak przechodzi przez moją skórę do koszyczka, który utworzyłam ze swoich rąk.

Po chwili poczułam, jak coś uderza delikatnie o moje palce. Uchyliłam powieki.

Żółta kulka światła obijała się o moje ręce. Była ciepła. Moja skóra poszarzała. Już nie była rozświetlona wewnętrznym blaskiem boskich mocy.

Poczułam się, jakbym coś straciła. Jakbym była pusta.

Spojrzałam na Beletha. Kiwnął mi głową na znak, że dobrze robię.

Otworzyłam dłonie. Kulka światła zaczęła wznosić się do góry. Coraz wyżej i wyżej w stronę dachu Sali Rozpraw. Przez chwilę błędziła pod sufitem, by w końcu przez niego przeniknąć. Straciliśmy ją z oczu.

Gabriel odetchnął z ulgą tak głośno, że usłyszeliśmy go z odległości dzielących nas kilku metrów.

- Wspaniale, Wiktorio, dziękuję ci - powiedział. - Teraz mój werdykt. Tak jak Piotra, proszę cię, byś nie pojawiała się w Niebie, dopóki nie nastanie twój czas. Rozumiem, że tutaj jest twoja zmarła rodzina. Zgadzam się, byś od czasu do czasu ich odwiedzała, ale nie za często, dobrze? Kiwnęłam potakująco głową.

Archanioł odwrócił się do Szatana, gdy siadałam z powrotem na krześle.

- Chcesz coś dodać od siebie, Lucyferze?

Zdziwiony tym odruchem dobrej woli Szatan odwrócił się do nas. Na jego twarzy pojawił się pełen wyższości uśmiech.

- Ja, jako znacznie bardziej litościwy i miłosierny władca, pozwalam tobie, Wiktorio, i tobie, Piotrze, na nieograniczoną ilość podróży do Piekieł - oświadczył.

Publiczność zaczęła bić brawo. Podejrzewam, że tylko mieszkańcy Niższej Arkadii zareagowali tak żywiołowo. Anioły nie zniżyłyby się do jarmarcznego zachowania na ważnej rozprawie.

- Brawo! Brawo! - zawołał kobiecy głos, niewątpliwie należący do Kleopatry.

Luczek spoważniał i dodał półgłosem, którego oprócz nas nikt, a zwłaszcza publika, nie mógł usłyszeć:

- Ale dla waszego i mojego dobra mam nadzieję, że nie będziecie zbyt często korzystać z tego przywileju...

- To wszystko? - zapytał Gabriel.

Szatan kiwnął głową.

- Dobrze. Teraz musimy porozmawiać na temat diabolic - stwierdził Archanioł.

- Diabolic? - zdziwił się władca Piekieł.

- Nie chcę wytykać palcem, ale podobno co najmniej jedna twoja podwładna brała udział w tym zamieszaniu.

- Wiktoria już nie jest moją diabolicą - Lucyfer usiłował udawać, że nie wie, o co chodzi. Przyjrzał się swoim paznokciom, jakby nagle dostrzegł tam coś niesamowicie interesującego.

- Mówię o niejkiej... - Gabriel urwał, a po jego twarzy przebiegł grymas niepokoju.

Spojrzałam na trybuny, na które tak się zapatrzył. Kleopatra wbijała w niego ostre spojrzenie swoich czarnych oczu.

- ...o niejkiej Phylis - dokończył szybko Archanioł i odwrócił wzrok od Kleo. - Co z nią?

Królowa pokiwała z zadowoleniem głową. Byłam pełna podziwu. Trzymała w garści wszystkich. Dosłownie wszystkich.

- A nią się nie zajmuj - Lucyfer machnął ręką. - Aktualnie przebywa w Urzędzie, gdzie usiłuje dojść do siebie.

- Dojść do siebie? - zdziwił się Gabriel.

- A tak, tak. Całkowicie przypadkowo doznała poważnych urazów. Możliwe, że nie dojdzie do siebie.

- Przecież nie żyje - zauważył Archanioł. - Jest tylko projekcją duszy, czarodziejskim ciałem. Wszystkie zwykłe obrażenia powinny zniknąć maksymalnie po dobie.

- Nie zawracaj sobie tym głowy, Gabrysiu, wszystko mam pod kontrolą. Na razie Phylis nie będzie zdolna do pracy. Aktualnie moją jedyną diabolicą jest Kleopatra.

- Będziesz mi to musiał później wyjaśnić - skwitował Gabriel.

- Ja? Ja nic nie wiem - Szatan umywał ręce.

Archanioł uśmiechnął się lekko i zwrócił twarzą do publiki.

- Chciałbym ogłosić jeszcze jedną dobrą wiadomość - oświadczył.

Zorientowałam się, że najwyraźniej informacja o trwałych uszkodzeniach Phylis też była dobrą informacją...

- W wyniku przeprowadzonych przeze mnie badań rynku, a także wielu rozmów z najmądrzejszymi mieszkańcami Arkadii zdecydowaliśmy się wprowadzić zawód anielicy.

- Co proszę?! - Lucyfer o mało nie spadł z tronu. Gabriel uśmiechnął się do niego. Teraz to on miał satysfakcję z tego, co mówił.

- Naszą pierwszą anielicą będzie Wiktoria.

- CO?! - ryknął Szatan.

Po trybunach potoczył się głośny gwar rozmów. Ktoś krzyknął, ktoś zemdłał, ktoś oblał się herbatą. Normalna w takich sytuacjach. Już się przyzwyczaiłam, że wzbudzam tyle emocji podczas rozpraw.

- Słucham? - zimny głos Kleopatry niczym sztylet przebił powietrze.

- Czy to nie wspaniała informacja? - Gabriel dalej się zachwycał. - Wiktoria, gdy tylko umrze, stanie się naszą pierwszą anielicą, która pomoże szkolić kolejne kandydatki. Mamy nadzieję, że dzięki temu atrakcyjność Arkadii znacznie wzrośnie.

- Gabriel, nie podejrzewałem, że będziesz się łąpał takich tanich chwytów - warknął Szatan.

- I kto to mówi? - odparował Archanioł.

- Ale mnie wolno! Jestem diabłem! Ja zawsze gram nieczysto.

- Prawa rynku, Lucyferze. Musiało do tego dojść, żebyśmy nie wypadli z obiegu. Zbyt długo trzymaliśmy się tradycji.

Szatan gniewnie stukał palcami o podłokietnik.

- Ale zaraz. Kto powiedział, że Wiktoria po śmierci trafi do Nieba?! - Lucyfer wysunął się w stronę Gabriela.

- A kto powiedział, że do Piekła? - Archanioł nie pozostał mu dłużny.

To doprawdy urocze, że wszystkim tak na mnie zależy, ale miałam złe przeczucia. Obym tylko w wyniku tego wszystkiego nie trafiła do Tartaru...

- Może po prostu zobaczymy za te siedemdziesiąt lat, co? - nieśmiało się wtrąciłam.

- Żebyś wiedziała, że zobaczymy - obruszył się Szatan. - Skandal, jeszcze podkupuje mi pracowników...

- Nikt nie jest twoją własnością - wycedził Gabriel.

- A idź sobie pogłaskać szczeniaczki i posłuchać świergotu ptaszków. Tylko to ci wychodzi - warknął pod nosem władca Piekieł. - Kompletnie nie znasz się na polityce.

Odwrócili się od siebie obrażeni. Chyba jednak Gabriel powoli zaczynał orientować się w polityce.

- Doskonale. Skoro omówiliśmy już wszystko, to nie będę dłużej cię zatrzymywał, Szatanie - Archanioł klasnął w dłonie. - Dziękuję wszystkim za przybycie. To był niesamowicie intrygujący wieczór.

Wolno wstałam z krzesła. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko. Nikt nie wymaże mi pamięci? Nikt nie będzie na mnie krzyczał? Nikt nie będzie miał do mnie pretensji?

- Wiktorio Biankowska!!! - przenikliwy głos Kleopatry prawdopodobnie przepłoszył wcześniej wspomniane ptaszki z drzew w promieniu co najmniej kilometra.

Podeszła do mnie, szurając swoją długą spódnicą z trenem po podłodze. Spódnica była na szelkach. Tylko.

Tak, tak, to znaczyło, że Kleopatra nie miała bluzki.

Tak, to w starożytnym Egipcie było modne.

Nie, ta moda pewnie nie wróci, chociaż gwiazdy sceny usiłują się coraz bardziej rozebrać.

Szturchnęłam Piotrka, żeby z łaski swojej zaczął patrzeć na jej twarz.

- Jak to anielicą? - królowa podparła się pod boki. - Stajesz po drugiej stronie barykady?

Zza moich pleców nieśmiało wyjrzał Azazel. Pochłaniał wzrokiem Kleopatę, a zwłaszcza jej wszystkie krągłości. Suknia z tiulu też za wiele nie ukrywała.

- Na razie staram się przeżyć - westchnęłam ciężko. - Zostałam wmanewrowana w to całe bycie anielicą. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie.

- Aha - Kleopatra rozluźniła się.

Uważała mnie za kompletną sierotę. Nie zdziwiło jej, że nie wiem, co się dzieje. Mnie też to nie zdziwiło.

- Witaj, Kleosiu - cicho odezwał się Azazel, wychylając się zza naszych pleców. - Wyglądasz niezmiernie.

- To oczywiste - prychnęła. - W końcu jestem najpiękniejszą kobietą na całym świecie.

- Tęskniłem - wyznał diabeł.

- Jakoś się nie spieszyłeś z odwiedzinami.

- Kotku, siedziałem w więzieniu. Ty też długo nie zwlekałaś ze znalezieniem sobie kochanka...

- Kotku, muszę dbać o reputację. Nie mogę być samotną kobietą...

Oboje zirytowali się na siebie. Napoleon chrząknął znacząco i usiłował złapać królową za łokieć. Jednak ona wyrwała mu się. Wbiła spojrzenie swoich czarnych, migdałowych oczu w Azazela.

Uuu... zaraz dojdzie do rękoczynów...

- Jak długo trwa przepustka? - zapytał diabeł.

- Do północy - odparła.

- To mamy dla siebie jeszcze kilka godzin. Pokazać ci Niebo? - zaproponował.

Kleopatra uśmiechnęła się do niego promiennie. Złapała Azazela za rękę i krzyknęła przez ramię do pozostawionego samemu sobie Napoleona:

- Wrócę wieczorem!

...Ale chyba do innych rękoczynów niż te, które miałam przed chwilą na myśli...

W jednej chwili zniknęli w tłumie. Nad głową zdruzgotanego Napoleona zauważyłam Zeusa, który z miną pełną pretensji, usiłował przepchnąć się w moją stronę.

To był chyba najwyższy czas, żeby się ewakuować.

- Idziemy? - zapytałam Piotrka.

- Idziemy - uśmiechnął się. - Wreszcie do domu.

Gdy wychodziliśmy z Sali Rozpraw, odwróciłam się jeszcze.

Beletha nigdzie nie było widać. Zniknął, gdy tylko Gabriel ogłosił koniec posiedzenia. Czyżby zniknął z mojego życia raz na zawsze? Nie mógł przecież. To ja właśnie podjęłam męską decyzję o rozstaniu z Piotrem i wyznaniu diabłu, że wygrał i że mi się jednak podoba, a on sobie gdzieś idzie?

Skandal.

Rozdział 47

Złota kuta brama powoli się zamykała. Mlecznoróżowa mgła kłębiła się wokół naszych kostek, całkowicie zasłaniając marmurowe schody, u których podnóża staliśmy. Ostatnie promienie słońca, odbijając się od metalu, podświetlały ją na pomarańczowo. W oddali błyszcząły srebrne kopuły Arkadii.

Lśniące wewnętrznym blaskiem golemi stanęły na straży bramy. Doskonale widzieliśmy się w ich gładkich jak lustra obliczach. Z chrzęstem złotych zawiasów skrzyżowały ramiona na piersiach.

Ciepłe promienie ogrzewały nasze twarze. W oddali usłyszeliśmy dźwięk trąb. Podniebny hymn powoli cichł.

- Tak czuli się Adam i Ewa - powiedział Piotrek ściszym głosem.

- Oni chyba byli bardziej przybici... - także szepnęłam. Złote golemi nadal napawały mnie strachem. Wolałam nie odzywać się przy nich głośno. Nie wyglądały na świadome faktu, że kilku ich towarzyszy zamieniłam w złoty pył, ale nigdy nic nie wiadomo. Co prawda, święty Piotr zapewnił mnie po rozprawie, że nie ma do mnie żalu za zamianę jego pupili w brokat i że złote golemi już na mnie nie polują. Jednak nadal czułam się przy nich nieswojo.

- ...poza tym nie mieli ubrań - dodałam z krzywym uśmiechem.

Piotrek zaśmiał się serdecznie. Niecierpliwie zerkałam na złotą bramę w poszukiwaniu Beletha. Zanim wyszliśmy, przeszukałam całą Edenię. Nigdzie nie było śladu przystojnego diabła. Gdzie on się podział?!

Miałam poważny problem. Z jednym mężczyzną się rozstałam, a drugi zniknął. Czy to oznacza, że będę teraz sama?

Westchnęłam ciężko. Był najwyższy czas, żeby stąd odejść. Wrócić do świata śmiertelnych. Nie byłam mile widziana w zaświatach. Musiałam znowu żyć na Ziemi.

Odsunęłam się od Piotra. W tym samym momencie wyciągnęliśmy nasze klucze diabła.

- Gdzie idziemy? Na Ziemię? - zapytał.

- Mhm... pomyślmy. A może do Piekła? Chciałeś je zobaczyć, a przecież Szatan pozwolił nam tam wracać. Może zrobimy sobie małą wycieczkę?

W głębi duszy miałam nadzieję, że może tam znajdę mojego diabła.

- W sumie... czemu nie? Skoro nikt nas nie goni, możemy trochę odpocząć w Piekło. Poza tym z tobą po takie przygody poszedłbym choćby i do Tartaru - zaśmiał się. - Samego czarnego Tartaru.

Ostatni raz spojrzałam na złotą bramę, za którą zostali moi rodzice.

Piotrek wyciągnął do mnie rękę, ale nie przyjąłem jej. Nie byliśmy już razem. Przeszliśmy przez wiśniowe, niepozorne drzwi, które stworzył.

Po drugiej stronie przywitała nas morska bryza i wiatr szumiący w koronach drzewek owocowych rosnących dookoła mojej piekielnej posiadłości.

Po wyłożonej kamieniami dróżce kierował się w naszą stronę kot Behemot. Jego złote oczy zaślniły wesoło.

* * * *

Silny ruch powietrza rozwiął mgłę zasłaniającą schody. Wojskowe buty stuknęły o kamień. Mężczyzna złożył złote skrzydła na plecach. Po chwili znikły. Już nie musiał wszędzie się z nimi obnosić. W Niebie nie robiły na nikim wrażenia. Co innego w Piekło, do którego niebawem wróci. Tam nie będzie ich składał.

Odwrócił się w stronę bramy, ale tym razem nie patrzył na nią z żalem i złością. W tej chwili Niebo już go nie interesowało.

Spojrzał na miejsce, z którego już dawno znikł mieniący się kontur drewnianych drzwi stworzonych przez śmiertelników.

Twarz mężczyzny nie wyrażała żadnych emocji. Odgarnął czarne włosy opadające mu na złote tęczówki, które zaślniły wrogo.

Nie lubił przegrywać. Udowodni Wiktorii, że nie przegrał.

- Marzy ci się Tartar, śmiertelniku? - mruknął do siebie. Jego usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

- Nic prostszego...